



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 4 M-p (65) 2019 kwartalnik

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury
„Bo gdzie się morze kończy?

Tam gdzie się zaczyna”

(Obrządkę. Tadeusz Kijonka)

Polecamy:

Marian Pilot, proza

Joanna Sendłak, fragment powieści

Charles Reznikoff, Świadeństwo

Czesław Karkowski, esej

Anna Łozowska, O Księżce kwartału

Arkadiusz Frania, O Grupie Moloch

Maciej Froński, wiersze

Hanka Nowobielska, Przypomnienia, poezja



Tadeusz Nowak (1930-1991)

Psalm o wodach czystych

Wody są czyste Piórko po nich płynie
bielsze od żalu po straconym maju
Przez jego witki drobniejsze niż sen
oczy nie widząc patrzą i kochają

piasek od piórka bielszy i od żalu
księgę rodzaju na piasku spisana
pismem o którym mówi się tajemnie
że jest odwiecznie jątrzącą się raną

Wody są czyste Gaśnie w nich planeta
i gasną pod nią poczęte zwierzęta
i wiary gasną jako ten dmuchawiec
i o nich tylko ślepy kret pamięta

ślepy jak chłopiec co ubiegłej wiosny
nie wiedząc o tym odszedł w traw litanie
Wody są czyste Modlą się za chłopca
A my o zmierzchu pomódlmy się za nie
(z tomu „POEZJE WYBRANE” 1987)

W numerze swoje prace artystyczne prezentuje Erazm W. Felcyn

Plakat artystyczny: Erazm W. Felcyn

Plakat poetycki: Czesław Sobkowiak

Marek Wawrzkiwicz
Dedykacje (18)
BOHDAN

W 51 numerze tygodnika „Życie Literackie” (rok 1955) ukazała się obszerna publikacja „Premiera pięciu poetów”. Trzech wybitnych poetów i dwóch uznanych krytyków przepowiedała wielką literacką przyszłość nowym twórcom: Białośzewskiemu, Herbertowi, Harasymowiczowi, Czyczowi i Bohdanowi Drozdowskiemu. Temu ostatniemu rekomendację wystawił Julian Przyboś. Przyszłość pokazała, że przepustkę do historii literatury polskiej wystawiono trafnie, choć twórczość Czyczka i Drozdowskiego należy do kategorii niestusznie zapomnianych. Nie wszyscy jednak zapomnieli, choć operowali pamięcią wybiórczą: kilkadziesiąt lat później przeczytałem w dwóch rozprawach „naukowych”, że promocja z połowy lat pięćdziesiątych dotyczyła tylko czterech poetów. Bez Drozdowskiego. Czym sobie Bohdan zastużył to, że wystrzyżono go z historii literatury najnowszej?

Był niewatpliwie jedną z czołowych postaci pokolenia WSPÓŁCZESNOŚCI, wiceszefem, a potem naczelnym pisma, bardzo aktywnym publicystą i liczącym się poetą. Zgoda, nawet wśród rówieśników i kolegów z pokolenia nie cieszył się powszechną sympatią, co zawdzięczał swojemu

temperamentowi i bezkompromisowości. W dodatku ciążyła na nim sprawa sztuki „Kondukt”. Najpierw Ryszard Kapuściński napisał reportaż o pochodzącym z Mazur górniku, który zginął w kopalnia, a trumnę z jego ciałem wieziono przez całą Polskę. Potem Drozdowski stworzył sztukę teatralną. Sąd Koleżeński ZLP nie rozstrzygnął sprawy, o ile pamiętam zajął się tym również sąd powszechny. Bohdan przez pół wieku czuł się niestusznie posądzony, powrócił do sprawy w swojej ostatniej, autobiograficznej książce, która ukazała się kilka lat przed jego śmiercią. Widnieje na niej dedykacja: *Markowi, z dobrym wspomnieniem dawnych lat i przyjaźnią – Bohdan D.* Zadzwoń do mnie, zapytał o opinię. Powiedziałem to, co mi przyszło do głowy: że przypomina mi Józefa Łobodowskiego, a ten z kolei kojarzył mi się ze szlachcicem, który wszystko rozstrzygał rąbiąc karabelą. Zdaje się, że to porównanie Bohdanowi pochlebiło.

Kiedy po profesorze Jakubowskim objął redakcję miesięcznika POEZJA, z redakcji na znak protestu odeszło kilku poetów, a jeszcze kilkunastu nie chciało w nim pu-

blikować. Ale Drozdowski zdołał utrzymać wysoki poziom pisma, a w warunkach pewnego ostracyzmu wydał kilkanaście bardzo wartościowych numerów monograficznych. Przetłumaczył wtedy kilka sztuk Szekspira, przekładał z rosyjskiego (wydał m.in. obszerny wybór bajek Krytowa), ukraińskiego. W późniejszych latach wspaniałą, archaizowaną polszczyzną przełożył „Psalmy Dawidowe” i „Pieśń nad pieśniami”. Był w tym majstrem nad majstrami. Napisał, kryjąc się pod pseudonimami, kilka powieści sensacyjnych. Bał się latać. Spędzaliśmy kiedyś razem urlop w Gagrach, w Gruzji. Poprosił mnie, abym zabrał wiersze, które tam napisał, bo był przekonany, że zginie w katastrofie samolotowej. Nie wiem, czy te wiersze kiedyś się ukazały.

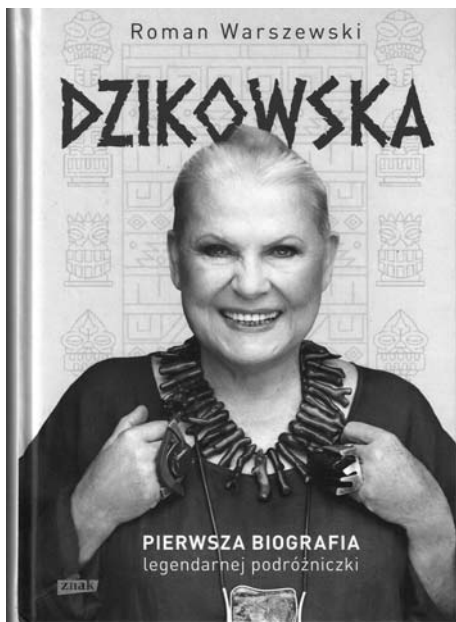
Kilka dni temu syn Bohdana, Adam Karol poprosił mnie, abym poparł jego starania o stypendium miasta Warszawy. Chciał za nie wydać wybrane i niepublikowane wiersze ojca i płytę z pieśniami opartymi o jego teksty. Zrobiłem to bez wahania.

MAREK WAWRZKIWICZ

Roman Warszawski

Fragment biografii Elżbiety Dzikowskiej pt. „Dzikowska”, który nie został opublikowany w książce

PALIŁA, ALE SIĘ NIE ZACIĄGAŁA?



(...) Rok 2016 przyniósł jeszcze jedno istotne zdarzenie: zbiór zastrzeżony IPN został otwarty i coraz większe jego fragmenty zaczęły być odtajniane. Dostępne stały się nowe informacje na temat „Evity” – kontaktu operacyjnego, który już wcześniej pojawił się przy okazji omawiania kontaktów Tony Halika ze służbami PRL. Na podstawie odtajnionego Dziennika Rejestracji Departamentu I MSW (czyli wywiadu PRL) można było teraz stwierdzić, że „Evita” została zare-

jestrowana pod numerem 15852 jako kontakt operacyjny w tym departamencie w wydziale VI 28 maja 1984 roku, a wyrejstrowano ją 16 września w roku 1989¹. Teczkę zniszczono 17 stycznia w roku następnym. Czy „Evita” była Elżbietą Dzikowską?

Faktem jest, że służby PRL Tony'ego Halika zawsze kojarzyły z Argentyńką. Nadanie więc „nieformalnej żonie” Halika pseudonimu „Evita” (jak nazywała się żona argentyńskiego dyktatora, Perona) wydaje się dość prawdopodobne. Ale to oczywiście żaden dowód. Innych wskazówek – a może tylko posłak – może dostarczyć fakt, iż w latach 80. Dzikowska wielokrotnie zwracała się do biura paszportowego albo o przyspieszenie wydania paszportu, albo o przyznanie jej paszportu, który po powrocie z zagranicy mogłaby przechowywać w domu. W miejscu na udzielenie dodatkowych informacji w formularzu paszportowym pisała: „Proszę o szybkie załatwienie paszportu, wcześniej nie mogłam złożyć kwestionariusza z powodu zmiany dowodu osobistego. Przed wyjazdem (a jest on grupowy – wyjeżdża cała załoga jachtu) muszę jeszcze załatwić wizy”². „Chociaż planuję wyjazd turystyczny, prawdopodobnie zrobię w Egipcie i Sudanie reportaż o pracy naszych misji archeologicznych i zdjęcia do publikacji w «Kontynentach». Do Sudanu pojadę, jeżeli w Egipcie dostanę wizę. Proszę o szybkie załatwienie paszportu, jeśli to możliwe, bowiem od kwietnia zaczyna się w Sudanie pora deszczowa i utrudnione będzie poruszanie się po kraju. Wcześniej nie mogłam złożyć dokumentów z powodu choroby”³. Albo: „Bardzo proszę o przydzielenie mi paszportu wielokrotnego i na wszystkie kraje świata. Często mam okazję wyjechać z moim nieformalnym mężem,

Antonim Halikiem i zrobić filmy dla «Interpress-Filmu», które przynoszą korzyści nie tylko poznawcze ale i materialne: sprzedaje się je dla TV, Filmosu i za granicę. Zarabia przede wszystkim firma, bo ja poza jednorazowym honorarium nie mam żadnych dywidend. W sytuacji, gdy brak jest dewiz na kręcenie filmów dokumentalnych za granicą, sądzę, że warto wykorzystać fakt, iż w znacznej mierze może być sfinansować mój mąż, bo lubi filmować (ja jestem reżyserem, on robi zdjęcia) i chce to zrobić dla Polski. Ale – muszę mieć paszport, który pozwala mi szybko wykorzystać okazję, to znaczy towarzyszyć mu w nagłych – bywa – wyjazdach. Sądzę, że przeszłość potwierdziła, że i do moich podróży i do pracy będącej ich rezultatem można mieć zaufanie. Obecnie mam roczny urlop bezpłatny, dlatego też chciałabym zużytkować ten okres szczególnie na podróżowanie, filmowanie i zbieranie materiałów do artykułów i książek. Bez jednej państwowej złotówki.”⁴ Tak jak w kwestii szybkiego wydania paszportu biuro zwykle szło jej na rękę, tak w drugiej – paszport w domu – pozostawał niewykorzystany. W roku 1984 – krótko po rejestracji „Evity” jako kontaktu operacyjnego wywiadu – po tym, jak Elżbieta złożyła wnioski o paszport na wyjazd do Francji, Maroka i Meksyku, sytuacja uległa zmianie. Uzyskała paszport, którego – po powrocie z zagranicy – nie musiała już deponować w biurze p a s z p o r t o w y m , lecz który mogła trzymać w domu. (W tamtym okresie, krótko po zakończeniu stanu wojennego, była to sytuacja naprawdę wyjątkowa.) W archiwach IPN zachowała się bogata korespondencja związana z tą zmianą, przy czym zamienna jest szybkość z jaką ona się doko-

nywała. Sprawa „paszportu do szuflady” dla Elżbiety Dzikowskiej została zatafioniona w ciągu niespełna... ośmiu dni! Kto pamięta biura paszportowe z tamtych lat, nie może nie uznać tego za trudny do pobicia rekord PRL-u! W dniu 4 września 1984 roku Dzikowska pisała do generała Rudolfa Rusina, odpowiedzialnego w MSW za sprawy paszportowe: „Szanowny Panie Generale, zwracam się z uprzejmą prośbą o ułatwienie mi sposobu otrzymywania paszportu. Jestem od 10 lat nieformalną żoną Antoniego Halika, obywatela Argentyny, przebywającego w Polsce na karcie stałego pobytu. Mój mąż jest w stanie ponieść całkowitą odpowiedzialność finansową za wszystkie moje potrzeby i konieczności podczas podróży. Każdorazowe zatafionianie zaproszenia byłoby uciążliwe i – w naszej sytuacji – sztuczne. Mąż, z uwagi na chore serce nie może sam wyjeżdżać i potrzebna jest mu opieka, a poza tym – podczas podróży oboje przygotowujemy materiały filmowe i publicystyczne dla telewizji i prasy polskiej, których uzyskanie nie obciąża państwa dewizowo. Każdorazowe uruchamianie maszynery administracyjno-biurokratycznej, aby podjąć paszport służbowy jest niemożliwe, sądzę więc, że najlepszym rozwiązaniem byłoby ułatwienie procedury paszportowo-prywatnej (paszport prywatny ułatwia nieraz wjazd do kraju, w którym możemy robić film). Stronę zapraszającą i gwarantującą zabezpieczenie finansowe byłby – powtarzam – Antoni Halik. Liczę na życzliwość Pana Generała i jednocześnie proszę o zwolnienie od składania paszportu do depozytu. Elżbieta Dzikowska”¹⁵. Jeszcze tego samego dnia pismo to zostało pozytywnie zaopiniowane przez zajmującego się nim urzędnika: „Towarzysz Dyrektor Gen. bryg. Rudolf RUSIN Uprzejmie przedstawiam podanie Ob. Józefy GÓRSKIEJ-DZIKOWSKIEJ oraz oświadczenie Ob. Argentyny Antoniego Halika mieszkającego na stałe w Polsce, po przeprowadzonej z nimi rozmowie (w obecności ppłk. E. KOWALSKIEGO). Uważam, że sprawę można zatafionić pozytywnie. Wychodząc z założenia, iż Ob. A. HALIKA z Ob. J. DZIKOWSKĄ wiąże nieformalna więź rodzinna, może on zgodnie z obowiązującymi zasadami, jako obywatel z zagranicy na stałe zamieszkały w Polsce, zapraszać ją do wyjazdu do państwa ojczystego (...). W przypadku jednak obojga zainteresowanych w grę wchodzi wspólne wykonywanie działalności zawodowej na własny koszt w postaci produkcji filmów raz ze scenariuszami, które kręcone są w różnych zakątkach świata, w różnym czasie i przy rozmaitych sposobnościach i są następnie prezentowane w telewizji polskiej. Ich działalność ma niewątpliwie wysokie walory społeczne polegające na popularyzowaniu polskiemu społeczeństwu unikalnych obcych kultur.(...) Analizując całościowo sytuację dochodzę do wniosku, iż Ob. J. DZIKOWSKA kwalifikuje się do otrzymania paszportu ważnego na wszystkie kraje świata z prawem swobodnego dysponowania, bowiem wykonywana przez nią wspólnie z Ob. A. HALIKIEM działalność wymaga częstych i nieplanowanych wyjazdów za granicę. [Podpis nieczytelny]”¹⁶ Dwa dni później – 6 września 1984 roku – Biuro Paszportów MSW skierowało następujące zapytanie do departamentu III MSW: „DYREKTOR DEPARTAMENTU III MSW Towarzysz gen. bryg. H. DANKOWSKI Biuro Paszportów MSW zamierza przekazać red. Józefie Elżbiecie Górskiej-Dzikowskiej do swobodnego dysponowania paszport bez obowiązku składania go do depozytu organów paszportowych po każdorazowym powrocie z zagranicy. W/w jest nieślubną żoną obywatela Argentyny Antoniego HALIKA przebywającego w Polsce na stałym pobycie, z którym wspólnie zamieszkuje w Warszawie (...). Potrzeba posiadania paszportu jest uzasadniona względami profesjonalnymi – zajmowaniem się przez nią wspólnie z Ob. A.

HALIKIEM twórczością filmową, wykonywaną na własny koszt (...). Z uwagi na pożyteczną społecznie twórczą działalność w zakresie przybliżania społeczeństwu unikalnej kultury świata pozaeuropejskiego, tego typu ułatwienie jest uzasadnione. Należy dodać, że red. J. E. GÓRSKA-DZIKOWSKA jest zatrudniona na 1/2 etatu w Interpresie i 1/2 etatu w Radarze i nie chce korzystać z paszportów służbowych. Uprzejmie proszę o wskazanie, czy Departament II nie ma w tym względzie zastrzeżeń. [Podpis nieczytelny]”¹⁷ Odpowiedź nadeszła 12 września 1984 r.: „DYREKTOR BIURA PASZPORTÓW MSW GEN. BRYG. RUDOLF R U S I N W odpowiedzi na pismo L.dz. E-VI-02185/84 z dnia 6.09.1984 r. uprzejmie informuję, iż Departament III MSW nie wnosi sprzeciwu w sprawie zezwolenia red. Józefie Elżbiecie GÓRSKIEJ-DZIKOWSKIEJ na swobodne dysponowanie paszportem bez obowiązku składania go do depozytu organów paszportowych po każdorazowym powrocie z zagranicy. Z-ca Dyrektora Departamentu III MSW Płk. Mieczysław Kowalski”¹⁸. Na piśmie widniała adnotacja: „Wyd. VI paraf.”. Najprawdopodobniej chodziło o Wydział VI Departamentu I MSW. Jak doszło do tego, że to, co przez tyle lat było niemożliwe, nagle się ziściło? Związek czasowy z rejestracją w departamencie I „Evity” wydaje się tu jednoznaczny. Do tego dochodzi na ostatnim z cytowanych dokumentów parafka wydziału VI, w którym – w departamencie I MSW – „Evita” została zarejestrowana jako kontakt operacyjny wywiadu. Jak się wydaje, kwestia przyznania paszportu „do domu” mogła być kartą przetargową w jej rekrutacji jako osobowego źródła informacji wywiadu PRL. Czy to, o czym wcześniej mówił prof. Daniel Adam Rotfeld (że znając antykomunistyczną młodość Elżbiety Górskiej służby szerokim łukiem omijały potem Elżbietę Dzikowską) wystarczyło tylko do pewnego czasu? A Józef Klasa nie wiedział? Nie chciał wiedzieć? Czy może udawał, że nie wie? „Last but not least” – jak ma się to do listy bezsprzecznie patriotycznych dokonań ED?

Jeśli współpracowała, fakt ten mówi więcej o warunkach w jakich funkcjonowała – o Polsce tamtych lat – niż o niej samej. Jeśli tak było, na pewno stało się dla niej źródłem niejednego cierpienia. O niej samej mówi natomiast to, co stworzyła.

Jakich informacji „Evita” dostarczała? Tego prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Teczka jej pracy została zniszczona prawie zaraz po jej wyrejestrowaniu, jakby w pośpiechu. Nie pozostały po niej nawet okładki. Sama Dzikowska zaś milczy na ten temat. – Nie ma teczki, więc to tylko zbiegi okoliczności, czasowe koincydencje, poszlaki. Nic więcej – mówi. I jest oburzona. Z drugiej strony – zgodnie z wykładnią IPN – sam fakt rejestracji o niczym nie przesądza. Bo może paliła, ale się nie zaciągała... By uznać kogoś za świadome źródło informacji, konieczne jest podjęcie współpracy – a o tym świadczy zawartość teczki. A skoro teczki nie ma, bo została zniszczona, nic konkretnego nie można powiedzieć. Ten krąg też się więc dopełnia. W sprawie „Evity” wróciliśmy do punktu wyjścia. A potem, w tym samym roku miało miejsce jeszcze jedno zdarzenie: pewnego jesienno-go dnia w domu Elżbiety Dzikowskiej pojawiłem się ja i zaproponowałem jej napisanie jej biografii. To doprowadziło do naszej wspólnej podróży do Peru i do Vilcabamby. Jak ona przebiegała – już wiecie.

ROMAN WARSZEWSKI

1. *PN BU 003190/4, s. 275*
2. *IPN BU 763/60455, s. 11*
3. *IPN BU 763/60455 s. 5*
4. *IPN BU 763/60455, s. 19*
5. *IPN BU 763/60455, s. 39*
6. *IPN BU 763/60455, s. 34-35*
7. *IPN BU 763/60455, s. 41*
8. *IPN BU 060455, s. 42*

Spis treści

Tadeusz Nowak, Psalm o wodach czystych.....	na okładce
Marek Wawrzkiwicz, Dedykacje (18).....	str.2
Roman Warszewski, Paliła, ale się nie zaciągała, fragment biografii E. Dzikowskiej.....	str.2
Karol Samsel, Audadafę.3.....	str.4
Marian Pilot, Rękopis znaleziony w XX wieku, fragment powieści PROZA.....	str.5
Ks. Jan Sochoń, Bezcielesny sens.....	str.8
Marek Wawrzkiwicz, wiersze.....	str.12
Joanna Sendtka, Ostatno.....	str.13
Katarzyna Częścik, wiersze.....	str.14
Anna Frajlich, Dziennik – redatowacje.....	str.15
Stefan Rusin, wiersze.....	str.17
Charles Reznikoff, Świadectwo.....	str.18
Cezary Sikorski, Ojciec — albo o niczym.....	str.20
Czesław Karkowski, Porozumienie jako nieporozumienie.....	str.24
KSIAŻKA KWARTAŁU	
Łozowska Anna, Prywatnie i dla wszystkich.....	str.26
Arkadiusz Frania, Boroń – Gaiński – Bratkowski, czyli Moloch.....	str.28
Szymon Florczyk, wiersze.....	str.32
Zbigniew Kresowaty, Rozmowa z Jerzym Grupińskim.....	str.33
INTERPRETACJE	
Jan Stanisław Smalewski, Grać życie – o nowym tomiku A. Biernackiej.....	str.36
Andrzej Walter, Gdzie znikają poeci. Omówienie tomu poetyckiego Urszuli Koziół.....	str.38
Iza Smolarek, wiersze.....	str.40
Jan Szczurek, wiersze.....	str.41
OMÓWIENIA	
Jerzy Stasiewicz, Być chlebem.....	str.42
Andrzej Walter, Chmury balsamowane Czasem, czyli o poezji P. Kazury.....	str.45
Jan Stanisław Smalewski, Dwa w jednym, ale.....	str.46
RECENZJE.....	
str.48	
Andrzej Walter, Umarło niebo nad panem Nikt; Mateusz Wabik, Mechanizmy... O poezji K. Świcyzka; Zapamiętałem Krystynę Dąbrowską; Na tropie poezji, o wierszach Sinkowskiego; Żle objawy poetyckiej stawy; Alicja Dmowska, Dzikowska: Kontrola się nie udata.	
Marek Wawrzkiwicz, Disco Polo, czyli Polska.....	str.52
Hanka Nowobielska, wiersze PRZYPOMNIENIA.....	str.54
Snježana Kordić, Język i nacjonalizm, fragment książki.....	str.56
ANEKS DO KALENDARZA	
Zbigniew Joachimiak, Aneks do kalendarza (6).....	str.58
Henryk Sekulski, wiersze PRZYPOMNIENIA.....	str.61
Hatif Janabi, wiersze.....	str.62
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (30).....	str.64
JESZCZE WIĘCEJ MIGOTAŃ	
Zofia Maria Smalewska, Stocznia Gdańska	str.65
Maciek Frański, wiersze.....	str.67
Michał Frąckiewicz, Epoka plastiku.....	str.68
Szymon Kowalski, wiersze, DEBIUT.....	str.69
Marian Lech Bednarek, Z okienka Pogotowia kulturalnego.....	str.70
Michał Kaczmarek, wiersze.....	str.71
Andrzej Walter, Niebanalnie nieobliczalny.....	str.72
Leszek Żuliński, Dekalog dobrego wiersza.....	str.74
Jan Stanisław Smalewski, wiersze.....	str.76

Karol Samsel

AUTODAFE 3

(FRAGMENTY)

Piotrowi Mitznerowi

86

Daremne żale – próżny trud – mam w sobie wielki organizmalny cień, z którego nie mogę porodzić niczego: dostatecznie żywego. Franciszek Mirandola targany wiatrem, próbując mnie wyminąć: nabija się na moją głowę, palce u rąk i u stóp, stając się: jedynie: rośliną prawdopodobną, półprotistem. Ochej mój mizerny, ochej mój zagaszony: jedno nieodpowiedzialne: charknięcie z cukierni, a już trufla zamienia się w truchło, gdzie plęgnie się ucho, a miało stanąć ufo. Daremne żale – próżny trud, bo: wyszczekane, literackie cwaniactwo już szykuje prafootwork na koronę klockową, w której zakląłem swą duszę. Te śliczne nibynóżki w usmażonej

87

wtóroustej gołocie literatury, które przyjęły za dobrą monetę stary, sylwestrowy przesąd, że stąpają po utajonych, jednak prepratkujących już brylantach – wymyślą i opracują psychoterapię: dla narodów, głęboko w to wierzą. Zobaczymy w końcu – na własne oczy i smażoną polędwicę lata, i parującą genidentyczność, którą omyłkowo całe wieki, wierni humanistycznym geografiom, nazywaliśmy Jerozolimą słoneczną. Daremne żale – próżny trud – nie zakwitniemy. Czym? Paryżem naszej otyłości? Brugią cukrzycy? Casablanką stresu pourazowego? Mamma Mią roztańczonych synów i córek, których przemocą zrzucimy w superbezdzienny sen?

88

Daremne żale – próżny trud – mam w sobie wielkie organizmalne uniwersale, które usycha i obrasta tłuszczem, rojąc sobie – że: nieprzerwanie cechuje je wytworna i całokryształiczna samożywność. Ażeby nie popaść w posępny nastrój – ażeby nie popaść w śmierć, uważam, że mam w sobie: przerębel – Przerębel – nie schorowaną wartość absolutną i że wyjdzie kiedyś z niego: Jezus Chrystus: zjawiony pod postacią, której nie sposób: tym razem w ogóle się spodziewać. W globalnym syrenim Betlejem pić będziemy: dni, noc: wpieryw po dionizyjsku, potem po disneyowsku – machać do egzoksiężycy gąbką lub koralowcem, śmiać się z dewockich śmigusów

89

złamanych w lustrze wody. Daremne żale – próżny trud – i musiałbym być szalony, by po tym wszystkim, co napisałem: w Autodafe nazwać siebie Dominikiem Savio poezji polskiej – a jednak jestem nim: szalejącym i obłąkanym, niepochwytnym, utkany z pajęczyny i niemogącym się zdecydować, czy iść drogą świętego Tarsycjusza romantycznej tradycji literackiej czy drogą tajemniczego dziecka E.T.A. Hoffmanna. Dominik Savio. Niewielkie pęknięcie nieurodkowane zaczepem „Dominik Savio”, jedno nietypowo, mało zabawnie migające światelko, a już alkowa alkoholowa: rozgnieciona pod naporem alkowy alkoholowej: wytryskująca litera „c” robi mi

Marian Pilot

RĘKOPIS ZNALEZIONY W XX WIEKU, WYIMEK*

PROZA

Jak się pomyśli rozsądnie i podług porządku prawdy, to matka nasza żyć mogła lat sto. Sto, jak nie lat więcej, jeszcze kiedy się widzi, jakie teraz ludzie i specjalnie kobiety żyją w naj- lepsze. To jak się popatrzy, matka mogła żyć i żyć. Matka nasza więcej była do życia niż kto tam. Sprawiedliwą ona była kobietą ojcu. Nawet swoją potęgą przychodziła go. Była matka o włos, o kciuk może nawet od ojca większa. I może ojciec czasem cierpiat przez to i może więcej wartą była dla niego matka kobietą. Że go przechodziła o ten kciuk: musiał się wspinać i starać o ten kciuk choćby, żeby, jak chłopu trzeba, ją przejść.

Matkę, jak się zastanowić: matkę pamiętam jak ogień: nagle, nagłą pamięcią, ześrodkowaną na jednym punkcie - choć przecież matka żyła przedtem, żyła potem: ale ja ją pamiętam w ogniu właśnie - w błysku ognia, może nawet powiedzieć należy. I właśnie wielką, właśnie mocną potężną - i ogniem całkiem dosłownie objętą, przy chlebie, przy sabatniku. Matka tak wiele, tak ciągle, tak stałe pochyla się i kłęczy przed rozwartym sabatnikiem, zgarnia po-grzebaczem w głębi pieca sabatowego węgle, żeby kto mógł pomyśleć, żeśmy my mieli nie wiedzieć ile żyta, mąki i że ciągle i ciągle matce przychodziło z tej mąki piec chleba za chlebem. A bogactwo tam! Bo i gdzie się miało to żytko rodzic, na jakiej ziemi, na jakim gnoju? Ziemię to dopiero pod żyto, pod pyrki ojciec rozciągał, rozsiewał, rozplantował; ale całe życie mu na to po prawdzie zeszło, wtedy akurat, wtedy akurat, kiedy tej ziemi udało mu się zyskać trochę i poszerzyć granice naszych gruntów, wtedy już umierać mu przyszło, hitlerowcy wtedy akurat kazali mu umierać. Nie było mnie już w domu wtedy, nie mogę wiedzieć na sto, ale czy on zasiał w tej zdobytej przez siebie ziemi choć garskę żyta. Jak zasiał nawet, to nie zebrał już. Wykruszyło się tylko to zboże, co on je zasiał. A najpewniej zgarnął je kto inny. Nie ma już co się teraz pytać, kto. Ale nie pozbięrał ojciec, a z tego skrawka ziemi, co ją przyłączył do naszych gruntów, zawsze by tę parę cetnarów było. Choć i ten urodzaj nie taki bardzo pewny. Bo krowa Czarna, z którą ojciec przy tej ziemi tyle chodził, z latami nie stawała się przecież bardziej wydajna. Jak jeszcze kiedy, za pierwszej pamięci mojej, co z niej było. Zimą specjalnie, jak nie zasuszyła jeszcze i wywczasowała się w chlewie, było zawsze coś, polonik mleka, śmietany trochę. Nawet matka utrzymała czasem trochę maśta we flaszcze, albo nawet optacało się jej czasem klepać to masło w kierzonce: ale to za pierwszej mojej pamięci. Potem suszyła coraz więcej. Coraz mniej wydajna z latami stawała się ta krowa i babusie, jak pamiętam, gniewało to strasznie, w co tej krowie idzie, skrzęcała ze złością. W wymię, prawda, jej nie szło, w mleko, gorzej, że i w gnój jej nie szło. Mogła i tydzień leżeć na tej samej pościółce, a pościółka i po tygodniu sucha, nie zgnojona. I jak inni co tydzień wywłóczili z chlewa dymiące kupy porządnego gnoju, to ojciec mógł i miesiąc nie tykać widet. Nie szło nic z tej krowy, ani mleko, ani gnój. I ziemia, choć jej u nas coraz więcej, co roku choć o topatę więcej, to coraz mniej ona była gnojna. Na wiosnę pod pyrki dawało się wyskrzybać z gnojowiska ledwo jakąś tam marną furkę. Dwie, ale to już cud, żeby były takie gnoje, takie urodzaje na gnoje.

Bo wszystko szło tej naszej krowie Czarnej w siłę. Zżarta kartofle, nać, nażarta się nawet buraków czy napita wody z ospą: ani to nie szło jej w mleko ani w gnój - w siłę. Aż paskudnie było czasem, jesienią zwłaszcza, pasać takiego gżuba. Jesienią, kiedy się otwierały tąki po potrawach, gminie, można było z bydłętami iść gdzie się oczy poniosą, ojcom zejść daleko z oczu, wyczyniać, co się człowiekowi podobało. Pokazać dziewczuchom ciulika, jakby chciały, bo i dziewczuchy pasaty, jak rodzina jaka mało rodna, odebrać komu na polu pyrek, upiec, obezrec się, można też było schylić się pod krowie wymię, naszczykać sobie mleka prosto do gęby pełną gębę. Ale to krowę trzeba było pasać, a nie jakiegoś takiego gżuba, jak nasza krowa Czarna. Żarta ona, belata trawę ona, ile chciała, ale wcale jej nie nabrzmiwało wymię, trzeba było mieć może z sobą kleszcze, żeby choć wycisnąć choć kropelkę mleka z któregoś dydka. Żeby się napić, co ja musiałem się nastarać i nawyrabiać. Mogli się inni opijać mlekiem, aż im się bekało, mnie matka mogła być pewna, że nie uronię, przynajmniej z naszej, choć kropelki mleka. Żeby się napić, co ja musiałem się nastarać i nawyrabiać! Gorzej mi było za tych młodych swoich lat dostać choć bombkę mleka niż potem, za kawalerki, wychłać nawet cały liter wódki czy czego. Przypochlebić się komu. Przysłużyć się komu. Przytasić się komu. Przehandlować z kim nie wiem co. Przechytryć czyją krowę, żeby mi dała mleka, a nie kopta.

Oczy nie widzą, sercu nie żal. Cały rok jakoś się tam człowiek obywat o wodzie. Tym bardziej że przecie ojciec nasz dokopał się takiej wody, że ona prosto z ziemi, powiedział raz kościelny Cierpka i pobożył się zaraz ze strachu przed gniewem pana Jezusa, bo powiedział ten kościelny, że cieknie ona z ziemi - już święcona. Tak aż nie było może, ale żyć się dało o tej wodzie, to pewne. Była ona pożywna. Nie jak mleko. Ale była syta. Nie karmiła, syciła jednak. Nawet jak była głodny, toś się napił kwatęrkę i-s nie był już taki głodny. Nawet żeś był najedzony. To jest nie najedzony, ale tyle syty, żeś o pustym brzuchu mógł być wesół.

Choć przecież przy tym taka czysta była to woda, że myliła ona zawsze. Mógł żeś myśleć, że jest w wiadrze woda, a tam suche dno. Mógł żeś też całkiem na odwrót się mylić. Nie lustrzyła się nawet. Nie błyszczła ona nawet. Przyjrzeć się w niej nie dało. Taka przejrzysta. Taka czysta. Żywe szkło. I pokarm żywy. Nigdzie, jak życie, jak takiej wody zem nie widział. Takiego źródła. I nie ja jeden, kościelny Cierpka przecie, pobożny człowiek, tyle lat, że nie zliczyć, w kościele. Żeby to on sam. Święty jeszcze od niego świadkowie to samo mówili. Mało, brali sobie do buteleczek po kropki. I jak przychodziło się święcić wodę, od jakiegoś czasu z naszego źródła brało się w Wielki Tydzień wodę. Ale czy potrzebnie, jeżeli rację swoją miał ten kościelny?

Wodą tą w każdym razie my żyli wszyscy, którzy żywi, których wyżywił ona zdołała. Ona nas nie karmiła, nie dawała karmy, ale żywiła, w żywym zostawiała nas ona.

Ale u kraja swoich młodych lat człowiek za blisko jest jeszcze w życiu swoim matczynej pierś, żeby go nie cucit czasem rano zapach mleka.

Tak to zaś było, że nasza krowa Czarna, choć ona nie dawała mleka, to ona mlekiem jak żadna inna krowa pachniała. Nie dziw to nawet, jak się namyśli nad tym człowiek Mleka ona nie dawała, sama je chłata. Tak bystra krowa nas okradała z mleka. Szczyny nie da, krowińca nie da, sama spożyje wszystko, strawi gównno, fajno nawet... Przemęta wszystko w siłę: Toż i stąd pachniała tym wychlanym mlekiem. W porze udoju specjalnie. Budził się człowiek na zapach mleka, przez zapach mleka jak na budzik. I dziwowali się nieraz ojciecmatka: dokąd to wam tak sporo? Patrzcie się, dospać nie mogą. A to mleko nam pachniało jak na ogień. Nie dało się spać, tak pachniało ciepłym surowym mlekiem. Żadne mleko nigdy nie pachnie tak, jak pachnie surowe ciepłe, z wymienia wysrane mleko. Nie ma nad nie pachnidła. No, może jeszcze świeży, prosto z sabatnika chleb. Taki chleb pachnie inaczej niż mleko przecież, a jednak pachnie podobnie. Nie wiadomo dlaczego, czemu - pachnie podobnie. Woda, ta nasza ze studni ojca woda - ona przecież też pachnie: ale nie przypomni przecież jej zapach chleba ani nie przybliży się ten zapach do zapachu mleka. Bo woda - ta nawet nasza, święta kościelnego Cierpki woda - ta woda sama sobą tylko pachnie. Mleko to zaś co innego całkiem. Całkiem przeciwnie nawet - mleko pachnie wszystkim, wszystkim co jest dobre: może bardziej jeszcze niż chlebem pachnie żniwami. Z rana specjalnie, jak zapachnie tak bardzo; zimą, w słońcu nawet; przypomną się żniwa, dzień żniwny, o zapachu tak samo jak to mleko gorącym. I nawet - za jednym zamachem - zapachnie taki mleczny wiatr i wykopkami, pyrką, miazdżoną przez krowę w zębach: ta pyrka, ten kartofel to już zawczasu pachnie mlekiem.

Więc budziło nas ciepłe mleko rano, surowe, pachnące też jeszcze, nie dość, że mlekiem, że żniwem, wykopkami, brukwią, jeszcze też sierścią i wymieniem, cielusiem też - i leciał człowiek w te pędy, szaruga nie szaruga, mróz, leciał do chlewa, a tam mleko wypite już z dawien dawna, smak i wiatr właśnie się po nim ostał, krowa Czarna je wypita, tak, jak wychłptała szczyne, zżarta krowiniec, dziągwę teraz żuje, stoi, podkasana jak panna, a nie jak dojna krowa, czeka, aż przyjdzie ojciec, nałoży na kark jerzmicę ...

I człowieka złość i żałość nieraz brata, tupał kłkwa, grudkę, ba, kamień, żeby zdzielić to marnotrawne stworzenie takie przez teń. Gównem ją umazać świńskim, żeby nie pachniała tak na całe światy wyżłopotanym mlekiem, nie bekała gównem i dopiero co zeżartą okończynką. Marna to była pomsta, bo co: wierzącą mogła i dzielić kopytem, trącić rogiem - a nie daj Boże, żeby jeszcze zwidziało co się dzieje ojciec, jakie smary czekają cię wtedy.

Z tego wszystkiego jak kto tam za karmelka święta kawał by oddał, tak ja za cycek czyjeś krowy; niejedno bym za to zrobił i niejedno żem, przyznam, zrobił na

cał. str.6

pastwisku jesienią: niejedno skradł, niejednego pobit albo pohańbił. Moja bardzo wielka wina.

Wszystko zaś przez to, że ojciec potrzebował siły naszej krowy Czarnej, krowa słuchała go się i razem równali grunt naszej ziemi, żeby jej więcej było, żeby rośło na niej więcej żyta i pyrek dla nas wszystkich, a może jeszcze, mówił ojciec, na targ. Tak miało być, ale nie było jeszcze, całkiem przeciwnie było na razie, mleka kropelka, żyłka coraz mniej, bo rola, choć tam może i przybywała jej po trosze, coraz lichsza, bo licho gnojona ona.

A i tak matka stale przy chlebie u mnie teraz, piecze go i piecze, jakby już nie dla nas samych go piekła, ale dla światów całych, to i nic dziwnego, że nie mogła nastarczyć ani nadążyć, choć matka jak raz, każdy to przyznał, tak samo, jak uznał wodę z naszej studni, jak nikt nadawała się do pieczenia chleba.

To dla niej jak nie robota - piec chleb. Radowała się ona stale i śmiała do chleba. Do czego się zresztą ma człowiek powód tyle znowu śmiać, jak nie do bochenka chleba. Sam pan Jezus światła za chlebem nie widział. Cudy mnożył, ale najwięcej on namnożył chleba. Z całego świata chleb musiał być dla niego największy, bo i z chlebem się zjednał i przeistoczył w chleb. I dużo można myśleć, ale i tak człowiek większego losu sobie nie wymyślił nad ten: żeby z chlebem stać się jedno. Nie wiem jak teraz, nie takie to czasy już teraz. Teraz ani bluźnić nikomu tyle się nie chce, co w tamte dawne lata. Ale ile wtedy takich, co by czytali sobie za najwspanialszy los, w chleb się wtajemniczyć, z chlebem się zjednać. O, każdy, jak wieś za wsią się ciągnie, Bledzianów, Potaśnia, Strzyżew - wieś za wsią niczego nie chce ani nie dąży do czego innego: tylko żeby się z chlebem ujednać, chleba moc nie upragnąć choć w swoim życiu raz. Chłop się, na dobrą sprawę, na to urodził i za tym swoje życie goni, żeby chleba nie upragnąć. Ale czy chłopu to mogło być dane. Wcale przecież nie zdarzyło się, a jak stało się, to rzadko kiedy. Ojcu nie powiodło i nam, jego dzieciom razem z nim nie udało się.

A i tak - a może przez to właśnie - matka jawi się w mojej pamięci cała od ognia i chleba, spod sabatnika: jak bije w nią blask z głębi rozżarzonego i pełnego węgla sabatnika - a od niej, od jej oblicza, od całej jej postaci, całego ciała blask i żar bije ku wnętrzu pieca.

Ogień słuchał matki. Ona by mogła z ogniem prowadzić się pod rękę zwyczajnie. Ogień się cieszył na sam widok matki. Bywało, że przychodziło rozpalać w piecu - nie w sabatniku, pod blachą w kuchni zwyczajnie - ojcu czy tam komu: i wtedy z ognia był tylko dym, ogień, płomień zanikał, chował się, tamsił sam i dławił, nie chwytął drzazg ani łuczywek, gardził wszystkim ogniem, gasł, pełgał ledwo i dymił. Mamie tam na nic były łuczywka i drzazgi, ba, obywała się, widzę, że obyć się mogła, ona bez zapatek nawet, sama z siebie mogła zażec pod paleniskiem, rozpalić sabatnik. Kładła w nim iskrę ognia z samego kraja, na szczypce wiśniowego drzewa, na świerkowym chojarku kładła skierkę ognia, nie miało wiele czasu, a trzeba było zasuwac szybry, w sabatniku buzowało, z kominą szedł żywy ogień, żywe płaty ognia i skry, nad domem, nad kominem wysoko wisiła chorągiew ognia i mówiła ona wszystkim o chlebie, najpierw płomień ten delikatny jak najbardziej lekko przyrumieniona skórka, potem ciemniała chlebowa chorągiew, stawała się jak skórka chlebo-

wa coraz ciemniejsza, wtedy mama wygarniała węgle, cicho wszystko.

Matka pośredniczyła między chlebem a ogniem, godziła z sobą oba żywioły, bo bez tej zgody nie wynikłoby nic. Była matka istotą ogniochlebną, poskromicielką i zawiadowczynią obu żywiołów, ich nauczycielką i mitośniczką. Godziła je i sprzęgała jakoś, choć nie było to wcale łatwe zadanie - trzeba było wielkiej siły i wielkiej wiary, żeby poczęły z pieca wytaczać się, jeden za drugim, wielkie i mniejsze, kosa chleba.

Tak się szczególnie trafiało, że kiedy się piekło, trzymało się wszystko blisko chatupy albo i gniotło się w samej izbie. Nawyzywała się matka z tego powodu i nawyzywała, natłukła też jak jej kto pod rękę popadł porządnie - choć tylko dla porządku właśnie hałasowała i trzaskała tyle, mogła przecież wiedzieć, że nie odejdzie nikt. Nie, żeby głodny taki, choć kto kiedy nie był głodny u nas wtedy. Dla głodu też, ale jakby o to chodziło, to byśmy winni byli przez całe życie nie wychodzić z izby. Nie przez głód, tak jakoś się siedziało. Tak jakoś. Jak się na nabożeństwie siedzi i czasu nie szkoda, bo gra organista i. Tantum ergo śpiewa. Siedziało się tak samo nabożnie w izbie i nastawiało uszu. Kto wie, może i ze strachu kupiliśmy się wszyscy, nawet ojciec, blisko matki, bo ona gwarantowała nie sam chleb - wszystko gwarantowała wtedy sama jedna, samo życie nasze gwarantowała przed ogniem.

Bo chleb rodzi się gwałtownie i niebezpiecznie. Łatwiej i ciele się rodzi.

Aż dziw, że chleb podniesie i stanie się w takich wielkich dopiero ogniach.

Ognia też matka chlebom nie zatowała - choć każdemu, choćby był biskup, by pożałowała. Ognia dla chleba wzniciła tyle, że nawet na nasz dom za dużo, nawet jak na nasz piec za dużo. Kiedy matka rzuciła smolną drzazgę między szczepki i pokręcone drewno z pieńków, kiedy rozpałało się wszystko - zaczęła grać w całym domu muzyka z gorącą i płomienia. W sabatniku, w przewodach, w kominie poczynało ozywać się coś, brzmieć potem coraz silniej. W wielkim ogniu pękały z wielkim hukiem spojenia i wiązania popłatanych i poczępianych z sobą pieńków, z rdzenia połupanych sosen wyciekała żywica i smoła, rozplamiała się, płomienie i żar w palenisku huczały i grzmiały, pojękiwały i zaśpiewywały, grom ognia pożejniał, piskał i kwikał na wiórach i łuczywach ognień, słysząc było, jak trzeszczy i zanosi się złe w kominie. A w kominie, prawda, śpiewał też nieraz i wiatr wiat, zawsze to był zimny jak pischel wiatr i strach od niego zimny brał... Choć i teraz, kiedy wiatr ognia huczał, było, prawda, czego się strachać. Bo, prawdę mówiąc, żaden wicher nie huczał tak silnie, jak huczał chlebowy ognisty wiatr. I stękało coś i rupało, pojękiwały krokwie, trzeszczała strzecha i glina skrzypiąca na posobie i trzcina, i sypał się komuś na głowę tynk i wapno i - i myślało się czasami, że za licha ta nasza chatupka, że nie zniesie tyle huku płomieni, tyle wichrowego porывu, chwiała się wszystko i w sieni becinka z kapusta stękała, rozpęknie się za chwilę beka, chlusta na ścianę kapustnica.

I było się w izbie wtedy, i się nie gadało, nawet się nie ruszało dużo. I nawet ojciec, choć on, jaki był, każdy wie - ale i on znajdował, jak pamięć mnie nie zawodzi - znajdował zawsze jakąś zauczkę dla siebie od tego, by być też w izbie: to mu się buł zepsuł i zaczynał go szyc dratwą, to znowu coś tam, choć czy to chłopu miejsce siedzieć w izbie, a jak już żadnej takiej nie miał zauczki, i poza domem był, oglądał się raz po raz ku chatupie, choćby nie

wiem co wielkiego robił. To był jeden jedyny wypadek taki, kiedy świętował sobie ojciec czy kiedy mu się świętowało może. I on pierwszy słuchał w lęku i radości, nastawiał ucha, z błogością i niespokojnie słuchał, jak bije w niebo chlebowy ogień.

Teraz dopiero rozumiał człowieka, po co mu ucho jedno i drugie. Po to, żeby jednym uchem nastuchiwać ognia, drugim słuchać, jak w dziecze ciasto rośnie. Dzierżki kot najsilniej słuchał. Prężył grzbiet i ruszał wąsem. Ocierał się.

Wszyscy byli niepewni, matka jedna była pewna swego, sypała mąkę na stolnicę, kulata bochenki jeden za drugim, od czasu do czasu przy tym wybiegając do sieni, zaglądając w głąb sabatnika, pogrzebaczem szturchając któreś polano, zgarniając węgle, podgarniając. I jeszcze silniej grzmiał potem ogień, chrzęścił i trzaskał, jakby tam w kominie drabem pędził drabiniasty wóz, zaprzęgnięty w wielkie konie. Było czego słuchać, tomotu podków, trzeszczenia ciężkiej od ziarna słomy, stukotu żelaznych obręczy kół po dylach mostku - jechały te ciężkie wozy ze zbożem i jechały, i jakby były żniwa znowu, bo i upalnie robiło się w izbie, choć mógł listopad być, to nawet i szaruga, i żeśmy czekali wszyscy już na ten wielki ogień, wielki jak powódź, jak opadnie trochę.

I opadał z wolna, z wolna opadał ogień, w miarę, jak robiło się coraz goręcej, osiadał, jakby i jemu było coraz goręcej i niemrawiał dlatego; jakby i wszyscy w izbie w tym gorącym rozdziawiali gęby i ziajali, ojciec nawet postawił sobie na ławce, koło jermicy, w której dłubał, garnczek z wodą, łykał czasem trochę tej wody, czerwony jak burak. Maluchy w tym powietrzu ziajały i posypiały, dziaduś sapał dychawicznie, jedna matka w tym wszystkim jak ryba w wodzie.

Jak fryga; płomieniata matka przy tym cała. Ciało wybijało się jej spod kaftanów i spódnic. Nosiła - nie dała sobie dołknąć tego - bochenki w kobiałkach pod sabatnik, otwierata jak szaroga jego drzewicki; w środku węgle białe od gorączki.

Z sabatnika buchata ogniem i czystym żarem. Wszyscy uciekali i zastaniali oczy. Jedna matka śmiała się od tego białego jak południca ognia, który wystawiał pysk z sabata. Matka śmiała się i z obnażonymi rękami szła do niego. I jakby tak trzeba było, to było jasne, że wejdzie w ten ogień.

Czasami zdawało się, że nie będzie chleba. Bo jak chleb, jak nie ma mąki. W całej gospodarce nie było. U kogo tam może jeszcze, u wielkiego gospodarza nawet nie otraskany snopek w sąsięku, gdzie tam u nas. Nam od samej Wielkiej Nocy przychodziło obchodzić się smakiem, nie chlebem.

Chyba żeby kto umarł, ale to kto porządnym. Wtedy kopidotowi mogła się trafić garstka żyta na zapłatę. Ale bywały takie lata, że najgorsze dziady nie marły, choć im przychodziło żyć czystym powietrzem i niekraszonym żurem bez zaklepek. Był niepeć wtedy. Od pół tymczasem dmuchał wiatr zapach słomy i gorących plew coraz silniej. Matka z pola, od kamieni przychodziła w południe i nawet do izby nie szła. Siadała pod izbą i siedziała z założonymi rękami, aż słońce przesunie się na niebie trochę i z powrotem będzie mogła iść do ojca, do kamieni. /Bo ojciec latem nawet w samo południe nie odchodził od kamieni i piasku; odsyłał do dom tylko matkę i krowę Czarnej/.

Matka jednej chwili zrywała się. Szła do studni. Nalewała wody do koryta. Myła ręce po łokcie wysoko. W samej wodzie

najpierw, potem w piasku. Kiedy się to widać, jak śruple i wyciera ręce w miążskim żwirze, aż chrzęszczą stawy i paznokcie, to można było wiedzieć już, że będzie coś, stanie się coś. Chleb się stanie.

To mógł być jeno chleb z głodnej izby.

Bo mąki na ten chleb nie było. Ledwo poskrzybki na dnie dzieżki, rozkurz z mieszków, w których kiedyś mąka była, ospa, wygarnięta spomiędzy kamieni dawno nie tykanych żaren. Z poskrzybków, z rozkurzu też miał być ten głodny chleb: ale ile tego dobra było, tej poskrzybanej i porozkurzanej kiedyś mąki. Garstka, mała kupka na dnie dzieżki. Kukielkę chleba by się z tego upiekło, lepioszkę. A matka chciała upiec całą piec chleba.

Nie szła już od południa do kamieni. Chodziła koło dzieżki. Rzuciła do niej garść utłuczonych na proch kartofli. Natargata młodej pokrzywy, posiekata, rzuciła do ciasta. Utłukła i w żarnach zmeła na proch świeżego perzu. Czego jeszcze i czego tam jeszcze. Wszystko matka robiła dla chleba tego.

Różni ludzie różnie próbowali dochozić do chleba. Wszyscy próbowali oszukać chleb. Czym nie próbowali oszukać chleba. I trocinami, i korą drzewa, i gliną, i burakami, i rzodkwią, i Bóg sam wie, czym jeszcze. I nie dobijali się chleba. Zakalca jakiego najwyżej, jakiego gniececiucha.

Matka nasza nie robiła nigdy tak, nie robiła oszustw. Uczciwie karmiła chleb, czym tylko miała. Zjedz to, chlebie, mówiła przy tym. Przetknij to, chlebie. Upaś się,

Erazm W. Felcyn „Ucieczka” (2019)

utucz się tym, chlebie. Pożywna i stodka jest perzowa mączka, rośnij na tym, chlebie. Ta kartoflane mączka drobno utłuczona, delikatna, posil się tym, chlebie. Na, masz teraz garstkę mąki z mlecznego ziarna, świeżo zmielonego, ciepłego jeszcze, ogrzej się nim, chlebie. Chleb czarując, ugłaskując, przemawiając do niego gładkim i słodkim słowem, wypraszała sobie matka jego łaski. Karmił się, żywił się chleb tym, co mu podtykała matka, i rósł, choćby rosnąc mu przychodziło na samej wodzie, pokrzywach i jednym ziarku żyta.

Póki było w mieszk w komorze ziarno choć jedno, piekła nam matka głodny nasz chleb.

Po tej robocie była zmęczona. Jakby przewaliła górę. A to tylko chleb upiekła. Ale to nie od roboty przecie była utrudzona, ale od starania i chodzenia, gładzania, błagania, zaklinania tego chleba, podnoszenia tego chleba, chuchania na ten chleb, kołysanie tego chleba w dzieży, piastowaniem tego chleba na rękach niczym chorego z głodu dziecka.

Bo to nie my sami byliśmy głodni. To chleb ten pierwiej był głodny. To jego nie miała matka czym nakarmić. A z chlebem, się wie, z chlebem gorzej niż z człowiekiem. Człowiek, niech no głodny. Wszystko zje, niech i chrabąszcza. Niech i zielony listek szczawiu, świeżo wykwitły pączek sosny. Choć i ze ściany wygrzebie garstkę wapnia, gliny, napełni brzuch.

A chleb przecie nie taki, przebierny. I pański ma żołądek. Najlepiej daj mu pszennej bułczanki. A jak żytniej, to osypki

z samego czubka. Plewą już się zakrzusi. Łupiną kartofla, choćby i ugotowaną nie wiem jak dobrze, będzie się dławził. Bura-kiem, choćby nie wiem jak dobrze przeżutym, będzie się brzydził.

I matka karmiła go niczym niemowlątko, z tyżeczki, ze szmatki, po odrobince. Kropelkę mleka, jak jeno było, dała posać. Kapkę kwaśnego mleka na lepsze trawienie. Lelkała się z tym chlebem, byle ino chciał trawić i rosnąć. I chleb w dzieżece rósł jak cud. Sapał już i gęgał jak małe gąsiątko. Posykiwał, chciał jadał jeszcze i jeszcze.

Matka brata z dzieżki kęs ciasta za kęsem, wysadzała je na stolnicę. I bawiła się z każdym niczym cierpliwie i grzecznie, turlała, kulała, przewracała: aż każdy bochenek był okrągłutki, puszysty, tłusty i marzył tylko o jednym, żeby się wygrzać, wywczasować w gorącu, wytoczyć się potem z sabatnika rumiany, wywczasowany i pachnący.

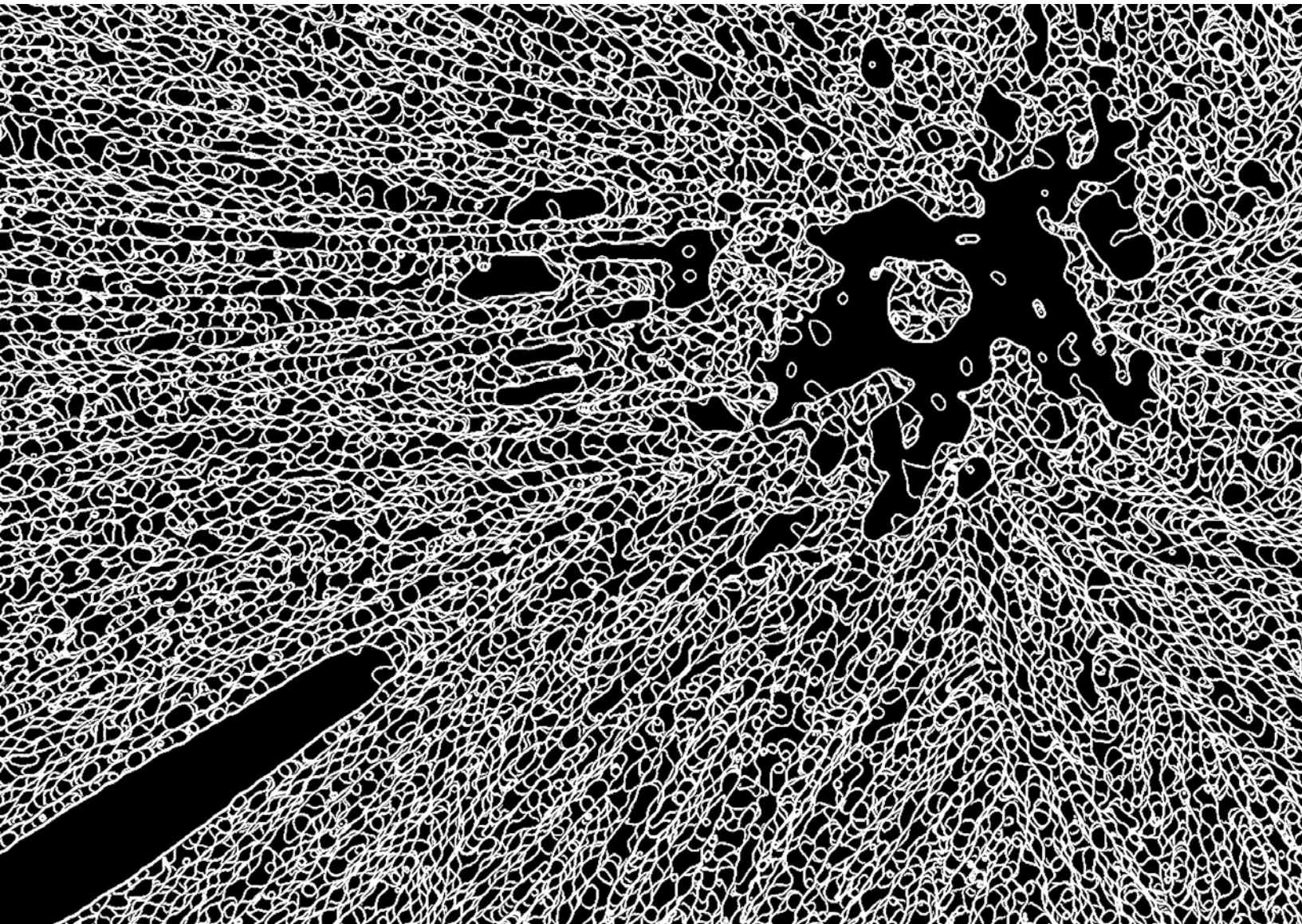
Był głodny nasz chleb. Tyle, że matka ręce sobie przy nim urobiła. I wytraciła się cała dla tego głodnego naszego chleba. I tydzień potem nie miała siły, bo ją spożytkowała na wychowanie naszego chleba.

Za chlebem dla nas szła matka w ogień. Póki było jeszcze ostatnie ziarno w skrzyni, matka piekła nam na nim chleb i wydzierała go ogniom z sabata.

I prawie do końca, prawie do żniwa, jak nigdzie, był u nas chleb.

**Wyimek z odnalezionego rękopisu powieści „Bylica Piolun” z 1981 roku.*

MARIAN PILOT



ks. Jan Sochoń

BEZCIELESNY SENS

1.

Patrzę na dookolny świat i na wszystko, czego doświadczam w codzienności życia z perspektywy przygodności. Termin ten odnosi do zasobów językowych budujących podstawy realistycznej metafizyki i antropologii, której od lat jestem wierny. Rozumiem przecież, że nikt z nas, ludzi, nie może powiedzieć, że jest ostateczną miarą tego, co istnieje, że jest w stanie całkowicie przewyciężyć nasuwające się niedogodności życia. Wie, że istnieje, ale nie jest samym istnieniem. Wystarczy nieco mocniejszy i groźniejszy powiew wiatru, by uświadomić sobie kruchość własnej obecności na tej ziemi, przyjąc, że śmierć przerywa każdą formę trwania, że bytujemy tutaj, by dojrzać do nieuchronnego końca.

Ale tak właśnie być musi. Trzeba się zgodzić na ludzki charakter zamieszkiwania w doczesnych krajobrazach i nie wyobrażać sobie, że Bóg miał na celu powołanie do istnienia człowieka, który byłby bytem „gotowym”, to znaczy w pełni ukształtowanym pod względem emocjonalnym, moralnym i duchowym i mieszkałby poniekąd w złotej klatce jak w trwałym hedonistycznym raju. Tymczasem stworzony przez Niego świat okazał się pełen wyzwań i niebezpieczeństw¹. Nie rozporządzamy wszak kosmicznymi gestami, lecz tylko takimi, które są determinowane przez ograniczenia wynikające z uwikłania naszego ducha w proch materii. Jesteśmy swoistymi zwierzętami (zoon logikon), dysponującymi świadomością osobistej wyjątkowości, ale i przyziemności, których Bóg obdarzył wolnością i godnością, włączył w krąg transcendentnego światła, zaprosił do współpracy z samym sobą. I wreszcie – jak wierzymy – poprzez zbawczą śmierć Chrystusa wyprowadził z doliny grzechu i śmierci, otwierając bramę prowadzącą do wieczności.

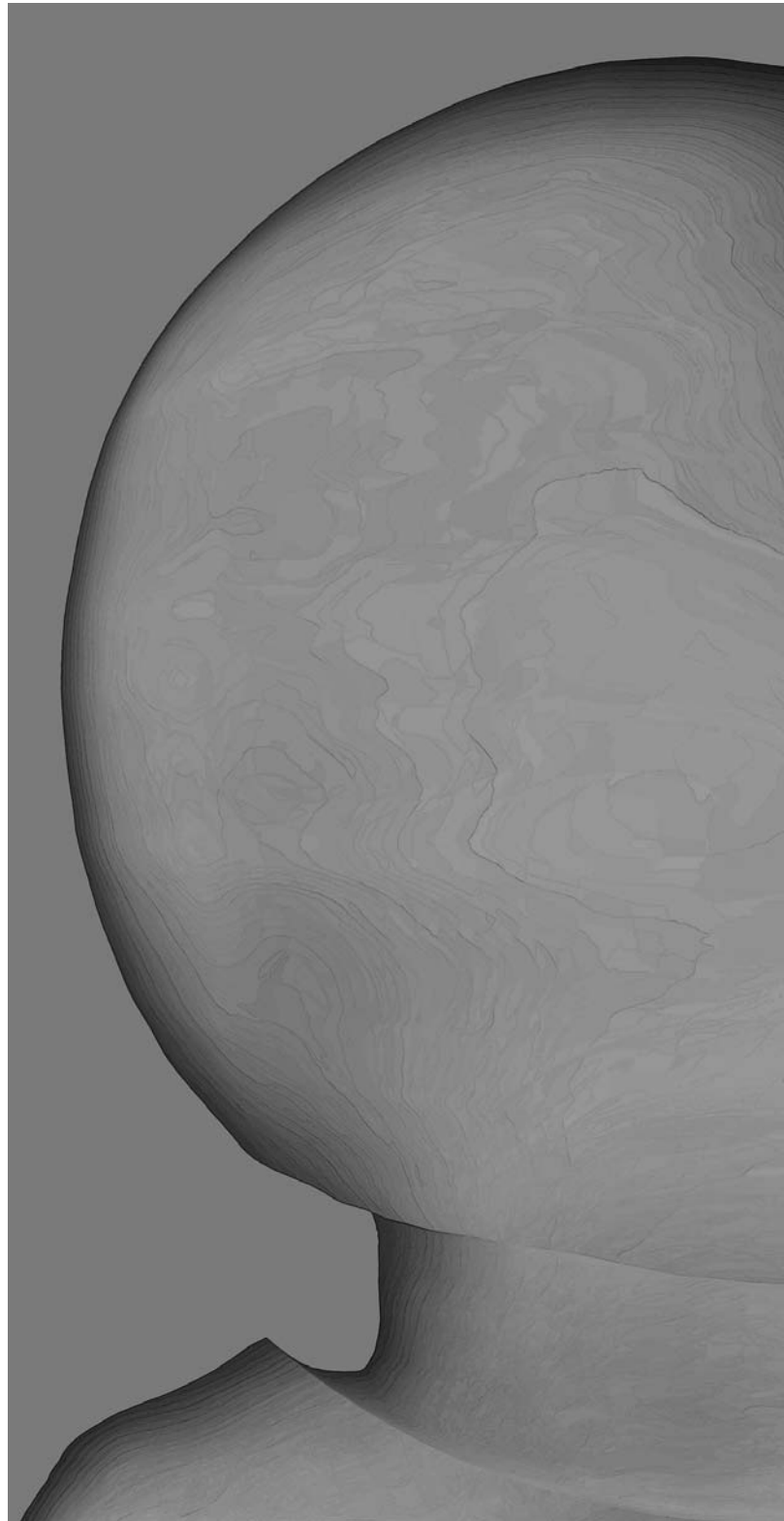
Pisząc w ten sposób, od razu przyznaję się do dwóch zasadniczych przeświadczeń, określających mój styl życia i pisanía. Mianowicie, do akceptacji chrześcijańskiego światopoglądu oraz klasycznej koncepcji filozofii, obramowanej między innymi dokonaniami Sokratesa, Platona, Arystotelesa, św. Tomasza z Akwinu, Étienne Gilsona, Stefana Świeżawskiego i Mieczysława A. Krąpca. Nie znaczy to, że pozostaję głuchy na inne filozoficzne głosy, promujące odrębne od powyższych wzorce metafizycznych rozstrzygnięć. Staram się wszak czerpać z wielu intelektualnych źródeł, nie wyłączając takich propozycji, z którymi się zupełnie nie zgadzam. Wiele bowiem dróg prowadzi do punktu, gdzie odstaniają się najróżniejsze aspekty prawdy, żaden też człowiek nie powinien uważać się za kogoś bezwzględnie doskonałego, pozbawionego ułomności i poznawczej niepewności.

Przyjmuję więc konieczność uznania pluralistycznego pojmowania kultury, gdzie odmienne poglądy, antynomie, a nawet sprzeczności tkają jej autentyczne warstwy. Odrzucam wszelkie sugestie zachęcające ludzi Kościoła do budowania zamkniętej w sobie „kultury kościelnej”. Opowiadam się natomiast za takimi postawami, których zwolennicy podkreślają, że Kościół ma być obecny wśród ludzi na zasadzie ewangelicznego zaczynu, powinien tworzyć podstawy zawsze możliwego dialogu i porozumienia między poszczególnymi osobami, jak i całym społeczeństwami czy narodami. Jakakol-

wiek forma bycia przybierająca charakter wykluczający, stanowi ogromne zagrożenie i musi być stale napiętnowana. Trwanie przy swoich pryncypiach nie oznacza przecież lekceważenia tego, co się z nimi nie pokrywa. Ale też znamionuje pewną stanowczość światopoglądową, która nie powinna się rozmywać w „otwartości” kultury współczesnej, dopuszczającej wszelkie możliwe sposoby impresyjnego i subiektywnego myślenia.

W moim przypadku wspomniana kategoryczność uwidoczniła się w następującej tezie: jeżeli zwolennicy jakiejś wersji filozofii istotnie nie uznają obiektywnej rzeczywistości świata, mogą mnie interesować tylko jako twórcy pewien wycinek historii filozofii, a ponieważ ich poglądy nie są zgodne z katolicyzmem, nie wchodzą w skalę mego rozumienia rzeczywistości. Zaprezentowane stwierdzenie opiera się na fakcie, że Bóg, choć jest niewidzialną istotą, ma naturę duchową, poprzez swoje czyny-znaki ujawnia to, kim jest. Wypowiadając się bardziej precyzyjnie: Druga Osoba Trójcy, prawdziwy Bóg, stał się człowiekiem w tym świecie w konkretnym miejscu i czasie. To – przyznaję – bolesne uderzenie w naszą dumną świadomość. Poszukujemy wszak Boga, wypatrując kogoś wszechpotężnego, na wzór pogańskich wyobrażeń. Popatrzmy na zachowania uczniów Jezusa, a więc tych, którzy naocznie rozeznali, kim jest i ku czemu zmierza. A jednak nie potrafili przewyciężyć ciśnienia płynącego z tradycji religijnych, obyczaju, oczekiwań politycznych. Bóg nie może cierpieć, nie może unieść się przed człowiekiem, po prostu musi być Bogiem „potężnych zastępów”, twierdzili z narastającym niepokojem. Musi dokonać rewolucji, przynieść nam i wszystkim Żydom, oczekiwany gospodarczy i społeczno-kulturowy cud.

Ale Bóg nie daje się wciągnąć w ziemskie intrygi, o wyraźnie szatańskim wymiarze. Podąża drogą, która zaprowadzi Go



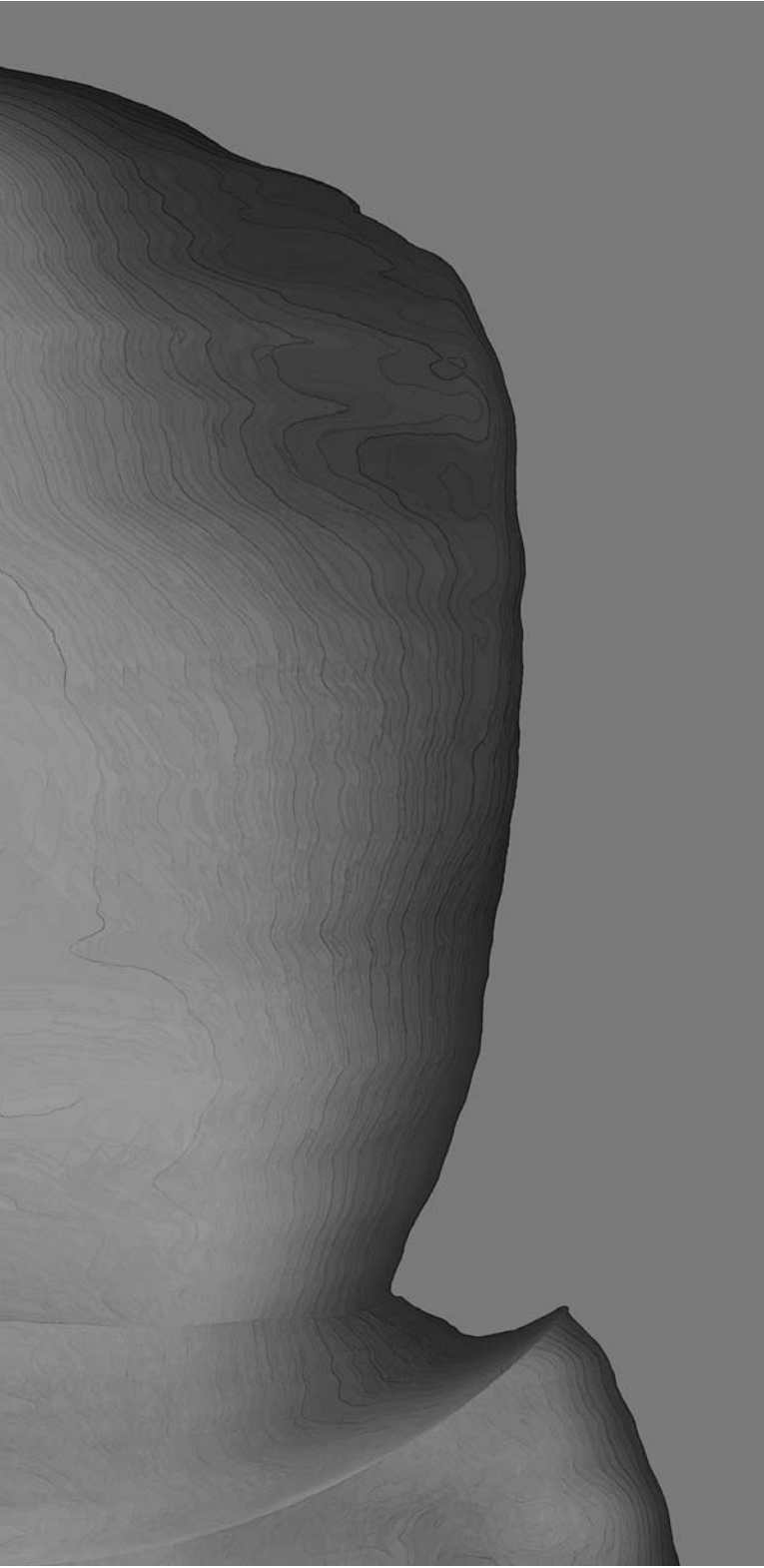
Erazm W. Felcyn z kolekcji „Fantasmagorie” (2017)

wprost na Golgotę. Wie przecież, że miłość oznakowana egoizmem nie może być autentyczną miłością. A Bóg jest Miłością, jest zatem pokorny, ubogi, peryferyjny. Oczywiście, w ten sposób nie pozbawiamy Boga rysu „Wszechmocności”, do którego odnosimy się w naszym chrześcijańskim

Credo. Pojmujemy tylko, że w tym nazewnictwie nie chodzi o zdolność do czynienia wszystkiego, czego się zapragnie. Wskazany termin wskazuje na aktualizację owej zdolności w perspektywie królewskiej władzy, majestatu, autorytetu, transcendencji i Opatrzności, która nieustannie „trzyma” całą wszechświat.

2.

Napotykam tutaj na trudności. Najpierw



więc sam siebie przestrzegam, żeby przydając Bogu pokory nie popadać w podwójną skrajność, to znaczy, nie dostrzegać w Nim chłodnego egoisty, wiecznie intrygującego się samym sobą, ani – tym bardziej – wyobrażać Go sobie jako kogoś wstydliwie ukrywającego się przed ludźmi, nieśmiało-

go, przesadnie uniżonego. Taki obraz Boga pozostaje zwykłym urojeniem. Przestrzenią, w której rzeczywiście stykamy się z Bogiem jest miłość, a Bóg dąży do spotkania z nami poprzez Wcielenie, w Chrystusie stanowiąc z nami jedno. Dzięki temu Bóg włącza się w ubóstwo człowieka. Oznacza to, że choć nie zostają naruszone ontologiczne więzi Boga ze stworzeniem, to jednak sam fakt Wcielenia należy rozpatrywać przede wszystkim w wymiarze duchowym, w porządku miłości, przechodząc od pojęcia Boga Wszechmogącego do pojęcia Boga uwielbianego jako miłość. On wszakże kocha miłością pozbawioną splendoru wynikającego z boskości.

Wystarczy przyjrzeć się reakcjom Jezusa, który lituje się, wzrusza na widok cierpiącego człowieka, współłotociwy z nim, współbolejący, aż do granic wyobrażenia. W głębi miłości możliwe jest jednak wszystko, nawet i to, że w Bogu cierpienie staje się źródłem miłości. Cierpienie i upokorzenie znajdują uzasadnienie w osobistym wyborze Chrystusa. I nawet u św. Jana, który podkreśla majestąt wiecznego Słowa, znajdujemy wyraźny akcent położony na kenozę Chrystusa (J 13, 27-30). Chciał On bowiem – wyrażając swoim działaniem najgłębiej tajemnicę miłości – wraz z człowiekiem przejść drogę cierpiącego Sługi Jahwe. Wcielenie otwiera zupełnie niespodziewane perspektywy przed człowiekiem. Uświadamia mu jego godność, niezbywalne związanie ze Stwórcą, wpisuje w jego krwioobieg nadzieję na życie wyzbyte ościenia grzechu. I co najbardziej zdumiewające i umacniające, skracając dystans pomiędzy porządkiem transcendentnym a ziemską przygodnością, sytuując człowieka bezpośrednio w polu oddziaływania Boga. Dobrowolne wejście Chrystusa w uniżoność i całkowitą pokorę (dla nas tylko do wyobrażenia) sprawiło, że zyskałmy punkt orientacyjny na naszej życiowej drodze. Już wiemy, że Bóg, choć w istocie niepojęty, chce być z nami w sposób bez reszty wyrazisty, wkomponowany w nasz krajobraz, nieodróżnialny od naszej nędzy i biedy.

Ujawnia, że świat jest „terenem odkupienia”, gdzie rozstrzygają się ludzkie losy. Gdybyśmy zatem nie mieli gwarancji, że świat istnieje albo że nasz umysł może pozostać do niego w spójnej relacji, nie zyskamy pewności, że Chrystus zamieszkał

wśród nas. I w ten sposób wszystko stałoby się przypuszczeniem i iluzją?

Tym bardziej, że treści naszego każdodziennego doświadczenia, powinniśmy dać sobie powieść, ponieważ dysponujemy czymś zgoła wyjątkowym, to znaczy naturalną zdolnością do mówienia i językowego zapisywania najbardziej wewnętrznych przeżyć. Oczywiście, rzeczywistość w której żyjemy jest niestychanie bogata i nigdy nie daje się zamknąć w słowie³ – proces poznania ma profil bez przerwy rozszerzającej się przestrzeni nieskończonego poznawalnej – mimo to dzięki językowi jesteśmy prawdziwie ludźmi i potrafimy oswajając rzeczywistość, postrzegać ją w określony sposób, odpowiadając na pytania, do jakich nas nieustannie zmusza.

3.

Musimy przeto uzmysłowić sobie, czym jest w ogóle język? To powstały drogą normalnego rozwoju, system, czyli uporządkowany zbiór, konwencjonalnych znaków, które tworzymy o rzeczywistości, służący do porozumiewania się wewnątrz danych społeczności. Gdy widzimy krzesło czy dom – spontanicznie poznajemy owe rzeczy, przy czym jestem niejako zmuszony utworzyć o nich pewien znak, czyli zinterioryzować poznana rzeczywistość, by następnie móc zdobytą w ten sposób wiedzę przekazywać innym ludziom. Powiniennem nadto wystrzegać się fatalnego błędu (popetnianego przez wielu filozofów od czasów greckiej starożytności), by nie mieszać przedmiotu poznania z samym językiem, w którym projektujemy znaki i poprzez który komunikujemy się z innymi osobami. Jakie to są znaki?

Najpierw: z n a k i n a t u r a l n e. Gdy patrzę na człowieka, na butelkę wina albo na psa funduję sobie o nich znaki, w pierwszej poznawczej chwili nierozpoznawalne. Poznają jednak psa, butelkę wina, a nie sam znak. Będzie on poznany wówczas, gdy podejmuję nad nim namysł. Znak bowiem nie zatrzymuje na sobie uwagi (jest transparentny), od razu kieruje na rzecz poznana. Dlatego – powtarzam – znaki są w spontanicznym spostrzeżeniu niedostrzegalne. Dopiero w poznaniu refleksyjnym one się „zauważają”. Gdy natomiast chcemy komuś drugiemu przekazać nasze treści poznawcze, konstruujemy wówczas z n a k i u m o w n e, konwencjonalne, opierające się na ustaleniach dokonywanych przez uczestników pewnej wspólnoty komunikatywnej. Chcąc właściwie odbierać treści tych znaków, musimy owe ustalenia obowiązkowo poznać. Tymczasem filozofia, w określonym przez kartezjanizm nurcie, zamknęła się w ludzkiej świadomości – miejscu kreowania znaków i popadła w doprawdy niebezpieczne ograniczenie⁴. Żeby go uniknąć, należy bezwzględnie uznać poznawczy kontakt przedznakowy z rzeczywistością, w którym afirmujemy samo istnienie rzeczy.

Trzeba też pamiętać, że na okazałość i moc języka składają się: strona s y n t a k t y c z n a, s e m a n t y c z n a i p r a g m a t y c z n a. Pierwsza wiąże się z budową języka. W naszym kręgu kulturowym posługujemy się systemem języka indoeuropejskiego, podmiotowo-orzecznikowego, który najlepiej służy w procesie uwewnętrzniania rzeczywistości, w rozpoznaniu tego, co jest podmiotem, a co jego właściwością. Dlatego strukturalistyczne podejście sugerujące, że ludzkie poznanie jest tylko i wyłącznie działaniem na języku, że nie ma podmiotowości, że gramatyka stanowi podstawę rozumienia – nie zasługuje na szczególniejszą uwagę. Natomiast bez drugiej strony języka,

strony semantycznej nie byłoby też i tej syntaktycznej. One wzajemnie się uzupełniają. Nie powstałby żaden słownik, gdybyśmy nie dysponowali semantyczną stroną języka, odsytającą odbiorcę do jakichś zjawisk otaczającego świata.

Wreszcie pragmatyczna strona języka wiąże się ze sposobem, w jaki się go używa. Przywołajmy greckich sofistów, którzy pragmatyczny wymiar języka uznawali za węzłowy. Byli przekonani, że ateńską młodzież trzeba nauczyć używania języka, tak jak uczy się szewka robienia butów. Pojawiło się tu wszak niebezpieczeństwo, że przez odpowiednie manipulacje słowne będzie można tworzyć nowe sensory rzeczywistości, fakty prasowe, jak współcześnie określamy. Tymczasem sensory językowe są nam po prostu dane. Tę pełnię statych sensów językowych przejął od Sokratesa Platon i ją natychmiast zabsolutyzował. Odtąd filozofia stała się semiologią, zwracając człowieka przede wszystkim ku treściom danym w poznaniu noetycznym, sugerując możliwość osiągnięcia stanów czystego, duchowego bycia w „niebie idei”.

Natomiast Arystoteles i św. Tomasz z Akwinu nie wyolbrzymiali żadnej ze stron (syntaktycznej, semantycznej i pragmatycznej) języka, lecz wiązali je integralnie ze sobą. Przestrzegali, że docieramy do rzeczywistości poznanej przez spontaniczne tworzone znaki językowe, a nie przez treść i sens samych tych znaków. Trzeba byłoby sobie uświadomić tę bardzo ważną sprawę. Najłatwiej nam bowiem wyrażać się jednoznacznie, postępując się wyrażeniami, dla których wspólna jest nie tylko nazwa, ale i sens znaczący tą nazwą, realizowany jednoznacznie we wszystkich podmiotach orzekania⁵.

4.

Na ogół jednak mamy do czynienia z rzeczywistością jednostkową, nazywaną w języku analogicznym, a więc taką, która wyraża się w pewnych proporcjach, relacjach, gdyż jest w sobie zdefiniowana, jako tożsama i zarazem zmienna w różnych aspektach. Wskazuje na to powszednie doświadczenie. Nie spotykamy dwóch ludzi identycznych; są byty niejednolite, dające się poznać, gdyż zachowując przynależne sobie odmienności pozostają jakoś tożsame. Mówimy *skrzydła ptaka i skrzydła samolotu* rozpoznając, że te nazwy zawierają w sobie obszary treściowe wspólne i różne zarazem. To właśnie stanowi o analogiczności językowej. Gdybyśmy o czymkolwiek i kimkolwiek wyrażali się w sposób jednoznaczny, wówczas nasze widzenie stałoby się niezgodne z faktycznym stanem rzeczy, byłoby krzywdzące, oddalające od prawdy. Dlatego „sprawa języka” powinna wciąż leżeć nam na sercu.

Szkoda więc, że obecnie stykam się z czymś, co nazwałbym fetyszyczą języka. Z jednej strony bowiem czyni się z niego „osobny świat”, w którym i dzięki któremu kształtujemy rozumienie samych siebie i rzeczywistości społecznej i poza który nie jesteśmy w stanie wykroczyć (bo to przecież język panuje nam nami, żyjemy wewnątrz niego), z drugiej zaś – akceptując tezę o niemożliwości niezapośredniczonego kontaktu z realnym światem – traktujemy język w sposób dowolny, czyniąc zeń semantyczną magmę, z którą można robić co się tylko chce. Tym bardziej że już chyba bezpowrotnie straciłmy szansę, jakie niósł łacina, zastępowana obecnie przez wciskającą się w każdy zaułek życia angielszczyznę. Gorsze wydaje się jednak to, że zaczynamy boleśnie odczuwać nieobecność podłoża duchowego łączącego społeczeństwo o różnej dramaturgii kulturowej.

Zmiana tej sytuacji zależy od wielu czynników, pośród których właściwe podejście do języka odgrywa niebagatelną rolę. Ciesząc

się przeto z możliwości, jakie on daje, nie oczekujemy, że kiedykolwiek nadejdą czasy języka uniwersalnego, doskonałego⁶, przedtem nie tracimy kontaktu z dotykalną rzeczywistością, bo to ona, nie zaś sam język, pozostaje, wraz ze światem kultury, naszym naturalnym środowiskiem. Zbudowaliśmy oto wielobarwny gmach nauk humanistycznych i przyrodniczych, wzbogacamy się wartościami, jakie niósł i nadal niesłabnie zdobył ludzki cywilizacji, lecz pamiętajmy, że jakaś część naszych egzystencjalnych doświadczeń nie podlega dyskursywnemu opisowi. Cała sfera poezji na przykład opiera się na sugerowaniu. Poeta nie po to pisze, by być przede wszystkim zrozumianym. To, co proponuje może mieć jakiś sens; ale kto sądzi, że rozgrzył jego poezję, bo ten sens uchwycił, myli się w tej samej mierze, co ten, kto mniema, że jej nie rozumie, bo tego sensu nie pojął. Słownikowe użycie słów służące przekazywaniu informacji jest z gruntu obce w stosunku do celu, do którego zmierza poeta. Tworzy on własną krainę czystych znaczeń, w której słowo jest samo dla siebie celem i w której „rzeczywiste rzeczy” są usprawiedliwione tylko poetycko⁷. Dlatego poetyckie widzenie świata pozostaje ważne, choć ani w przeszłości, ani współcześnie nie zyskało – poza wyjątkami – wielkiej popularności.

5.

Niech to nas jednak nie smuci. Warto martwić się raczej moralnym stanem naszej teraźniejszości, w której zanikają nie tylko znaki religii chrześcijańskiej, przy równoczesnym wzroście znaczenia islamu, błędnie potrzeba odwoływania się do tradycji, ale, o grozo, ulegają zawieszeniu najprostsze relacje międzypersonalne, pozbawione pragmatyzmu i chęci panowania. Podziały polityczne urastają do rangi niedających się umniejszać, a idee państw ojczyźnianych zdają się pękać pod wpływem europejskich dążeń zjednoczeniowych. Termin „Europejczyk” powoli zastępuje określenie „Polak” czy „Francuz”. Z tej racji należy wciążyć doprecyzowywać, do jakich wartości i obyczajów, do jakich matryc duchowych ma odnosić pojęcie Europy, chcąc się stanowić przynajmniej formalnie geopolityczny monolit? Moim zdaniem, intuicje dotyczące powyższej kwestii, zgłoszone swego czasu przez Jana Pawła II, warte są obecnie ponownego i zarazem odpowiedzialnego namuszenia.

W swoich książkach najwięcej uwagi poświęcam pewnym zagadnieniom, w ostatnich latach bardzo mnie intrygujących, spiętym w edytorską całość czterema kręgami tematycznymi tworzonymi przez filozofię, teologię, literaturę i sztukę. W przywołanych wszakże dziedzinach porusza się mój umysł, oprómiomieniony nadzieją, że myślenie, poznanie oraz kontemplacja przyniosą największą z możliwych radości, a obcowanie z arcydziełami literatury i sztuki uwrażliwia na najbardziej tajemnicze i niewyraźne stany życia w ogóle, jak i zagadki losu, dając przy tym niebywałą przyjemność i estetyczne zadowolenie.

Stąd kupiam się na problemach ściśle filozoficznych, przekonując, że pytania stawiane przez wielu myślicieli w przeszłości, wcale nie straciły na znaczeniu i wprost domagają się, żebyśmy się z nimi zmierzili. Jako że na fundamentalne trudności, zwłaszcza te o egzystencjalnym zabarwieniu, powinniśmy reagować z bagażem indywidualnych doświadczeń i przemyśleń. Rozumienia świata nie otrzymujemy dzięki dziedzictwu rodzicielskich genów, lecz w ramach kulturowego przekazu. Dobijamy się doń włączając się w trwającą od wieków debatę, wypowiadając swoje „za lub przeciw”, ukazując racje osobistych wyborów i objaśniając rzeczywisto-

ści. Ucząc się od innych, głębiej poznajemy samych siebie, umacniamy własną tożsamość oraz kulturowe więzy wewnątrz wspólnot, pośród których funkcjonujemy.

Filozofia daje poczucie uczestnictwa w historycznie różnorodnym i wielowymiarowym spektaklu, jakim wydają się być próby wyjaśnienia świata i człowieka, lecz najbardziej interesujący jej model wiąże się, w moim ujęciu, z postawą realistyczną, głosem zdrowego rozsądku i uwzględnianiem w pierwszym rzędzie tego, co się nam narzuca ze strony otaczającej rzeczywistości⁸. Im bardziej myśl filozoficzna do niej zbliża, tym bardziej godną jest zyciowego przyjęcia. Nie może przeto dziwić, że specjalną estymą darzą twórcze dokonania św. Tomasza z Akwinu i jego autentycznych następców.

Podobną postawę, rzeczową i szczerą, prezentują wobec literatury i sztuki. Czytam utwory wielu pisarzy i poetów, oglądam rzeźby i obrazy oczekując, że wprowadzą mnie one w aurę szczególnego wzruszenia, niemal aż do łez, że świat przez nie prezentowany, lub tylko sugerowany, zespoli się z moim światem, czyniąc mnie samego człowiekiem pełniej rozumiejącym, duchowo bogatszym, kto wie, może, w jakimś sensie, szczęśliwszym. Literatura i sztuka ma przedziwną i nieco tajemną moc odstania tych obszarów, które kryją się pod powierzchnią czy skórą rzeczywistości, wyprowadza mnie (i zapewne nie tylko mnie) z jaskini złudzeń, z metaforycznych łańcuchów, którymi przykułem się do samego siebie i wygodnego obrazu życia, jaki z lubością ustawicznie fabrykuję. I co najbardziej zdumiewające: czyni ze mnie kogoś otwartego na różne sposoby radzenia sobie ze światem, przynosząc takie chwile lektury, w których „moje ciało rusza w ślad za własnymi myślami – bo moje ciało nie ma tych samych myśli, co ja”⁹.

Wreszcie w sprzyjających warunkach wszelaka sztuka, nie wyłączając literatury, stanowi tzw. miejsce teologiczne. Podprowadza pod próg konfesyjnych doznań. Nie zastępuje co prawda modlitwy, ani uczestnictwa w kościelnej liturgii, nie ukazuje piękna, które mogłoby przynosić zbawienie (Bóg w Chrystusie daje wieczną radość), ale potrafi tak głęboko przenikać do ludzkiej świadomości, nakierowywać ją na ukryte gesty Bożej obecności, wyzwalać poczucie duchowej harmonii i estetycznego ładu, że uczciwie możemy włączać ją w porządek przynależny teologicznemu widzeniu rzeczy.

6.

Oczywiście, mam świadomość granic wypowiedzi artystycznej. Po pierwsze dlatego, że wolność artysty nie ma boskich wymiarów, jako ludzka, determinowana przez najróżniejsze czynniki, a po drugie, żyję w świetle Ewangelii i Bożych przykazań. One mnie swoiście ograniczają, ale ku wolności. Ponieważ poza wiarą w realne owoce zbawczego czynu Chrystusa, nie widzę żadnej innej drogi prowadzącej ku szczęściu. Właśnie ten fakt buduje granicę moich, zwłaszcza literackich, wypowiedzi. Nie piszę tekstów, które by prowadziły i mnie i odbiorców do wewnętrznego niepokoju, rozdarcia czy żalu albo niósłoby przesłanie obrazoburcze, zabarwione negatywnością bądź skrajnym pesymizmem. Pisarstwo powinno prowadzić raczej do scalania rozszepującego się lustra życia, do tworzenia ładu w najszerzym sensie tego słowa. Co oczywiście nie znaczy, że nie pokazuję ciemnych stron doświadczenia życiowego. Sztuka wszak, jak już wspomniałem, nie może zastępować doświadczenia religijnego, modlitwy, szerzej, liturgii. Natomiast jest w stanie sugerować odbiorcy taki obraz świata, doprowadzać do tego rodzaju

przeżyć, że będzie się on kierował w stronę sekretów pojętych konfesyjnie.

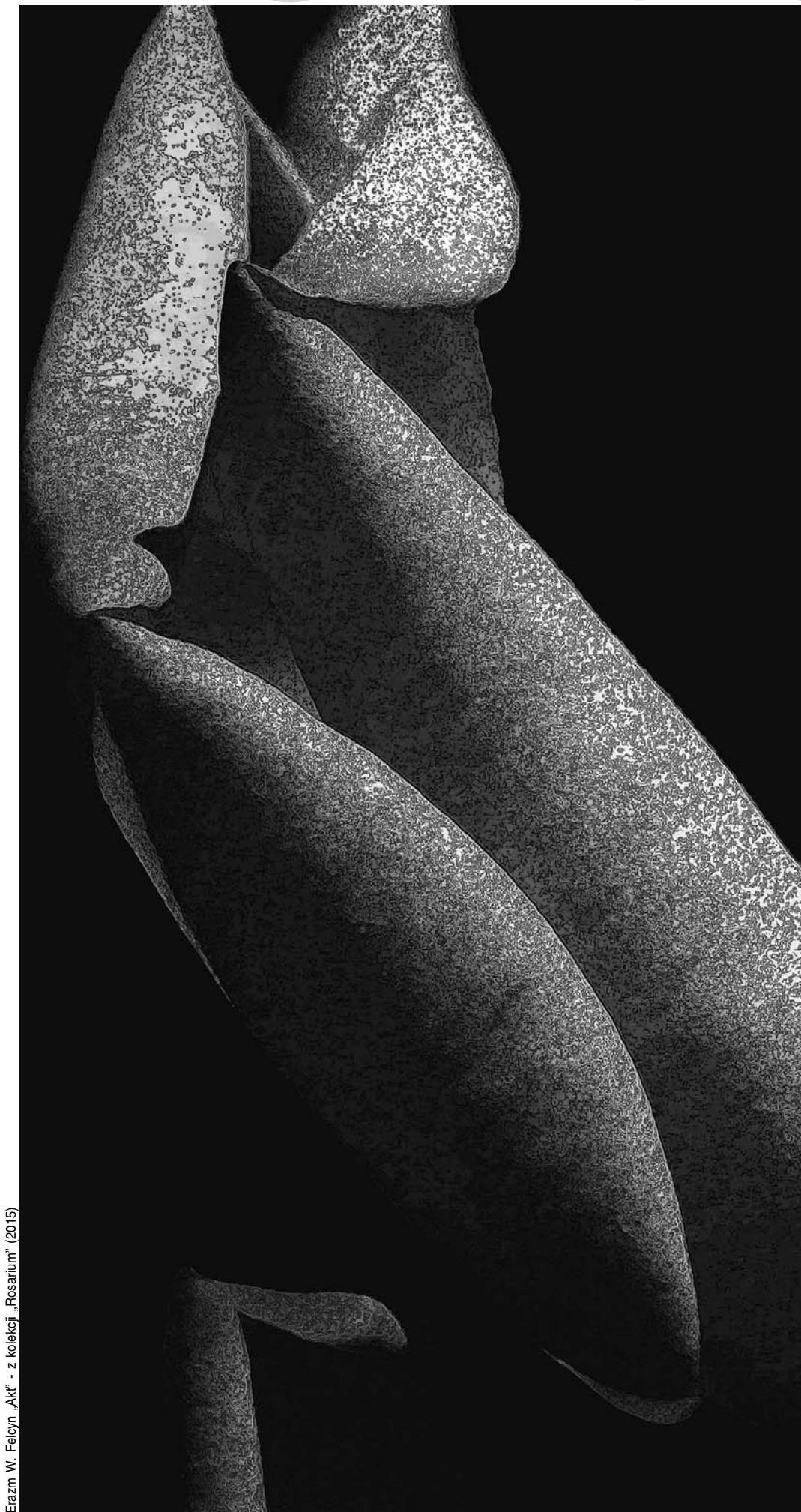
Z tego tytułu tradycja chrześcijańska jest głęboko zanurzona w poezji. Bóg przecież zwierza się człowiekowi w języku artystycznym. Rdzeń języka biblijnego stanowi dukt symboliczny. Trudno wręcz sobie wyobrazić naszą religijną wrażliwość na przykład bez psalmów. A odmawiając brewiarz stykam się z żywo pulsującą poezją. Za wielką poezję uważam też Mszał polski. Teksty w nim zawarte są niewyobrażalnie piękne, niezmiernie mądre. I mimo, że powtarzam je niemal codziennie, to wcale mi się nie nudzą; wciąż pobudzają do religijnego namysłu oraz dziękczynienia za wszelkie dary płynące od Boga i ludzi. Jeżeli zaś chodzi o literaturę w ścisłym sensie, odnajdujemy wielu twórców, którzy odnoszą się do Boga w modlitwach poetyckich. Jest to najczęściej Bóg osobowo pojęty. Poeci mają tę niesamowitą zdolność wypowiedzenia tego, co trudno wyrażalne w relacjach Bóg-człowiek. Często świat kreowany przez wiersz okazuje się naszym, czyli odbiorcy światem. Tekst artykułuje nasze doświadczenia, marzenia, pragnienia. Warto zatem korzystać z możliwości, jakie daje literatura i sztuka, a zwłaszcza poezja o modlitewnym posmaku.

7.

Filozofia, teologia, literatura i sztuka nie muszą więc stronić od tego, co wywiedzione z religijnego myślenia. Przedstawione tutaj uwagi, niebawale prywatne i niekiedy jawnie stroniczne, chcę być żarliwym świadectwem właśnie tego rodzaju przekonania.

WARSZAWA-BIELANY, LISTOPAD 2019 R.
KS. JAN SOCHOŃ

1. T. Pabjan, *Świat najlepszy z możliwych? O dobroci Boga i pochodzeniu zła*, Kraków 2018, s. 176-177.
2. Por. J. V. Schall, *Drobny punkt doktryny*, tłum. M. Sobolewska, „Pastores” 2018 nr 4, s. 59-60.
3. Być może w języku odbija się niedoskonałość ludzkiego myślenia: nasze bycie-w-świecie to przecież nic innego, jak niezdolność do znalezienia jakiegoś transcendentnego znaczenia. Por. U. Eco, *Interpretacja i historia*, w: U. Eco, R. Rorty, J. Culler, Ch. Brooke-Rose, *Interpretacja i nadinterpretacja* (red. S. Collini), przekł. T. Bieroń, Kraków 2008, s. 45.
4. Kartezjusz odróżniając przedmiot poznania od treści poznawczej (co było znaczącym osiągnięciem, zaakceptowanym przez teoretyków ludzkiego poznania) przekonywał, że nie tyle poznajemy rzeczy, ile raczej ich idee, poznajemy przykładowo nie samą gruszkę, tylko ideę gruszki. Nie może przeto dziwić, że w dwudziestowiecznej filozofii język zyskał autonomię zarówno wobec ludzkiej myśli, jak i samej rzeczywistości. Okazał się barierą oddzielającą podmiot poznający od poznawanego świata. W takim rozumieniu stał się czynnikiem kreującym nie tylko treści poznawcze, ale często także sam przedmiot poznania, będąc narzędziem poznawania jedynie własnych wytworów. Natomiast filozofię języka uznano za podstawową dyscyplinę filozoficzną. Na szczęście nie spełniły się przewidywania filozofów analitycznych, którzy ochoczo sugerowali, że krytyka języka zredukuje problemy filozoficzne do języka właśnie. Zob. M. Maciejczak, *Filozofia jako krytyka języka. Od Kartezjusza do Dummetta*, Warszawa 2015; J. Buczkowska, *Systemowe rozumienie języka*, Warszawa 2002.
5. M. A. Krapiec, *Język i świat realny*, Lublin 1985, s. 215.
6. Utopia języka doskonałego nie opuszczała chyba nigdy ludzkiej kultury. Zob. U. Eco, *W poszukiwaniu języka uniwersalnego*, przekł. W. Soliński, Gdańsk-Warszawa 2002; A.-M. Mercier-Faivre, *Langue*, w: *Dictionnaire critique de l'utopie au temps des Lumières*, dirigé par B. Bacsko, M. Porret, F. Rosset, Genève 2016, s. 633-658.
7. E. Gilson, *Lingwistyka a filozofia. Rozważania o stałych filozoficznych języka*, przekł. H. Rosnerowa, Warszawa 1975, s. 163-171.
8. S. Swieżawski, *Prawda i tajemnica. Pisma filozoficzne*, Warszawa 2007, s. 37.
9. R. Barthes, *Przyjemność tekstu*, przekł. A. Lewarińska, Warszawa 1997, s. 22. W związku z powyższym obca mi jest dekonstrukcjonistyczna perspektywa preferowana przez Jacques'a Derride, który wobec potęgi pisma przepowiadał koniec książki jako takiej. Nie ma już bowiem, jego zdaniem, potrzeby encyklopedycznego zabezpieczenia teologii i logocentryzmu przed rozbięciem przez pismo (*disruption de l'écriture*) i przed różnicą w ogóle (*la différence en général*). Zob. tegoż, *De la grammatologie*, Paris 1967, s. 30-31 [wydanie polskie w przekładzie B. Banasiaka, *O grammatologii*, Łódź 2011, s. 43].



Erazm W. Felcyn „Akt” - z kolekcji „Rosarium” (2015)

Marek Wawrzekiewicz

Żwirownia

Po wakacjach okazało się, że naszym dziewczynom
Urosły piersi. Owszem, wiedzieliśmy, że piersi mają
Dziewczyny z wyższych klas, a nawet kobiety, ale
Nie przydarzało się to Izie, Dance, a tym bardziej Teresie.

Ale stało się. A skoro nasze koleżanki
Zaposiadły piersi, musieliśmy to przemyśleć.
Rozważaliśmy sprawę grupowo i indywidualnie.
Na przykład ja myślałem o tym, jak wyglądałyby w staniku
Piersi Izy, Danusi, a przede wszystkim Teresy,
Gdyby na przełomie lipca i sierpnia pojawiły się
Na żwirowni, którą napelniały tajemnicze strumienie.
Woda była ciepła na powierzchni, a lodowata na dnie.
Jakby w tych wodach wyglądały piersi Izy, Danki,
A przed wszystkim Teresy.

W niedzielne przedpołudnie upalnego września Teresa
Przyjechała rowerem na żwirownię. Była w czarnym,
Jednoczęściowym kostiumie, który łakomie opinał
Jej dojrzewające piersi. Kapaliśmy się razem, ale
Nie ich nie dotykałem, choć chyba ona tego chciała.
Dzisiaj myślę, że wtedy było za wcześnie, a teraz jest za późno.

Minęły lata i znów jest tak samo, mimo że to
Ani za wcześnie, ani za późno. Oczywiście chodzi
O inne piersi, ani Izy, ani Danki, a tym bardziej Teresy.

Ciekawe, czy jeszcze płyną podziemne strumienie
I czy żwirownia nie wyschła.

Luty, 2015.

Podróż

Na bułanych koniach jechaliśmy stępa płytkim potokiem
W stronę zachodzącego słońca. Zdawało się, że płatki
Czerwone z wieczorniejącego nieba spadają nam
Na głowy i ramiona, a potem bez plusku toną
W ledwie szemrzącej wodzie.

Konie niekiedy parskają jakby chciały rozproszyć nasze
Bezwolne zamyślenie i czuły bliskość celu. Cel znała też rzeka,
Wiedziała skąd pochodzi i dokąd zmierza.

Było nas troje – ty, ja i ten nieznajomy
W długim, srebrzyście połyskującym płaszczu.
Domyslałem się kim jest i nie śmiałem
O nic pytać. Może widziałem go przed laty
W „Siódmej pieczęci” Bergmana. Prowadził wtedy na wzgórze
Korowód niewinnych a skazanych. Konie pochylały łby,
Złote krople wody spadały im z pysków.

Wiedziałem: za kępą modrzewi, z których osypywały się igły
Będzie zatoczka i łacha ziarnistego piasku.
Wiedziałem – tam zostanę. A ty pojedziesz za nim
Aż do wschodzącego słońca, a potem jeszcze dalej.

A ja zostanę. Obok szkieletu bułanego konia,
Nad wysychającym, niemym strumieniem.
I będę czekał.

A on powróci.

MARZEC, 2019

Joanna Sendlak

Fragment powieści „Ostinato” – wojenne dni Grażyny Bacewicz”, stanowiącej kontynuację powieści „Z ogniem” – miłość Grażyny Bacewicz w przededniu wojny”.

PROZA

[...]Grażyna podniosła głowę kiedy do pokoju zajrzała jej siostra Wanda. Blask trzymanej w dłoni świecy, naszkicował cienie na przeciwległej ścianie.

-- Za ciemno na czytanie, przemęczysz oczy -- powiedziała Wanda i podeszła do okna. Poprawiła koc osłaniający szyby, żeby wąty blask światła nie wymknął się na zewnątrz.

-- Nie wiesz kiedy do nas wpadnie Stefan? -- spytała Grażyna.

-- Niebawem, tak obiecał.

-- Zobacz jakiego miał pecha ze swoją I Symfonią. Szóstego września mieli ją grać w Filharmonii, a tu wybuchła wojna. Czy to nie pech?

-- Siła wyższa, Grażynko -- westchnęła Wanda i podeszła do siostry. -- Co czytasz? -- spytała patrząc na leżące na stole kartki.

-- Andrzej, zanim poszedł na wojnę, poprosił żebym przechowała listy, które pisałam do niego z Paryża. To wszystko wydaje się teraz nieskończenie odległe.

-- Daj je, schowam do walizki, żeby nie zginęły. Walizka stanie w przedpokoju. Gdybyśmy znowu musieli uciekać z domu, czy do piwnicy, będzie pod ręką.

-- O nie, nie będę uciekała do tych śmierdzących piwnic, nie ma mowy! Od dziś nie będę zwracała uwagi na bomby, tak postanowiłam. Przecież nasz los jest z góry zaplanowany. Niczego nie zmienimy, więc nie ma się czego bać! -- głos Grażyny stał się stanowczy. Wanda podeszła do siostry i wyjęła z jej smukłych palców kartki.

-- Te jeszcze zostaw -- poprosiła zatrzymując niektóre koperty.

-- Tylko nie siedź przez całą noc, rano będziesz rozbita -- szepnęła Wanda wychodząc na korytarz. Po drodze do kuchni wyjęła z szafy pustą walizkę. Zamuchnęła z niej kurz i otworzyła. Wnętrze wysłane kręciastą podszewką pachniało naftaliną. Wsunęła koperty, zatrzasnęła zamek, a walizeczkę postawiła w korytarzu, obok kufra na prowianty.

-- Później dokończ kompozycje Grażyny, żeby w razie czego się nie zgubiły... -- pomyślała Wanda tuż przed zaśnięciem.

*

Kilka dni później na Koszykową zajrzał Stefan Kisielewski. W mieście mówiono tylko o tym, że dwudziestego siódmego, w piątek, Gestapo aresztowało na Ratuszu prezydenta Stefana Starzyńskiego.

-- Jeśli wierzyć pogłoskom, wywieźli go na Pawiak -- powiedziała Grażyna.

-- O Boże, to już koniec -- załamała dłonie mamusia.

-- A będzie jeszcze gorzej -- westchnęła Wanda -- u mnie w biurze mówili, że spis żydów ma czemuś służyć, czemuś koszmarnemu... Może wszystkich wywozją na roboty do Niemiec?

-- To absolutnie niemożliwe -- potrzasnęła głową Grażyna -- przecież chodzi o trzysta sześćdziesiąt tysięcy ludzi!

-- Nie wszyscy się zarejestrowali. Znam wielu muzyków, którzy chcą dalej zarabiać graniem -- zauważyła Wanda.

-- To wszystko trudno pojąć. Dlaczego nikt nie reagował, kiedy w Gdańsku pojawiły się te absurdalne zakazy wstępu do restauracji dla Polaków i świń! Teraz będzie jeszcze gorzej!

-- Grażynko, wtedy byłaś w Paryżu, o atmosferze w kraju tylko czytałaś w gazetach. Prowokacje i zamieszki były ciągle! Trudno

uwierzyć jak bezczelna jest niemiecka propaganda -- mówiła z przejęciem Wanda.

-- Nie wspominaj Paryża, to zbyt przygnębiające... -- westchnął Stefan.

-- Byliśmy chociaż wolni!

-- Przyznasz, Grażynko, że potężenie pracy z kołyszącą atmosferą Paryża i stypendialną gotówką w kieszeni, dawato bardzo świetne rezultaty -- zaśmiał się Stefan.

-- A pamiętasz koncerty Bartóka? -- spytała Grażyna. -- Zwłaszcza Sonatę na dwa fortepiany i perkusję, którą Bartók grał z żoną?

-- Podobno mogłaby być jego córką -- wtrąciła Wandzia.

-- Na estradę wszedł szczupłutki Bartók, małego wzrostu, nie pierwszej młodości, a tuż za nim wyrosła pięknie ubrana, młoda, wspaniała blondyna.

-- Gdzie Bartók poznał żonę? -- zaciekawiła się mamusia.

-- Słyszałam pewną opowieść, ale chyba ją znacie -- zaczęła Grażyna.

-- Opowiedz, moja droga, niczego nie pamiętam -- starsza panie rozsiała się wygodnie na krześle.

-- Otóż pewnego dnia Bartók szedł ulicami Budapesztu i zobaczył dziewczynę z długimi blond warkoczami. Postanowił pójść za nią, chociaż spieszył się do Konserwatorium na wykłady. Na szczęście dziewczyna szła tam gdzie on. Bartók przyspieszył. Na następnym skrzyżowaniu skręciła we właściwą ulicę, a co dziwniejsze weszła do Konserwatorium. -- W czyjej ona może być klasie? -- zastanawiał się. Minęli pierwsze piętro, weszli na drugie, korytarz w prawo, korytarz na wprost i oto klasa Bartóka!

Komplet uczniów czekał już na jego wykład. Dziewczyna usiadła wśród kolegów. -- Gdyby nie spotkał jej na ulicy, nigdy by się z nią nie ożenił.¹ -- zaśmiała się Wanda.

-- Cóż za romantyczna historia -- westchnęła mamusia.

-- Dokładnie pamiętam koncert Bartóka -- wtrącił Stefan. -- Siwy jak mleko, a twarz miał młodzieńczą tylko oczy wariacko pełne. Obok dwudziestoparoletnia żona...Ich wygląd robił piorunujące wrażenie.

-- No, ale po Sonacie ludzi ogarnął entuzjazm wyjącznie z powodu muzyki -- stwierdziła Grażyna.

-- Przyznając, utwór okazał się pieruńsko trudny rytmicznie. Specyficznie taktowane dwa fortepiany plus perkusja, nie jakaś jazzowa tylko złożona z kotłów, ksylofonów i dzwonek. Nie przypominało to w niczym konwencjonalnej muzyki. Mam rację Grażynko?

-- Całkowicie, taki był Paryż, szalony i zaskakujący. Ludzie potrafili słuchać muzyki.

-- Myślisz, Grażynko, że tamci słuchacze byli lepsi od naszych? -- spytała Wanda.

-- Mam pewną teorię na temat słuchaczy -- zawołał Stefan -- wyodrębniłem pięć rozmaitych typów. Mógłbym długo na ten temat gadać, ale zaraz godzina policyjna... Opowiem innym razem, ale myślę, że ludzi słuchających muzykę, a nie swoje wnętrze, jest niewiele. Większość słucha nieświadomie. „na wiarę” i podkłada pod muzykę własne treści psychiczne. A muzyka jest „czystą formą”, nie zawiera żadnej treści pozamuzycznej. Pozostaje sobą, czyli doskonałym systemem organizacji dźwięków. Tylko nieudolny słuchacz widzi w muzyce to, co chce w niej widzieć czyli odbicie swojego wnętrza.²

-- Zgadzam się z tobą całkowicie, muzyka nie przedstawia żadnych treści pozamuzycznych -- przytaknęła Grażyna wstając, bo gość zbierał się do wyjścia. Stefan pożegnał się z Wandzią, ukłonił przed mamusią, a gdy byli przy drzwiach szepnęła Grażynie na ucho, żeby w wolnej chwili wpadła do sklepu papierniczego na Marszałkowską 120, do Edzia Rudnickiego.

Na odchodne puścił do niej „perskie oko”.

Kiedy Grażyna wróciła do kuchni, mamusia wstawiając filiżanki do miednicy z zimną wodą, żeby je optukać.

-- Córeczko, czy Stefan był na twoim koncercie kompozytorskim w Paryżu?

-- Nie, mamu. W kwietniu wrócił do Warszawy, chciał posłuchać Dobrowena prowadzącego II Symfonię Scriabina.

Grażyna pocałowała matkę w policzek i poszła do pokoju. Jej myśli popłynęły do Paryża. Gdyby tak przez okno zobaczyła panoramę rue Lamandé ozdobionej przymrozkiem, jak wtedy, w marcu. W tamtych dniach trochę chorowała, stęskniona za stołcem zbyt wcześniej zrzuciła płaszcz. Tymczasem wrócił zięb. Tydzień wcześniej przemarzała, kiedy biegła po mieście w poszukiwaniu imieninowego prezentu dla mamy. Za to na wyprzedzają znalazła piękne rękawiczki z reniferowej skóry, delikatne w dotyku niczym jedwab.

Teraz wyjęła z szuflady list, napisany do Wandy, kartki zaszeleściły.

18 marzec 1939, Paryż.

Kochana Wandziu. Szczęśliwie się złożyło z tym koncertem na Warszawę II, bo nie wiedziałam skąd wykombinować forszę na kwiaty dla mamy. Otóż zadzwonił do Bohdana (napisałam do niego) i on ci da 15 złotych już 22 marca. Później odbierze za koncert i już. Z tych pieniędzy kup dla mamy za 7 zł. kwiatków innych niż kupisz od siebie, za 3.75 ćwierć kilo czekoladek -- może być w pudełku, albo nie -- jak uważasz i troszkę pomarańczy. Bilecik załączam do kwiatków, niech przysyła z kwiatkami (z tym bilecikiem właśnie).

Jak z Radiem i Rudnickim? Czy Ci się udało? Ja troszeczkę chorowałam, ale już wstałam i już jest dobrze, tylko jeszcze pokastuję.

Dziś wysyłam w gazetach rękawiczki dla mamy i szalik. Rękawiczki nie są tak szyte, jak ona lubi, ale mów, że ładne, bo naprawdę są ładne. Wszystkim babom bardzo się podobają, że taka miękka skórka. Zresztą może się nie uda. Wandziu! Po co się wysadzasz tak na tego kolegę? On na pewno tego nie wart.

Całuję Cię z całych sił!

Gr.

[...]

Jeżeli i tym razem się uda z gazetami, to następnym razem wysyłę pończoszki cieniutkie dla Ciebie, a później dla mamy.

Grażyna uśmiechnęła się na wspomnienie sercowych perypetii siostry. Jej zdaniem, zawsze trafiała na niewłaściwego mężczyznę. Zdaje się, że tamten pan odszedł z biura zanim wróciła z Paryża. Może teraz Wandzia pozna kogoś dla niej odpowiedniego, kto wie? [...]

JOANNA SENDLAK

1. Według: Grażyna Bacewicz, fragment opowiadania ze Zbioru „Znak szczególny”, pt. „Znak szczególny”, wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 1970. Str. 110.
2. Ibidem Stefan Kisielewski. Str. 276.

Katarzyna Czućcik

* * *

Jak znoszony stary but

Gdy z niczego wynikanie jak znoszony stary but
 chodzi, kiedy chce, płacze się jeden z drugim, wstrzymuje się,
 przytrzymuje świat, przywraca niepamięć dawnych chwil
 przewartościowanych okolic, wyostrzonych, problematycznie jakoś obecnych
 przytomność swą traci, wikła się gdzieś indziej, inaczej, jako (bez)sens odgradza od sensu
 gubi się, wydłuża przeszłość, by wtopić się w horyzont kolejnych (od)tworzeń, chowa się za wielokrotnością,
 za dniem, który nastanie.

* * *

Ukojenie

Wnika
 przenika
 łączy się z tobą
 zatapia i gubi początek tworząc czaso-przestrzeń.
 Czy ty tu jesteś?

widzenie przepłatające się, znikąd przychodzące i w nic wstępujące, przeprowadzające, wyprowadzające, czymś
 więcej będące?

kolejny raz to samo gubi i odnajduje, siebie ustanawia, przynosi ukojenie, które mija
 budzi się znowu tak samo w oczywistości zdarzeń, wydarzeń od nowa przywracając ko-goś czemuś.
 Chwila wraca.

* * *

Gdy ciebie nie ma

Czas tyka, budzi ciszę, wkrada się niepostrzeżenie w tę chwilę unosząc cały (wszech)świat jak dzieło (s)tworzenia
 ten-moment-ubiera-w-czas

gdy ciebie nie ma cisza czyni wyłobienie, przypomina, zgrabnie się odsuwa od ciebie, wywleka, zatacza koło,
 unaocznia

wobec czegoś takiego staje moment

gdy ciebie nie ma
 (wy)dobywa się nieświadome
 czas się kończy
 kolejne (wy)obrażenie umiera.

* * *

Wyobrażenia o nas

Nić istnienia jak okamgnienie wnika w ciebie, przywraca chwilowość
 to samo wikła się i zatacza kolejne kręgi

co może zlicza się w nas od początku
 wyobrażenia, obrazy zniekształcone przez trwanie

niewiele (o)znacza to samo
 w tym czasie uwalnia się, niknie nagle chwila, moment ten, jakieś teraz.

Anna Frajlich

Włodka "Jadwiga Andrzejewska na scenie i ekranie". Jestem w trakcie lektury, czytam przeważnie nocą, kiedy nic innego nie może mnie oderwać. Książka jest wspaniale opracowana i napisana, z jednej strony historia wybicia się tej kobiety jest fascynująca, a tło historyczne i klimat środowiska teatralnego

kilka dziesięcioleci nie byłam w stanie czytać. Zresztą niektóre z tych artykułów sam autor dopracowywał przez lata, o czym świadczą daty, np. pod wspomnieniem o Karolu Ludwiku Konińskim: maj, czerwiec 1966, styczeń 1972. Jestem w trakcie lektury. Chociaż nie zajmowałam się specjalnie dialektologią, bardzo

D
N
I
E
N
N
I
K

DZIENNIK - REDATOWACJE

31 marca 2019.

W liście Edwarda Stachury pisanym 5 lipca 1961 roku z Warszawy do Marii Bechzczy-c-Rudnickiej, redaktorki lubelskiej „Kamery” czytamy: „Posyłam Pani opowiadanie 10-stronicowe "Królewicz". Wysyłam je w kilku matych kopertach, bo nie mogłem dostać jednej dużej”. (Tematy i Konteksty, nr 8(13) 2018., str. 403)

Jest to już połowa 61 roku, a więc 5 lat po głośnych przemianach, „socjalizm z ludzką twarzą” i o to właśnie walczą grupy kretynów i kretynek amerykańskiego Senatu i Kongresu. A ci, którzy tego nie pragną, boją się powiedzieć głośno, bo oskarżono by ich o „niepoprawność polityczną”.

13 kwietnia 2019.

Fragmety listu (elektronicznego) do Piotra Szewca, autora dwóch książek o Julianie Strykowskiem.

Czytam właśnie po raz pierwszy "Wielki strach". Na półce stoi już od blisko trzydziestu lat, jakoś nie mogłam się zdobyć. Ze względu na historię rodziny, są to dla mnie wciąż trudne lektury. Niedawno dokształcałam się trochę w bolesnych sprawach stosunków polsko-ukraińskich na początku dwudziestego wieku.

"Głosy w ciemności" znam od dzieciństwa, były dla mnie jakby powtórzeniem tego, co wciąż słyszałam od rodziców o Lwowie i Galicji. W Szczecinie w kuchni Mama czytała nam te "Głosy" na głos każdego wieczora.

Czytałam inne książki Strykowskiego, ale np. "Na wierzbach nasze skrzypce" nie przemówiły do mnie. Uważałam, że Strykowski niewiele z Ameryki rozumiał, albo nie chciał zrozumieć.

Natomiast "Wielki strach" brałam do ręki i odkładałam. Zresztą przez ostatnie trzydzieści lat byłam za bardzo zajęta, aby się zmuszać.

Teraz po powrocie z Włoch z promocji włoskiego wydania mojej książki w przekładzie Marcina Wyrembelskiego, wyciągnęłam "Wielki strach".

19 kwietnia 2019.

Teraz, żeby się "dobić", czytam "Kontre" Mackiewicza. Tylu rzeczy nie wiedzieliśmy, a to wszystko to jakby podszewka do dzisiejszych czasów. Anna Frajlich

19 maja 2019.

Dopiero teraz mogłam się zabrać do lektury znakomitej monografii Romana

są tak wspaniale przedstawione, zasady i reguły rządzące tym światem, nazwiska aktorów, reżyserów i krytyków. Wszystko pokazane jest tak obrazowo poprzez cytaty recenzji, materiał anegdotyczny i faktyczny.

Co wieczór z zapamiętaniem zabieram się do dalszego czytania.

Przedemną lata wojenne i emigracyjne. Bardzo jestem tego ciekawa, bo wiele osób z tamtej emigracji tu poznałam, m.in. znakomitą aktorkę Marię Modzelewską. Właśnie niedawno w ramach odrabiania zaległości czytałam "Wielki strach". Bardzo to przeżyłam, każde znajome nazwisko z czymś się wiąże. Myślę, że z tego warto byłoby zrobić film, żeby te obrazy utrwalić dla tych pokoleń, które już tych nazwisk nawet nie słyszały.

21 maja 2019.

Wczoraj, czy raczej dzisiaj, pół nocy spędziłam na lekturze. Nie dziwię się, że nakład się rozszedł. Książka jest tak świetnie napisana, przedstawia w bardzo obrazowy sposób klimat historyczny, polityczny i kulturowy tego okresu. Znajduję wiele nazwisk związanych ze Szczecinem w latach mego dzieciństwa: Radulski, Pietruski, Chaberski, Michał Misiorny.

To właśnie Misiorny umieścił jeden z moich pierwszych wierszy w poznańskim "Tygodniku Zachodnim", jeszcze jak byłam w szkole. Chyba się nie mylę.

Radulskiego nie znałam, ale jego żona Stanisława Skwara Radulska (pewnie żona), znana w Szczecinie aktorka reżyserowała taki teatrzyk radiowy, w którym czasem brałam udział. Jeden taki obrazek, gdzie opublikowałam.

Historia z listem Minkiewicza w "Przekroju" fantastyczna. Właśnie skończyłam czytać tę wspaniałą książkę.

Wczoraj przez telefon przeczytałam list Minkiewicza przyjaciółce, która go tu poznała, bo tu niedaleko mieszka Jego córka - Monika, a także obie dobrze znałyśmy Kropkę Gośławska. List jest okropny, ale skoro był publikowany w "Przekroju" można się nim podzielić.

9 czerwca 2019.

Książkę Kazimierza Wyki „Odeszli”, z poświęceniem jego córki - Marty Wyki, kupiłam, jak wskazuje nalepka wewnątrz okładki w Szwede Slavic Books pewnie wkrótce po jej wydaniu w 1982 roku, za 9 dolarów. A może dostałam od kogoś?

Teraz wracam do książek, których przez

spodobało mi się wspomnienie o Kazimierzu Nietschu (1874-1958) ze względu na taki humanistyczno-osobisty stosunek do profesora, a potem kolegi.

Oto kilka podkreśleń:

Str. 93 - Nietsch był sceptykiem co do skuteczności, a może nawet przeciwnikiem poprawnościowych zadań i metod językoznawstwa. Stąd między innymi jego niefajona niechęć do warszawskiego ośrodka warszawskiego ośrodka lingwistycznego (aż po Witolda Doroszewskiego).

Alergia brücknerowska

Wyrozumiałość młodsza siostra wspaniałomyślności (Wyka)

Str. 94 - róża z oranżerii nigdy nie pachną (Nietsch)

... w kulturze ludowej wcześniejsza jest rzeźba, rzeźanie w drzewie, aniżeli malowanie

Str. 95 - Obraz to rzecz obrzezana

Str. 96 - Jakże nieoczekiwana i zaskakująca okazuje się natura ludzka w tych sytuacjach, które egzystencjaliści określają jako sytuacje krańcowe.

Str. 97 - Nietsch nie był uczonym gabinetowym.

Str. 99 - całkowicie świecki pogrzeb

Ciekawe, że Wyka pisze „w Uniwersytecie”, a nie „na”.

11 lub 12 czerwca 2019.

Przypadkowo przesuwał coś na półce wzięłam do rąk wydawałoby się, nie czytana, wydana przez „Iskry” dokładnie 20 lat temu, niewielką książeczkę Kazimierza Brandysa „Przygody Robinsona”.

Nie mogę spać więc czytam ją, szczególnie, że książka jest małego rozmiaru i nie tyle jej treść mnie pociąga, co wspomnienie o Brandysie. I nagle na 92 stronie znajduję podkreślenie. Znaczy - już to czytałam. Podobnie rok temu wpadła mi inna książeczka Brandysa. Pisałam wówczas esej o Bobkowskim i znalazłam tam kilka doskonale cytatów.

28 czerwca 2019.

Piotr Szewc, „Syn kaptana” - jest to zbiór wspomnień osobistych autora, a także esejów i wspomnień innych ludzi o Strykowskiem.

Najbardziej podoba mi się analiza/charakterystyka prozy Strykowskiego pióra Henryka Berezyna.

29 czerwca 2019.

Fragment mojego e-maila do Piotra Szewca autora dwóch książek o Strykow-

→
cd. str.16

skim:
 Teraz zaczęłam czytać "Ocalonego na Wschodzie". Wielką niespodzianką dla mnie jest definicja i opis wszystkich święt. Ponieważ moje pokolenie Żydów tzw. świeckich było wychowane w totalnej nieświadomości tych problemów, to powiedziałam mężowi, że trzeba zrobić kopię i wracać do tego tekstu. Tu naturalnie podkaszczaliśmy się w genezie i znaczeniu paru najważniejszych święt, a więc Panu zawdzięczam dokształcenie w tych sprawach.
 Pan ma rację, że tych ludzi już nie ma. Ale wciąż jeszcze ich pamiętamy. Z niektórymi się zetknęłam.
 Jak będę miała jeszcze jakieś silne wrażenia, to pozwolę sobie się z Panem podzielić. Bo z kim innym?
 30 czerwca 2019.
 „Ocalony na Wschodzie” wywiad Piotra Szewca z Julianem Strykowskiem.
 Str. 54 ścinanie bród Żydom przez Hallerczyków.
 Mówił mi o tym Ojciec, który też był w tym czasie poza Lwowem, albo w swej rodzinnej Sokołowie Hełmańskiej, albo w Komarnie. Miał dziadków tu i tam.
 S. 55 – pogrom we Lwowie. Dalej opis i analiza antysemityzmu.
 S. 62-63 + w Stryju po ukończeniu szkoły, czekanie na miejsce w akademiku żydowskim we Lwowie.
 Lata studenckie –masa fascynujących szczegółów.
 Str. 70 – Józef Wittlin, wcześniej też.
 Schulz (surrealizm) i Leśmian – bardzo ważne spostrzeżenia.
 Str. 85 – Naszkowski, Marian.
 Str. 88 – Prusy Wschodnie rozumiane tak, jak ja to rozumiałam, czyli źle. Bardzo ważne.
 Str. 95 – Lenin _ Międzynarodówka Nie-wolników
 Str. 98-99 + Lwów w 1939 roku.
 Str. 101 – kierownik działu listów. Mama miała tę funkcję w Głosie Szczecińskim w latach 50-tych.
 Str. 101+ Lec, Wał, Ważyk i inni.
 Str.115 – Witaszewski gaz-rurka
 Str. 122 – kryminaliści na samochodzie wiedzieli, że w tak olbrzymiej Rosji nie ma dokąd uciekać
 Przypomniaty mi się matpy w Suchumi. Wiem, że chwaliły się nimi, że matpy żyją na wolności, ale to była pustynna przestrzeń, na niej kilkadziesiąt drzew i na nich te matpy. Były na tzw. „wolności”, bo nie było dokąd uciekać.
 Piotr Szewc stara się zanalizować, na czym polegało totalne zamroczenie komunizmem. Widzi się źle, ale nie chce się przyjąć tego, co się widzi.
 Str. 127 – współwyznawcy w religii lub idei
 Str. 146 – jedwab i smród; delikatność i gnicie; **rodowód jedwabiu**
 Wywiad Szewca nie jest apologetyczny
 Str. 153 – Szomrzy padali najłatwiej ofiarą komunizmu
 Żydzi lecą z nowym wiatrem
 Str. 172-3 – pisanie „Głosów ...” reakcja znanych pisarzy – Jastrun, Rudnicki, Kott
 Str. 175 – Hallerczycy ścinający Żydom brody „razem „z mięsem”.
 Str. 178 + – sprawa: Grosz, Siedlecki, Sokołowski – Stalin, Wasilewska
 Str. 189 – Zabłudowski
 Str. 197+ Rafał & Michał Anioł cały traktat
 Str. 199 – Michał Anioł na szczycie Renesansu odchodzi w stronę Baroku
 Ten wykład o sztuce włoskiej jest niesamowity.
 Str. 234 – żydowskie życie

Str. 237 – sztuka nie jest obiektywnym ... jest pryzmatem subiektywnym autora
 Str. 238-9 – mit, mistycyzm, religia , bardzo ciekawe rozważania
 Str. 243 + – sprawa odchodzenia od religijnych nakazów
 Str. 245 – czas (przepisać definicję)
 Str. 248 – po 1918, kiedy odrodziła się Polska, współzycie narodów wschodniej Galicji popsuło się.
 Str. 250-1 – wpływ Kabały.
 W książce znajdujemy dwa traktaty : o malarstwie Michała Anioła i o Kabale.
 Str. 263 – **Antysemityzm – dur propagandowy Genialne określenie.**

I znów część amerykańska mnie zdenerwowała. To, co on i jego przyjaciele robili pomiędzy 45 i 66 rokiem, to było OK. Oni dorobili komunistyczny komentarz do Zagłady, przedstawiali ją mojemu pokoleniu w zakłamanym obrazie, to jest dobrze. To też była forma odgradzenia się od prawdy. Ta prawda uderzyła ich w 68 roku.

Ale to, że tamci pojechali do Stanów, ciężko pracowali i dorobili się, ale także stworzyli coś – biznesy, pracę dla innych, utrzymanie dla dzieci, to go mierzi.

A ilu z tej grupy popełniło samobójstwo?

To jest hipokryzja. Przez kilkadziesiąt lat budować komunizm czyli nicłość (siedząc w kawiarniach), to jest usprawiedliwione.

Ale budować coś, co nie jest ideologią – to nie jest usprawiedliwione.

Czy sprawa Michała Anioła nie jest ucieczką? Ale jestem szczęśliwa, bo wiele się o Michale Aniele z tej książki dowiedziałam.

Bardzo przeżywam tę lekturę na dwóch płaszczyznach Moja matka, lwowianka, która przeszła przez Szomer Hacaír, partię komunistyczną, pięć lat więzienia (wyrok miała na 10 przed wojną), też spotkała się gdzieś tam ze Strykowskiem. Nie pytałam o szczegóły. Może znajdę to w pamiętnikach.

Opis podróży na wschód też przypomina mi los matki. Ojca mojego zmusili do wyjaz-

du ze Lwowa z batalionami pracy, a matka sama uciekała przed Niemcami.

W drugiej części "To samo, ale inaczej" znajdują jakieś oznakowania Mamy, podkreślone nazwiska, może znata tych ludzi, w jednym miejscu Mama zaznaczyła "same głupstwa".

Natomiast podkreślone jest zdanie "Przy stałej słonecznej pogodzie widać było Pamir - dach świata" (s.342), to jest to, o czym Mama zawsze mi mówiła. Powtarzała, że urodziłam się na Dachy Świata.

Z drugiej strony sprawa terroru psychologicznego z "Wielkiego strachu" kojarzy mi się z obecną Ameryką, gdzie nawet członkowie Kongresu drżą ze strachu, że powiedzą coś politycznie niepoprawnego i całe życie zmarnowane.

Bardzo to przeżywam.

13. października 2019.

Fikcji w zasadzie nie czytam, natomiast wracam do nieprzeczytanych korespondencji, esejów, wspomnień i czasem poezji.

Właśnie kończę wydane w 1965 roku listy Leopolda Staffa, pełny tytuł "W kręgu literackich przyjaźni. Listy. Oprac. Jadwiga Czachowska, Irena Maciejewska, PIW. Wtedy właśnie obroniłam magisterium. Kończę już prawie tę książkę i nagle – list o wizycie Staffa u Brzozowskiego we Florencji. Brzozowski to moja wielka miłość, pisałam o nim pracę magisterską, uczęszczałam na słynne seminarium Baczyki właśnie w tym czasie, a także na spotkania w ZLP, gdzie mówiono, że Holland (ojciec Agnieszki Holland) znalazł w Rosji teczkę dotyczącą sprawy Brzozowskiego, która to teczka nagle potem „zginęła”.

I dziś znów - Brzozowski, opisany kilka miesięcy przed śmiercią.

Pożałowałam, że nie miałam okazji we Włoszech odwiedzić jego grobu, albo nawet miejsca, gdzie mieszkał przy ulicy Poggio Imperiale od r. 1907.

ANNA FRAJLICH



Erazm W. Felcyn z kolekcji „Anatomia Apokalipsy” (2017)

Stefan Rusin

W ASMARZE

Muezinie,
słyszę twój żarliwy głos
gdy stoję na pustej ulicy
w zimnym poranku.
Czuję, jakbyś właśnie mnie
zapraszał do świątyni,
bym się pokłonił
ukrytej tajemnicy.

Tramwaj sunie
po rozdzwonionym zagonie,
skręca w ocienione lustra.
Skrzypią łąny wapna.
Konwój rybitw rozdziera
powietrze.

Uciekam
chytrą ulicą
w obudzony las.

NA PUSTYNI

Upodabnam się
do głodnego szakala,
płonącego kwiatu lotosu,
zdeptanego zaskrońca.

Migają na horyzoncie
sylwetki zwierząt.

Tli się światło w kopcach
suchych gałęzi.

Chcę przejść jeszcze jedno
wzgórze, zwilżyć pragnienie,
odwinąć w sobie strach.

Nad górami Omanu
ustały wołania głosów, łomotania
napierających sił. Szczyty nie płoną niepokojem.
Zsunęły się wichry.
Przeszły barykady mgieł.

Jeśli twój wiersz ma serce,
czy wyczuwasz w nim niepokój,
może brzemień zbyt trudne dla niego.

Czy się mu zdarza krzyknąć
z nadmiaru, który mu powierzasz.

Czy oślepiasz go zimnym światłem,
gdy nie spełnia twoich oczekiwań.

Pozwól mu płonąć
w łódce chybotliwego szczęścia.

Młodzieniec wypoczywa pod akacją.
W śnie spotyka boga,
niepodobnego do wiatru,
do wiązki ognia, do kukły z lodu.

Jednak wie, że to on,
bo mu powiedział,
że za chwilę tu wróci.

Spoglądasz w dusze,
które kiedyś sponiewierano,
którym przypisywano wiarołomność
i odstęstwa od obowiązującej normy,
które napastowano dniem i nocą,
lżono bez dyskrecji,
którym podrzucano na ich zgubę
pisma moralnie
podejrzane.

Może znajdujesz w nich
rechot pospólstwa,
dwoistość etyczną,
może brak poczucia winy.

Zdaje się, że wypełniają cię wątpliwości,
sprzeczne refleksje
i złość na swoją bezradność.

Ta szczelina wchłonie cały świat.
Co będzie z nami?

Postaramy się zejść bezpiecznie tam,
gdzie już są nasze cienie.

* * *

Pamięć nie znosi ucieczek,
ujarzmia wolność wroga,
oblaskawia zniewagę,
doskonali narzędzia zemsty.

Prochu, esencjo smutnego śpiewu,
co zrobić, by świat nie szalał,
nie porywał, nie ujarzmił zranionych owiec,
nie hulał w zatraceniu, nie gasił radości.

Stefan Rusin – poeta, prozaik, eseista, malarz. Wydał tomiki wierszy, eseje, prozę dokumentalną, m.in. Spadkobiercy raj (1985), Przez pogańskie bezkresy do Jerzego Szaniawskiego (1996), We-sele Hioba (1999), Magala (2006), Pacyfik (2011), W ogrodach wyobraźni (2012).

Charles Reznikoff

ŚWIADECTWO

Stany Zjednoczone (1885–1915)

Recytatyw

Wszelkie zgorzknienie i unoszenie się, i gniew, krzyk i złorzeczenie
wraz z wszelką złością niech zostanie usunięte spośród was.

LIST ŚW. PAWŁA DO EFEZJAN, 4:31.

PÓŁNOC

VIII

Ludzie i miejsca

4.

Prawie roku temu Hess, młody parobek,
znalazł swój dom u gospodarza Schwartz;
sypiał z synem Schwartz Johnem, mniej więcej równolatkiem,
w tym samym pokoju i w tym samym łóżku.

John zamierzał się ożenić
i wiedział, że jego ojciec
zamierza dać mu kawałek ziemi
na początek własnej gospodarki.
Ale Hess był zły i nieszczęśliwy:
miał nadzieję na ożenek z córką Schwartz,
która nawet go lubiła
jak i jej rodzice;
jednak John uważał, że lepszy dla niej będzie inny kandydat,
a Else powiedziała, że weźmie brata zdanie „pod uwagę”.

Około godziny czwartej rano
Schwartz
został obudzony hałasem dochodzącym z góry,
z pokoju, w którym spali jego syn i Hess.
Wyszedł z sypialni,
a na schodach
zobaczył syna
z podciętym gardłem,
niezdolnym do mówienia,
w nocnej koszuli ciemnej od krwi.

Hess, z plamami krwi
na spodniach i koszuli
jak i na rękach,
pojawił się za nim.

John wyszedł na podwórko
i po kilku minutach
zmarł.
Poduszka, na której spał
prześliznęła krwią,
krew też znajdowała się podłódze.
Brzytwa, należąca do Johna,
ale używana przez nich obu,
była zakrwawiona.

Hess powiedział, że kiedy obudził się rano,
John siedział na łóżku,
mając stopy na ziemi, a ręce na kolanach.
Nadal było ciemno –
zbyt wcześnie, pomyślał Hess, żeby wstać,
obrócił się do ściany,
żeby ponownie zasnąć,
ale nie mógł,
więc wstał i prześlizgnął się koło Johna,
który dalej siedział na krawędzi łóżka i milczał.
Wciągnął spodnie
i zapiął je lewą ręką,
prawą szukając drzwi,
kiedy uderzenie w plecy, jak wyznał,
odepchnęło go od ściany i rzuciło na ziemię.
Kiedy wstał,
John już wyszedł z pokoju,
więc za nim poszedł,
żeby sprawdzić, co się stało.

ZACHÓD

II

Miasto i wieś

4.
 Charlie Blue, zastępca szeryfa,
 aresztował mężczyznę znanego w mieście jako „Gunnysack
 Joe”,
 podejrzanego o to, że wraz z innymi
 ukradł stado koni.
 Blue powiedział, że „Gunnysack Joe” w czasie aresztowania
 oznajmił mu,
 że oskarżeni o kradzież koni
 rozłożyli obóz około czterech mil od miasta.
 Blue zebrał spośród mieszkańców pościg
 w celu złapania złodziei
 i odzyskania koni.

„Gunnysack Joego” wsadzono do bryczki, żeby pokazywał
 drogę do obozu,
 a Blue jechał na czele, żeby jako pierwszy go wytropić.
 W końcu zawrócił i oznajmił, że nie znalazł żadnego obozu,
 gdzie według „Gunnysack Joego” miałby on się znajdować;
 wziął bicz,
 wyciągnął z bryczki Joego za kajdanki na rękach,
 i zaczął go tym biczem walić,
 żeby powiedział,
 gdzie ten obóz tak naprawdę jest.

„Gunnysack Joe” błagał ludzi z oddziału pościgowego,
 aby go obronili:
 ci wzięli go w obronę,
 a Blue przestał wymierzać chłostę.
 Po powrocie do miasta
 „Gunnysack Joego” trzymano w areszcie
 pod nadzorem.

Charles Reznikoff (1894-1976) – poeta amerykański pochodzenia żydowskiego należał do luźnej grupy poetyckiej tzw. Obiektywistów z Louisem Zukofskym na czele. Poeci ci, najczęściej potomkowie Żydów z Europy Wschodniej (właściwie prawie nieznanymi szerszej publiczności) uprawiali poezję wychodzącą od obrazu miejsca (najczęściej miasta), wielokulturowej jego specyfiki (realia), przechodząc następnie do formalnej gry myśli, refleksji, skojarzeń. Odwoływali się do twórczości Pounda i Williama oraz do tematyki żydowskiej. W każdym razie tak można powiedzieć o samym Reznikoffie, który poza tym używał zwykłego języka, tematyki wielkomięskiej, poruszając coraz częściej tematykę moralną człowieka w świecie i historii. Reznikoff studiował dziennikarstwo, dłużej prawo, a pracował w handlu oraz następnie w wydawnictwie.

Debiutował w 1918 roku, w zasadzie wydawał tomiki własnym sumptem. Sławę zaczął zdobywać dopiero na przełomie lat 50. i 60. m.in. jako autor tomu „Inscriptions:1944-1956”, a szczególnie wyboru wierszy „By the Waters of Manhattan” (1962). Pisał początkowo krótkie wiersze-olśnienia „imażynistyczne”, następnie długie narracyjne poematy oraz cykle wierszy o wymowie etycznej, a zarazem oparte na dokumentach-świadectwach historycznych: „Holocaust” (1975) o zagładzie Żydów oraz właśnie wcześniejsze „Testimony” (Świadectwo): „Testimony: The United States, Recitative, 1885-1890; 1891-1900 (dwa tomy, 1965,1968); kolejne wydania z uzupełnieniami: „Testimony. The United States: Recitative”: Vol. I: 1885-1915; Vol. II: (1885-1915)– rok tej publikacji 1978.

„Testimony” przynosi w blisko 460 utworach „obiektywny” (nienaruszony komentarzem odautorskim) zapis sądowych procesów karnych, majątkowych, cywilnych z przełomu XIX i XX w., które świetnie charakteryzują tygiel narodowościowy, kulturowy, osobowościowy imigranckiej Ameryki.

Pewnego wieczoru, nie tak długo potem,
 „Gunnysack Joe”, mimo iż był skuty i nadal
 aresztowany,
 przebywał w saloonie,
 kiedy Charlie Blue wszedł
 i zdjął mu kajdanki,
 mówiąc, że jest już wolnym człowiekiem,
 a potem zapytał go, czy jest z tego zadowolony.
 „Gunnysack Joe” odparł, że tak,
 na to Blue zapytał, czy by się z nim napił,
 a ten odparł, że tak.
 Blue dalej pytał, czy on jest jego przyjacielem,
 czy wrogiem,
 a „Gunnysack” odparł:
 „Traktowałeś mnie w taki sposób,
 że nie mogę być twoim przyjacielem”.
 Blue zapytał z kolei, co on zamierza z tym
 zrobić,
 a Joe odpowiedział, że
 nie wie, co miałby z tym zrobić.
 Wtedy Blue ponownie zapytał,
 czy jest jego przyjacielem, czy wrogiem,
 a „Gunnysack Joe” odpowiedział,
 że nie jest jego przyjacielem.

Natenczas Blue wyciągnął pistolet i wymierzył
 w niego,
 poruszając kurkiem do tyłu i do przodu,
 powtarzając swoje pytanie,
 na co „Gunnysack Joe” rzekł:
 „Teraz muszę być twoim przyjacielem”.
 Blue powiedział, że jest tchórzem
 i ponownie podniósł pistolet,
 znowu pytając, czy jest jego przyjacielem.
 „Gunnysack Joe” odpowiedział tak: „Chcesz
 znać prawdę?
 No więc Charlie, nie lubię ciebie”,
 a wtedy Blue go zastrzelił.

WYBÓR WIERSZY I PRZEKŁAD: KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Cezary Sikorski

Bronka — córka Szczepana — urodziła ojca pod koniec grudnia, prawie trzynastcie lat przed wielką wojną. Poród nie był trudny, choć była drobna, miała wąskie biodra, a on był jej pierwszym dzieckiem. Gdy trzynastcie lat później — po upalnym wrześnie i krótkiej, wojennej jesieni — spadł pierwszy śnieg, Bronce przyszło urodzić dziewczęte dziecko. Wody odeszły wieczorem. Poród trwał aż do rana. Ojciec uspił młodsze rodzeństwo, a potem — by nie słyszeć przekleństw męża Bronki i wrzasku matki — na całą noc przeniósł się na stryżek z sianem nad oborą. Nikogo to nie dziwiło, bo ojciec rzadko sypiał razem z rodzeństwem w chatupie, od kiedy począł się onanizować.

Przed świtem okazało się, że to dziewczynka. Widać poczuła zbliżające się nad stanisławowski powiat bezbożne pogromy i pożogi, bo ułożyła się w Bronce poprzecznie i z pośladkami wypiętymi na całą świat

w końcu radosne ciepło zaczęło rozlewać się po jego plecach. Pulsowało mocno. Wciąż niżej i głębiej. Było piękne, bo wyzwało go z pęt kościelnej rezurekcji i skazywało na przytomnienie w opuszczeniu ud i łędwiami. Wykrzywny w spazmie próbował przezwyciężyć ból, by przedłużyć fizyczną ekstazę. Czuł albo raczej snił — nieprzytomny lub prawie martwy — że potrafi rozciągnąć w nieskończoność ten symbiozę cierpienia i błogości. A im dłużej to trwało, tym bardziej zbliżał się do tajemnicy, którą kobiety z Delejowa mimowolnie przekazują mężczyznom i niemal równocześnie — także po raz pierwszy — poczuł tę dialektykę bólu i radości, której sens znajduje się gdzieś za granicą życia.

Zapewne był to przypadek, że na tym sianie, nad oborą, rozkosz miała twarz i zapach Mańki Żurawickiej, i że to ona ogłuszyła go we śnie porażającym bólem, który sprawił, że nie mógł przestać krzyżeć.

tylko kwitnie, ale i kalekuje. Któż sprowokował i utrwalił ten prosty automatyzm skrajzeń? Być może wcześnie chrześcijanie, którzy modląc się w cieniu okrutnych rzymskich bogów, nadawali ojcu same prawe skłonności. A przecież także Jahwe potrafił gorliwie uśmiercić swoje potomstwo, gdy choćby w najmniejszym stopniu naruszałoby raz ustalone zasady. Korzystając z jego figury, pozabawiliśmy go okrutnego oblicza i zapomnieliśmy o tym, że chroniąc stworzony ład, ten prastary ojciec potrafił być bezwzględny i śmiercionośny. Czyż jednak cały bagaż tych źródłowych przeciwieństw uległ całkowitej amnezji? Wszak nadal do źródeł tej dialektycznej tradycji odwołuje się sam język i w samym języku ojcowego stworzenia ukryte jest przeciwieństwo życia.

Mówimy, że ojciec troszczy się i troska tym, co istnieje, bo nigdy nie jest pewien, czy aby całe jego stworzenie osiągnie poziom jego genialnych zamiarów i szalonych zamierzeń. Dobry ojciec — co to z niczego coś powołuje do życia — wciąż się martwi i zamartwia tym, co już stworzył i co jeszcze wytworzy, a przecież całe to jego zamartwienie powstaje i wciąż odtwarza się

OJCIEC — ALBO O NICZYM

schowała się na dobre w jej przytulnych trzewiach. Tymczasem Bronka wciąż parła i coraz głośniej krzyżała, lecz z każdym skurczem, które powołać miało na świat nowe życie, krocze Bronki coraz mocniej wypełniała zaczęta krew — czarna niczym pozbawiony kolorów niebyt.

Dziecko walczyło z siłami natury, które wciąż wypychały je na zewnątrz, a czym mocniej pchało, tym bardziej deformowały jego ciało. Wola nieurodzenia pozostała nieugięta. Nawet wdowa Borkowska, która w Delejowie swatała młodych i pomagała przyjąć na świat małym uparciuchom, wezwana na pomoc o świcie, nie potrafiła rozwiąć tej tamigłówki bezładu życia i przemożnej woli śmierci. W końcu miała wygrać. Potamona i uduszona przyszła na świat martwa. Bezsztatna czyli jakieś nic, albo i jeszcze gorzej.

O tej samej porze, zagrzebanemu w sianie ojcu śniła się Marianna — drobna blondynka od Żurawickich, z piegawatym nosem, mieszkająca pod Tumirzem, przy szosie na Łany, pod numerem siedemdziesiątym. Była od niego o rok młodsza, ale miała już całkiem pulchne piersi i delikatne, rudawe włoski tonowe, które ojciec chciał bardzo pogłaskać, gdy pod koniec lata — po beztrzeskiej kąpieli — suszyli się w krzakach nad rzeką. Lecz wrześnieowy upał lub może sztukasy, które leciały nisko wzdłuż Dniestru w kierunku Stanisławowa, sprawiły, że nic z tego wówczas nie wyszło. Gdy wyciągnął rękę — kreśląc w wyobraźni poufale znaki na jej udzie — Mańka uciekała z powrotem do wody, a potem patrząc w niebo krzyżała, by sobie poszedł, bo się inaczej utopi.

Z zażenowaniem i wstydem uciekał potem ojciec od tego wspomnienia, lecz w końcu owej śnieżnej nocy, we śnie — Mańka Żurawicka przyszła do niego. Po drabinie. Na stryżek z sianem — nad oborą. I była prawie naga. Stąpała odziana w ciepłe, wełniane skarpety. I pozwalała na wszystko. Przytulił, więc twarz do jej brzucha. Objął mocno mańkowe pośladki. A potem poczuł odurzający zapach kwaśnego mleka zmieszanego z tamaryszkiem.

Śnił intensywnie. I tak gwałtownie, iż

Więc wił się paraliżowany przez skurcze i był prawie pewien, że umiera, gdy równocześnie mąż Bronki — próbując go obudzić — wrzeszczał mu prosto do ucha, że to nie on, ale że ona umarła.

— *Umarła!* — krzyknął raz jeszcze, gdy ojciec zacisnął mocno oczy i próbował pozostać we śnie. — *Umarła!* — powtórzył i chcąc podkreślić wagę wydarzenia, zdmknął go mocno otwartą dłonią w lewą skroń, co najpierw przerwało czułe spotkanie z Marianną, a chwilę później zmusiło go do otwarcia oczu. — *No mówię, że umarła* — powiedział już prawie cicho mąż Bronki, gdy zobaczył, że ojciec się obudził i że krew mu się sączy ze skaleczonego tuku brwi. — *Chodź, pomożesz mi w domu. Nakarmisz gazdine i dzieciaki.*

Nie miał innego wyjścia. I choć bał się konfrontacji z tym wszystkim, co go tam czeka — powłókt się za nim. Lecz później zwlekał i przez długi czas nie zajął do izby, w której całą noc męczyła się Bronka. Napalił najpierw w piecu, spalił zakrwawione szmaty. Potem poszedł do obory, skąd nawaływała go krowa i dwa warchlaki. Gdy oporządził zwierzęta, wrócił do domu, posprzątał kuchnię i nakarmił rodzeństwo. Przez cały ten czas mąż Bronki siedział w kącie i nie odzywał się. Ojciec też nie był rozmowny. Poza tym bał się zapytać, co z Bronką, więc aż do południa nie był pewien, któż to tej nocy właściwie umarł — matka czy siostra.

Wiele dróg prowadzi od słowa do słowa. Jawnych i skrytych. Ponętnych i prostych — trudnych i zawitych. Nie inaczej łączy się proste słowo ojciec ze studnią pojęć życia. Ojciec jest płodny. Ojciec kreuje. Nie tylko nas. Wszystko, co żyje. Cały świat, jego dobro i zło, porządek i rozgardiasz. A potem wciąż walczy, by ochronić przed chaosem swoje jestestwo. Ma to — na co zastużył. Mógł przecież nie wymyślać wszystkiego przedustawnie, mógł przed zaraniem odziedziczyć ziarno od plew — zanim stało się światło. Gdyby tak zrobił, nie miałyby na głowie potowy problemów i nigdy nikt nie oskarżałby go o to, że również zło jest jego emanacją i że to z jego powodu świat nie

z tego, co martwe, więc już na wstępie martwiąc się traci czucie na samą myśl, że może stać się martwym. Martwieć, martwić i martwić się stoją blisko życia i tworzenia. Zarazem zamartwienie i martwienie to niepokój i śmierć, więcej — to smutek i obawa, a nawet paraliżujący strach i groza, która towarzyszy temu, kto jest tylko po to, by tworzyć życie. Ojciec nie może więc być beztrzeski, bo się zawładny umartwia swoją kreacją, a martwiąc się martwieje sam i czucie traci najsamprzód, gdy po omacku manipuluje w owej nicości, z której coś do życia powołuje, albo w okamgnieniu później, na niedostrzegalnym dla postronnych wstępie wszelkiej kreacji.

Czyż nie to przydarzyło się mojemu ojcu, gdy ze snu o Mariannie powrócił do zmarłwatej od śmierci chatupy? Czy nie dlatego robił wszystko, by oddalić nieuchronną konfrontację wspomnień błogich skurczy łądźwi z paraliżującym strachem przed śmiercią? Wczesnym popołudniem Bronka zawołała go, by chwilę posiedział przy niej. Siedział więc w nogach i nie patrzył na matkę, która wciąż milczała. Ojciec nie wiedział jak się zachować. Czy miał się wzruszyć? Wykrzyżeć przerażenie? Albo smutek utraty? Czy może powinien pokazać, że jest silniejszy niż ona i że potrafi ją wesprzeć mimo, że ona wcale go o to nie prosiła? Być może nie wiedział, w jaki sposób trzynastolatek może uczestniczyć w rytuałach dorosłych. Przysiadł więc tylko na brzegu łożka, z dala od matki, i powoli przesunął wzrok od zawiąntka, które obejmowała wystającym spod pierzyny ramieniem, wzdłuż linii jej postarzałej szyi, aż do umęczonej twarzy. Unikając jej wzroku, zastanawiał się, co będzie dalej. Nie potrafił przysunąć się bliżej, bo bał się bólu matki i śladu śmierci, który leżał tuż obok niej, zawiąnty w szmatkę.

Cóż tam było w tych gągankach? Śmierć czy tylko jej fizyczny przejaw, niebyt w najczystszej postaci, czy jedynie jakaś jego forma, zaledwie pozór, w jaki przejawia nam się nieistnienie? Jak rozwiąć ten problem, gdy ma się do dyspozycji tylko siebie i chaos niewiedzy o tym, czego nie ma? Jeżeli po drugiej stronie jest tylko to, czego nie ma, jeżeli tylko podpierając się niczym przed-

stawić można owo radykalne zaprzeczenie życia, to jak je oswoić, jak wyobrazić, jak je pomacać i opisać? Strach przed śmiercią jest może wyłącznie skutkiem niedostatku wyobraźni, bo gdy stoimy naprzeciwko istoty nieokreślonej, gdy dotknąć chcemy czystej abstrakcji, pustego pojęcia, wówczas horror nieistnienia przenosi się na nas samych, bo niczym w lustrze niebytu przeglądamy się i nie tylko samych siebie, ale w ogóle niczego nie widzimy. By nie zatracić się w tej spekulatywnej nicości, trzeba jak najszybciej dorobić śmierci oczy, nos, usta, sylwetkę, którą najlepiej puścić w ruch, by chodziła, patrzyła na nas i gadała do nas.

Nie inaczej postąpił wtedy ojciec. By śmierć przestała być czystą abstrakcją, jakimś pustym i niewyrażalnym przeciwieństwem życia — straszną ciszą, jałowizną koloru, bezruchem codziennej krzątany, przypomniał sobie, że nad ranem mąż Bronki zawezwał starą Borkowską, która przyszła, ale nic nie wskórała i tylko wyjęta z Bronki martwy płód. Usadawił więc Borkowską w tym samym obszarze swojej wyobraźni, w którym wcześniej za sprawą Mańki Żurawickiej rozkosz potoczyła się z bólem i nadat śmierci postać wdowy Borkowskiej. Tak oto śmierć przybrała powłokę tej wysokiej, szczupłej i zawsze starej kobiety, która we wsi nie tylko swatała młodych, ale i pomagała umierać. I przeraził się tej dosłowności, jaka zagościła w jego wyobraźni, bo przecież lubił starą Borkowską i nigdy wcześniej nie myślał, że śmierć jest jak ona, że może się jej przestraszyć tak, jak nagle zaczął bać się prawdziwej śmierci.

Wyobraził więc sobie, że to stara Borkowska wciąż siedzi tuż obok niego i poszturkuje go w ramię, by wreszcie coś zrobił, bo przecież nie można było zostawić matki tak całkiem samej z tym całym zmartwieniem.

— Daj mi ją — powiedział głośno i tak wyraźnie, jakby dobrze wiedział, co z nią powinien zrobić.

— Dobrze Stasiu, weź ją — szepnęła Bronka. — Zrób coś z nią, bo ja nie dam rady.

Ojciec, by umrzeć, umierać musi wiele razy. Niekiedy blisko samego siebie, w sferze własnej kreacji, a więc realnie, gdy tworzy jego płodności zaczynają wymykać się mu spod kontroli. Niekiedy w obcej, symbolicznej przestrzeni — w fantazjach potomstwa, które już samo o wszystkim chce decydować i rozpoczyna sąd nad pantokreatorem. Ojciec umarł raz pierwszy, gdy zamknął drzwi do izby, w której — w potogu — leżała Bronka. W rękach trzymał zawinięte w gałgany niemowlęce zwłoki i nie wiedział, co z nimi zrobić. Nie liczył na pomoc dorosłych. Ksiądz na parafii odprawiłby go pewnie, tłumacząc nie stosowność sytuacji po łącinie. Matka była chora i nieobecna. A mąż Bronki wybrał się po chrust do wodnickiego lasu, by nie mieć z tym nic wspólnego.

Ojciec odwinął szmatki i zajrzał do zawiniątka. Nie było tam nic, co byłoby podobne do człowieka. Siły natury zdeformowały rysy twarzy i kształt głowy dziecka tak bardzo, że martwe niemowlę — pokryte granatową, sztywną skórą — przypominało mu żabę, którą na gościńcu rozgniołto zbrojone koło pocztowego furgonu. Czy takie stworzenie zasługuje na imię? Czy należy mu się pochówek? A jeżeli tak, to gdzie się pochować?

Nie znał odpowiedzi na te pytania, więc ruszył bez celu, chcąc jak najszybciej opuścić rodzinną zagrodę. Wciąż trwał przedpołudnie. Mróz nie ustąpił. Tuż za płotem, na pustym gościńcu tężalo na kamień delejowe błoto.

Mógł pójść na lewo, w kierunku młyna, choćby po śladach Borkowskiej, która by mu

pewnie objaśniła, co i jak powinien z zawiniątkiem zrobić. Bo przecież nikt bardziej niżeli ona nie mógł się poznać na śmierci. To nie przypadek, że Borkowska była kobietą większą od wszystkich mężczyzn we wsi. Miała ciemną, kałmucką karnację i pojedyncze, długie czarne włosy nad górną wargą. Poza tym nie raz uczestniczyła w boleściach poróżnienia i zgonu. Jako akuszerka i swatka lub jako pomocnik i świadek, który z lusterkiem sprawdza, czy ciało już na zawsze uwolniło się od żywej wilgoci i powietrza. Zatem to od niej mógłby się wszystkiego dowiedzieć. Ale też nie kto inny jak ta Borkowska sprawiała, że się jej ojciec strachał. Dlatego w jego fantazjach Borkowska potoczyła się ze śmiercią na trwałę. I tak trwały bez ustanku, w tajemnym uścisku i żadna nie chciała puścić. — Tak — pomyślał ojciec. — W jakiejś części to mogła być jej sprawka, bo tylko ona, w ostatnim czasie, zbliżyła się zbyt blisko do matki. I dodał szybko sam do siebie, bez kropki i przecinka:

— Nie idź tam.

Nie poszedł więc za nią. Skręcił gościńcem na prawo, w głąb wsi, po śladach męża Bronki.

*

Delejów był wtedy dużą wsią. Miał grekokatolicką parafię i bożnicę, a także młyn i drogę, którą dojść można było aż do stacji kolejowej w Dubowcu. Pod numerem 51 — w chałupie rokiej i zadymionej, wchodzącej z każdym rokiem coraz głębiej w grunt wokół drogi — urodzili się prawie wszyscy krewni ojca. Przez długie lata płyny przynależne do chaosu rozrodzności przesiąkły ten dom swymi niepowtarzalnymi zapachami. Był tam odpychający kwas potu i stłoczony krwi, zjeżdżające zapachy podniecenia i strachu. Lecz wszystkie te ślady — narodzin oraz powiązanych z nimi śmierci — nie miały nigdy dla krewnych ojca zbyt wielkiego znaczenia. Żyli obok nich, obojętni i ulegli na wszystko, co się im mogło wydarzyć. Może i trwali tam całe wieki, od pięciu, a może i od dziesięciu pokoleń. Lecz im bardziej trwali, tym mniej ważna była w ich życiu ta codzienna zmiana, która w sposób oczywisty wiąże się z kontynuacją — rytuał chrztów i sacrum namaszczeń. Dzieci rodziły się pulsacyjnie i namacalnie niczym pory roku. Starcy odchodzili z nieuchronnością właściwą ruchom gwiazd na nieboskłoncie. Czy coś leżało u podstaw tej trwałej niczym skała niefrasobliwości i bez troski?

Może to, że w parafialnych księgach ślubów po rodzicach i świadkach tamtych wydarzeń pozostały jedynie fikuśne krzyżyki, które stawali przez lata na potwierdzenie prawdziwości wpisów wikarego? Czy byłby więc zlekceważony i zapomniany ten — wymierzony w nicość i śmierć, pełen niemego bólu i perwersyjnych krzyków — wysięk obu płci ojcowego klanu tylko z powodu ich słabości w sztuce pisania i czytania? A może nie to było przyczyną ich obojętności? Być może wszelakie lektury i zapisy w ogóle ich nie dotyczyły. Istniały bowiem w innym porządku, należały do nieokreślonej przyszłości, podczas gdy teraźniejszość wiązała ich sztywno z prawidłami przyrody i nakazywała zachowywać się zgodnie z jej sztywnymi, choć niepisanyymi regułami. Może byli niczym ogień i deszcz, podobni do powietrza i wody, wyraźni jedynie w tym wyjątkowym splocie działań: kobiet podtrzymujących trwanie poprzez uległość krocza i produktywność trzewi, oraz mężczyzn o mikrej posturze, którzy chcąc trzymać się z dala od ważnych wydarzeń, wciąż podzili kolejne pokolenia bez przerw na święta i pogrzeby? Tak właśnie pojawiali się na świecie — by umrzeć. Po drodze nie myśleli o śmierci zbyt często i starali się nigdy o niej nie mówić.

Mąż Bronki był podobny do swoich przodków. Drobnej postury, o szczupłej twarzy, nie lubił ciężkiej pracy w polu. Wprawdzie miał się czasem murarki, lecz wolął doglądać pszczoł lub dorabiać handlując chrustem i grubszym opatem. Pozbawiony humoru hodował pod nosem mały wąsik, który wąską kreską zarostu łączył górną wargę ze szczytem nosa. Kilka lat później z tym chaplinowskim wąsem przemierzył prawie całą Europę — od Lenino aż do Berlina — i ani razu nie przyszło mu do głowy, by go zgolić. Poza tym milczał. Zawsze, gdy pracował. Ponadto czynność ta zajmowała mu również większość wolnego czasu. Nawet, gdy podejrzewał, że na jakiś temat wie cokolwiek więcej — i tak wolął się nie wypowiadać, co tłumaczyło jego egzystencję z wionącą lekkiem pustką oraz sprawiało, że był ponurakiem.

Ojciec nauczył się szybko, by męża Bronki o nic nie pytać, bo i tak nie otrzyma odpowiedzi. I nawet nie drażniła go cisza, jaką mąż Bronki rozsiewał wokół siebie. Lecz przez dnia to pospolite milczenie uległo głębokiej przemianie. Wchłonęło cały złowrogi kontekst i stało się fragmentem niemej eschatologii. W jednym szeregu stanął nagle mąż Bronki i śmierć, nicość i jego — dotąd niezrozumiałe — milczenie. Także sama cisza uległa transformacji. Była teraz fragmentem jałowej pustki, która przenosi myśli w rejony bezdenne nieistnienia. W ten sposób wszystkie proste określenia śmierci, które przywołują wciąż kolejne przybliżenia niczego i nicości, wzbogaciły się o niedający się przecenić konkret: twarz męża Bronki, jego wąskie, zacisnięte usta i mały wąsik nad nimi.

Tymczasem śnieg znów zaczął padać i coraz szerszymi pokrywał połacie zmrożonego błota. Ojciec po złości przystanął, bo przypomniał sobie, jak dotkliwie i bez powodu mąż Bronki uderzył go rano. Z ranki na łuku brwiowym już nie sączyła się krew, lecz wokół oka pulsował ból i obrzmiewała sinizna. Z nagłą przyspieszył, mocniej ścisnął łobotek z martwym płodem i susem odbił przez rów na pole. Na ścieżkę, która na skróty prowadziła do tumirskiej skały, niedaleko domu Szczepana. Jak najdalej od miejsc, gdzie uschłe gałęzie zbierał właśnie mąż Bronki — w inną stronę, po innych śladach, byle nie za ojcem.

*

Krótki grudniowy dzień szarzał już, gdy ojciec doszedł do domu dziadka Szczepana. Szczepan już prawie piętnaście lat mieszkał w pobliżu tumirskiej skały. Od kiedy zobaczył ją pierwszy raz — ugościł się z nią, bo poczuł, że ona przygarnęła go do siebie. Jej piaszkowy kamień był stary, spękany i porośnięty krzewami. Nie była zbyt wysoka, najwyżej dziesięć ruskich sążni. Od południa stroma i niedosiężna, od północy — pochylona ku ziemi — pozwalała odważnym i ciekawskim dotrzeć na sam szczyt. Stara Borkowska mówiła, że to, co widać, jednak się ma do rzeczywistości, bo przecież tylko czubek skały wystaje ponad ziemię. Reszta spoczywa głęboko, poniżej gębów Dniestru, którego podziemne wody docierają do niej nie tylko podczas wiosennych roztopów.

— Och! — nie lękata się krzyknąć do wiejskich niedowiarłów — twardy to i nader ciężki kamiliton rzeki, istnia to amicycja mocy, która wprawdzie dodaje śmiałości temperamentnym, lecz równocześnie pograża w niepokoju wszystkich małodusznych!

Kiedy Szczepan poznał tumirską skałę — był wdowcem. Przybył z zachodu, szukając kontrapunktu dla swojego życia. Z niewielkim zapasem gotówki i dwoma córkami, z którymi nie bardzo wiedział, co ma począć. cd. str.22

Spodobata mu się niewielka polana poniżej skały. Słoneczna, otoczona iglastym starodrzewem, przez który przezierał żółtawy kamień wielkiej skały. W zasięgu jej mocy — z bali świerkowych — postawił obszerny dom. Sądził plotkowali, że to dzięki niej tak szybko wydał za mąż obie córki. Lecz zaraz potem znalazł sobie młodą żonę, z którą — przez kilka lat — zaludnił dom gromadką dzieci. I na to już nikt we wsie nie mógł znaleźć przyzwoitego objaśnienia.

Szczepan niewiele pamiętał ze szkoły. Na pewno Jana Mazgaja — nauczyciela matematyki. Tego, który przysposobił go do życia w świecie, co obsesyjnie przelicza przypadek na zasady i — w sposób równie zawodniaki — poddaje transformacji najdrobniejsze cokolwiek w tajemne wszystko. Ta okoliczność, do której długo nie przywiązywał wagi, później — gdy zmęczony swoją pierwszą, gderającą żoną i głodnymi dziećmi uciekł do Ameryki — pomogła mu poradzić sobie wśród ludzi, których ani zwyczajów, ani języka nie rozumiał. Często wspominał także mazgajowe deklaracje, które miały raczej luźny związek z matematyką. — *Zapamiętajcie psu braty — często powtarzał Jan Mazgaj, odwrócony do klasy tyłem — że w tym świecie droga prosta i krzywa jest jedna i ta sama i że wszystko jest niczym, bo nieskończona jest liczba obłych i przepięknych twarzy nicości.*

A gdy już tak powiedział — zawsze głosem podniesionym i piskliwym niczym jakiś młody, niedoświadczony ksiądz — wówczas odwracał się gwałtownie i przyglądał się bacnie każdemu uczniowi z osobną tak przenikliwie, że wszyscy wstrzymywali oddech i stawało się cicho — bardzo cicho. Tak cicho, że od tamtej pory każdy z tych uczniów prawie na zawsze — czyli prawie do końca swych świadomych chwil — przechowywał w sobie tę bolesną ciszę i stanowiąc za często, budził się w nocy z krzykiem i nadzieją, że już po tym przebudzeniu na zawsze będzie gwaro.

W takich chwilach Szczepan milczał na bezdechu. Na wpół uduszony, z kolejną prawdą Jana Mazgaja w głowie, milczeniem takie nazywał po prostu — milczeniem śmiertelnym. Nie tylko dlatego, że sam przekraczał kiedyś te dziwne, beztleńowe granice, które utkwily mu w podkorowych warstwach mózgu. Także i z tego powodu, że puenta lekcji prawie zawsze była ta sama. Jan chwycił się za głowę obiema rękami, pęczniał na twarzy i znów odwracał się tyłem do dzieci. Po czym ze ściśniętymi oczami mówił w kierunku pustki przed sobą, czyli do martwej, czarnej tablicy: — *Nieśmiertelni są śmiertelni, a śmiertelni nieśmiertelni, bo to, co wilgotne wysycha, a suche wilgotnieje.*

Od kiedy dowiedział się od swojej drugiej, młodej żony, że znów zostanie ojcem, Szczepan lubił prowadzić dziennik rodzinnych wydarzeń. W Ameryce podejrzali zwyczaj zapisywania ważniejszych wydarzeń na wakacyjnych stronach opastych wydań biblii. Sam jednak nie był zbyt religijny, jak większość chłopskich synów z okolic Tarnowa, którym udało oderwać się od zagonów żyta — nie wiele większych od chusteczki od nosa — i bez wyraźnego zamiaru przemierzyć połowę świata.

Biblii nigdy zatem nie miał i nie zamierał kupować. Znacznie poręczniej korzystając było z prostszych form organizacji życia i przysposobienia do śmierci. W roku 1928 po raz pierwszy kupił za 30 groszy opastę kalendarz wiejski wydawnictwa Gebethner i Wolff. Księga ta pełna była dobrych rad na każdą okoliczność. Pouczata — z regu-

ły tuż obok siebie, na jednej stronie — co robić należy jednocześnie w sferze historii i bieżącej polityki, w dziedzinie higieny i sztuki kulinarnej. Szczepan pomijał jednak te przynależne wyłącznie do teraźniejszości zalecenia i skupiał się wyłącznie na długim trwaniu, w którym rzeczy istotne równie dobrze wydarzyć by się mogły dziś, jak i za sto lub nawet za tysiąc lat. Zgodnie z nimi Szczepan wierzył, że żyto najlepiej siać w nowiu, a świerka na chatupę ścinać powinien podczas pełni księżyca. I że patrząc z uwagą na niebo w nocy można zawsze zaplanować podróż tak, by dojechać do celu, a i życie przeżyć tak, by nie umierać podczas jesiennej stopy.

Oczywiście, nigdy nie sądził, że będzie żyć tak długo, iż przeżyje swoich bliskich i w formie intymnej zbliży się do prawd, których oni nigdy nie zrozumieją. Był pokorny. Wiedział, że to, co mu pozostaje rozgrywa się w sferze szczegółów, w dziedzinie drobniaków, poza granicą rzeczy ostatecznych, a więc tam, gdzie nie mają dostępu — zamknięte mocno pod powiekami — mądrości Jana Mazgaja.

Może dlatego na zbyt szerokich marginesach, jak i na wolnych — specjalnie pozostawionych do dyspozycji domorosłych kronikarzy — polach kalendarzy nigdy nie pisał o tym, czego sam nie poczuł i czego nie był pewien: że należy do tej rzeczywistości, która zginie, gdy już nie będziemy na nią patrzeć i która nigdy nie będzie miała żadnego związku z matematyką. Tak oto Szczepan walczył z bezdechem nicości, który zalał się między jego płucami i mózgiem za sprawą Jana Mazgaja — jego nauczyciela matematyki i śmiera.

Pierwszy wpis Szczepana miał formę lakonicznego traktatu, który znaleźć można na stronach wieńczących lipiec 1928, pomiędzy drobniawką instrukcją klepania kosy i artykułem o zaletach popłonów z peluski i lucerny: — *Jestem fragmentem — pisał Szczepan. — Ograniczonym w czasie i w przestrzeni szczegółem całości, której nie ogarniam. Niewiele wiem, bo tylko o sobie wiem co nieco. Domyślam się, że wszystko, co jest ograniczone ma początek i koniec. A więc jest śmiertelne. Płodzę dzieci, by temu zaprzeczyć, lecz nic nie chroni mnie przed śmiercią i nie tłumaczy, jaką rolę spełniam w ogólnym porządku. Nieskończoność i wieczność, o których nie wiem, zniewala mnie i przytacza. Ale jeszcze bardziej przynębia mnie każda znana cząstka, każdy śmiertelny detal, przemijający utarek, płachetek bytu, najprostsza reszka — ja.*

Ostatni wpis Szczepana miał miejsce w grudniu pierwszego roku wojny. Znalazł swoje miejsce w *Kalendarzu wiejskim* na rok 1939. Przypomnienia gospodarskie na grudzień zalecały, by przed mrozami przywieźć parę wozów piasku i zyspać go gdzieś pod dachem, by mieć go pod ręką do posypywania na czas gołodzi lub w wypadku utworzenia się lodówki na podwórzu i w przejściach. Wspominało też, że w długie zimowe wieczory każdy rozumny rolnik powinien uzupełniać swe wiadomości, pilnie czytając czasopisma oraz książki rolnicze i społeczne. Poniżej Szczepan pomieścił dopisek, który wykroczył poza karty grudnia i zapisał cały wakat przynależny do następnego roku: — *Był dziś u mnie Staś, wnuk od mojej córki Bronki. Przyszedł do mnie zwinnięty i zbolaty, trzymając pod pachą zawiniątko ze zwłokami siostry. Bronka urodziła ją martwą i nie wiedziała, co z nią zrobić. Staś zabrał zwłoki, by udowodnić, że potrafi już decydować za innych. — Daj mi ją — powiedział do niej — bo wiem, co z nią zrobić. — Ale nie wiedział. Poczut się*

staby i chciał jak dziecko przytulić się do mnie. Lecz na przeszkodzie bliskości stanęła lodowata siostra, którą wciąż przyciskał do piersi. Pomyślałem, że już miał szansę wykąsać się męstwem i że teraz powinienem mu pomóc ją pochować. Wziąłem topatę i oskard. No i poszliśmy. Razem, we troje, ścieżką pomiędzy starymi świerkami, aż pod tumirską skałą. Nie było łatwo wykopać dołek w zmarzniętej ziemi. Na zmianę tłukliśmy kilofem szklistą ziemię i wybieraliśmy z grobu jej błyszczące okrucy. Potem położyliśmy matę na dnie. Przycisnęliśmy ziemię i kilkoma większymi odtamkami skały. I chcieliśmy ją pożegnać, ale nie wiedzieliśmy jak. No bo nic o niej nie wiedzieliśmy. I nawet ktoś dużo od nas mądrzejszy, nic by o niej nie potrafił powiedzieć. Bo jak tu cokolwiek powiedzieć, gdy żadne słowo do niej nie posuje. Ani że piękna, ani że brzydka, ani że dobra, ani że niedobra, ani że żyła, ani że nie żyła. Bo niby była, ale i nie była. Taka drobinka w czasie, jakiś okruszek w przestrzeni, który należy do świata wyłącznie przez te zapartość, co ją zawęziła w trzewiach Bronki. Więc staliśmy tak jeszcze długą chwilę, która mi się rozciągnęła bolesnie, ze spuszczonej głowami, bez słowa, bo żaden z nas nie chciał być tym pierwszym, który odejdzie. I pewnie trwałoby to długo, gdyby Staś nie spojrzął ponad skałę, na niebo, które mimo braku gwiazd i księżyca już nie było czarne. Bo oto mrak rozpraszata jakaś luna, zielonkawa-pomarańczowa poświata, jakaś dziwna jasność, która dochodziła zza skały i pulsowała nad naszymi głowami w sposób, którego nigdy wcześniej nie widziałem. No i wówczas nie tylko on, ale i ja pomyślałem, że to właśnie moja — niedoszła, a najmłodszą — wnuczka wstępuje do nieba. I dopiero nazajutrz, dowiedziałem się od starej Borkowskiej — która zaszła do nas rankiem, nim Staś się przebudził — że tej nocy nie ją aniołki brały do nieba, lecz tych żurawiczków, co mieszkali przy szosie na Łany. Ich to bowiem tej nocy napadli i zgwałcili bandyci, którzy w miłosierdziu swoim poderzeli im gardła, nim spalili ich w zakrwawionych łożach i domostwach.

Miesiąc później, w pierwszych dniach lutego drugiego roku wojny, temperatura spadła do minus dwudziestu stopni. W środku nocy znów przyszła do ojca Mańka Żurawicka. I tym razem była naga, lecz ojciec nie chciał jej dotknąć, bo zląkł się chłodu, który od niej dochodził. I nie chciał jej pieścić, choć ona chciała i garnęła się do niego mizając jego policzki rudawymi włoskami tonowymi. I nie całował jej, choć ona prosiła, by przesuwając językiem po udach i całym jej podbrzuszu — bo tak przerażało go jej lodowate ciąto.

I może by nawet umarł tej nocy z zimna, gdyby tak dalej obcował z lodowatą Marianną, ale na szczęście przywróciło go do przytomności szczerkanie psów idące ponad lasem od strony Dubowca. Wstał wtedy z legowiska nad oborą i wyszedł na podwórze. Pokręcił się chwilę przed domem. Uspokoił psa, który bez ustanku biegał na uwięzi — po łuku, przy budzie. Ale sam czuł coraz mocniej lęk, którego nie potrafił słumić. Stał dalej przed chatupą i patrzył w ciemność. Nie dostrzegł tam niczego, więc tym bardziej bał się, bo przecież mogło tam być wszystko. Także to, o czym nie miał pojęcia, bo nigdy nie doświadczył tego na jawie. Kończył się czwarty miesiąc wojny, ale on nadal o wojnie wiedział tylko nic. Może i kochał się w Mariannie, ale przecież nawet nie wiedział, że kocha. Wchodził w wiek męski rozstając się z beztroskim życiem podlotka, lecz wciąż o życiu wiedział nic a nic. I właśnie tego nic lękał się najbardziej — bar-

dziej niżeli wszystkich obeznanym strachów. Postać więc tam jeszcze chwilę. Potupał na mrozie. A potem poszedł znów na stryszek nad oborą, położyć się i spróbować zasnąć, bo przecież wciąż było daleko do przedświata i brzasku. Długo jeszcze przewalał się z boku na bok na sianie. Lecz w końcu poległ — na wznak, lekko pochrapując. I zaraz zaczął śnić. Na przekór bylejakości jawy, wzbogacał swoje jatowe trwanie sekwencjami snu.

*

Śnił, że w nocy nagle obudzili się wszyscy. Że prawie równocześnie wstali z postąi ludzie w Trościańce i w Tumirzu, w Kończakach i w Międzyhorcach; i że prosto z łóżek podeszła do okien cała Meducha i Futolnia. Nie było to radosne przywitanie poranka. Dopiero co nastąpiła głucha, zimowa noc, pora, gdy włościanie z powiatu stanisławowskiego zastępowali w swych łóżkach i nie poruszali nawet gałkami oczu pod zaciśniętymi powiekami. Tymczasem ojciec śnił ich niepokój, gwałtowność przebudzenia, hałas i wrzask, obcych, którzy wbiegają do nich na podwórza, krzycząc i wymachując bronią. I chociaż wciąż niczego się nie domyślał, to jednak śnił wyraźnie, jak kończy się jedyny świat, jaki dotąd poznał i rozpościera się wokół niego przestrzeń przasnego zdziwienia i bezmyślnych mordów. Im bardziej chciał się obudzić i powrócić na swojski stryszek nad oborą, tym bardziej śnił — obraz za obrazem — fazy okrucieństwa, w których ci, co przeżyli gwałt przebudzenia pędzeni byli z pogardą na stację w Dubowcu, przez zmrożone powietrze, w oślepiającej ciemności, na piechotę lub dostarczeni tam byli niczym martwe snopki siana, jedni na drugich, na drabiniastych wozach, które wciąż kursowały tam i z powrotem.

I patrzył we śnie z wysoka, jak po Bronkę, jej męża, jak po niego i całe młodsze rodzeństwo przyjechali w nocy żołnierze na saniach, jak ich tłukli prymitywnie i małtkowato gdzie popadnie, zmuszając, by w piętnaście minut spakowali wszystko, co potrzebne na resztę życia. Otumaniony ze strachu śnił, jak wygonili ich w nieznaną i zapędzili do towarowych wagonów i jak z hukiem zaryglowali ciężkie drzwi. I to, jak przez prawie cały miesiąc stali to tu, to tam, na zagubionych na bezludziu bocznicach kolejowych, lub snuli się po zaśnieżonych torach w nieznanym kierunku, częściej cofając się niżeli jadąc do przodu.

I cały ten koszmar nie byłby aż tak straszny, gdyby w nim śmierć nie podpełzła do wagonu. Więc przyszła i wpełzła. Śnił o tym, że w trzecim dniu podróży wychłodził się na śmierć jego najmłodszy brat Antek, a kilka dni później również ta dziewczynka, której imię niezadługo zapomniał, tak jak zapomniał nawet kolor jej oczu i włosów, gdy na postoju wylewał z kubła pomyje i prosił strażnika, by ten pochował te drobiazgi jakoś po ludzku, no... choćby nawet przy torach. A już chwilę potem sen stał się wielokroć straszniejszy. W głowie ojca przestały stukać koła pociągu i otworzyła się zgnita przestrzeń. Niebo nad nim miało ziemiste barwy, a kontury rzeczy ledwo wyłaniały się z mroku. Razem z Bronką dyszeli ciężko, kopiąc w lodowatym stepie płytką ziemiankę. Usta miał pełne martwej ziemi, a za nim jęczało głodne rodzeństwo, gdy senny koszmar przemienił się w horror i umarł jego kolejny brat — Karolek. Lecz był to tylko wstęp do sennej mordęgi. Bo spotęgowało się jeszcze bardziej senne cierpienie, gdy — pilnując zwłok Karolka przed wścibskimi zwierzętami — czekał we śnie przez kilka zimowych tygodni, które rozciągnęły się w bolesną nieskończoność, aż rozmrozi się wierzchnia warstwa ziemi, by Karolka chociaż trochę pogrzebać.

*

I przysnił mu się dziadek Szczepan. Było to w innym czasie, może i nawet sto lat później, bo wszystko wokół — prócz skały tumirskiej — stało się obce i inne. Szczepan stał wysoko, ponad chmurami, na szczycie wzniesienia. Ojciec widział go niewyraźnie, od dołu, przez mgłę. Zdawało mu się, że dziadek mówi niepoważnie i że używa skojarzeń spoza pospolitego porządku. Tych, które dotyczą potępionych, co to w ubóstwie nie potrafią znaleźć bogactwa, ani w smutku dostrzec radości. I tych, co radość znajdują w pogardzie, bo tylko przez nią znaleźć mogą prawdziwe miłosierdzie. A także bestii krwiożerczych, które przez wojnę dotrzeć chcą do pokoju. — *Bo nie ma — kazał Szczepan — pokoju bez wojny, i tylko poprzez wojnę pokój przetrwa. I nie inaczej — dodawał — mają się sprawy miłości i sprawiedliwości — też ich nie ma póki nie zgwałci się wszelkich zasad i nie zbruka wszystkiego, co czyste. A potem już tylko krzyczał:*

— Potępieni będą ubodzy i cisi, zgnębieni pracowici i pokornii! Nie będzie świecić prawda, a to, co jeszcze istnieje, na zawsze rozpuści się w próżni!!!

*

A nad ranem przysnił mu się nieznajomy mężczyzna — przywędrował aż do Tumirza na piechotę, z daleka, od strony Stanisławowa, przez pola i lasy, wciąż omijając bestie i ludzi. Śnił, że przybył w porze dwuznacznej, tuż przed świtem, i wspiął się odważnie, prawie po ciemku, od południowej strony, na skałę tumirską. Spozrzegł go ojciec niczym na jawie: zdawał się młody, ni tajza, ni przybłąda, lecz jakiś już bez radości i bez nadziei na przyszłość — powolny i wolny jak starzec, który ugodził się ze śmiercią.

I śnił, że nieznajomy czegoś szukał, chociaż wcale nie chciał niczego znaleźć, bo raczej uciekał, krył się przed wojną, przed łoskotem stalowych czołgów, przed nienawiścią sąsiadów, którzy takich jak on mordowali z hipnotycznym szaleństwem. Śnił także zmarszczki w kącikach jego ust, a także jego oczy, w których odbijały się dogasające pożary domów, cienie zwłok porzuczanych w dole, u podstawy tumirskiej skały.

I mgłę, która przyszła od strony rzeki i zamazała senne obrazy.

I zmęczenie.

I sennosc w nieznanym.

W końcu wyśnił, jak obcego zmogła wielodniowa wędrówka; jak zamknął oczy. Jak poczuł, że znów jest mu ciepło. Jak zasnął. Jak spał wreszcie. Nic tylko spał — leżąc na boku, schowany pod krzakiem, skręcony w kabłąk jak niemowlę. I niczego nie śnił.

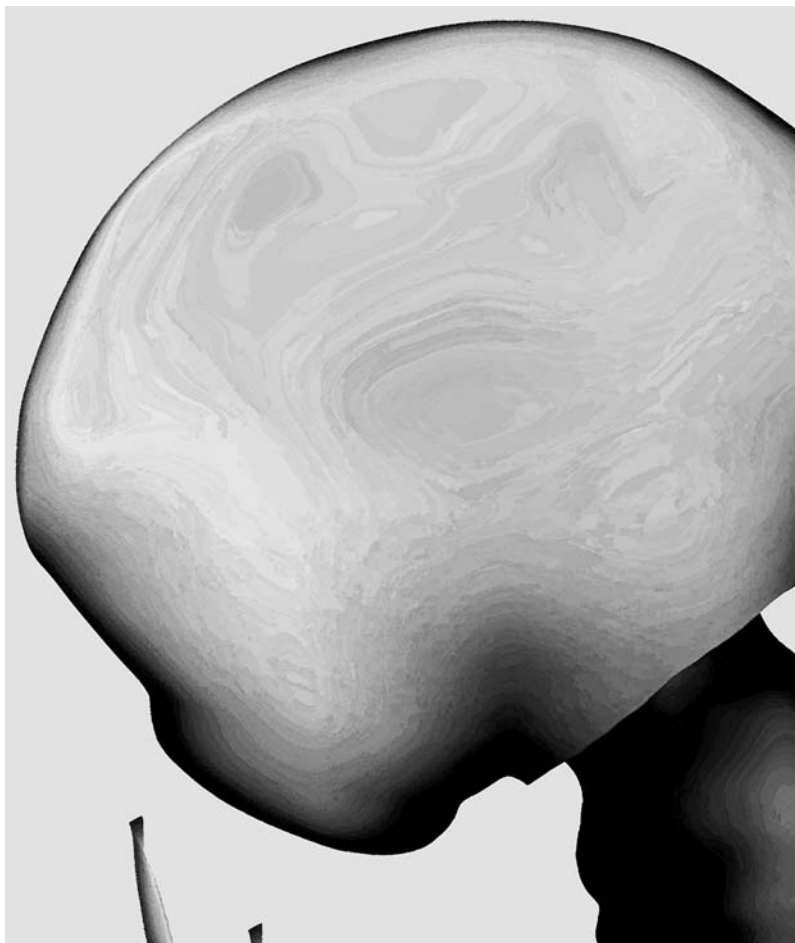
Wówczas sen ojca stał się nader precyzyjny i szczegółowy. Dostrzegł, że zaczął padać śnieg i widział każdy płatek z osobna, setki chaotycznych lotów białych drobinek i tysiące niepowtarzalnych wzorów, jakim naznaczył ich egzystencję mróz. Obserwował, jak powoli pokrywają plecak leżący obok nieznajomego. I gdy już prawie nie było go widać, ojciec zo-

baczył wszystko, co mogło znajdować się w plecaku: dwie kromki lekko spleśniałego chleba, zawilgotniałą koszulę, która dawno nie była prana oraz brudne skarpetki na zmianę. A także książkę o człowieku, który nie potrafił dostrzec nicości, z której go wyrwano i nieskończoności, w której został pogrążony. W końcu także kartkę wetkniętą na początku pierwszego rozdziału, która po obu stronach zapisana została odręcznymi notatkami. I zobaczył w późniejszej, że napisana była niebieskim ołówkiem kopiowym. A chwilę później — w stanie umysłu, który nazwać należałoby wpół jawą — zrozumiał, że adresowana była do niego i że dotyczyła istoty życia i tajemnicy śmierci.

— *Matka to konkret* — pisał do ojca nieznajomy. — *Konkret nachalny i swojski, który zawsze jakoś pachnie, nawet jak śmierdzi. Ciepła lub oschła. Surowa lub niezdana. W dodatku zawsze na wyciągnięcie ręki, zmysłowa, materialna. — A ojciec? Ojciec to idea sama w sobie, bóg przed stworzeniem świata, pojęcie wielkie jak nic, czyli pusta abstrakcja, którą każdy — walcząc sam ze sobą — musi czymś sobie wypełnić. Opisując go, kreując, odzwierając wciąż na nowo z niepojętego nic (co to nam z reguły pozostawił, zamiast dającego się przeliczyć i skonsumować spadku) powtarzamy jedynie jego trafigarsę — chęć zaistnienia wbrew własnej bylejakości, przymus exegi monumentum. Cały wysiłek idzie jednak na marne, bo wychodzi nam wciąż nic. Czyli nic nam nie wychodzi. Wtedy na pocieszenie zjawia się uformny konkret. Kaleki i niewyraźny jak odciski na niemowlęcym rozumku. I tak oto, dzięki wspomnieniom matczynych zapachów, smaków i głupich słówek, podnosimy się z bagna abstrakcji, wstawiamy i pęzamy, ale tylko po to, by — szukając graala, quintesencji lub alefa — znów upaść. I tak czotgamy się, tak krążymy między — skazaną na porażkę — samczą walką z niczym i samczą lekkością wytwarzania czegoś z niczego. I dziwimy się, że nie ma innych możliwości, wciąż powtarzając zwalające z nóg pytanie: a czemuż to raczej jest coś niż nic?*

CEZARY SIKORSKI

Erazm W. Felcyn z kolekcji „Fantasmagorie” (2017)



Czesław Karkowski

POROZUMIENIE JAKO NIEPOROZUMIENIE

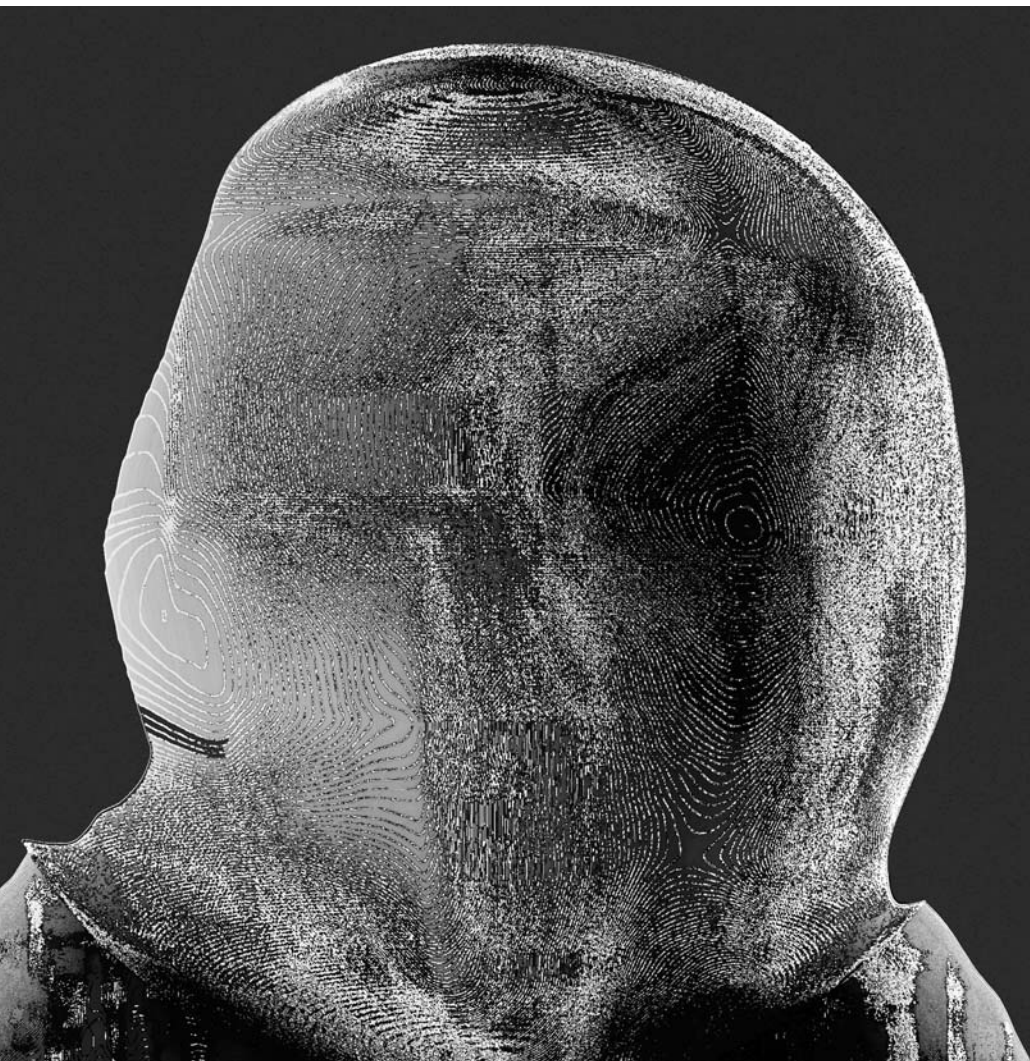
Punktem wyjścia dla poniższego tekstu są „Notatniki” Ludwiga Wittgensteina z lat 1914-1916. Znajdują się w tej niewielkiej książeczce spisywane przezeń notatki, uwagi i spostrzeżenia, które stanowiły roboczy projekt późniejszego „Traktatu logiczno-filozoficznego”. W większości nie weszły one do gotowej wersji książki, choć wiele z przemyśleń znalazło się w „Traktacie...” w dostawnej albo zbliżonej wersji. Wittgenstein kazał w 1950r. wszystkie swoje notatniki spalić; ów zachowany tekst uratował się przez przypadek, ponieważ został w domu jego młodszej siostry, nie zaś w mieszkaniu filozofa w Wiedniu. Ludwig Wittgenstein, postać kultowa współcześnie, dzisiaj utrwalona w wizerunku dziwaka i geniusza, przecierającego niezbadane szlaki myśli, idealisty i samotnika, ale zarazem twardo stojącego po krystalicznym gruncie niezawodności logicznego rozumowania. Urodzony i wychowany w Wiedniu, gdzie starali się zachęcić go do bliższej współpracy filozofowie nauki z kręgu tzw. koła wiedeńskiego, przybył „znikąd” w Cambridge w Anglii, gdzie natychmiast stał się gwiazdą pierwszej wielkości. Abnegat, który wyrzekł się majątku, mieszkał w norweskiej samotni w warunkach surowszych niż spartańskie. Krótko mówiąc postać z panteonu herosów współczesnych intelektualistów, ktoś pomiędzy hinduskim mędrcem-ascetą, a starogreckim myślicielem.

Dlaczego zainteresowałem się wstępnym szkicem, uwagami prowadzącymi go późniejszego dzieła, nie zaś samym dziełem, czyli właśnie „Traktatem...”? „Notatniki” z 1914-16 obrazują sposób jego myślenia, problemy, z którymi się zmagał, kwestie, które pragnął rozwiązać. Prezentując, krótko mówiąc, zamysł, jaki legł u podstaw całej jego późniejszej filozofii, w mniejszym zaś stopniu - samą tę filozofię. I mnie nie interesuje „Traktat...”, ukończone

i zamknięte dzieło, filozofia Wittgensteina, ile właśnie pewien projekt badawczy, filozoficzne zagadnienia, jakie rozważał, sposób, w jaki je rozwiązywał, usuwał, skrywał, aby przedstawić następnie gotowy projekt. W „Notatnikach” mamy właśnie to, co skryte - ujawnione, przynajmniej do pewnego stopnia. W dniu 1 czerwca 1915 zanotował: „Wielkim problemem, wokół którego, wszystko, co piszę, się obraca się, jest: czy istnieje porządek w świecie a priori, a jeśli tak, to na czym polega? Spoglądasz w mgłę i z tego powodu przekonujesz sam siebie, że cel jest już blisko. Lecz mgła rozprasza się i celu już nie widać.” Stawia od dawna roztrząsane pytanie, czy rzeczywistość, którą filozof zamierza uporządkować podług swych wyobrażeń odpowiada porządkowi jego dyskursu? Co do tego Wittgenstein nie ma pewności: raz pisze, iż są to dwa odmienne światy („znak i rzecz oznaczana nie są identyczne w odniesieniu do ich pełnej logicznej treści, zatem, musi istnieć coś bardziej fundamentalnego, niż logika” - rozpoznanego jedynie w Metafizycznych dywagacjach? Niekiedy zaś zdaje się przychylić do pełnej odpowiedniości (kompatybilności, jakby powiedzieli uczeni) obu porządków. „... po to, aby zdanie było w ogóle możliwe, po to, aby twierdzenie było w stanie komunikować sens, świat musi już mieć logiczną strukturę, jaką ma. Logika świata jest uprzednia wobec prawdy i fałszu”. (18 paźdź. 1914) To wanie towarzyszy mu praktycznie przez cały czas rozważań zapisanych w „Notatnikach 1914-1916”. Z jednej strony żywi głęboką nadzieję, że rzeczywistość „jest rozumna”, jeśli ludzkie myślenie ma w ogóle mieć jakiś sens.

Jest to pogląd starszy od chrześcijańskiej wizji, ale w tej tradycji myślowej zakładany jako dogmat, w dalszych wiekach milcząco przyjmowany przez wielu: skoro wszechświat został stworzony siłą boskiego Słowa, to musi ono, Logos, Rozum zawierać się w realiach tego, co nas otacza. Zarazem Wittgenstein nie może oprzeć się wrażeniu (a także kulturze intelektualnej, najprecyzyjniej wyrażonej przez Immanuela Kanta), iż to wszystko jest zgoła bezładnym chaosem i tylko logiczny umysł nadaje mu „wtórną”, by tak rzec, porządek. Porządek, który jest przyrodzony ludzkiemu umysłowi i bez którego to narzędzia nie może ów umysł funkcjonować, a tym samym człowiek nie może istnieć bez nadania otoczeniu swoistego ładu - wpasowania w intelektualne formy tego, co z istoty bezkształtne i amorficzne.

Albo -nieco innymi słowami wziętymi z odmiennej formacji duchowej, wyrażając drugi człon tej rozterki - myśl ludzka odwzorowuje rzeczywistość precyzyjnie - nie w pełni, ale w jej podstawowych relacjach, strukturze świata, porządkuje ją i systematyzuje podług „natury rzeczy”. Jest to, powiedzmy, arystotelesowskie podejście, szukanie narzędzi doświadczenia w samym doświadczeniu. Praktycznie jednak dla zamierzonego przedsięwzięcia nie ma to większego znaczenia, choć teoretycznie - fundamentalne. Myślę, że Wittgenstein jest swoistym mistykiem. Wierzy w jakąś formę doświadczenia poza logicznego, które pozwoli mu poznać rzeczywistość, doznać jej wielorakości, różnaitości, bogactwa i mnogości niuansów. Jednak w takiej postaci, w jakiej jej doświadcza w bliżej nieokreślony, ale nie logiczny sposób, takiej rzeczywistości filozof nie lubi. Ow bątan światu niepokoi go i irytuje, a bogactwo i różnaitość - napawa przerażeniem, iż jest coś znacznie większego, potężniejszego niż logiczny umysł człowieka, który ujmuje tę rzeczywistość w karby, więzi ją w strukturach czystych i przejrzystych. Z nimi umysł samotnego badacza, indywidualnego myśliciela może sobie świetnie poradzić, czuć się z nimi swojsko. „Istnieją tylko dwa bóstwa - zapisuje Wittgenstein - świat i moje niezależne ja” (8 lipca 1916). W tym, można powiedzieć, streszcza się jego zamysł: jak niezależny, pojedynczy umysł jest w stanie zmierzyć się ze światem? Czy może mu sprostać? Tak, odpowiada - przy pomocy logicznego rozbioru rzeczywistości i uporządkowania jej w ten sposób, aby oba bóstwa odpowiadały sobie, przylegały do siebie jak miara (metr) do mierzonego odcinka, jak obraz do rzeczy wyobrażanej. Jest to rzeczywistość człowieka poza kulturą, poza historią i tradycją; człowieka „bez właściwości”. I język, który Wittgenstein tworzy do jej opisu - jest poza kulturowy, bez niuansów, cieniowania, niedomówień. Wszystko jest doskonale oświetlone, wszyscy mogą tego narzędzia (języka) użyć i wtedy zobaczy ów świat Każdego (Everymana), wszystkich jednakowo. Jest to rzeczywistość wyprana z emocji, ale dlatego też znakomicie komunikowalna. Swoisty program „Nowego Jeruzalem” - świata szczęśliwości. Miał się spierać i dyskutować - wystarczy „policzyć”, użyć logiki, która opisze nam wszystkie fragmenty rzeczywistości podług precyzyjnej miary i precyzyjnego języka. „Jeśli twierdzenie mówi nam coś, to musi to być



obraz rzeczywistości tak jak ona jest i przy tym zupełny obraz". (16.VI.15)

Nawet nie chce mi się wchodzić w oczywisty błąd tego rodzaju wnioskowania. Dodana pula takich zdań nie tworzy bynajmniej nowej jakości - jest po prostu sumą w pełni przejrzystych twierdzeń o rzeczywistości, bo struktura całości równa się sumie jej części składowych. Skoro rzeczywistość jest jakąś totalnością stanów rzeczy, a język - ich precyzyjnym opisem, to nie znaczenia, czy mówimy o rzeczy, czy o języku. Są doskonale wymienne. Stan rzeczy = zdanie i odwrotnie. Nie ma więc zbędnych słów, słów, które nic nie znaczą. A jeśli są, bo przecież język potoczny składa się głównie z nich, takich „niepotrzebnych” wyrażań, logika potrafi je bez trudności usunąć bez szkody dla komunikatu.

Więcej, owe fakty/zdania są jednorodnej natury. Rzeczywistość ma dlań jednaką gęstość, wszystko pozostaje na jednakim poziomie dostępnym każdemu nieuprzedzonemu umysłowi (Wittgenstein często odwołuje się do tego zwrotu). Dokładnie mówi o „wyzwolonym” umyśle (uncaptive). Co by oznaczało, iż dotychczas ludzie pozostają w niewoli złudzeń, przesądów, mylnych wyobrażeń. Trzeba ich z tego wyswobodzić, wyzwolić ich z kultury, ze społeczeństwa, w którym żyją, z czasu historycznego, w którym są schwytni, z jednostkowych idiosyncrazji i wówczas będą się porozumiewać ze sobą jak bezcielesne dusze - bez żadnych zakłóceń spowodowanych sprawami, które tylko niepotrzebnie gmatwiają czyste poznanie i czyste porozumienie. Emocje, wartości, uczucia, ideologie - to wszystko to pozór, dym i utłuda. Jeśli się oczyści poznanie z tych towarzyszących temu procesowi zanieczyszczeń, zakłóceń właśnie - wkroczymy w nowy świat. Wszyscy będziemy dokładnie wiedzieli, o czym mówimy, nie będzie żadnych nieporozumień, wojen, konfliktów i sporów. Nasz świat, ludzki, jest pełen - według Wittgensteina - owych „zanieczyszczeń” komunikacyjnych; one stwarzają ów kłopot; one powodują, iż społeczeństwa dzielą się na frakcje, ludzie ulegają ideologiom, nie mogą się porozumieć, bo dzielą ich kultury, systemy wartości. To projekt jak skądinąd podobna i równie utopijna koncepcja stworzenia esperanto - nowego języka. Nie będzie miał on niuansów i tradycyjnych znaczeń, szeregu rozmaitych bezpośrednich bądź symbolicznych odniesień do historii i kultury, która wiąże użytkowników danego języka ze sobą, a odcina mówiących innym językiem, a nawet tych, którzy się nauczyli obcego języka, ale nie znają jego „gęstości”. „Traktat...” jest peanem na cześć samotności” - jak trafnie zauważa znakomity Ernest Gellner. Projekt Wittgensteina to próba stworzenia świata jednoznaczności i jednowymiarowego, bez dwuznaczności, niejasności podtekstów. My zaś powiadamy, iż nasze słowa i wyrażenia mają dopiero wtedy sens, kiedy poddane są interpretacji, to znaczy, kiedy odbiorca „przełoży” je na swoje kategorie. Ale w procesie owego przekładu następuje nieodwracalna utrata znaczenia pierwotnego i nadanie naszym wyrażeniom innego, podług rozumienia odbiorcy. Stąd się z reguły skarżymy, iż nas źle zrozumieli, nie to mieliśmy na myśli, przeinaczono nasze słowa. Zarzucamy drugiemu złą wolę, złe intencje. Tymczasem ów „przekład”, albo lepiej: interpretacja - to nieodłączny składnik naszego życia, nieunikniony aspekt komunikacji. Powiemy więc, iż istotą porozumienia jest nieporozumienie, albowiem niemożliwe jest stworzenie idealnej sytuacji, jaką wyobraził sobie Wittgenstein. Tak może komunikować się świat bezcielesnych dusz w Niebie Dantego; na ziemi każdy z nas, odrębna indywidualność, „kroi” rzeczywistość nie tylko podług wartości i reguł danej kultury, ale

także zgodnie z własnym, indywidualnym systemem wartości ukształtowanym w drodze długiego jednostkowego doświadczenia. Dla każdego odrębnego. Kiedy Wittgenstein mówi o dwóch bogach - rzeczywistości i swoim indywidualnym ja, to rozumie przez to dokładnie przyleganie obu porządków do siebie. Kiedy jednak weźmiemy rzeczywiste jednostki komunikujące się ze sobą, istotą tego procesu będzie właśnie nie przyleganie do siebie; mój świat i moje ja nie przylega do twojego ja i twego świata, choć dla potrzeb praktycznych w życiu codziennym o tym zapominamy. Gdyby zresztą świat Wittgensteina choćby nieco tylko odpowiadał rzeczywistości, a nie wymarzonemu (w istocie - myślę - religijnemu ideałowi) nie byłoby tytułu nieporozumień w realnym świecie - między ludźmi, grupami, kulturami. Tak naprawdę, aby sprawę postawić na ostrzu noża, to powiemy, zaproponujemy przeciwieństwo tego, za czym opowiada się Wittgenstein - kompletne zerwanie ciągłości komunikacyjnej, brak porozumienia. Rozważmy najlepszy przykład, dobrze wszystkim dziś znany - brak porozumienia między kulturami - zachodnią i światem islamu. Choć obie strony używają tego samego języka, poruszają się jakby w tej samej rzeczywistości, nie znajdują wspólnego mianownika. Najlepiej tę dramatyczną sytuację wyraził Rudyard Kipling w swoistej inwokacji do jednej ze swych pięknych ballad. Jest to „Ballada o Wschodzie i Zachodzie”, gdzie zapisał często później (z aprobatą, albo sprzeciwem) cytowane sformułowanie:

„Ach, Wschód jest Wschodem, a Zachód - Zachodem i nigdy te dwa się nie spotkają Póki Ziemia i Niebo stoją w wielkiego tronu boskiego sądu”. (*East is East, and West is West, and never the twain shall meet Till earth and Sky stand presently at God's great Judgement Seat*). Powołuje się na Kiplinga nie tylko dlatego, że bardzo lubię jego wiersze, że zawarł w nich całe swe bogate doświadczenie i wiedzę o świecie Wschodu, ale dlatego, że jest on jednym z nielicznych wiarygodnych świadków tego zerwania, tej przepaści dzielącej kultury. Jest on kimś znacznie bardziej wiarygodnym niż gabinetowy myśliciel, jak Wittgenstein, jednostka wyalienowana z kultury i społeczeństwa i marząca o jakimś romantycznym „związku dusz”; frustrat, marzyciel i fantasta. Kipling urodził się w Indiach, wychowywał się także tam - na terenach dzisiejszego Pakistanu. Miał bardzo smagłą skórę, więc uchodził za krajowca (co dawało podstawę do plotki jakoby był nieślubnym dzieckiem jednego z państwa Kiplingów-seniorów). Biegał z hinduskimi chłopakami, bawił się z nimi, od wczesnego dzieciństwa, więc poznał tę kulturę jak swoją własną - przyswajał ją w sposób naturalny, bezpośredni, tak jak każdy z nas poznaje swoją kulturę. Później, gdy wrócił do Indii jako młody dziennikarz, poznawał ów świat nieco w inny sposób. Jako dorosły zwiedztał miasta Lahore i Simla, wędrował ich uliczkami, słuchał ludzi, rozmawiał z mieszkańcami. Szukał materiału do swego pisma, a jednocześnie oglądał ów świat już jako świadomy obywatel Wielkiej Brytanii. Czuł i rozumiał tę rzeczywistość jak mało kto, a może jak nikt inny z jemu współczesnych na Zachodzie. Był przy tym pisarzem i poetą, obdarzonym wrażliwością i wyczuciem sytuacji, umiejętnością wyrażenia problematyki w słowach. Kipling jest więc najlepszym z możliwych świadków międzykulturowych związków, albo ich braku. I ten właśnie Kipling opiewający rzeczywistość Indii, żołnierzy brytyjskich, prostych Hindusów i zamożnych, nisko i wysoko urodzonych, stwierdza: te światy Zachodu i Wschodu nigdy się nie zjedną, dzieli je przepaść, nie ma mowy o porozumieniu między przedstawicielami tych kultur. W efektywnej balladzie

Ostatnie Sati (Last Sutte) z 1889 nawiązuje do hinduskiej tradycji palenia wdów. Brytyjczycy zakazali tej praktyki i egzekwowali nowe demokratyczne prawa w sposób bezwzględny. We wspomnianej balladzie po śmierci jakiegoś lokalnego władcy wojska brytyjskie otoczyły jego pałac, aby nie dopuścić do spalenia wdowy. Strzegło pałacu dniem i nocą, w obawie, że krewni, zausznicy czy strażnicy wiary i zwyczaju będą chcieli porwać kobietę, aby rzucić ją na stos i w ten sposób zadość uczynić tradycji. Tymczasem w pałacu nad ranem młoda kochanka zmarłego szykuje się na śmierć, ubiera paradnie i cichaczem wymyka ze środka, by iść na stos, na którym ginie. Brytyjczycy spodziewali się szturm z zewnątrz; nie oczekiwali, że większe zagrożenie dla nowych porządków, nowego systemu wartości i reguł, znajduje się w środku. Siła tradycji i zwyczaju jest potężna. Nie jest więc tak - powiada nam Kipling - że kultura człowieka jest czymś naskórkowym, zewnętrznym, swoistym płaszczem okrywającym człowieka każdego - owego Everymana, którego tak usilnie poszukiwał Wittgenstein. Człowiek, powiada Kipling, jest nierozzerwalnie związany ze swą kulturą; jest jedną z tym porządkiem wartości i nie sposób go od niego oddzielić. Ów rzekomy płaszcz kulturowego przybrania, jest w istocie nim samym. Wyrażając to jeszcze inaczej: Wittgenstein uległ złudzeniu, podobnie jak wielu po nim, iż istnieje człowiek jako taki, jednostka ludzka identyczna gatunkowo na całym świecie. Zrzućmy wszystkie naleciałości, wtórne porządki, przypadłości związane z kulturą, historią, społeczeństwem, itp. możemy dotrzeć do wspólnej podstawy - ona stanowić będzie podstawę porozumienia, fundament budowy owego wymarzonego przez austriackiego filozofa wspólnej wszystkim filozofii. Albo tak jak w populistycznej wizji, powiedzmy Ryszarda Kapuścińskiego, gdzie ludzie porozumiewają się na poziomie najbardziej podstawowych, zgoła biologicznych odruchów - głodu, zimna, strachu, bólu, itp. Podobnie, z perspektywy polskiego reportażysty patrząc, pod owym płaszczem kultury, kryje się Everyman, człowiek jako taki z jego przyrodniczą naturą. Kipling na to powiada, powtarzam, że kultura człowieka jest jego naturą i nie ma żadnego rozdwojenia, nie ma tu płaszczyzn, ani miejsca na archeologię (by użyć już niemodnego terminu), dzięki której możemy dokopać się do wspólnoty. Ten ciągle ponawiany, utopijny program, stanowi jedną z większych mitów filozofii zachodniej. W rzeczywistości, sugeruje na to Kipling, jeśli istotą człowieka jest jego kultura, a system wartości i reguł jest wzajem nieprzekładalny (to, co przekładam, to interpretacja w odrębnym systemie). tedy nie można stworzyć takiego pomostu. Teoretycznie - praktycznie może się on dokonać w ograniczonej skali, o czym mówi większość „hinduskich” wierszy Kiplinga. Bohaterski Gunga Din ratuje życie brytyjskiego żołnierza, ale czemu to czyni, nie wiadomo. Jest to niby jego obowiązek pomóc żołnierzom w polu bitwy, ale ów ranny może tylko przypisywać Hindusowi porządek wartości Zachodu. Czy rzeczywiście nim się kierował, czy innymi, własnymi racjami - to tylko już nasza interpretacja, przypisanie „obcemu” pewnych cech własnych. Gdyby chcieć problem steoretyzować, ufilozoficznąć, powiemy, iż w przeciwieństwie do fantazji Wittgensteina, rozum transcendentálny jest tylko rozumem lokalnym. Filozofia zachodnia może tylko zrozumieć człowieka i rzeczywistość Zachodu, gdyż jest narzędziem wytworzonym w tej cywilizacji i dla jej potrzeb. Poza nią jest tylko błądzenie po omacku z poczuciem bezradności, niewiary i zagubienia. Roszczenia filozofii do uniwersalizmu są skazane na niepowodzenie. Każda filozofia jest tylko lokalna.

CZESŁAW KARKOWSKI

Anna Łozowska

WARIATKA, KTÓRA CZYTA

Lektura ciekawej książki Marty Fox pt. *Wariatka, która czyta* zmusiła mnie do postawienia sobie fundamentalnego pytania. Skoro istnieją ludzie, jak sama autorka, którzy bezgranicznie oddali się woli literatury, to czy nie przypadkiem ja również nie poszerzam ich kręgu? Mój przypadek, trudny i niemożliwy do wyleczenia, sklasyfikowałaby jako „wariatka, która pisze”. Już ta refleksja prowokuje do wystawienia pozytywnej oceny tej książki.

Widać bowiem, jak oddziałuje na czytelnika-wizytatora największej z duchowych bibliotek.

Marta Fox określiła siebie jako wariatkę. Czy jednak to znamię nie powinno się przypadkiem stać piętnem normalności? Dlaczego czytanie, a potem także pisanie, jest dziś stanem recesji? A może właśnie książka Fox jest próbą zburzenia tego stereotypu? Lektura prowokuje do obnażenia własnych czytelniczych sympatii. To, co porusza Martę Fox, porusza także mnie. Zagadka procesu dzielenia się spojrzeniem na teksty okazuje się sygnaturą tej książki. Wymieniony przez autorkę J. Donne wraz ze swoim wierszem *Zmiażdż moje serce, Boże, jak zmruszą ścianę* był dla mnie wielką inspiracją, która zmieniła i do tej pory zmienia moje życie. Czym jest zatem *Wariatka, która czyta*? To nie jest tylko refleksja krytycznoliteracka, niekiedy sprawozdawcza i interpretacyjna, charakteryzująca się lekkością pisania. Jest to przede wszystkim pełna życia opowieść o tętnieniu pulsu literatury, niekiedy odśnawiającej „nieznośną lekkość bytu”, który jest naturalną częścią każdego z nas. *Wariatka...* zmusza do dokonania bolesnej wiwisekcji, na ile sprostałoby wyzwaniom kultury, czy może dokładniej, na ile pragnęliśmy im sprostać. Od wewnętrznego obiegu literackiej krwi nie uciekniemy zbyt daleko, ponieważ „nic co ludzkie nie jest nam obce”. Wszystko zaczyna się od słowa i na nim kończy, jak twierdzi Fox, przywołując Myśliwskiego. Do czego jeszcze prowokuje czytelnika Marta Fox? Nie tylko do odbywania własnych, równie inspirujących lektur wskazanych w tym „katalogu” tekstów, ale przede wszystkim do dokonania samolustracji, wypowiedzenia własnej opinii. Dlatego, muszę z zadowoleniem stwierdzić, i ja ujawnię w tej recenzji nieco własnych literackich sympatii... Pani Marto Fox, uda-

ło się Pani!

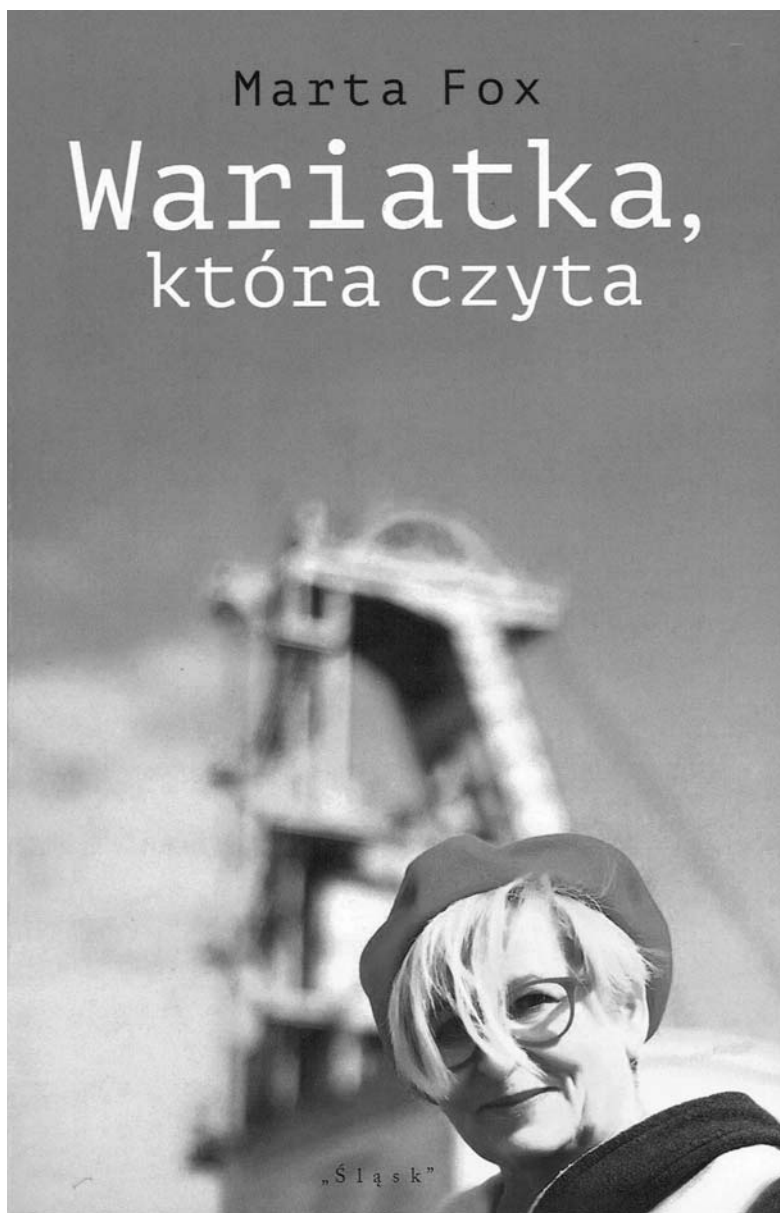
Głębsze zanurzenie się w tekście udowodnia, że literatura jest nie tylko dodatkiem do naszej egzystencji, ale jej prawomocną częścią. Nie ma w jej fikcji niczego bardziej prawdziwego niż ona sama. To przecież tekst kształtuje naszą rzeczywistość. Życie w ogromnej bibliotece w oczach bohaterki *Wariatki, która czyta* staje się

z odpowiedzi na nasze pytania nie jest skończona i zamknięta. Autorka wychodzi jednak z prostego założenia, nazwanie elementów świata, zgodnie z pomysłem Różewiczowskim, pozwoli ocalić go od chaosu. Dlatego uporządkowanie swoich myśli w *Wariatce...* jest sposobem pracy własnej nad tendencjami kultury, w które Fox mocno przecież wierzy.

Swoją opowieść o świecie tekstów podzieliła autorka zasadniczo na trzy części, oddzielając od siebie poezję, prozę i rozmowy z autorami. Części bynajmniej nie są od siebie rozłączne. Ich spoiwem jest wiara czytelniczki-autorki w samoistny sens pisania, spełniania się materii literackiej i wyznaczania przez nią drogi do samego siebie. Jak podkreśla Fox za T.S. Eliotem, „wiersze się czyta placami”³, a więc całym sobą, drząc tekst, ofiarowując mu samą siebie. W ten sposób Fox ustawia przed czytelnikiem kolejne zadania: „dotykanie, opowiadanie, szklanka wody”⁴, które to procesy musimy wypełnić wobec literatury. Bohaterka *Wariatki...* nie tylko mówi literaturą, która ma w jej oczach wielowymiarową postać, ale ma ogromną świadomość, że tak jest, bo literatura odżywa w niej samej, jako w czytelnicze światła tekstów, w którym pierwsze skrzypce „gra doskonałość”. W pewnym sensie opisuje Fox „stan poetycki”, mówiąc słowami Z. Joachimiaka, „wynurzenie się wierszami”⁵ ze świata, przynoszący jej ogromną satysfakcję.

W *Wariatce, która czyta* Marta Fox interesuje się kilkoma zagadnieniami. Przedstawia tam przede wszystkim siebie. Lektura staje się jej wizytówką, zastępując jej autobiografię. Nie jest to, oczywiście, opowieść o sobie w stricto tego słowa znaczeniu. To wspomnieniowo-katartyczna podróż do przeszłości za sprawą terażniejszości istniejącej w podejmowanych lekturach. Czytanie staje się miejscem przejścia między dawną Martą Fox a tą obecną, ukształtowaną przez serię spotkań z różnymi książkami. Autorka ma nadzieję, iż lektura pozwoli dostrzec nie tylko jej lustrzane odbicie, ale i siebie jako człowieka.

Tekstualny świat autorki opowiedziany w sposób niezwykle swobodny, lecz staranny i wyszukany, zadziwia czytelnika, inspiruje, każe zmierzyć się z własnym horyzontem poznawczym czytanych utworów bądź tych, które jeszcze oczekują na to spotkanie. Ale w swojej wędrówce, analizując autobiografię i pseudobiografię, wywołując do tablicy Romaina Gary'ego oraz żerując na tekstach tzw. „literackiego hieny”⁶, napotkała Fox także na teksty



znaczącą metaforą ludzkich doświadczeń. Tylko literatura jest w stanie pomieścić je wszystkie. Marta Fox poszukuje w niej także metafizyki, nieokreślonej żadnym pojęciem, a ukształtowanej przez człowieka dla człowieka, ponieważ nie chce być uznawana za „czytelniczkę-samicę”¹. Bo w życiu, jak twierdzi za Dostojewskim autorka, nie wszystko dzieje się „rozumnie”². Z kolei *Gra* w klasy Cortazara dała jej odpowiedź, że świat tekstów stanowi szereg wielopoziomowych odsyłań, ale i nadziei, że żadna

będące mistyfikacją, metaliteraturą, które dały początek zjawisku metaweryzmu. Fox odkrywa przed nami także pisarzy niedocenionych, jak Gertruda Stein czy Anne Sexton, wydobywając z ich tekstów to, co nazwać można esencją. Ilu zatem twórców podzielił los Johna Keatsa?

Książki stają się lustrem Marty Fox. O co pyta autorka, kiedy po raz kolejny przygląda się historiom autorów, tekstom, poruszonym problemom? Pyta właściwie o funkcję literatury. Literatura w dobie XXI wieku jako jedyna wartość pozwala człowiekowi stać się sobą na nowo. To jej najważniejsze zadanie, któremu sprostać ma wobec kryzysu obecnej cywilizacji. Udowadnia to autorka dzięki inicjacji „metafizycznych” spotkań z liryką m.in. Emily Dickinson, Johna Donne’a czy Josifa Brodskiego. Marta Fox pełni jednak rolę krytyka z ludzką twarzą, który w poezji dostrzega rezerwuar wrażliwości potrzebny nowoczesnemu człowiekowi. Bo przecież człowiek stał się tak bardzo ucywilizowany, że aż zapomniął wytoczyć szlaku własnej tożsamości i w końcu emocjonalności.

Książka Fox ma stanowić rodzaj czytelniczej autobiografii czy też autoportret osobistego czytania, które zmienia bohaterkę nie do poznania. Poezja dla Fox jest nieustannym zadziwianiem interpretatora, który dowiaduje się, iż Emily Dickinson „nie boi się nie pisać”. Liryka w oczach ówczesnej poetki staje się momentem oczekiwania, cierpliwą formą spotkania z własnym sumieniem. Oczywiście, należy cierpliwie czekać, ale niecierpliwość i dociekliwość to jedna z ważniejszych cech krytyki Fox, która przecież „próbuję czytać „gdzieś gdziekolwiek bądź i kiedy bądź na pewno”⁷. Lecz wybór i preferencje czytelnicze autorki nie są przypadkowe. Przywołani poeci stanowią istotne ogniwa inspiracji Fox, składając się na jej doświadczenie świata. Punktowa prezentacja liryki przez Fox uwidacznia węzłowe punkty jej przygody czytelniczej, miejsca tekstualne, które zmieniły bohaterkę w jakiś sposób, umożliwiły jej dalszą „lekturę egzystencjalną”, wskazały jej braki i uzupełniły je głębszym poznaniem istnienia. Przywołane fragmenty liryków znanych autorce poetów oraz wyimki z ich biografii odświeżają nową jakością liryki, która wiele ma wspólnego z życiem. Może i nawet więcej w niej prawdziwości niż w samym życiu. Ogromna potrzeba wszechbytu poezji w życiu codziennym wyznana przez Martę Fox ujawnia się przy okazji prezentacji osoby Brodskiego.

Książka Fox to także wyprawa po wspomnienia. Na kolejnych kartach widnieją ważne dla autorki nazwiska: Zbigniew Joachimiak, Anna Czekanowicz, Stefan Chwin i wiele innych. To, co w tej prywatnej opowieści istotne, to perspektywa, z jakiej patrzy na literatów-poetów autorka. Przywołując ich nazwiska buduje ona fundament pamięci, cenniejszy niż sterła naukowych opracowań ich utworów. Przedstawia ich jako osoby z krwi i kości, przydając twórcom realny punkt odniesienia, czyli w gruncie rzeczy to, co wielu krytyków na co dzień pomija milczeniem, jak chociażby wprowadzenie do prezentacji Stanisława Krawczyka, zwanego „poetą od placków ziemniaczanych”⁸. W tym jest prawdziwość, bogactwo poznania cenniejsze niż niejeden górnotny esej na temat ich utworów. W ten sposób mamy wrażenie, jakbyśmy osobiście poznali autora, którego, niestety, z racji przemijającego czasu już nie poznamy.

Hermeneutyczna postawa Marty Fox sprawia, że przegląd poetów ważnych w życiu twórczyni poznajemy za sprawą jej własnej opinii. Ale przekaz, jak w przypadku wspomnienia o lirycy Wincentego Różań-

skiego, jest jeszcze głębszy, bo oto z tego lirycznego portretu czyni autorka niby niewidoczne aluzje do *Srebrnego i czarnego* Jana Lechonia. Swoją metodą czytania historycznego Marta Fox potwierdza, że „czas jest stale złudzeniem optycznym”⁹. Fraza bogatej tradycji lirycznej każe czytelnikowi pokusić się o interpretację wskazanych liryków. Palimpsestowa struktura literatury jest więc ważnym dla niej czynnikiem ją współkształtującym. Z kolei książka Marty Fox to wielowarstwowa tkanka wybranej porcji wiedzy o literaturze w prywatnej odstonie. Demaskuje także rolę literatury, która każe czytelnikowi stać się człowiekiem „bez wpływu na własne słowa i pozy”¹⁰. Literatura pozwala widzieć więcej i szerzej, czego przykładem jest postawa Oriany Fallaci. Nie tylko jednak poetycko-prozatorskie refleksje są w tym kontekście ważne. Rozmowy z autorytetami kultury najnowszej stanowią dopełnienie *Wariatki...*. Wśród nich znajdziemy dialog Fox z Marianem Kisielem, Zbigniewem Joachimiakiem czy z Ewą Lipską. Ważne z kilku powodów, bo uświadamiające czytelnikom ogromny potencjał literatury, wskazujące przemiany w procesie historycznoliterackim, dostrzegane dopiero z pewnego czasowego dystansu, aż w końcu chroniące prywatności i indywidualności twórczej w dobie XXI wieku, gdzie książka stała się, niestety, towarem. Rozmowy są cennym szlakiem obserwacji obecnej kultury literackiej. W ten sposób przebiega metoda czytania świata tekstów

Fox, bliska tej, którą przyjmuje również Ewa Lipska: „Ja też czytam Mickiewicza sobą, nie Mickiewiczem”¹¹.

Książka zawiera w sobie ciekawe odstony z życia autorów, jak w relacji o Janinie Katz, o Orianie Fallaci, którą sama wielce cenię, czy o Józefie Henie i jego sugestywnych wyznaniach w dziennikach a także interesujące odstony XX-wiecznej historii, jak proza Bartosza T. Wielińskiego, zajmującego się zubożeniem ludzkiego sumienia w niemieckich obozach koncentracyjnych. Inspirujące dla Fox są także utwory Joanny Bator, która zdradza swój sposób pisania jako stosowania „zachaczki”¹². Ale nie o metodę tylko chodzi. Gra z fikcją („tkam tu fikcję, która nie jest kłamstwem”¹³) jest ilustracją człowieka, jego emocji i potrzeb. W gruncie rzeczy wszyscy autorzy piszą o człowieku, jego sumieniu, sposobie patrzenia i oceniania świata, aż w końcu o wyznaczaniu granic, które w naszym codziennym życiu jest potrzebne. Literatura, bez wątpienia, nie zastąpi życia, lecz staje się ważnym jego punktem obserwacji. Jest inicjacją potrzebnej rozmowy o człowieku i jego naturze. Dlatego właśnie literaturę można nazwać ogromną biblioteką, „królestwem ducha”¹⁴. Jak widać literatura przejęła ważną rolę szerzenia filozofii personalnej. Teksty literackie są cenne, ponieważ stają się świadectwem człowieka. Dlatego tak ważne jest by „być w literaturze”, co znaczy jedynie albo aż, „grawerować ból”¹⁵.

ANNA ŁOZOWSKA-PATYŃSKA



Erazm W. Felcyn z kolekcji „Fantasmagorie” (2017)

BORUŃ – GAIŃSKI – BRATKOWSKI. TRZY TOMIKI O MIEŚCIE-MOLOCHU

Powojenna poezja polska obfitowała w generacje. Jedną z nich były Nowe Roczniki, zwane również pokoleniem Nowej Prywatności. W niniejszym tekście proponuję pewien niezbyt ekstremalny eksperyment, gdyż swoją wagę chcę skupić na tomikach trojga reprezentantów tego poetyckiego teamu: Katarzyna Boruń (*Mały Happening*, 1979), Waldemara M. Gaińskiego (*Asfaltowy blues*, 1981) i Piotra Bratkowskiego (*Strefa skażeń*, 1983)¹. Książki opublikowano w okresie 1979-1983, w odstępach dwuletnich, nakładem warszawskiej Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Przynależność autorów do tej samej generacji oraz grupy literackiej („Moloch”), a także podobna, jeśli nie identyczna, szata edytorska zbiorów, wzbogacona ilustracjami, kazaty mi podjąć próbę stworzenia wspólnej „molochowej” narracji.

We wrześniu 1974 roku Waldemar M. Gaiński wraz z Bolestawem Kowalskim i Krzysztofem Wasiakiem powołał w Warszawie Grupę Poetycką „Moloch” jako „rezultat przemyśleń, zbieżności poglądów twórczych i... różnic w pojmowaniu funkcji i kształtu formalnego poezji”². W kwietniu roku 1975 do formacji dołączyła Katarzyna Boruń, a jesienią tegoż roku Piotr Bratkowski. Stronictwo poetyckie zasilił również Ryszard Holzer i Waldemar Strzelczyk, w spotkaniach sporadycznie uczestniczył Antoni Pawlak. Oficjalnie „Moloch” zakończył działalność we wrześniu 1977 roku.

Zaznaczmy, że Waldemar Gaiński i Katarzyna Boruń³ debiutowali równolegle: w 1974 roku – wierszami w tym samym 12 numerze „Nowego Wyrazu” (grudzień 1974), a w 1977 roku – książkami poetyckimi (w październiku Waldemar Gaiński *Poematem ulicznym*, a w grudniu Katarzyna Boruń *Wyciszenia-mi*) w serii „Premiery” sygnowanej przez Zarząd Warszawski Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Andrzej K. Waśkiewicz we wstępie do antologii *Debiuty poetyckie 1977*, zredagowanej wspólnie z Jerzym Leszinem-Koperskim, umieścił tych dwoje autorów z „Molocha” wśród 11 „niewątpliwych talentów”⁴. Natomiast Marek Jędrzejewski, poeta i uczestnik ówczesnych działań artystycznych, po latach wyłuskał osiągnięcia całej trójki:

„Nowa Fala” atakowała rzeczywistość społeczną, świat polityki, stereotypy myślenia kształtowane przez propagandę w sposób prześmiewczo-ironiczny. Młodzi zaś z drugiej połowy lat 70. deklarowali raczej swoją nieistotność, nieważność, a nawet nieobecność – *Dam wam swoją nieobecność* (wiersz Czesława Markiewicza z arkuśza *Modliwa oszukanych*). Zresztą podobne nastroje wyrażali młodzi poeci warszawscy z grupy poetyckiej „Moloch” (Katarzyna Boruń, Waldemar M. Gaiński, Piotr Bratkowski): poczucie rezygnacji, utratę wiary w czyn, zwątpienie w przyszłość, izolacjonizm, nawet katastrofizm⁵.

Związki między poetami z „Molocha” daleko wykraczały poza kontakty poetyckie,

przechodząc w relacje bardziej niż koleżeńskie bądź nawet w przyjaźń. Tom pośmiertny *Wiersze ostatnie* Waldemara M. Gaińskiego otwiera wszak tekst *Początek, czyli prywatnie i po przyjacielsku*, w którym Katarzyna Boruń-Jagodzińska wspominała pierwsze spotkanie ze starszym kolegą:

Wiosną 1975 roku nieznanymi mi jeszcze osobiście poeata Waldemar Gaiński zadzwonił i powiedział mniej więcej tak: „Dostałem twój telefon od Karaska z Nowego Wyrazu, twoje wiersze pasują do tego, co robimy. Tworzymy grupę poetycką, możemy porozmawiać?”. Niewiele myśląc, przytączyłam się do inicjatywy, mniej programowo, a bardziej towarzysko (mnogość grup literackich w latach siedemdziesiątych to było ważne zjawisko, a podział na grupy z manifestem, sytuacyjne, programowe i towarzyskie traktowany był na serio)⁶.

Autorka *Wyciszeń* dostrzegła w osobie druha bezkompromisowego sługę poezji: „[Waldek] Podchodził do swojej misji z pewnym namaszczeniem, a jako założyciel i lider rozstawił członków po kątach i dość łatwo rozstawał się z tymi, którzy nie pasowali do jego wizji lub – o, zgrozo! – obniżali poziom”⁷. W wypowiedzi zamieszczonej w książce *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze – manifesty – samookreślenia* pisarz w charakterystyczny dla siebie sposób przedstawił cele zespołu poetyckiego:

Członkowie Grupy postanowili nie ogłaszać manifestu artystycznego, aby tworzone przez nich wiersze nie były ograniczane ramami wytyczonego programu. Większą wagę przytkadaliśmy do kształtu artystycznego utworów i ich ciężaru gatunkowego, niż do opowiadania się za tą lub inną szkołą wierszorstwa. Nie chcieliśmy również tworzyć n-tej szkółki ząbkujących krzykaczy⁸.

W cytowanej książce ujęto wiersze tylko 3 autorów z „Molocha” (Katarzyna Boruń, Waldemara M. Gaińskiego i Ryszarda Holzera⁹). Dwa liryki zasługują na naszą uwagę w kontekście tematu niniejszego eseju. Katarzyna Boruń w *Liście do przyjaciół zamiaszt manifestu* potwierdziła programową antyprogramowość grupy wskazaną w deklaracji Waldemara M. Gaińskiego: tytułowymi przyjaciółmi są w pierwszej kolejności towarzysze z „Molocha”:

zanim wymażesz z życiorysu
zamiar wydania
najpiękniejszych fragmentów
naszych rozmów
i na pierwszym miejscu listy
bestsellerów
pirackiej rozgłośni będzie wciąż
jeszcze
ta wspaniała kilkuminutowa cisza¹⁰.

Waldemar M. Gaiński wprost „Przyjaciołom z »Molocha«” zadedykował krótką wspólnotową *Instytucję twarzy*:

purpura naszych gardel
powoli przechodzi w subtelny róż
policzków

jedynie nosy
zachowały jeszcze jedność czasu
miejsca
i historii¹¹.

Natomiast w tomie *Asfaltowy blues* poeta ofiarował „Kasi Boruń” liryk *Być może elegia*, zamknięty dopiskiem: „2 maja 1975, Szpital Praski w Warszawie”. Utwór ten pełen jest odniesień samobójczych, które w kontekście miejsca powstania budują wiersz rozliczeniowy, tym bardziej że z inicjalnych czterech wersów można wydobyć ton deklaryacyjny: „moi koledzy samobójcy / kochani kumple z pokolenia witamin / rozpoczynający naukę chodzenia / w chwili gdy umierał Józef Stalin” (WG-AB/12).

Gdy jesteśmy przy gestach przypisać i ofiarowań, należy podkreślić, że Piotr Bratkowski dedykował tom *Strefa skażeń* Katarzynie Boruń, która nieco później odwzajemniła się w zbiorze *Więcej* z 1991 roku dwoma wierszami: *Wybacz obłąd ocalałym z pożaru i Barzdo mała apokalipsa*¹². Zauważmy, że autor *Strefy skażeń* „zaadresował” do innego „molochowca”, Ryszarda Holzera, liryk ****(dwadzieścia lat to pamięć o starych przebojach)* z wiersami: „bunt to niedzielną wycieczka za miasto / płoszymy zwierzęta wracamy szczęśliwi / w domu otwieramy okna / duszno” (PB-SSk/21).

Oprócz dedykacji formą „odniesienia się” są teksty o charakterze krytycznoliterackim. Piotr Bratkowski w 1982 roku na łamach „Radaru” przedstawił sylwetkę twórczą Waldemara M. Gaińskiego, drukując jego 3 wiersze. W komentarzu czytamy:

Jego wiersze od momentu debiutu były rozpoznawalne na tle dokonanych rówieśników Gaińskiego, pełne żywiołowej ekspresyjnej metaforyki, dynamicznych obrazów miasta; nierzadko w tych wczesnych wierszach odnaleźć można było wątki świadczące, iż Gaiński stara się „odświeżyć” dawną, a spopularyzowaną przez wiek XIX, kreację poety – cygana¹³.

Przyszły autor tomu *Miasto już przestało boleć* pozytywnie ocenił dorobek liryczny kolegów. W sondzie zamieszczonej w antologii *Debiuty poetyckie 1977* wskazywał:

Najwartościowszymi pozycjami debiutanckimi ostatnich lat są, moim zdaniem: *Powrót z daleka* Marka Bieńkowskiego, *Wyciszenia* Katarzyny Boruń, *Ten stary przebój Beatlesów nigdy nie będzie kobietą* Stani-

stawa Esden-Tempskiego, Spacer po linii Zbigniewa Włodzimierza Fronczka i chyba najbardziej Czynny na dobę¹⁴.

Natomiast kilka lat później w tekście *Ja, my, oni ... i tak dalej*, będącym swojego rodzaju rozliczeniem z przeszłością i spisem „pozostałości” po poetach debiutujących w 12 numerze „Nowego Wyrazu” z 1974 roku, Waldemar M. Gaiński zauważył:

Nie z wszystkimi debiutantami anno Domini 1974 odczuwam więź wspólnoty. Z wymienionych nazwisk bliska jest mi twórczość Katarzyny Boruń i trochę Leona Wiśtawa Siwka, z pozostałych – Olka Jurawicza, Antka Pawlaka, Piotra Bratkowskiego, Stanisława Esden-Tempskiego, Marka Romanowskiego, Zbigniewa W. Fronczka i Waldka Mystkowskiego¹⁵.

Jako drobiazg przyczynkarski podajmy, że Waldemar M. Gaiński zrecenzował tomik wierszy Pawła Bukowskiego, który ukazał się w 1983 roku pod redakcją Piotra Bratkowskiego w serii „Pokolenie, które wstępuje”¹⁶. Ten ostatni dedykował autorowi redagowanego zbioru wiersz ****(Z opuchniętą twarzą, ze stopami)* (PB-SSk/24), natomiast Waldemar Gaiński – *Obok kalendarza* (WG-AB/41).

Proponuję odczytać tomiki trojga autorów w kontekstach miejskich, które nie uszły uwadze już to badaczom kreślącym ogólne opinie na temat poetów z pewnej perspektywy, już to recenzentom książek publikowanych w czasie rzeczywistym, na gorąco chwytającym i zapisującym dźwięki poetyckie.

Tom Katarzyny Boruń *Mały Happening* w oczach Konstantego Pieńkosza stał się tomem o generacji, którą cechuje „brak biografii, brak doświadczeń granicznych, ciężkich przeżyć egzystencjalnych”, ten deficyt „rekompensuje mitologia. U jej podstaw znajdują się takie hasła, jak wyobcowanie, brak poczucia wartości, nihilizm, brak wiary. Jednym słowem – pokolenie bez kompasu, bez dekalogu”¹⁷. Wielkomięskość drapieżna to z kolei motyw wysnuty z wierszy przez Zbigniewa Mikołajko: „Katarzyna Boruń jest kontynuatorką – i to kontynuatorką znakomitą – pewnej, wyraźnie określonej tradycji poetyckiej, a mianowicie tzw. *poezji miasta*”¹⁸.

W *Asfaltowym bluesie* Danuta Kuleszyńska oznaczyła przede wszystkim ową „molochowość”: „Miasto jest bohaterem poetyckich fabuł Waldemara Gaińskiego [...] Miasto jako bohater i organizm nie potrzebuje w swym kształcie być animowane; nie potrzebuje też wyobraźni poety, aby żyć; jest żywym zakładem martwych perspektyw”¹⁹, a Piotr Zychkowski – ujęcie natury pokoleniowej: „Dla generacji W. Gaińskiego – »zdrowego iloczynu statystyki« – obecność w świecie jest zarazem przymusem i wolnością. Być znaczy co prawda być trybem maszyny, »przechodnikiem«, »sąsiadem«, pacjentem, ale również dokonywać wyboru”²⁰.

Na miejski rys *Strefy skażeń* zwróciła z kolei uwagę Monika Malessa:

podejmuje Piotr Bratkowski kilka wątków. Jest jednak jeden zasadniczy motyw, który spina je w dość spójną całość. Tym motywem jest Miasto. Rozumiane jednak nie jako – a przynajmniej nie jedynie – urbanistyczny pejzaż, lecz przede wszystkim, jako pewien zamknięty świat, pętający jednostkę, osaczający ją zewsząd swą codziennością, może rozumiany właśnie jako „strefa skażeń”. [...] Miasto ingeruje w życie jednostki, jest agresywne i wszechogarniające. Taką



Erazm W. Felcyn „Przybysze” - rondo przy ul. Wajdeloty w Gdańsku-Wrzeszczu (1971)

wizja miasta nie jest nowa. Autor odwołuje się do znanego w literaturze motywu miasta-molocha, obcego i wrogiego człowiekowi²¹.

Powyższe „idiomy” krytycznoliterackie znalazły swój dalszy ciąg m.in. w leksykonie Piotra Kuncewicza. Ten wybitny badacz podkreślał nowoprywatny urbanizm w dwóch nasileniach: 1) na serio (klasyczny) zawarty w poezji Waldemara M. Gaińskiego („Gaiński jest zdeklarowanym urbanistą, w sensie »nowoprywatnym«, czyli jego miasto jest okrutnym molochem, groźnym i obezwładniającym. W ogóle jest to poezja bardzo konkretna, wręcz dosadna i brutalna, pełna gorczy i nazywania rzeczy po niepięknych imionach”²²) i Piotra Bratkowskiego (o jego tomach: *Uniwersytet* (1981), *Strefa skażeń* (1983), *Nauka strzelania* (1990): „zwłaszcza ten ostatni jest bardzo interesujący. Jest to poezja urbanistyczna, ale miasto jest tu smutnym i brzydkim molochem, i w istocie klasycystyczna – w swoich inspiracjach, ale jest to klasycyzm ironiczny i zaprzeczony”²³) oraz 2) w nieco lżejszym wariacie u Katarzyny Boruń, która zyskała miano „delikatnej, subtelnej i wyciszonej”, choć i w jej twórczości „odnajdziemy i miasto, które »nocą wyje na uwięź«, i mgławicowość snu, i co nieco diaboliczne ekscytacje seksualne. Ale w porównaniu z klasycznymi »neoprywatnizacjami« ma do tego wszystkiego więcej dystansu”²⁴.

Wielce wymowne są tytuły i incipity wierszy. Miasto dźwięczy w postaci wyabstrahowanej, nieraz bardzo ożywionej: *Raport z miasta* (WG-AB/27), *Oczy miasta* (WG-AB/30), ****(Wróćisz do miasta pod wieczór)* (PB-SSk/27), lub nazwy własnej: *Montreal* (PB-SSk/48), która – przy odrobinie dobrej woli – może przybrać znaczenie symboliczne. Ulica natomiast występuje w zdrobieniu: *Uliczka* (PB-SSk/30), *Aneks do poematu „Uliczka”* (PB-SSk/40), i czarnej nawierzchni rozproszonej muzyką przeżyć: *Asfaltowy blues* (WG-AB/18). O wątkach kolejowych pomyśleliśmy przy okazji nagłówków: *Pociąg podmiejski* (PB-SSk/37), *Dworzec Gdański* (KB-MH/67), a o knajpach, czytając *W barze „Grochowski”* (WG-AB/34). Części mieszkania (ściana, okna, drzwi) ułożymy z tytułów: *Za ścianą* (KB-MH/63), ****(nikt ci nocą nie zagląda w okna)* (WG-AB/60), *Przy drzwiach otwartych* (WG-AB/62). Oddzielnie należy podnieść bardziej rozbudowane imiona liryków z budynkami, w których szansę na wyznanie mają chwile bytu będące udziałem

bohaterów: *Stara kobieta w czytelni MPIK na Nowym Świecie* (WG-AB/24), *Kobieta przed lustrem na szóstym piętrze wieżowca Miasta Stołecznego w Europie Środkowej* (WG-AB/29), *Rozmowa obywatela Jana K. z lekarzem dyżurnym Szpitala dla Nerwowo Chorych w Pruszkowie* (WG-AB/49), *Rozważania obywatela Jana K. pod szpitalnym murem, w chwilę po zamknięciu bramy* (WG-AB/53).

Przyjrzyjmy się teraz samym wierszom.

Podmiot liryczny czuje wyalienowanie: „jestem w tym mieście obcy / nie znam nikogo” (PB-SSk/7), „czyje twarze mieli przechodnie / obcych ulic twojego miasta” (WG-AB/22), „w ulicach jak w butach pełnych pustych kroków” (WG-AB/10), „puste place martwego miasta” (PB-SSk/17). Bohatera dręczy więc samotność, mimo iż albo może przez to, że przestrzeń kurczy się, zawężyć aż do dotykanej obcości „przez ścianę”: „mieszkamy przecież w różnych miastach / na różnych ulicach / w sąsiednich blokach / przez ścianę” (PB-SSk/12). Dominuje brak więzi, możliwości nawiązania trwałych relacji, pozostała zatem kpina z miłości: „nasze rozmowy telefoniczne / bardziej niż kiedykolwiek / przypominają szyfry” (PB-SSk/26), „różnica / między uśmiechem a zaproszeniem do łóżka / [...] / i nie mieliśmy słów żeby naszą bezradność / opisać w wierszu” (PB-SSk/44). Ale nawet „podróż poza granice samotności” (PB-SSk/64) nie jest wyjściem z niej, lecz włóczęgiem „ja” w jeszcze większą bezludność psychiczną. Ulice są zawyżają puste: „Chodniki pokryte ciemnym liszajem / były puste” (PB-SSk/40), „Wieczór. Wokół uschnięty las i pustynia” (PB-SSk/55), „Dziś w nocy / odrzuciło miasto. / Nie wiem dokładnie dokąd. / Moje łóżko / stało na nieskończenie pustym placu” (KB-MH/6).

Ta pustynność objawia się, gdy podmiot liryczny znajduje się w ruchu lub przemieszcza między stacjami swojej udręki: „całymi dniami włóczę się w ulicami” (PB-SSk/7), „tymczasem ja jeździłem autobusami / po wyludnionym mieście” (PB-SSk/62). Mimo chęci ucieczki, następuje powrót: „Wróćisz do miasta pod wieczór. / [...] Być może nazwiesz to wierszem – / wróćisz jednak, powrócisz do miasta” (PB-SSk/27). Takie ulice to pejzaże mentalne. Miasto staje się też miejscem opresji ze strony przyrody: „Nad miasto / nadciągały burzowe chmury. Nie zdążyłem / zawrócić, gdy spadły pierwsze bomby” (PB-SSk/40).

Często pojawia się motyw dworców kolejowych i pociągów: „Ulice dalekich ed. str. 30

metropolii przypominają / wielką dzielnicę dworcową" (PB-SSk/48), „samotne dworce" (PB-SSk/17). To wizja zimnego świata („świt wyganiał nas w chłód ulicy", WG-AB/15; „na apelowym placu zimnych peronów", WG-AB/10), stąd przykazanie:

**musisz się nauczyć omijać
te wszystkie obce miasta
królestwa pociągów towarowych
[...]
musisz się nauczyć omijać
te wszystkie brudne miejsca
mazowieckie miasteczka poczekal-
nie dworcowe
(PB-SSk/28).**

Znajdziemy jednak „zaczisze dobrze znanego peronu" (WG-AB/38), do którego umyka się przed nocną drapieżnością miasta. W liryku *Pociąg podmiejski* dostrzeżemy natomiast aurę kolorystyczną jako przykład działania synestezji, ujawniającej melancholię:

**Miasto, pociąg i ty. [...]
Jest żółto, jest granatowo, różowo
a potem błękitnie. Chwile pod-
miejskiej
chandry na trasie Warka-Warszawa.
Wypluwa mnie w środek miasta,
znikł pociąg
i sen
(PB-SSk/37).**

Gwarne place także nie są synonimem braterstwa, skoro człowiek stał się ssakiem: „dokąd pójdę taki dzień że / tylko własny nekrolog układać ulicą / włokę się grupy ssaków" (PB-SSk/10). Asfalt nie mógł ominąć tej poezji: „Leżę, cementowe kafle, asfalt. Ciepły" (KB-MH/21), „asfaltowy blues" (WG-AB/18), „na asfalcie – brudnoczerwona plama mojej krwi" (KB-MH/26).

Domy przestały być oazą bezpieczeństwa i naturalności; są sztuczne: „domy przypominały makiety" (PB-SSk/40), „neonowy puls wieżowca" (WG-AB/29), oraz duszne: „będziemy uciekać / z dusznych mieszkań na ulice miast" (PB-SSk/12).

Jednym z miejsc codziennej włóczęgi „ja" przez los są knajpy, zazwyczaj tanie i obskurne, dzikie azyle dla umęczonych chłopców: „rok 1980 warszawa bar złota kaczka nie było cendrarsa / ani nikogo ze znajomych alkoholików" (PB-SSk/11), „mieszali gwiazdy w talerzach / najtańszych barów" (WG-AB/16). Czytamy: „wieczory / spędzam w barach o których nawet / wierszy nie warto pisać" (PB-SSk/7). Mimo cody tego wyimka, liryczność składa się na atmosferę barów: „poezja barów szybkiej obsługi" (PB-SSk/23). Piwiarnie zaś są „kościotami patriotyzmu" (PB-SSk/17). Bary to nie jedyne miejsca zgubień i zagubień świadomości:

**w knajpie, kiedy
pijemy wódkę, śpiewamy stare
piosenki,
na stadionie, gdy przepitymi
głosami śpiewamy hymn,
[...]
w zaulku, kiedy nas jest więcej
niż tamtych, w pochodzie
(PB-SSk/53, 54).**

Natknąwszy się na obraz: „kiedy chłopcy ze szlaku usiłowali się / złożyć na butelkę wódki i wciąż brakowało / im dwunastu złotych" (PB-SSk/61), gdzie mowa o warszawskim szlaku, przyszedł mi na myśl fragment wywiadu z jednym z poetów grupy:

Ale napisałem powieść. To znaczy, ja ją ciągle, ciągle szlifuję. Nazywa się to *Na Szlaku*. Drukowałem kiedyś fragmenty. Piszę, siedzę nad tym już kilka lat. To jest współczesna powieść o takich chłopakach, którzy albo są artystami, albo próbują być. Na Szlaku to się w Warszawie nazywa ten kawałek: Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, do Alei Ujazdowskich. Tam było mnóstwo knajp, „U Hopfera", „Staropolska", „Harenda"... Jak się wyszło na Szlak, to się zawsze kogoś spotkało, pogadało...²⁵.

O infrastrukturze poetyckich przestrzeni w miejskich wierszach noworocznikowych pisał Andrzej K. Waśkiewicz:

Co więcej – w najwartościowszych realizacjach opozycja „realne" – „wyobrażone" traci zasadność. „Stadiony", ulice, którymi przechodzą pochody, masowe zgromadzenia ustępują tu miejsca podrzędnym barom, dworcem kolejowym, rozpadającym się czynszówkom, szpitalom, podrzędnym hotelom. W tle dopiero jawią się uniwersytety, biblioteki (ale „płonące"). Jest to opis realnej, „statystycznie" dostępnej rzeczywistości. To prawda – jeśli znajdują się tu obrazy instytucji społecznych, to raczej ze sfery – szeroko pojętych – usług niż ze sfery produkcji. Raczej szpital niż hala produkcyjna, raczej bar – niż np. biuro projektowe. Z drugiej zaś strony: raczej „złomowiska" niż place budowy. Jeśli pojawi się bohater spoza „środowiska", to będzie to raczej „bóg", który „zbierał śmieci do parcianego worka" (S. Esdem-Tempski) niż np. konstruktor²⁶.

W opisie molocha wykorzystano animizację i antropomorfizację. Miasto ukazano jako organizm w jego pełnym biologizmie, fizjologii: „o trzeciej nad ranem żółta Wisła / obmywa rany miasta" (PB-SSk/17), „jeli- ta miasta którymi idziemy pod prąd jego / nabrzmiało od krwi płuca pełne resztek / jedzenia szkła z rozbitych butelek" (PB-SSk/30), „poranna czkawka bezcelowych ulic" (WG-AB/6), „ciemne zaułki / owrzodzia- tych przedmieść" (WG-AB/20), „betonowe ciało ulic" (WG-AB/30), „oczy zmęczonego miasta" (WG-AB/32). Osobno wskażmy na wiersz *Raport z miasta*:

**miasto powoli wraca do zdrowia
jego płuca znów zaciągają się moc-
nym dymem
z papierosów najwyższych komi-
nów
a żyły ulic pęcznią rano
od sennej krwi ulotnych twarzy
przechodniów
(WG-AB/27).**

W przywołanym liryku, dzięki sugestywności obrazowania, jesteśmy świadkami pełnego utożsamienia miasta z ciałem ludzkim.

Mieszkanie straciło już nawet pozory cichej przystani, skoro „jest tylko nie ścielone od miesiąca wyro / gorzki smak po przepiciu – i tyle" (PB-SSk/60), „w dusznym pokoju, w nie ścielonym / łóżku" (PB-SSk/38). Kwatera to przecież miejsce „nie własne", bo wynajmowane, i dręczące, przyrównane do więzienia: „ciasne mieszkania" (WG-AB/14),

„co nam się śniło – śpiącym pod celą / wynajmowanych mieszkań" (WG-AB/22).

Są też mieszkania poza domem, „na chwilę", nie do oswojenia, hotele. Czy to schroniska? Raczej „przybytki" odosobnienia i miejsca lęku, przecież:

**W moim hotelu
na ulicy świętych przegranych
w zatęchłej pościeli
w wilgoci pustych murów samot-
ność
jak nagły wiatr z za rogu
czai się do skoku
(PB-SSk/30).**

Tekst jest nieco zwodniczy. Prawie zaczy- na się zaimkiem dzierżawczym, który sugerowałby „własność" i ciepło („mój hotel"), ale już w następnej linijce początkowe wrażenie „psują" słowa: „przegranych" i „zatęchłej". Potem jest wers-dreszcz, gdzie, poza przyim-kiem, każde słowo poraża, przeraża i zakąsa inne, w związku z czym nie zdziwi *passus* „wieńczący" klimat upiorny, kwintesencja samotności.

Osaczenie brakiem snu, czyli złe życie z „ja" i światem (inna wersja: złego wycia w „ja" i świat), ma postać wilka. Gdy wyszukamy fragment: „nadchodzi noc, / ścieżką bezzębności skradają się wilki" (PB-SSk/49), obawiamy się o „ja", choć inna fraza, mimo uspokajającego przystówka „niezbyt", wzbudza przerażenie: „Kiedy zasypiam / stary i niezbyt drapieżny wilk / skacze mi do gardła" (PB-SSk/52).

Reakcją obronną, wykrzyczeniem bólu istnienia w okolicznościach depresji i represji jest ostra, głośna muzyka: „To jestem ja, to jest muzyka, a za oknem miasto. / Jestem smutny, a muzyka jest ostra. / Twardy rock" (PB-SSk/66). Melodia zaś wzbogaca przenosi- nię: „uszy gwizdane do mózgu / melodią ulicy" (WG-AB/36).

Rolą twórczości jest wywoływanie rewo- lucji, przecież „rzeczywistość nie jest sumą / prawd ostatecznych" (PB-SSk/32), więc każdy „roni" życie według własnych skrupułów i dogmatów. Pisanie może jednak wynieść poetę poza czas, co jednak nie przebiera go w szaty demiurga, ale uświada- damia krótkość żywota: „Improwizując ten wiersz nie zauważyłem nawet / że zapadł wieczór że moja droga zbliżała się do końca" (PB-SSk/33).

Czy niewola jest prawdziwa? Może to tylko wytwór somnambulicznych egotyków, niepotrafiących stykać się z innymi typami sobie podobnymi: „za nogę przywiązany jest / papierowym sznurkiem / do kuchennej klamki" (KB-MH/17). Czy mówimy już o egzotyce egotyków?

„Jażń obwarowana", świadomość na- kierowana do wewnątrz oznaczały przeciw- stawienie się empirii. Świadomość ujawnia się nie poprzez relacje z rzeczywistością, ale w swych wewnętrznych uwikłaniach, możemy tylko domniemywać, iż są one w jakiś sposób zdeterminowane przez to, co zewnętrzne²⁷.

Kiedy natkniemy się na zwrot: „Wy- chodzę na ulicę / w przeczuciu Historii do wzięcia" (KB-MH/65), możemy zatrzeć się jeszcze bardziej, bo Historia pisana przez duże „H" nie jest zwykłą codzienną historią, z jaką mamy do czynienia w *Ostatnich obrzędach*, posiadających cechy poetyckiego dziurysza („ósmego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt pięć / nocny spacer z psem / później długa rozmowa w ciemnym po-



Erazm W. Felcyn z kolekcji „Fantasmagorie” (2017)

koju”, PB-SSk/39), ale wtargnięciem wydarzeń polityczno-społecznych na terytorium prywatne, zwłaszcza że, jak zaznaczył Konstanty Piętkosz, poetów nowoprywatnych „oszczędziła historia”:

Znaczna część wierszy Katarzyny Boruń jest pamiętnikiem z okresu dojrzewania pewnej [...] generacji ludzi. Mam na myśli przede wszystkim rówieśników, urodzonych w latach pięćdziesiątych, tych, o których mówi się, iż oszczędziła ich historia²⁸.

Kiedy wydaje się, że jednak żyjemy na przekór historii, zapędem statystki, musimy oswoić się z deziluzją, gdyż cierpienia człowieka w bloku nie są realne, co wcale nie oznacza wyzwolenia, lecz pytanie o status trwania:

Słyszę wyraźnie, jak za ścianą wrzucono coś do zsypu – ciężki, bolesny upadek. Mogą to być: już martwe książki, jeszcze żywe szczenięta, niemowlę zawinięte w gazetę czy nawet poćwiartowane włoki... Mogą, ale w naszym domu nie ma zsypu (KB-MH/66).

Niby odbieramy ewidentność bodźców („Słyszę wyraźnie”, „ciężki, bolesny upadek”, a więc głośny), przecież najpierw podano listę przypuszczeń („Mogą to być:”), by równie pewnie oznajmić nie-istnienie. Zasygnalizowana płynność egzystencji pojawia się w akcie identyfikowania „ja”: „zajmowaliśmy za dużo miejsca w kawiarniach / w środkach transportu i na ulicach / które na każdym rogu sprawdzały naszą tożsamość” (WG-AB/43). Dowód osobisty nie różni się niczym od pozwolenia na uczestnictwo w życiu. Czy jednak można być pewnym czegośkolwiek? – „Widocznie znów robiłam to / po

złej, zewnętrznej stronie / swojej twarzy” (KB-MH/22). Życie w mieście to autodestrukcja: „jestem, bo czuję, że umieram” (PB-SSk/57), a każde działanie jest pozorne: „... wywietrzyłem pokój i umyłem / głowę, chciałem nawet posprzątać i pościelić / łóżko, gdy przypomniałem sobie, / że świat naprawdę nie istnieje” (PB-SSk/59). Czy ten wątpliwy stan bytu kazał podać do druku linijki: „Kiedy już wszystko wypala się i gaśnie, / nieważne jest; obudzę się jutro czy nie” (KB-MH/26). Chyba w sferze życzeń pozostanie projekcja: „a najlepiej wywieźć miasto do innego miasta” (WG-AB/32). To głos wołającego na pustyni miasta.

Zbudowana w niniejszym esej „molocho” opowieść jest jedną z możliwości dekodowania poezji Katarzyny Boruń, Waldemara M. Gaińskiego i Piotra Bratkowskiego zawartej w trzech przywołanych zbiorach. Już w trakcie ich lektury i zonglowania cytatai okazało się jak bardzo zborny obraz liryczny stworzyli wymienieni twórcy.

ARKADIUSZ FRANIA

1. W szkicu używam następujących skrótów na oznaczenie cytowanych książek: KB-MH – Katarzyna Boruń, *Maly Happening*, ilustrował Bogusław Orliński, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1979; WG-AB – Waldemar Gaiński, *Asfaltowy blues*, grafika Stanisław Młodożeniec, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1981; PB-SSk – Piotr Bratkowski, *Strefa skażeń*, grafika Piotr Młodożeniec, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1983. Cyfra arabska po skrócie i znaku ukośnika („/”) odsyła do konkretnej strony.
2. Waldemar M. Gaiński, *Grupa Poetycka „Moloch”, „Nowy Medyk” 1975, nr 20, s. 9. Historię stowarzyszenia, na bazie bogatych materiałów źródłowych, szczegółowo odtworzyła Ewa Głębička (Leksykon. Grupy literackie w Polsce. 1945-1989, wydanie II poszerzone, Wiedza Powszechna, Warszawa 2000, s. 429-431).*
3. O poetycko-osobistych relacjach między tą dwójką twórców piszę w szkicu Waldemar M. Gaiński i Katarzyna Boruń. *Z historii pokolenia Nowej Prywatności („Migotania” 2017, nr 2-3, s. 14, 16).*
4. *Debiuty poetyckie 1977. Antologia, wybór, opracowanie*

i redakcja Jerzy Leszin-Koperski, Andrzej K. Waśkiewicz, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa 1978, s. 15.

5. Marek Jędrzejewski, *Młodzi poeci w PRL. Młoda poezja jako wyraz świadomości pokolenia lat 1976-1980*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015, s. 128.

6. Katarzyna Boruń-Jagodzińska, *Początek, czyli prywatnie i po przyjacielsku*, [w:] Waldemar M. Gaiński, *Wiersze ostatnie, opracowanie redakcyjne Tadeusz Piersiak i Olga Wiewióra*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2016, s. 7.

7. Tamże, s. 9.

8. *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze – manifesty – samookreślenia, wybór, opracowanie i redakcja Jerzy Leszin-Koperski i Andrzej K. Waśkiewicz*, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa 1979, s. 135.

9. Katarzyna Boruń – *List do przyjaciół zamiast manifestu*, ****(Ona i on)*, ****(W katastrofach lotniczych)*, *North Side Story*; Waldemar M. Gaiński – *Miniatura*, *Instytucja twarzy*; Ryszard Holzer – *Niepokój*, *Noemi*, *Pożegnanie ze szkołą*, *Zimna herbata*, *Sen [wiersze]*, [w:] *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze – manifesty – samookreślenia*, s. 137-143. Zwróćmy uwagę też na inne prezentacje poetyckie „Molocha”, w żadnej jednak kolumnie poeci będący bohaterami mojego ogłądu nie występują wspólnie: „*Nowy Medyk*” 1975, nr 20, s. 9 – Katarzyna Boruń (****(On usprawiedliwił się)*); „*Litteraria*” 1977, nr 4, s. 120-133 – Katarzyna Boruń (*Drugi. Czwarto (powtórka z Szekspira)*), ****(Na koniec)*, ****(Od południa)*), Piotr Bratkowski (*Temat z Beatlesów*, *Irrewolucja*, *Nam ptakom niepotrzebny sen*, *Montreal*, ****(jesteś sama w mieszkaniu)*, ****(zaszczyty słońca nordyckich furii)*, *Spadkobiercy*), Ryszard Holzer (*Próba dramatu współczesnego*, *Próba rekonstrukcji*).

10. Katarzyna Boruń – *List do przyjaciół zamiast manifestu [wiersz]*, [w:] *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze – manifesty – samookreślenia*, s. 137.

11. Waldemar M. Gaiński – *Instytucja twarzy [wiersz]*, [w:] *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze – manifesty – samookreślenia*, s. 140.

12. Katarzyna Boruń – *Wybacz obłąd ocalałym z pożaru*, *Bardzo mała apokalipsa [wiersze]*, [w:] Katarzyna Boruń, *Więcej*, *Staromiejski Dom Kultury*, Warszawa 1991, s. 25-26, 34.

13. P. Brat. [Piotr Bratkowski], Waldemar M. Gaiński [nota], „*Radar*” 1982, nr 4, s. 17; tam druk 3 wierszy Waldemara M. Gaińskiego: *Wg Jesienina*, *Piękna trzydziestoletnia*, *Opowieść o popielniczce*.

14. Waldemar M. Gaiński, [wypowiedź w ramach *Sondy: Debiuty 1977*], [w:] *Debiuty poetyckie 1977. Antologia*, s. 93.

15. Tenże, *Ja, my, oni ... i tak dalej*, „*Poezja*” 1984, nr 3, s. 68.

16. Tenże, *Glupie lata [rec.: Paweł Bukowski, Zachmurzenie, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1983, seria „Pokolenie, które wstępuje”]*, „*Radar*” 1985, nr 50, s. 20.

17. Konstanty Piętkosz, *Dokąd idziesz? [rec. Katarzyna Boruń, Maly Happening]*, „*Literatura*” 1979, nr 47, s. 12.

18. Zbigniew Mikołajko, *Wiersze Katarzyny Boruń [rec. Katarzyna Boruń, Maly Happening]*, „*Nowy Wyrzaz*” 1979, nr 7, s. 103.

19. Danuta Kuleszyńska, *Między wargą telewizyjnego sprawozdawcy a językiem polskim [rec. Waldemar Gaiński, Asfaltowy blues]*, „*Okolice*” 1984, nr 1-4, s. 116-117.

20. Piotr Zaczekowski, *Których wygnano z poezji [rec. Waldemar Gaiński, Asfaltowy blues]*, „*Kwartal*” 1983, nr 1, s. 69.

21. Monika Malessa, *Podróż poza granice samotności [rec.: Piotr Bratkowski, Strefa skażeń]*, „*Nowe Książki*” 1985, nr 1, s. 97.

22. Piotr Kuncewicz, Waldemar M. Gaiński [hasło osobowe], [w:] tegoż, *Leksykon polskich pisarzy współczesnych, tom pierwszy: „A-M”, GRAF-PUNKT, Warszawa 1995, s. 236.*

23. Tenże, Piotr Bratkowski [hasło osobowe], [w:] tegoż, *Leksykon polskich pisarzy współczesnych*, s. 99.

24. Tenże, Katarzyna Boruń [hasło osobowe], [w:] tegoż, *Leksykon polskich pisarzy współczesnych*, s. 92.

25. 30 lat pracy twórczej. Chciałem być perkusistą. Rozmowa z Waldemarem M. Gaińskim, poetą, rozmawiał Marian P. Rawinis, *Kwartalnik Kulturalny Częstochowy „Aleje 3”*, nr 49, styczeń-marzec 2005, s. 21.

26. Andrzej K. Waśkiewicz, *Ósma dekada. O świadomości poetyckiej „nowych roczników”, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 1982, s. 181-182.*

27. Tamże, s. 134.

28. Konstanty Piętkosz, *dz. cyt.*, s. 12.

Szymon Florczyk

Ciało i zgłoska

Od wczoraj nie rozumiem, co to znaczy.
Słowa przybłądy, słowa zguby
pętają się po domu i wchodzą pod nogi.
Z jakiegoś powodu nic nie mówią,
z jakiegoś powodu przecież muszą
poczuć je po absolutną biel kości.

*umarł ojciec.
Ojciec nie żyje.
ojciec Umarł.*

Wrzuciłem słowa do studni, ale
nie odpowiedziały echem, a tym bardziej
nagim łoskotem. (umarł ojciec)
Postawiłem je w oknie, tak widoczne
jak zachód słońca, przez co i on
zaszeleścił jak papier.

*Zmarł ojciec
dlatego Nie ma ojca
i nie Będzie.*

Krażyłem, nie mogąc znaleźć
stałego punktu. Wtedy kątem oka dostrzegłem
podłużny przedmiot związany białą nitką -

*ten Grzebień Umarł
i Nie Poruszy się
Nigdy Więcej*

- a słowa brzmiały wszędzie
sącząc syk i szczerząc boleśnie
zęby.

czy tamten mężczyzna czyta twoje wiersze

i znowu czuję że mi potrzeba wiedzieć

czy tamten mężczyzna (tylko nie wypowiadaj imienia)
zacztytuje się w twoich wierszach
do porannej kawy a na czubku języka
mrowi go przekład zapachu na lirykę

czy rozmyśla o twoich wierszach
wtulony w zagłębienie obojczyka
rozplata włosy tak jak wersy

a kiedy płaczesz
to czy w nich szuka wytrwale odpowiedzi
na nigdy niezadane pytania i gestem
skreślone strofy

czy by je czytał
gdyby nie posiadały twarzy
i tylko nawoływały w tę niemożliwie zimną pustkę
zważując się po najcichszym echu
wydobywanym ze sztolni nocy

bo w taką właśnie noc chciałbym mieć pewność
że tamten mężczyzna czyta ciebie dokładnie
jak ja
kiedy choć odrobinę mniej zachłannie
kocham się z twoim wierszem

obietnica

od pewnego czasu przychodzi sen. na poddaszu mojego domu,
które, wciąż zamknięte, pokrywa się przezroczyścią i kurzem,
stwarzam pracownię: sztalugi, szeleszczące rulony, miękkie tubki
farb,
oddychające szafranem; bejcowane w brąz deski i cegła, która
oddaje ciepło
promieni. taktownie wsiąkają przez okno

pochylone w skupieniu nad tobą:
przemykasz między płótnami w ogrodniczkach popstrzonych
sepia,
zasłuchana, z ważką we włosach uwalniasz barwy i zamaszyste
linie,
a ja spoglądam przez uchylone skrzydło i podtrzymuję
twój cień oddechem.

Szymon Florczyk - (ur. 1986) – publikował w magazynach internetowych („Herbasencja”, „Nowe Myśli”, „Pisarze.pl”, „Obszary Przepisane”, Helikopter) i „Toposie” oraz w zbiorze po-konkursowym XII OKP im. W. Iwaniuka „Taniec do skrzypiącej płyty”. Wyróżniony w XIII OKP „Struna Orficka” im. Wojciecha Bąka i V OKP „Erotyk na Krechę” im. T. Stirmera. Próbuje sił również w grafice i muzyce.

Zbigniew Ikona -
Kresowaty

Rozmowa z poetą, krytykiem, animatorem Jerzym Grupińskim,
założycielem Klubu Literackiego „ZAMEK”

POETYCKI RZUT BERETEM – KIERUNEK HONGKONG PO PRIZE-WINNING CERTIFICATE



Portret sugestywny poety wykonał Zbyszek Kresowaty
2014 r.

Zbigniew Kresowaty: Proszę wybaczyć, że już na początku naszego spotkania zapragnąłem przytoczyć „Wiersz o pasterzu” – Jest on pojemny metafizycznie w słowa, zatem przytoczę jedną trzecią tekstu. Czy tutaj poeta – autor jest pasterzem czasu i słów?

(...)

Są wszyscy
tylko pasterz – ten co ciężki plecak
jakby rękopis tajemny niósł
wciąż stoi na klasztorным strychu
pod krokiewiami mansardy
tam gdzie leżą dachówki
i poniemieckie książki
Gra na gipsowych multankach
Idzie za mną wciąż pasterz
jakby cień po śniegu szedł

Jerzy Grupiński: To postać symboliczna, figura ze żłóbka w moim rodzinnym miasteczku – Pasterz niosący ciężki plecak... Zawsze wydawało mi się, że taszczy na plecach ciężar tajemnicy – przestanie ważne dla mnie, dla chłopca – ministranta, który co roku z klasztorного strychu znosił z kolegami figury do żłóbka. Wielkie, ciężkie, prawie tak duże jak my – chłopcy od ołtarza. Stąd w wierszu „Idzie za mną wciąż pasterz” jak przestanie, ciężar odpowiedzialności wobec Tradycji, wierności wobec siebie. Pamięć o znakach, symbolach, tropach, które nas ukształtowały. O „figurach”, postaciach, tak nośnych, które chcielibyśmy przekazać następnym pokoleniom. Cieszę się, że zauważyłeś ten wiersz, że wyjąłeś go z książki... Każdy z nas prowadzi za sobą ten symboliczny cień. A może jest odwrotnie. To właśnie nas wiedzie ten cień. Jesteśmy



Zbigniew Kresowaty - Spotkanie w Bibliotece Klubie Literackim w „Dąbrówka” - 2017 r. (pokaz grafik i rysunków artysty i eseisty na spotkaniu autorskim „Rozmowa artystyczna „

prowadzeni, wiedzeni (ten wyraz od „wiedzieć”?). Oby tak było. Cieszę się, ilekroć przez szum poznańskiej metropolii uda się usłyszeć głos kościelnego dzwonu.

ZK: Przyglądam się dokonaniom poety i animatora Jerzego Grupińskiego w literaturze, zasługom, nagrodom i ostatniemu tomikowi wierszy pt. „**Sposób na motyle**” (2018 rok), Poznań, Salon im. Jackowskich). A wspomnieć trzeba, że wydałeś siedemnaście tomików poetyckich, posiadasz wiele nagród literacko – artystycznych, w tym za najlepszą książkę na 36. Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu, za tom

wierszy pt. „**Kuszenie świętego Poetego**” (byłem także obecny na w/w imprezie corocznej).

Później pisałem z przyjemnością esej o tym tomiku poezji, o którym też będziemy rozmawiać, posiadasz też i nagrody zagraniczne... Wiele tłumaczeń. Ale wracając do zbioru wierszy „**Sposób na motyle**”, kto wie czy nie parafrazuje on twórczości i prowadzi w tajemnicę z lotem motyli, który nie wiadomo na czym jeszcze osiądzie. Wiersze Juliana Przybosia i jego zalecenia „**najmniej słów**” wydaje mi się tutaj w tym zbiorze wierszy są Ci bardzo bliskie?

→
cd. str.34



Bruno Milczewski – wieczór z ramienia Klubu Liter. Zamek w Spółdzielni Skurz – 1970 r.

JG: Najpierw było urzeczenie **Tadeuszem Różewiczem i Zbigniewem Herbertem**. Szczególnie tym pierwszym. W końcu bałem się czytać wiersze Tadeusza Różewicza. Dziś, gdy widzę swe pierwsze teksty, z rumieńcem odnajduję ślady tych pisarzy pod mym młodzieńczym piórem. Potem był zachwyt **Julianem Przybosiem** i naukami autentystów. Pamiętam Juliana Przybosia z poznańskich „**Listopadów Poetyckich**” – ten szlachetny profil i lwia grzywa białych włosów. Po „**Kuszeniu świętego Poetego**” naznaczonego epickim gestem, zapragnętem wrócić (jak piszę w *autorskim postwoju do ostatniej książki*), do formy bardziej zwartej, oszczędnej. Wiadomość dla młodszych: nic tak nie sprawdza warsztatu poety, jak krótka, zwarta forma. Nie piszę prozy (jestem też bardzo niecierpliwym czytelnikiem, łatwo zniechęcam się, nudzę), więc ta epika – narracja gdzieś tam pewno jest we mnie, na dnie, wydziera się, chce iść do ludzi – gadać, opowiadać. Stąd i elementy epickie w mych wierszach – postaci, anegdoty, wątki fabuły. To moja „**ludzka słabość**”, ale i na pewno odrębność, szansa pisarska?

ZK: W swej ostatniej książce pt. „**Sposób na motyle**”, zapragnętes więc wrócić do formy bardziej zwartej, pamiętając o „**najmniej słów**”, zwróciłeś się też do egzotycznej dla nas praktyki i pamięci o literaturze Chin, Japonii? Przypomnę Ci, że miałeś już takie „**podejście**” w roku 1996, kiedy to w poznańskim Zamku wydałeś bardzo krótkie wiersze, wraz z moimi rysunkami, pt. „**Sposób na bezsenność**”.

JG: W wierszu zamkniętym w kilku wersach nie ma miejsca na nielojalne zabiegi wobec czytelnika, małe kłamstewka i kokietyjne gesty... Ale idąc w stronę Twego pytania o zauroczenie literaturą, sztuką Japonii, Chin... Kiedy pisałem esej o twórczości **Choi Lai Sheung** (pomieszczony w zbiorze pt. „**Prose and poetry seen in the eyes of international poets**”, compiled by **Zhang Zhi**, **The Earth Culture Press Hongkong 2005**, *(Humaczenie Agnieszka Mąkinia)*, dotarło do mnie, jak trudno wejść w świat jej poezji. Snułem się jak barbarzyńca po ogrodzie, w którym nie rozpoznawałem krzewów, drzew, roślin – mimo, że widziałem kształty, kolory, docierały do mnie zapachy. Nie rozumiałem ich znaczenia, związków, symboliki. Nie wspominając już o tajemnicach ścieżek, dróg, sadzawek, nagłych przestrzeni. Upraszczając, uwięzieni w naszym europejskim: tak – nie, białe – czarne, dobrze – źle, życie – śmierć, jest – nie ma itp., oglądamy ten świat najczęściej w kategoriach dychotomii, mimo, że nieobce są przecież naszej kulturze, literaturze figury paradoksu, oksymoronu, znakomicie godzące przeciwieństwa. Jest i pamięć o teoriach greckich eleatów, opowiadających o strzale wypuszczonej z łuku, która (czy leci?) skoro ciągle jest w jakimś buddyzmu zen, do obrazu symbolicznego ogrodu, wyspy, rozmijania się intencji i skutków... Jak w tej anegdotce: gdy mistrz zen pokazuje Księżyc, głupcy patrzą na palec. Odwieczne, ludzkie marzenie o widzeniu świata odartego z miejsca... Przez te doświadczenia próba nawijania w „**Sposobie na motyle**” do Lao-Tsy, zapisków mistrzów obrazu, który pokazują nam zmysły. Sposoby na „**rzeczywiste**” i to co nam się śni, wydaje. Rzeczywistość snu i jawy. Sny o motyli w obrazie świata widzianym motylimi oczami.

ZK: Już od kilku lat trwają kontakty Waszego Klubu Literackiego ze środowiskiem **Hongkongu**?

JG: Niech mi będzie wolno wspomnieć publikacje w miesięczniku „**The World Poets Quarterly**” oraz w słowniku „**World Poets Yearbook**”, corocznie wydawanym w Hongkongu, w których to tytułach znalazły się



Marek Obarski z czaszką ludzką, w Klubie Literackim „Zamek” Poznań - 1980 rok

teksty naszych poetek i poetów. To owoce współpracy z **Lisą Choi (Choi Lai Sheung)** i **dr Zhang Zhi** (prezydentem The International Poety Translation And Research Centre), znakomitymi pisarzami, autorami wielu inicjatyw edytorskich i wydarzeń. W roku 2005, almanach Klubu Literackiego „**Arka**”, zredagowany w **Centrum Kultury Zamek** przez niżej podpisanego, został uznany w Hongkongu „...as the international best selections of poems of year 2005”. W roku 2005 z inicjatywy Bogumity Janickiej, wyszła w wydawnictwie **The Earth Culture Press w Hongkongu**, chińsko-angielsko-polska antologia wierszy Choi Lai Sheung pt. „**Camel Bell Żółtobrzowy Budzik**”, zawierająca także reprodukcje obrazów poznańskiej malarki – poetki Grażyny Kiełińskiej.

ZK: Czytam wiersz „**Wiersz ze śniegu**”, z mottem Juliusza Stowackiego: „**Mówię – bom smutny i pełen winy**”. Jako doświadczony poeta potrzebujesz świeżego, ostrzejszego patrzenia, pewnej autonomii,

oddechu (?) -pożywkę? Inspiracji? Coś w Tobie wypala się... wytraca?

JG: To ryzykowny - ba, ryzykancki tekst, bo rewiduje, podważa sens pisanie, uprawiania sztuki nie tylko przez autora, ale i przez ogół artystów. Podcinanie gałęzi na której się siedzi, nie tylko jako pisarz, ale i eseista oraz animator środowiska.

Pada śnieg na twarze
na wiersze nasze dzieci na tomiki
Na mowę – trawę
i wyraz co w literę się waży
Złoty zawiści zawistki i zajady
polemiki i panegiryki
Na kupione recenzje ukłony
Wychodzone wymodlone krytyki
Peleryny pierścienie w turniejach
puchary berła i patyki

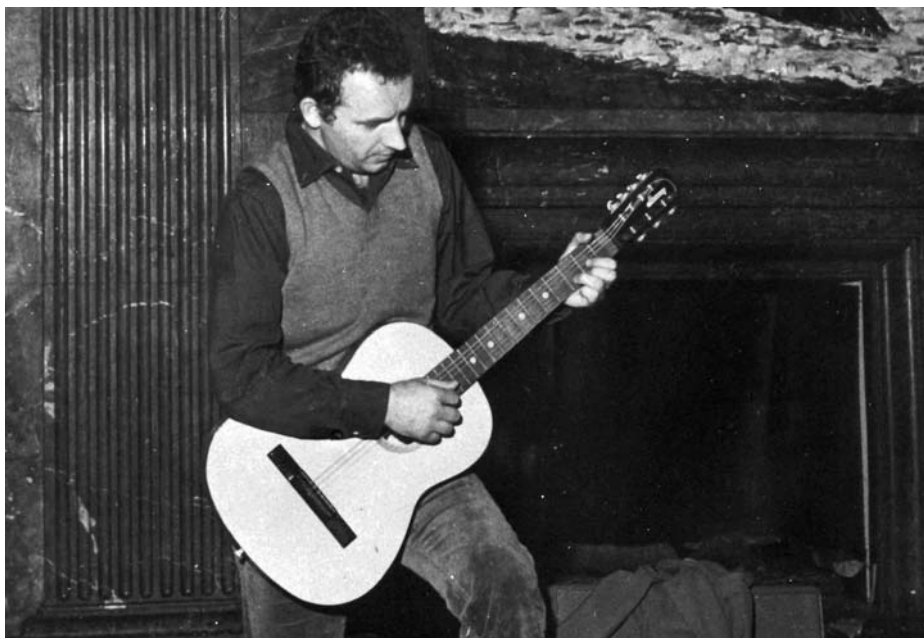
- Bo czasem trzeba zadać te podstawowe pytania, by znów odpowiedzieć. Po to skreślamy, niszczymy czasem symbole, wartości, którymi żyjemy – piszemy, by znów w nie wierzyć, odbudować, bo czy można inaczej, skoro bez nich nie potrafimy egzystować, tak jako ludzie, jak i – twórcy? Stąd, właśnie tak – nie inaczej, kończy się „**Wiersz ze śniegu**”:

(...)

Ale są może jeszcze puste kartki
gdzieś nowe zęby mądre książki
szkła co widzą ostro i daleko
i słowa – wargi które mówią
Może są jeszcze gdzie drzwi
które uderzone boleśnie
nie bolą nie pamiętają nie cierpią

ZK: „**Kuszenie świętego Poetego**” składają dwa cykle: „**Śpię już tylko z brzozą**” i „**Wiersz – w ciemną wodę patyk**”... Zachwyciłem się tytułem „**świętego Poetego**”, gdyż piszę ikony i należałoby napisać – namalować ikonę **św. Poetego** na desce, jako wyobrażenie z Twej książki. Tak postąpił **św. Łukasz**, namalował obraz – wyobrażenie Matki Bożej, które jest uważane za jedyne w kościele!

JG: Mam od Ciebie ikonę z mym patronem – **św. Jerzym**. Tak, dwa cykle w tej książce. Pierwszy to późne (zbyt późne?)



Edward Stachura – „Sted”, w Klubie Literackim „Zamek” – Sala Kominkowa- 1970 r.

erotyki, drugi – powrót do krainy dzieciństwa, rodzinnej tradycji, pejzażu pierwszych lat. *Jest tu stary, dziedziczny dom, dziewice ani na mięso ani na rosół*”, bo jak relikwie – wciąż żywe, nieuśmiercone. Są cmentarze, muzyka do tańca w Olszynchach i pamięć o Żydach z miasteczka. Wszystko zapisane nie bez dystansu, ironii (*jak zauważyłeś*), bo przykazanie „*Po pierwsze nie nudzić*”, należałoby nam przypomnieć, paralelnie do lekarskiego „*Primum non nocere*”. Milczenie publiczności na naszych spotkaniach autorskich, być może mówi: „*Te wiersze nudne i trudne...*”. Idąc za Twym pytaniem – jak przedstawić w ikonie św. drewniane schody wytarte nogami pokoleń, są procesje Bożego Ciąta, stoły, przy których siedzą umarli w białych gorsach, dwie kury przywiezione do metropolii „*święte tykowane Poetęgo?* – Jakie znaki, rekwizyty, symbole? Otóż myślę, że obok postaci świętego, mogłyby się znaleźć: rzeka dzieciństwa – Warta, biała kosa, drewniany most, sosny mej Puszczycy Nadnoteckiej, klasztor oo. franciszkanów, ryba...

ZK: Ikona św. Jerzego zwalczającego smoka totalitaryzmu – a dla artystów cenzurę... Tak nazywam darując takie ikony, żeby pomagały prowadzić i ochraniać – **Jesteś założycielem poznańskiego Klubu Literackiego w 1970 r.** W roku 2020 wybiję Wam okrągła 50-tka. To ewenement w skali kraju. Tyle znaczących nazwisk, osobowości, które w **Zamku** debiutowały publikacjami, spotkaniami autorskimi. Zainicjowałeś też **Ogólnopolski Konkurs Wierszy o Laur Klemensa Janickiego**, na który nadsyłało zawsze około dwa tysiące wierszy?!... Było bardzo wiele spotkań nie tylko poznańskich poetów, ale także z Polaki. Poetów później zwanych wyklętymi. Liczyłeś na powodzenie w kraju i bardzo dobrze, bo nie chciano ich drukować... Byli to przecież poeci tzw. Nowej Fali”, jak Barańczak, Krynicki, Obarski, Milczewski, Różański, Grupiński, etc. Wyrwa – Krzyżański, Tadeusz Żukowski, Stachura...

JG: W roku 1970 grupa młodych pisarzy z mej inicjatywy założyła w poznańskim **Zamku** wówczas zwanym **Pałacem Kultury, Klub Literacki** (w latach 1999 – 2005 współpraca **Barbary Lempi** – poetki i dziennikarki). Debiutowali tu spotkaniami autorskimi bądź publikacjami między innymi **Grażyna Banaszekiewicz, Grzegorz Gauden, Rafał Grupiński, Marek Obarski, Mariusz Rosiak, Wincenty Różański, Norbert Skupniewicz, Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, Krzysztof Magowski, Paweł Kuszczynski, Tadeusz Siejak, Tadeusz Żukowski**. Z młodszych między innymi **Dawid Jung** (wydawca) „Zeszytów Poetyckich”), **Roman Bromboszcz** (twórca eksperymentalnych „bromboxów”), **Magdalena Gałkowska** (laur konkursu Jacka Bierieżina). Pierwsze spotkania **Stanisław Barańczak, Edward Balcerzan, Krzysztof Kuczkowski, Ryszard Milczewski-Bruno, Wincenty Różański, Jerzy Satanowski, Edward Stachura, Jerzy Szatkowski**, a także **Piotr Bagiński, Marek Słomiak, Tomasz W. Rzepa, Jerzy Benjamin Zimny**. Historyczna pierwsza prezentacja miała miejsce 10 czerwca 1970 roku. współtworzyli: A Babiński...

ZK: W „nowym” **Zamku** Wasze inicjatywy nie zawsze znajdowały poparcie, stąd decyzja o zmianie mecenasów?

JG: Klub przeszedł w roku 2005 pod opiekę Piątkowskiego Centrum Kultury „**Dąbrówka**” przy Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. W dalszym ciągu organizuje imprezy i wydaje periodyk „**Protokół Kulturalny**”, w pewnym okresie wzbogacony przez dodatek młodych twórców „**Okowykol Okularny**”, prowadzony przez poetę, krytyka, eseistę i tłumacza Omira Sochę. „**Protokół Kulturalny**” jest od lat (*od upadku*

„*Arkusza*”, prowadzonego przez **Bogusławę Łatawiec**), jedynym piśmie literackim w Poznaniu. W czasie naszego półwiecza wydaliśmy niepoliczalną liczbę almanachów, programów, tak zwanych witryn, arkuszy i ulotek poetyckich.

ZK: U swych początków Twój **Klub Literacki** miał opinię gniazda „skandalistów”, w którym prezentując się, łatwo było o utratę dobrego imienia, łatwo o szkodę na duchu i cieles...

JG: „**Salę kominkową**” cesarskiego zamku nawiedzali natchnieni skandalisci: **Ryszard Milczewski-Bruno, Maciej Ryfa, Grzegorz Walczak, Edward i Stanisław Popławscy, Marek Kośmider, Przemysław Babiński, Rom – Karol Parno-Gierliński, Andrzej Babiński oraz KTM**, który podczas warsztatów literackich wskoczył na zestawione stoły i po rozłożonych rękopisach pobiegł do wyjścia... Licealistka Joanna, która opowiadała publiczności, jak to „*poprosiła katechetę o plemniki*” („*na co ci dziecko to świństwo?*”), bo chciała pod mikroskopem obejrzeć ludzkie zarodki. Bywała **Spółdzielnia Poetycka „SKU(r)Cz – Smuszek, Kuźniak, Czerep (+ księgowy Fluks)**, nosząca się po Poznaniu w czarnych melonikach z napisem „*margaryna*”. Zaglądali i twórcy pierwszych happeningów – **Andrzej Maluszewski, Leonard Przyjemski** – zawsze pełni niespodzianek. Imprezom towarzyszyła hipisowska orkiestra „**Winda**”, która miała perkusję, taszczyła spory gład, którym biła w cesarską posadzkę. „**Jesteś geniusz, koniecznie pisz...**” – zachęcał **Andrzeja Babińskiego**, w listach **Edward Stachura**.

ZK: Właśnie postać – fenomen **Andrzeja Babińskiego** (ciągle chyba, jak wiem, *niedocenionego Poety*), tak często wraca legendarnych opowieściach o Waszych młodych latach

JG: Ten cień nieformalnego patrona poznańskiego Klubu Literackiego ciągle unosi się nad 50-tą rocznicą. Cudownie rozchwiany, autor natchnionych wierszy, bohater książki **Andrzeja Sikorskiego „Motyl na wieży Babel”**, czotowy skandalista tamtego czasu, zapisał się w pamięci nie tylko wyganianiem autorów sprzed nosa publiczności (*by zająć ich miejsce*), ale i sławną akcją, kiedy to na oczach widzów wyjął kwiaty z wazonu i wypił wodę. Postać poety sytuuje się w szeregu twórców, którzy tragedią życia zaświadczyli swoistą drogę „*zyciopisania*”: **Wojciech Burtowy, Ryszard Milczewski-Bruno, Marek Obarski i Andrzej Ogrodowczyk**. Andrzejowi Babińskiemu poświęcono niejedno opracowanie, także film dokumentalny „**Z całej siły**” (**Agencja „Sowa”**), w którym wypowiedzieli się między innymi **Andrzej Mendyk, Jerzy Grupiński, Norbert Skupniewicz, Jerzy Szatkowski, Andrzej Śliz, Piotr Śliwiński**.

ROZMOWĘ Z POETĄ JERZYM GRUPIŃSKIM PRZEPROWADZIŁ ZBYSZEK IKONA - KRESOWATY



Poeta Witke Różański (z prawej) otrzymuje wyróżnienie poetyckie „Chleb dla Poety” – rzeźba ceramiczna art. rzeźbiarki Marii Kalickiej w Turnieju pt. „O Laur Klemensa Janickiego” (1970 - z lewej) Jerzy Grupiński poeta i animator – Klub Literacki ZAMEK.



Poeta Stanisław Barańczak w Sali Kominkowej, na swoim wieczorze autorskim w Klubie Literackim – „ZAMEK” (Foto - Archiwum Jerzego Grupińskiego - początek lat 70 - tych).



Jerzy Grupiński i Ryszard Krynicki (z prawej) - Sala Kominkowa Klubu Liter. ZAMEK (1973 r.)



Portret przedśmiertny poety Andrzeja Babińskiego wyk. Zbigniew Kresowaty – Krezbi



Poeta Andrzej Babiński (z prawej) atakuje szefa Klubu Literackiego poetę Jerzego Grupińskiego w Sali Kominkowej Zamek – Archiwum Jerzy Grupiński – 1970 r.

Jan Stanisław Smalewski

Grać życie

- o nowym tomiku poezji Aliny Biernackiej „Słomiany ogień”

Czy na pewno „Słomiany ogień” to właściwy tytuł dla nowego tomiku wierszy Aliny Biernackiej? Sądzę, że autorka wybrała go intuicyjnie w nawale kłębiących się wątpliwości, czy wszystko o czym w nim napisała, dało się do końca ułożyć, przeżyć, posegregować, skwitować jakąkolwiek sekwencją? Czy istnieje możliwość, by jednocześnie opisać w jednym skromnym tomiku wierszy swoje życie, skatalogować doświadczenia i przeżycia, skategoryzować czas przynależny temu wszystkiemu, czego poetka doznała; co zobaczyła, usłyszała i chciała by jeszcze... od życia otrzymać?

Nie da się, nie można, nie jest to możliwe: absolutnie, w ogóle, a już żeby tak... do końca. Zatem, co zrobić?... Zatem tytuł tomiku wybrany został „losowo” spośród tytułów zgromadzonych w nim wierszy?

Może tak było, a może ja też nie do końca zdołałam wszystkiego, o czym poetka pisze, właściwie dookreślić; chociażby w swoich wyobrażeniach, porównaniach z własnymi doświadczeniami, własnym życiem?

Bo to niezwykle trudne zagrać życie. Zwłaszcza kiedy ma się do dyspozycji tak dużą scenę, tak wielu grających na niej aktorów, wśród których pojawia się, także osobiście, a na dodatek tylu akompaniujących wszystkim muzyków i do tego jeszcze zadziwiająca ilość zgromadzonych gadżetów – wyciągniętych z różnych obszarów bytu; czasu, historii i mody.

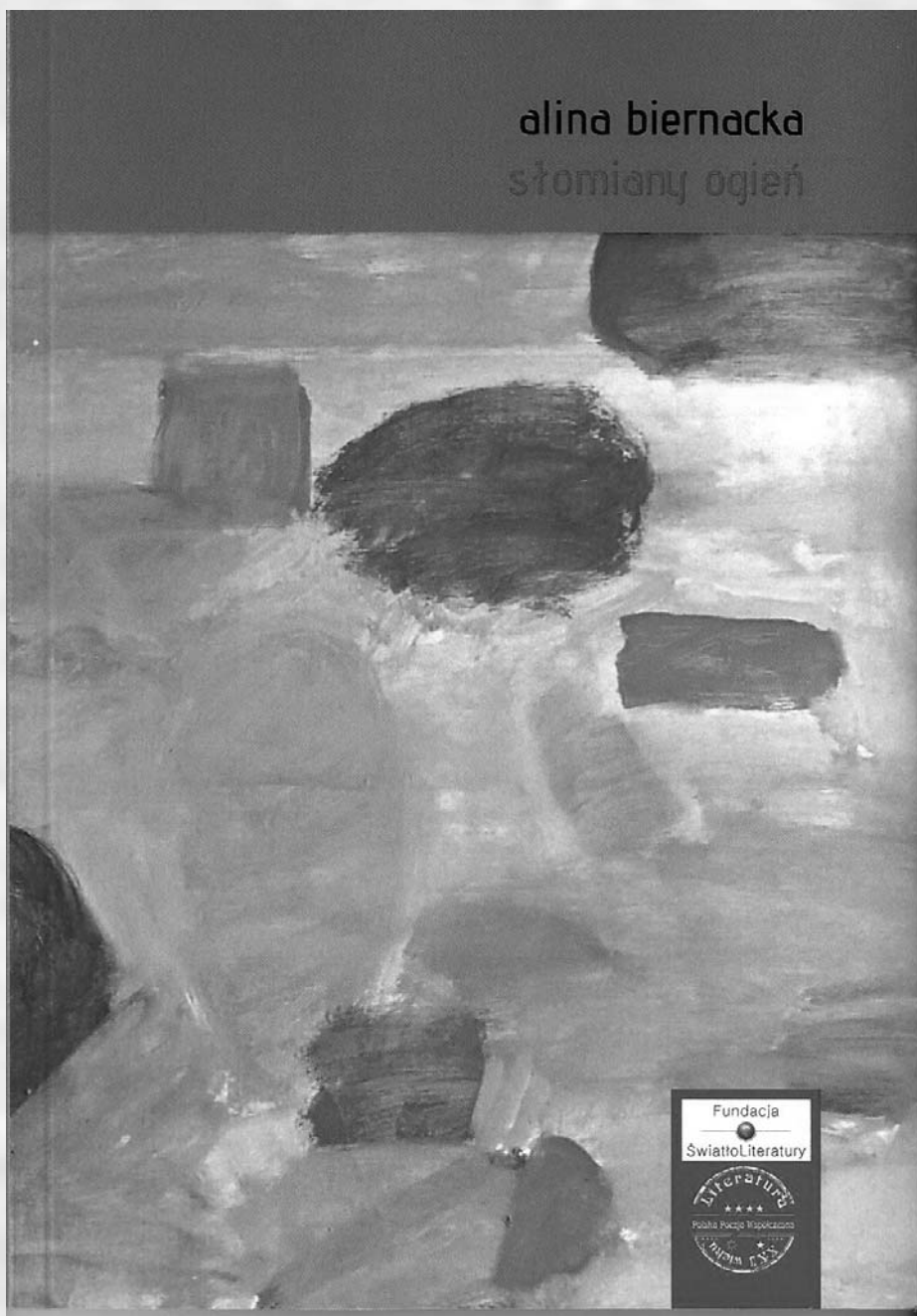
Trudne, prawie niemożliwe, ale jednak... W zapale twórczych inspiracji tym wszystkim, autorka świetnie sobie poradziła ze stworzeniem kompletnego, spójnego w zamierzonym obszarze ujęć i refleksji poetyckiego tomiku, uzupełniającego jej dotychczasowy dorobek poetycki.

„Słomiany ogień” Aliny Biernackiej to doskonałe dziełko literackie, w którym przede wszystkim poetka podjęła udaną próbę wyjaśnienia wielu obiegowych pojęć funkcjonujących w naszym życiu (spełnionych i niespełnionych życzeń, mobilizacji do działania, różnych postaci szczęścia, pychy i pokory, samozachwytu, nadmiaru i niedostatku, wiary w dobro, skali proporcji itd.), w tym i tytułowego słomianego ognia również.

To poezja dojrzała, z charakterystyczną cechą zabarwień zarówno filozoficznego jak i dydaktycznego. Filozoficzne - odnosi się głównie do rozumienia różnych postaci życia, a dydaktyczne – do wyjaśniania różnicy rozmaitych pojęć, w tym sobie przeciwstawnych.

To spójne ze sobą wiersze o jednakowym temperamencie twórczym. Cechuje je jednorodność zapisu gramatycznego. A szkielet każdego z wierszy obudowany jest bogato treściowo. Barwne malarsko są cięta opisów, a płynące z nich emocje mają głębokie podteksty muzyczne.

Ciekawy i interesujący jest zabieg częstego budowania przez Autorkę obrazów na zasadzie przeciwstawnych sobie wartości i emocji. Uwagę zwraca także – wynikająca zapewne z bogatego doświadczenia Poetki – trafność w postrzeganiu ważkich wartości budujących nasze życie, stanowiących o codzienności. Trafność co do ich istnienia lub ich braku, oceny i różnorakiego przez nas wykorzystywania.



Na początek jednak – jakby na swoje usprawiedliwienie – w wierszu „O wierszach” z dużą dozą sceptycyzmu poetka rozważa problem samego pisania i funkcjonowania wierszy: „...Mój nowy wiersz nic nie powie/ wielkim przestrzeniom Pantanalu,/ ani bazarowi w Bucharze./ Nie podniesie temperatury wód na Grenlandii./ nie sprawi, żeby lepiej brzmiał/ fortepian Bechsteina na festiwalu/ w Salzburgu./...”

I dalej, istniejący dylemat próbuje rozstrzygnąć – nie do końca dwutorowo – na rzecz drugiej pasji, która w życiu towarzyszy artystce (Śic – pamiętajmy: poeta to też artysta!), pasji malarskiej. Kwituje wiersz bowiem następująco: „...Po co pisać wiersze,/ skoro są skazane na zagładę?/ Lepiej patrzeć

w niebo,/ liczyć obłoki,/ malować portret Słońca/ w stroju uroczystym.”

Oczywiście, że nie jest to wybór ostateczny; jest to chwilowe zawahanie, wiersz ukazuje ulotność poezji, jej małą przydatność w codziennym życiu człowieka i zupełną obojętność na poezję ze strony poetycznej jednakże „Natury”, która go osacza.

Jednocześnie ten dylemat rozdwojenia jaźni kładzie się cieniem (na czym?), jest swoistym stygmatem odcisniętym na całej twórczości Autorki. Dylematu tego bowiem nigdy wcześniej nie rozstrzygnęła ostatecznie; i dobrze, bo zarówno jej malarstwo, jak i poezja uzupełniają się równocześnie.

Jest jeszcze coś, co ma znaczący wpływ na twórczość Aliny Biernackiej, jest

to muzyka. I nie o liryczność poszczególnych wersów, rymy, czy metafory tu chodzi, ale o wprowadzanie do tekstów (wierszy) odwołań do konkretnych mistrzów muzyki klasycznej i skomponowanych przez nich utworów muzycznych.

„...Statek już nie dobije do żadnego portu./ będzie trwał na oceanie/ jak barka w utworze Debussiego.” - Tak kończy się wiersz „Barka na oceanie”.

W kolejnym wierszu „Duch Berlioz” zakończenie jest podobne: „...Walizki ze snu (...)/ zniknęły, podobnie jak duchy./ I tylko dźwięki Symfonii Berlioz/ są realne./ Umówiły się z wiosną, że kiedy umilkną./ ona nastanie.”

Odnośniki, odwołania do muzyki następują w zależności od potrzeb autorki w różnych częściach tekstów, czasami nawet wielokrotnie, jak np. w wierszu: „W bałaganie”:

W bałaganie, jaki wytworzyłam,
giną myśli i przedmioty,
nic nie leży tam, gdzie powinno,
żadne słowo nie opisuje swojego
znaczenia.

Naprawić to może tylko muzyka -
Słucham więc jak Maurice Marechal
z Robertem Casadesus grają sonatę
wiolonczelową Debussiego.

Leżąc w kołysce muzyki, odradzam
się,
mam już wiele sił,
zrozumiałem najtrudniejszy język pla-
netoid,

nie zawaham się przed wyzwaniem
na pojedynkę króla myszy
z „Dziadka do orzechów”.

W bałaganie, jaki wytworzyłam,
znajduję z łatwością potrzebne mi
części,
mogę złożyć z nich całość -
dziwaczno ptaka na kółkach,
który otwiera dziób szeroko i kłapie
nim.

Połączenie muzyki z bałaganem wydaje się nieco absurdalne, ale w wierszu tym mnie po prostu zachwyca.

A bałagan?... Kto z artystów go nie zna? Kto z nas ludzi twórczo zaangażowanych w jakąkolwiek dziedzinę nie jest po prostu jednocześnie zwykłym bałaganiarzem? Osobiście - przyznaję - pomaga mi on abstrakcyjnie myśleć i pisać wiersze. Tylko, że ja nie potrzebuję do tego muzyki. Tę „manierę” Autorka odziedziczyła po swojej matce - słynnej znakomitej polskiej kompozytorce Grażynie Bacewicz, której akurat 50. rocznica śmierci przypadkowo potoczyła się z wydaniem nowego tomiku poezji córki - Aliny Biernackiej.

Współcześnie o związkach genetycznych wiemy dużo, są one nie do przecenienia. Lektura tomiku „Słomiany ogień” rodzi przeświadczenie, że ma się do czynienia z osobą niezwykle wrażliwą twórczo. W istocie tak jest: prócz cechujących ją pasji malarskich i poetyckiego zacięcia jest ona miłośniczką muzyki, teatru i literatury klasycznej.

Osobowość artystki w młodości kształtowała się u boku matki, o której w wierszu „Do matki” pisze ona: „...Dzięki tobie rozbłyskują/ martwe przedmioty./ dajesz życie dźwiękom./ opromieniasz dom./ Jesteś stale obok./ Twoje długie palce układają mi życie./ Wchodzisz do moich snów/ triumfująca pomiędzy koncertami...”.

Dla Aliny Biernackiej to jednak tylko muśnięcie: matka - ze względu na odległy czas rozstania - jawi się w tym tomiku jedynie jak subtelny dotyk muzy. Bez władczości i jakichkolwiek uzależnień rodzicielskich. Oczywiście jeśli nie zaliczymy do nich „genetycznych ciągot do muzyki”.

Co jeszcze wchodzi w skład wspomnianego wyżej teatru życia?... Kim Autorka zapętnia scenę, czym uzupełnia ją, pozwalając swobodnie grać swoim aktorom?

Wystarczyłaby lektura otwierającego tomik wiersza, by zorientować się w złożoności tematu. Jest on tak ciekawy, że pozwolę sobie przytoczyć go w całości:

Ciemny dzień

To musiał być tak samo ciemny
dzień

kiedy Orfeusz zstępował do otchłani.
Z bólu nie mógł mówić.

Śpiewał ochryple, wołał Eurydykę -
odezwij się do mnie,

zabiorę cię na łąki Tesalii,
nie zostaniesz nad Styksem,
będziesz zawsze ze mną.

Bogowie słuchali z uwagą -
Hades kazał przyprowadzić Eurydykę,
a gdy stała przed nim nie ma
obrócić ją ku światłu,
a ona, jakby była rzeczą, potoczyła się
ku wyjściu.

Orfeusz chwycił ją za rękę - szła
jak medium w transie.

Kiedy wychodzili na powierzchnię,
puściła rękę. Orfeusz się obejrzał -
rozległ się szum spadających kamieni-
wejście przestało istnieć.

Orfeusz leżał na ziemi i wił się
w męce.

Podeszła do niego Eos różanopalcą
i dotknęła jego pleców.

- Nic mi się nie stało - charczał
szorując lirą po ziemi.
Zwierzęta, które zbiegły się, żeby zo-
baczyć

co się dzieje, otoczyły go i lizały po
nogach
i ramionach.

Jego skurczona dusza powoli rozpro-
stowała palce

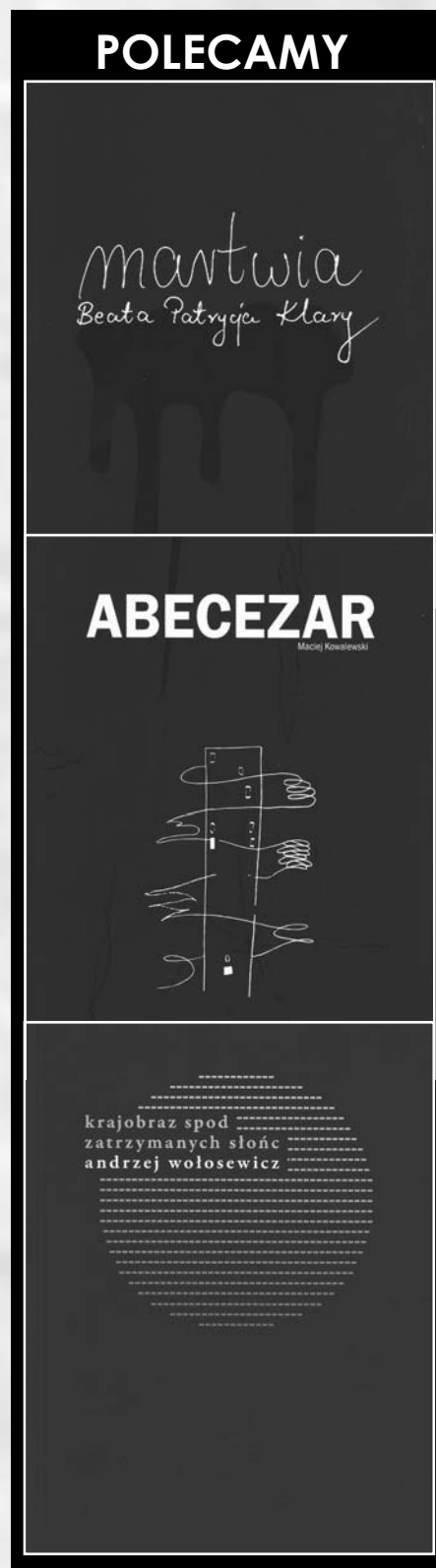
i ciche dźwięki harfy zjawiły się,
jak jasne plamy na tle dzikiej łąki.

W całej plejadzie postaci i otaczających je rekwizytów, są nie tylko te antyczne czy znane z literatury. Nie tylko jest tam kosmos, geografia, czy współczesna egzoetyka. Są także najzwyklejsze i najprostsze zjawiska i artefakty: *cmentarz w święto zmarłych z pogawędką duchów i pełzaniem zniczy, Mleczna Droga z nutami Mszy h-moll Bacha, zwykły kurz i budowanie z niego zamków, śmietnik...* No i cała gama emocji. Z oklaskami włącznie, jak na teatr życia przystało. Przy czym, należy to wyjaśnić, oklaski są definiowane przez Autorkę jako swoisty rekwizyt, wykorzystywany w zależności od sytuacji do słusznych i nie zawsze słusznych celów. „...Oklaski, jako wyraz zachwyty./ są stosowane od wieków./ jednak dzisiaj przydają się w różnych/ trywialnych okolicznościach -/ jak otwarcie autostrady/ czy ogłoszenie wyników loterii/...”.

Dla tego zamysłu, jakim było napisanie tego tomiku przez Autorkę, oklaski są jak najbardziej zasadne.

Dla mnie nowy tomik poezji Aliny Biernackiej wydany przez Fundację Światła Literatury w Gdańsku i doskonale skomponowany (zredagowany) przez Zbigniewa Joachimiaka, jest po prostu wspaniałą grą na wielu instrumentach - jest granielem życia w każdej jego postaci, w wielu odstonach i w każdym obszarze jego znaczeń. Dodajmy, że jest to także kolejny tomik skupiający uwagę czytelnika wokół jednego konkretyzowanego tematu; w tym przypadku opisu swoistego teatru życia - życia obserwowanego i życia przeżytego przez Autorkę..

JAN STANISŁAW SMALEWSKI



Andrzej Walter

Gdzie znikają poeci?

Nagle powiało na mnie chłodem. Tylu poetów już przecież gdzieś zniknęło...

Ja jeszcze żyję, choć widzę wyraźnie, że świat zredukował mnie do przypadku ledwie zwyczajnego, do przypadku bardzo trywialnego, żeby nie powiedzieć utylitarnego, do przypadku skończonego, przypadku, któremu na imię, a jakże – człowiek współczesny – obojętny i mało istotny tryb w tej pędzącej na oślep maszynie zdiwaczenia.

Powiało też na mnie chłodem, kiedy zetknąłem się z tym tomem. Był to jednak w odróżnieniu od wcześniej przywołanego chłodu – chłód jakże ożywczy. Tom ten jest bowiem: przeogromny, wyciszony, stonowany i w wymowie swej jakże przepiękny.

Chodzi mi tu o najnowszy tom poezji Urszuli Koziół pod znamionym tytułem „**Znikopis**”. Już sam tytuł przywołał we mnie wspomnienie dzieciństwa, kiedy naszą fascynację wzbudzał przedziwny szary, niepozorny przyrząd, po powierzchni którego można było specjalnym rysikiem pisać albo malować, a potem ruszając odpowiednim suwakiem wymazywać całkowicie naskirowane znaki oraz zapisane doraźnie słowa. Słowem... – **znikopis**. Tekst pojawia się i znikał, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tyle, że (my, dzieci końca wieku, tamtego dojmującego, krwawego wieku) doskonale przecież wiedzieliśmy, że nie ma tam już żadnych czarów, żadnej „różdżki”, a sam przyrządek to po prostu zwyczajna zabawka...

Jakże wiele się dziś, od tamtego czasu zmieniło. I jakże niewiele zarazem.

Znikopis przestał już zadziwiać. Pojawianie się, a w zasadzie „pojawianie i znikanie”

na przykład w sieci internetowej – ot tak, na życzenie, weszło jak gdyby do kategorii realizacji potrzeb, podstawowej cechy społeczeństw wirtualnych, czy może nazwijmy je dla pełniejszego obrazu społeczeństwami cyfrowymi.

Jednak czy tylko, albo i w ogóle, o to chodzi Urszuli Koziół, poetce z innego przecież świata w swoim życiowym maniście, albo też życiowym credo wraz z arcyważnym przeżyciowym rozrachunkiem, który zdecydowała się przewrotnie zatytułować słowem „Znikopis”, być może dla najmłodszych dziś mało rozumiałym?

Ten świat właściwie każe nam zniknąć. Właśnie nam, nam: poetom, wszelkim wrażliwcom, ludziom niedostosowanym do wymogów postnowoczesności, ludziom brzydkiem pachnącym wątpliwościami, skrupułami czy choćby, o zgrozo – miłościami. To przecież taki sztuczny, policzalny i prozaiczny postępek, że swoimi *postprawdami*, w sposób zrelatywizowany generalnie postponuje nasze jestestwo i nasze człowieczeństwo.

Ale, ale, kochani, nie odbiegajmy od znikania... może to w ogóle nie o tym. O czym jest zatem ten znakomity nowy tom Urszuli Koziół? Wydawca okazał się bardzo powściągliwy, a jednocześnie nieco rubaszenie barokowy w swoim przedziwnym i zarazem bardzo współczesnym stylu marketingu i tak zapowiedział tom Pani Koziół:

„*Znikopis*”, najnowszy tom wierszy Urszuli Koziół, jest kontynuacją i dopełnieniem wydanych w 2016 roku *Ucieczek*. Poetka znów zadziwia mistrzostwem, tącząc w spójną całość wiersze o skrajnie różnorodnych formach – od urzekających, pozornie nawiązanych „*piosenek*”, po *zgliszcza rozdartych*

fraz, i bogatej tematyce – od podszytych felietonowym sarkazmem obserwacji społecznych, po rozdzierające wołanie skierowane w zaświaty.

Zadziwiające jest to, że przy całym dramatyzmie poetka potrafi bawić się formą, nie stroni od lirycznego żartu i kokieterii, igrą tematem ostatecznym jakby przymierzając kostiumy, próbowała rolę.

Rozczuliły mnie zwłaszcza „*zgliszcza rozdartych fraz*” oraz „*igranie tematem ostatecznym*”. Poigrzamy zatem wspólnie, może dowiemy się też przy okazji ... gdzie odchodzą poeci.

Urszula Koziół opublikowała tom znakomity. Większy niż słowa go opisujące. Opublikowała tom przejmujący, do bólu prawdziwy, szczery i nie bawiący się w żadne konwenanse. Jej „*rozdarte*” frazy są po prostu zapisem żegnania się z tym światem, stanem tak uciążliwie wypieranym przez współczesność, stanem chowanym czy zamiatanym jak kto woli pod dywan, stanem niemiłe na salonach widzianym. Jej „*igranie*” tematem ostatecznym jest najzwyczajniej w świecie udaną próbą zapisania rozterek i dylematów tego wypieranego z przestrzeni żyjących człowieka na pograniczu przywitania się z wiecznością, którą również przeniesiono w zaświaty albo ostatecznie już wysydzono. To napisana z wyjątkiem, przystępnym językiem, acz, nie okłamujemy się – pełnym świetnych metafor – próba umysłowania czytelnikowi jego dzisiejszej nędzy, rozpacz i stanu, jakże żałostnego, jego wątpliwości wobec tak skrajnie wypieranej ze świadomości owej świetlanej rzeczywistości z nowoczesnością na czele. Urszula Koziół przemówiła łagodnie, spokojnie, ale nad wyraz stanowczo. Od samego początku zaczęła nas zdecydowanie:

wierzę w rzeczy niewidzialne / wierzę w niewypowiedziane słowa / (...) wierzę w krzyk milczenia / (...) / wierzę w nieistniejące, że przywołamy tu te zdecydowane deklaracje poetki

Słowem Koziół wierzy we wszystko to, w co współcześni już raczej nie wierzą. Oni, nasi nieocenieni współcześni nam, nowi wspaniali ludzie, wierzą przecież bezdyskusyjnie w Googla, w New York Times'a, w Facebooka i w dobrze wypieczony popcorn w multiplexie. Wierzą w telewizyjny obrazek i w komputerowy skrót, w rozplotkowane dziennikarstwo, w siłę naukowego dowodzenia, w balonik na cmentarzu... w obrazek na ekranie. W hasła propagandowe i coraz doskonalsze znieczulacze codzienności. Wierzą w dziurę ozonową, w Halloween, w paskudny smog i w ekoświra przypiętego do drzewa. Wierzą w zasadzie we wszystko ... i, tak naprawdę nie wierzą zarazem w nic. A najbardziej dziś oni wszyscy wierzą w siebie. Tak tak, to ja, tam w lustrze to niestety ja, ten sam... że zacytuję już klasyka, przedwcześnie dokąś odeszłego od nas poety pieśniarza Grzegorza Ciechowskiego, który już przecież wie jak tam jest. Jeśli jest gdziekolwiek to nasze wytęsknione „**Tam**”...

„Znikopis” jest ostry jak musztarda roszyńska. A może jak węgierska? Żartowałem. Wulgarnie i sarkastycznie. To i owszem, sarkazm, wyrafinowane szyderstwo, prowoka-



Erazm W. Felcyn „Przyjaciele” - p. Kasa nad Jez. Lubiszewskim k. Lipusza, z cyklu „Portrety Kaszubskie” (1971)



Erazm W. Felcyn „Wóz” - rondo przy ul. Wajdeloty w Gdańsku-Wrzeszczu (1971)

cja, ale jakaż... doprawdy, z najwyższej półki. Spójrzmy na wiersz

„Z przeinaczeń”

*Piszę grochem o ścianę nie czytają
piszę głosem wołającego na puszczy nie
słuchają
piszę palcem na wodzie nawet nie spoj-
rzę
nie otwierają ust nie mrugną okiem*

*zakutani w te swoje kable jak kneble
w sznurki troki wtyczki do uszu do
podnoszenia brwi do breloczka tabletu
smartfona
patrzac nie widzą słuchając nie słyszą
oprzyrządowanie od stóp do głów że
mucha nie siada
przywarcą do swych migających palców
do szklanych bezosobowych ekranów
guzików
klawiszy
wykonują dyktowane im polecenia
wylącz
przełącz
attention
ten guzik przywraca do życia
z tamtym drugim umierasz
zalani radio-falą od
człowieczają się moszcząc plac namiastce
człowieka
sztucznej inteligencji
a niektórzy już mają wykute na blachę
jak być jak stać się wycywilizowanym
do polysku*

robotem

I po tym jakże zbuntowanym, wyrazi-
stym wierszu Pani Urszuli, legendy już polskiej
poezji współczesnej otrzymujemy po kilku

stronach liryczny, przejmujący mega wiersz
(par excellence)

Nagle powiało na mnie chłodem

wiersz – dodam od siebie, który wszedł
bardzo głęboko w moją zatrutą przecież
jaźń i tkwi tam bezczelnie do dziś jako jeden
z najpiękniejszych wierszy, które dane mi
było czytać (ba i mocno przeżyć) w tym
swoim nędznym przecież z perspektyw tych
nowoczesnych życiu...

Nagle powiało na mnie chłodem

*Kto przeprowadzi mnie przez lód i nocą
ujmie mnie za rękę
kiedy się własnych snów przelęknę
i kto mi szklankę wody poda*

*kto przeprowadzi mnie przez lód
na drugą
ciemną stronę świata
gdzie oblodzone stopnie
stromo
donikąd wiodą mnie
przez pustkę
wrogą i myślą mym
i ustom
tę co na słowa i na ciała
właśnie zaciąga czarny catun*

*kto przeprowadzi mnie przez lód
i kto położy na powieki
obydwu oczu dwie monety
by udawały szale wagi
choć nie są w stanie nic wyważyć
i są jak oba oczy
ślepe*

kto przeprowadzi mnie przez lód

*a jeśli jest nim jakaś kra
która zatracą się w odmętach
ta postać tam to już nie ja
a słowo ledwo widmem słowa
i już je sobie upodobał
jak tęgę zeszkłąną
sopel lodu Nagle powiało na mnie
chłodem.*

(...)

Gdzie, kochani, znikają poeci?

Umierają? Jak to się mówi „odchodzą”?
Przechodzą na drugą stronę tęczy? Czy tak
po prostu, znikają jak znaki w znikopisie? Jak
szara rysa z dziecięcej zabawki sprzed pół
wieku, jak znikają sny i jak znikają krople
deszczu?

Dokąd idą, z kim idą, z czym idą i kto
tam na nich czeka? Bo tutaj już nikt na
nich nie czeka. Są kłopotem, problemem,
brzęczącą muchą, insektem, namolnym że-
brakiem u bram ośta – pośta, burmistrza,
prezydenta, wojewody, ba, nawet Pani
derekfarki szkoły tej czy owej albo innej,
albo i innej, podrzędnej biblioteki... w Pi-
pidowie Głuchym. Przychodzi taki poeta
i co? Pies z kulawą nogą na niego prze-
cież nie przyjdzie, a młodzież będzie ziewać
gastronomicznie i przeogromnie, aż im ta
śmierdząca mucha wpadnie i zatruje ich
jak ten straszliwy smog, och przepraszam,
albo jak ten smok, może i Wawelski ... któż
to dziś rozróżni?

Tak kochani, jakże nisko dziś upadliśmy.
Do najniższej, najmniej potrzebnej i właściwie
całkowicie zbędnej warstwy społecznej. Po-
mimo kiczowatego czytania Wyspiańskiego
przez pana Prezydenta, pomimo Szymbor-
skich, Miłoszy i nawet Tokarczuk poeta to
dziś wyjątkowy dziwoląg, obrzydliwa efe-
meryda, zjawisko z całkiem innej planety.
Spójrzmy prawdzie w oczy. A prawda ta jest
jak bazyliżek, uśmierci nas po raz wtóry...
Tym razem skutecznie.

Czy jest zatem „Znikopis” manifestem nas
wszystkich – wierszokletów współcześnie eg-
zystujących na tym też padole? Nie sądzę.
To zapis jakże osobisty, gorzki i wytrawny,
a poprzez to jakże prawdziwy i jakże piękny.
W moim odczuciu to kwintesencja współ-
czesnej polskiej poezji, jej dumy, jej wiary
i wreszcie jej miłości - do słów, do prawdy,
do wartości, do poszukiwań. Takich jakie
toczą, toczyli i toczyć będą wciąż wszyscy
poeci wszystkich czasów i pod każdą sze-
rokością czy długością geograficzną. I nie
zabije tego żadna naukowość, policzalność,
ani żaden utylityzizm czy oświecony spo-
łecznie troglodyta.

Tyle, że na co dzień, właściwie wszędzie
spotyka nas to przepotworne schamienie,
zblazowanie i zbląkanie społeczne. Wyra-
żone nawet przez warstwę zdawatoby się
powołane do podtrzymania na duchu jako
podstawy przetrwania kultury w naszym kra-
ju – polskiej poezji właśnie... bo przecież
z polskiej poezji wyrosliśmy jako byt, twór,
naród. Pierwszym polskim tekstem jest, jeśli
można tu nieskromnie przypomnieć „Bo-
gurodzica”, ech, po cóż i do kogo ja to
piszę... Pora umierać. Umierać naprawdę
i w przenośni.

Jakaś wieczność? Jakaś duchowość?
Jakaś głębia – ba, poezja? A na co to
komu?

Nagle powiało na mnie chłodem.

Powiedzcie mi, proszę, gdzie znikają
poeci?

ANDRZEJ WALTER

Urszula Kozioł „Znikopis”. Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2019. Okładka miękka, stron 64, ISBN 978-83-
08-06881-6

Iza Smolarek

dromadery

z ust mi to wyjmij i ustaw się na straży
mojego akcentu, kiedy będę mówiła o nas miękko
z twardym es zet, z otwartym ogrodem na zimę
schowam się bez psa, który skamle i dziecka
z ziemią między zębami, kiedy mnie przedstawisz -

nawet nie jestem stąd, ani z Walii, ani z Liverpool
mam obce biodra

i sama nie wiem, gdzie mogę przyłożyć swój język
żeby nie zamarzał albo nie zakwitł nagle ostrokrze-
wem
w którym boksie mam zasnąć i co przeżuć przed
snem
a następnie: jakie obrazy mogę wziąć między palce
rozmasować je na szybie, między złotymi reliefami

ze śliny, z ognia

najdłuższa noc

nie ma miłości, linorytu, słonecznej pogody, góry
z dołem, podpatrywanej od dołu. nie ma serca,
miejsca i jasnej po nim dziury. wiem, jesteś
w stanie kupić mi farby i zamalować wartość

kiedy oglądam twoje rodzinne zdjęcia
w kotach, ptakach, złótkach i chlebkach
z numerem domu na czole, z dumą
gratuluje sobie

że nie ma takich farb

nic

nie masz w sobie tylu ograniczeń żeby mówić mi
co mam pisać co znaleźć wewnątrz bladego kamienia
co widzę kiedy zasłaniam ramieniem ekran telefonu
zapominam numer który sprawdza się u ciebie I dzwoni

kiedy mi w głowie chmury I siano kiedy odgarniam
nieprzytomne osy topione w dwóch wersach po słowie
nie lubię kiedy wspominasz o jej udach o piersiach
o winie rocznik 1996 zapomnijmy o sobie może do tej

strony kiedy odkryję że nic nie działa gorzej nic
bardziej nie prosi się o rytm o kilka lepkich cichych
słów
niż -

sklep ze sznurkami

jak mam na imię, jaki mam obrazek z drewna, ze złota
z dyni, utrzymany w klasycznym kwadracie:
on, ona, literatura i ja. dzień dobry państwu,
tu stacja finalna, a ja wciąż trzymam ciebie w ustach
rozplątuję, krztuszę się, kołyszę i milknę

na imię mi przypadek, z drewna, ze złota, skruszony
marmur, zdziczała oliwka, kuzynka ze zgierza
albo innej opolszczyzny. matka ze stali, co cię wyprawia
za morza, za skały, taksówką, do żony. biegnę wtedy
jak pies za szybkim kołem i szczekam, ujadam, nisko,
nisko

drzę albo umieram, kiedy pytasz, co dzieje się u mnie.
nic się nie dzieje, ponieważ nie może. nie mam imienia,
nie mam ust, niewiele się klei, nic nie wyraża. spaliśmy
wczoraj?

przeciwko piątkom, sobotom, kładę swoje czoło podziwiam
twoją panią, która od tej pory szuka sklepu ze sznurkami.

werniks

to nie było koniecznie tak, ale przecież musiałeś wie-
dzieć

z której strony obejść szerokie łąki, żeby całego dnia
nie podciąć

ciemnozieloną, ostrą jak fala trawą. jak odpiąć mi skrzydła
kiedy wspinałam się na drewnianą ławkę – i tylko po to
żeby z oddali dostrzec wasz dom, sklep, przystanek, róg
ulicy

wasze łóżko

wyrwało mnie na moment, na dobrą chwilę z tamtej
nocy:

wzięłam to za zły sen i byłam gotowa zamienić akryl
na temperę

to nie było koniecznie tak, ale przecież musiałeś dostrzec
z której strony – z ciemnej, ostrej jak trawa fali odpięłam
wasz dom, sklep, przystanek, róg ulicy oraz wasze łóżko
z pięknym kotem na ganku, który łasił się i przymilał
do mojej drewnianej ławki, do łąki, która wchodząc
w zimę

w mały, błądy prostokąt, złapany gdzieś z lotu ptaka,
jak ja

zastygła

Iza Smolarek Poetka, pisarka, fotografka, dziennikarka. Autorka dwóch tomów poetyckich ("się lenienie", "stany zmysłowe"), oraz powieści kryminalnej "Wilk", za którą otrzymała główną nagrodę w konkursie na najlepszą współczesną powieść defektywistyczną. Wiersze publikowała m.in. w "Odrze", "Akcentie", "Migotaniach Przejaśnieniach", "Toposie", "Portrecie" oraz wielu antologiach – w Polsce, w Wielkiej Brytanii oraz Stanach Zjednoczonych. Finalistka Dzonki – nagrody imienia Stachy Zawiszaneki najbardziej interesujący debiut książkowy (poezja)

Jan Szczurek



Portret poety Jana Szczurka wykonał – Zbyszek Ikona - Kresowaty 2016

do M

Jedna chwila dziwnego obłędu
 - bo Ktoś nagle wydaje się piękny.
 Od razu bliski, jak kasztan w parku,
 Jak własny dom, łza w pocałunku.
 Taki spotkał mnie dzień.
 Takie chwile spadają jak ogień.
 Chciej zatrzymać tę chwilę,
 Zanim rozejdą się nasze drogi.
 Wtedy samotność połączy
 nasze ciała i dusz cierpienie.
 Nigdy nie pragnąłem więcej.
 Tego jednego tylko razu,
 bo to zostaje najdłużej.
 - Pulsowanie Twojego i mojego
 serca, wspomnienie Matki,
 które jak liść jesienny
 zasłoni się zimowym śniegiem.
 - Bo to co się kocha jest
 jak anioł i diabeł jednocześnie
 wciąż niewidzialne...

(GRUDZIEŃ, 1999 r.)

Przemijanie

Szeptę Ci – a ucho odpowiada
 „dawno nie dotykałam twych ust”
 Idę z tobą do kina prowadzę rękę
 na film z Bridget Jones.

To że siedzę sama
 wśród pełnej sali z tobą
 to nic - - - - -
 Potem idziemy na spacer,
 teraz nie czuję że idę sama.

Nie mów że jestem kobietą
 Twojego życia - wiem to.
 Kupiłeś mi przepyszne lody,
 zostawiłeś niedopite cappuccino.

Już nie mam pretensji w Barze
 na Dworcu
 że muszę nosić sama te walizki.
 W jednej jest życie które wiozę
 zawsze do ciebie żebyś je wziął
 do siebie choćby myślami
 w drugiej walizce noszę miłość
 i pamięć pierwszego
 szeptu

Latem tego roku
 usechł w ogrodzie
 włoski orzech.
 Zmęczyła go
 powodziowa woda.
 - Podobnie jak wiele
 jestestw tego lata.
 Patrzył na to
 granitowy kominek,
 który jakby
 ze smutku poszarzał.
 Ale krok dalej
 pomiędzy kamieni
 wystrzelił młody
 Mówią, że kamień
 i orzech lubią się.
 kamienie przytuliły owoc.
 Stary wiedział.
 że życie jest
 twarde jak kamień
 i orzech twardy

(Lato, 1997)

Jan Szczurek (ur. 1949r - opolski poeta, reprezentant środowiska wiejskiego. Ukończył studia na: Wydziale Rolniczym Akademii Rolniczej we Wrocławiu (1970-1975), Międzywydziałowym Studium Pedagogicznym (1976-1977), studia podyplomowe Integracja Europejska (2005), na Uniwersytecie Opolskim, studia podyplomowe na Wydziale Prawa i Administracji na Uniwersytecie Opolskim (2008-2011) na Uniwersytecie Opolskim. Wiersze drukował w czasopiśmie, wydaniach zbiorowych i almanachach. Wydał zbiór wierszy W poszukiwaniu Panaceum w 2017 r

Być chlebem

Chleb się nie przeje - prawda znana człowiekowi od zawsze ...Trzymam w dłoni: *Majstersztyk chleba* antologię opracowaną przez niez mordowanego Piotra Goszczyńskiego z Warszawy. Prozaika, poetę, recenzenta, miłośnika podróży kolejną. Redaktora naczelnego Literackiej PKP – Jazdy. Twórcy legendarnych już międzynarodowych antologii kolejowych: *Wolny wagon poetycki* (2010), *Szybki pociąg haiku* (2011), *Sudecki pociąg poetycki* (2012) *„Letni express poetycki* (2013), *Pociąg naszego wieku* (2015). Z zawodu mistrz piekarnictwa. Przeglądam ponad czterystustronicową księgę i rozpięta mnie duma. Bo oto ja kiedyś w rozmowie z Piotrem w mojej altanie - promując Pociąg naszego wieku ze stolicy przez Rumieć zawitał do Stasiewiczówki - rzuciłem „ a może by tak antologię chlebną?” Podróżnikowi zaświecili się oczy i wiedziałem już, że takie dzieło powstanie. Trwało to długo, prawie 3 lata, ale dziwić się nie ma czemu. Bo materiał ogromny; poezja, proza, wywiady z piekarniami, wspomnienia, biogramy autorów, przedruki ze starych roczników, z Biblii, sentencje z dzieł klasyków światowej literatury. Do tego zdjęcia współczesne i ze zbiorów Muzeum Chleba w Radzionkowie, a wszystko wymagało opracowania. No i w czasie pracy nad antologią rodzina państwa Goszczyckich powiększyła się o małego Marcina. Co redaktorowi dodało motywacji.

Siedemnastego lipca spotkaliśmy się w zrewitalizowanym, przyklasztornym parku ojców Werbistów imienia Arnolda Janssena w Nysie. - Państwo Goszczyccy w Śląskim Rzymianie spędzali wakacje. - Data 1897 rok na ścianie budynku gospodarczego przypomina czas założenia zgromadzenia na śląskiej ziemi. W większości budynków poza kościołem mieści się Zespół Szkół i Placówek Oświatowych. Tu Piotr przekazał mi autorskie egzemplarze antologii. - Marcin z zapątem myśliwego gonił dzikie kaczki po stawie. Do którego w przyszłym roku porwóracz gondole. - Ja utkwiałem wzrok na okładce: łan owsa w kłosach, na jego tle okrągły, ziemisty, wypieczony na płomień bochen chleba z naszym orłem w koronie z mącznej posypki. I wspomnieli mi się kosnierzy z „ŻYWIĄ Y BRONIA”. W dzieciństwie miałem książkę z obrazkiem idącego żołnierza w chłopskiej sukmanie; w prawej dłoni trzymał kosę na sztorc, pod lewą pachą ogromny bochen swojskiego chleba. Ten obraz powraca do mnie jak bumerang. Próbowałem zamknąć go w wierszu... ale brakuje słów. Wiem, że ten bochen z okładki został wypieczony w 2012 roku na Mistrzostwach Świata w piekarnictwie zatóg trzyosobowych i dał Polakom przepustkę do ścisłego finatu.

Długo szukałem tytułu do szkicu, który oddałby wielkość książki. Przy kolejnym wertowaniu oisnił mnie liryk oznaczony trzema gwiazdkami Anety Kielan - Pietrzyk z Krakowa. - Poetki i recenzentki niezwykle ciekawej, absolwentki dwóch wyższych uczelni, fotografa. Mającej w swoim życiu prowadzenie wraz z mężem w Skawinie artystycznej kawiarni „Poetycka Konsumpcja”. - Przytoczę go w całości :

Być chlebem
przysiąc niepostrzeżenie
na stole sąsiadów
spojrzeć w ich radosne twarze
podzielić między wyciągnięte dłonie
to co najlepsze
dać im siebie

Czy tutaj dodawać potrzeba coś więcej? Chociaż brakuje mam spotkań z drugim człowiekiem - jesteśmy zwierzętami stadnymi - pragnącym swego widoku, ciepła, przytulenia, świadomości, że w pobliżu są ludzie. W stadle bezpieczeństwo, siła, energia rozciągająca się na wioskę, osiedle, miasto. A to jakoś odgąd upadły małe piekarnie zanika. Zamykamy się w czterech ścianach jak w fortcey, telewizor, komputer stoją się naszymi pobratyńcami. A przecież jeszcze niedawno człowiek dla człowieka był jak kromka chleba, jak kruszyna, której często brakowało. Wiesław Myśliwski wspomina to tak: „ Niewiele jeszcze wtedy wiedziałem o chlebie, prócz tego, że raz jest, a raz go nie ma, i że kiedy jest , jest dobry, a kiedy go zabraknie, staje się jeszcze lepszy”.

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów Nieba...
Tęskno mi, Panie...

Woła Cyprian Kamil Norwid filozof, marlarz, poeta przez współczesnych sobie niezrozumiały i odrzucony. Emigrant szukający prawdy życia w Europie i Ameryce. Zabiegający jak żebrak o druk. Z ukształtowanym własnym stylem. Poszedł ścieżką twórczą, na której nie miał współwyznawców. Przerósł talentem poetów swojego pokolenia i nie dał się sklasyfikować w przyjętych powszechnie podziałach. Wierny przeświadczeniu wielkości swojej liryki do końca. Historia literatury przyznała poecie samotnemu rację sięgając po jego dzieła pełnymi garściami. Starość w przytulku nie miała żadnego znaczenia. Ważne było pióro i skrawek papieru. Możliwość przenoszenia myśli. I pewnie niejednokrotnie w czasie częstej biedy, modlił się do Boga: „ Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. Bo wody miał pod dostatkiem. W czasie obecnego niedoboru chyba i ją włączymy do prósb? Co w czasach Norwida było nie do pomyślenia.

Zmienia się świat błyskawicznie na naszych oczach. Wielu nie nadąża za tymi zmianami. Świętością jest papierowa książka do której możemy sięgnąć o każdej porze dnia i nocy. A zadrukowane stronic przywracają wiarę, że żyjemy. Bo miłość do książki nie wygasa jak nie wygasa miłość matki do dziecka. I wiemy, że płacz niemowlęcia - to głos życia. A wiatr ochłodą w kilometrowych kolejkach za bochnem chleba w czasach powstań, zesań, niewoli. Postuję się tu swoim wierszem: „Czuję smak chleba”.

Czuję smak chleba rozpływającego się
w ustach
Wiem co to głód
i nienawiść do myszy co wyjadła
ośrodkę
- Rozdepczę ją jak robaka ...

Jestem robakiem wyschniętym na
wiór
wrzucą mnie na wóz i wywozą do
dołów
jak tamtych i następnych po mnie

Chodziłem za pługiem skiba za skibą
kiwał koń łbem dziwując się wronom

wybierającym glizdy z bruzd
- Mają słodkawy smak...

Siałem pszenicę z wiatrem szerokim
łukiem
pełną garścią jak uczył ojciec
Rozgniatłem ziarna zębami sprawdzając
twardość
- Tak bym parę ziarenek rozgryzł
dziś...

Kręciłem kamiennym kołem żarna
zsypaną białą jak puch mąkę do garnca
zatykała nos, kichałem – na okowitę
– pytali
- Daj Boże dzisiaj i ze dwie kwaterki

Zamiesione w dzieży ciasto rosło
wylegając się jak baby w plecionkach*

Chlebowy śmiał się żarem grabowych
polan
skakały iskry ponagląjąc - czas na
podpłomyk...

Oddaje on chyba złożoność czasów sytości i czasu kiedy życie człowieka podporządkowane jest tylko i wyłącznie zaspokajaniu potwornego głodu. Gdzie kanibalizm przybiera ludzką twarz - rozbitkowie samolotu w Andach, blokada Stalingradu. Proste prace rolnicze przybierają obraz metafizycznego chleba; od siewu, poprzez wegetację do zbiorów, omłotu, pracę kamiennych żarem, zsypano do garnca, miesienia, wyrastania. Wszystko to oczy głodu.

Podobny w wymowie, ale jeszcze bardziej dosadny jest Jan Sobczyk debiutujący tomem liryki: *Święto wiatrów* (1960), tworzący w nurcie poezji antyspołecznej, antyludzkiej, konkretnej, trudnej do zaakceptowania, osadzenia w określonych ramach przez krytykę i czytelników, ale jakże prawdziwe i przekonująco brzmiące w fragmencie poematu: „Chleby Piotra Goszczyńskiego” opublikowanego w 2005 roku.

Piotrze! Ty nie wiesz
co to Niemiec!
Niemiec zwycięski!

Otóż szło dwóch Niemców
niosło bochenki pachnącego chleba

Piotrze! Piotrze! Nie wiesz
jak oszołomił mnie
zapach

myślałem że
kiszki mi się skręca...

powlokłem się za żołnierzami

i ta moja potrzeba
widoku
świeżo pieczonych bochenków
zastanowiła tych drani
- daj mu bułkę – rzekł jeden – dzisiaj

wiem że mówił po śląsku

Ten drugi patrzył na mnie
ale nie poruszył ręką

- daj mu bułkę – powiedział
jeszcze bardziej ujęty moją męką
ten pierwszy

Ten drugi żołnierz
- nie mogę – odpowiedział
Żołnierz z wielkim pakunkiem
bułek i lśniących chlebów

(...)
Nienawiść do człowieka
gdy zobaczyłem
chleb z pleśnią
czerstwy chleb na śmietniku
nienawiść
i
chleb
chleb
chleb

na
śmietniku
(...)

BUŁKI które ranią
moje widzenie
(To coś z Juliana Przybosa)

CHLEBY
których nie widziałem!
CHLEBY
Które ominęły moje dzieciństwo!
(...)

Julian Przyboś uwielbiał takie

W
Y
P
I
E
K
P O E Z J O W A N I E
N
I
E

Wypiekanie
materii
stownej

Niech dopełnieniem tego ciągu tematycznego będzie wiersz Elizy Segiet: „Strona Życia I Śmierci”

*Ludzie na prawo,
Żydzi na lewo*
Jej siostrę schwyтали do wagonu,
ją też chcieli.

Uciekła pomiędzy
szeroko rozstawionymi nogami gestapowca.
Pobiegła do domu.

*Tato, tatusiu,
Krysię schowali do pociągu.*

Zabierz ją.

Wykupił córkę.

To nic, że teraz
zabraknie na chleb.

Tak mogą pisać ludzie, którzy zaznali strasznego głodu, bądź Bóg obdarzył ich prawdziwym talentem poetyckim.

Kazimierz Burnat poeta, tłumacz literatury, dziennikarz. Organizator współpracy kulturalnej z Narodowym Związkiem Pisarzy Ukrainy. Głęboko ukorzeniony w miejscu urodzenia w wierszu: "Dostatek" mówi tak:

Ożogiem podsycasz żar
dogasających drewek

w starym piecu
nadal zapach chleba
i razowych lat
z twojego zaczynu

narastającą niecierpliwłość
dokarmiam pajdą
ukrytą niegdyś
w przewiewnej stodole

Wtóruje mu poeta Arkadiusz Kiński przypisany wsi Mazew w której dorastał:

krzyż
chleb powszedni

w mojej ojczyźnie
świadkowie
kradną
ostatnią kromkę nadziei

trochę ziemi
krew i pot
życie
nawet ono ostatecznie boli

przeszłość
cóż warta
już nikt nie kłęczy
przed kromką chleba

Agnieszka Krizel zapisująca szlaki przemierzonych dróg i lasów po swojemu kontynuuje:

(...)
gdybym mogła, Babciu
wróciłabym

pachnąca akacją koperta leżała
w przedsionku
po równej kaligrafii i liter i zawijanych
akapitach
poznałam

przysłała mi okruszynki chleba
Twoją starą ręką wyrobione ciasto
jeszcze na tych strzępach kruszonki
widać linie papilarnie Twych palców
odległość ma wielkie znaczenie
boli

(...)

W tym duchu wypowiada się również Feliks Rak rocznik 1903, poeta i działacz ruchu ludowego, debiutujący na łamach jej prasy w 1934 r. Więzień KL Sachsenhausen i Dachau. Rolnik - samouk. Z twórczością, którego zetknąłem się w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku na łamach kieleckiego „Magazynu Słowa Ludu”. Niezwykle szanowany i ceniony.

Włożyłem ręce do pieca
moje ręce
na łopacie ojca.
Wyrosły z nich
pełne bochny chleba.

Obok dzieży
stała moja matka.
Ojciec
na jej ręce
sypał z worka
białą mąkę.
Każdy bochen chleba
ojciec żegnał
na krzyż
stalowym nożem.
A potem usta moje
całowały go
i kładłem każdy bochen
na półce
pod stagażami
powąły.

Tym samym gościńcem ku łanom falujących zbóż, podążył Jan Szczurek wszechstronnie wyedukowany. Piszący o złożonej i tragicznej historii Śląska zamieszkałego przez autochtonów, ludzi z centrali i zza Buga (hadziziji). Im poświęca wiersz: „Nocą”

Trembowla zaszczekał pies
o czwartej rano walenie w drzwi
Na czapce gwiazda,
karabin gotowy do strzału.

Jeżeli na Sybir, to zabij mnie tutaj,
dla mnie nie szkoda kuli, szkoda chleba.
Tam Polaku sam zdechniesz z głodu
to nakaz dobrowolnej podróży.

Do najbliższej piekarni Norylsk,
siedem tygodni po żelaznej drodze.
Sople lodu chlebem, płatki śniegu
bułkami.
Stacje tylko dla policzenia zmarłych.

Kwilące niemowlę okryte pieluszką
wysuszoną przy piersi powróci
w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym
roku.
Tego miejsca już... nie ma.

Jakże tragiczną drogę po „nie ludzkiej ziemi” musieli przejść Polacy mieszkający po tamtej stronie Buga. By osiąść – ci co przeżyli – między Górą Świętej Anny, a Kopą Biskupią. Na ziemi urodzajnej, pełnej dobrobytu, ale obcej z odgłosami wilczego echa... Bochen zwykłego chleba łączy w parę i tworzy mieszane rodziny dając młode pokolenie obywateli urodzonych tutaj - u siebie.

Ten exodus ludzi wypędzonych z ojowizny jest częstym tematem twórczość Moniki Maciejczyk poetki i prozautorki z Polanicy Zdroju. Założycielki i animatorki międzynarodowego Saloniku Literackiego Różany Dwór. To ona w latach 80-tych była łącznikiem rodzin zamieszkujących gospodarstwa rolne Ziemi Kłodzkiej, a jej prawowitymi właścicielami wypędzonymi za Odrę. Łzy i bochen chleba przy wspólnym stole były i są narzędziem prawdziwego pojednania:

I widziałam jak chleb suszyli
staruszkowie mili
na sznurach jak pranie
kromka po kromce
w słońcu na wietrze
drżał chleb powszedni
jak staruszków ręce

a w dłoniach sznur

Dzięki Monice w czasie kryzysu z zachodu sławno paczki by wesprzeć intruzów - którym zgotowano taki sam los jak nam.

Ewa Zelenay poetka, pisarka, dziennikarka, stewardessa, kilka lat życia spędziła w powietrzu. Odrywa nas od tematyki głodu i przenosi w wymiar metafory:

„ nie głodni”

piórem ostrym jak nóż kromki poezji
dziele
kroję ostrożnie cienkie kromki wierszy
żeby wszystkim starczyło

potem na ulicach siwych jak zmrok
rozdają przełożone metaforami kromki
wiersza naszego powszedniego
mówię – bierzcie i jedzcie !

mijają obojętnie
chyba nie głodni

„Chleb jemy każdego dnia, rzadko jednak zastanawiamy się nad tym, kto go upiekł. A to wcale nie jest bez znaczenia” - pisze Magdalena Stopa. Zacznę od: „Chlebów mojego dzieciństwa”, cyklu opowiadań: „Tradycje Przodków” Teresy Kamienieckiej - Hreczaniuk związanej z RSTK woj. opolskiego. Organizatorki wraz z mężem Witoldem niezliczonej ilości plenerów poetycko-malarskich, spotkań autorskich, wystaw. Teresa pamięta to tak:

(...)

Nowy dom wybudowany tuż przed wojną w 1937 roku zachwycał kuchnią z białych kafli, zapiętą metalową klamrą z mosiężnymi gałkami. Nad kuchnią posadowiony był piec chlebowy z zdobnymi drzwiczkami, z którego żar wygartany był przez otwory paleniska kuchennego, zakrywane fajerkami. Wygaszone węgle służyły do nagrzewania żelazka. W nowym domu stara była tylko dzieża z dębowych klepek, opasana metalowymi obręczami, wygładzona dłońmi kobiet.

(...) babcia zaglądała do dzieży, zdejmowała bluzkę, aby rękawy nie przeszkadzały w wyrabianiu ciasta. Głowę obwiązywała chustą i stawiała kubek z wodą. Byłam zauroczona jej mereżką*) i koronką przy koszuli, oraz okrągłością ramion ryt-

micznie wyrabiających ciasto w dzieży. Piła małymi łykami wodę, którą podawałam jej w kubku. (...) Ciasto odstawało od dzieży. Nie musiałam dospywać mąki. To był znak, że wyrabianie ciasta miało się ku końcowi. Siadała na chwilę obok stołu na długiej ławie, na którą później wyjmowała chleb. Dzisiaj wiem, że w kuchni nie było niczego zbędnego. Wszystko miało swoje przeznaczenie.

Mama nakrywała dzieżę wiekiem i dywanikiem i wносиła do kuchni blachy. Wyczyszczone wieczorem i wysmarowane tłuszczem skórki ze stoninę czekały, by wypełnić się ciastem. W piecu ogień lekko przygasał i było coraz goręcej. Dziadek brał pomiotło,*) moczył w wodzie i wygartował wypalone resztki polan, i dokładał nowe. Babcia wносиła stolnicę i gdy dzieża wypełniła się ciastem, rozpoczynała napełnianie blach. Wiedziała, ile ciasta wyjąć na stolnicę, by wystarczyło na potowę blachy. Tak po dwa razy uformowane kwadraty ciasta wypełniały blachy. Wszyscy byli głodni, bo w tym dniu obiadu nie gotowano. Z ciasta, które pozostało, mama układała na liściach kapusty zrobione placki, smarowała je wodą i wkładała tuż za drzwiczkami w piecu. Dochodziło południe, mama brała wiadro i szła doić krowy. Babcia zaglądała do pieca, by oznajmić, że podptomyki już dochodzą i zjawia się mama z mlekiem. Cedziła je przez tetrową pieluchę. W tym czasie babcia czyściła dzieżę, a wyglądała to tak, że dłonią obgarniała resztki ciasta i robiła z niego mały chlebek, obsypywała mąką i pozostawiała w dzieży na zakwas*).

Dzieża wędrowała do komory, a ja zajmowałam jej miejsce na krześle przy kuchni. Podptomyki wyjęte z pieca, czasami osmolone posmarowane stoniną jeszcze gorące, błyszcząły stygnąc na stole. Ciasto na blachach podnosiło płótno. Dziadek wymiatał piec kociubą, wygartał węgle do kuchni i obgartał piec pomiotłem. Mocznona w wodzie stoma dobrze zbierała popiół.

Ja w tym czasie dostawałam pędzel i kubek wody, aby posmarować dwa razy chleb na blachach. Babcia nabierała wody do rondelka i wstawiała go do pieca. Po trzykroć sypała mąkę na środek pieca i po rogach obserwując bacznie jej spalanie. Jeżeli mąka spalała się zbyt szybko, kazała dziadkowi omiatać. Jak był gotowy piec i chleb, robiła znak krzyża i blachy na łopacie wędrowały do pieca. (...) czuć było go na podwórku, mówił wchodzący do domu dziadek. Kolejny raz kukółka oznajmiła pełną godzinę i babcia oznajmiła, że wyjmujemy. Na ławie przykrytej płótnem pojawia się

pierwsza blacha i potem kolejne. Nagrzany piec musiał być pełny i druga tura wypieków pozostała za drzwiczkami. Ja w tym czasie smarowałam bochny chleba skórka ze stoniny do potłusku. Przykryty lina-nym płótnem odpoczywał aż do pełnego wystygnięcia. Jedzenie ciepłego chleba groziło skrzętem kiszek, tak mówiono. (...)

Wczoraj specjalnie wybrałam się do wojsławickiego arboretum by w muzeum pod chmurką przyjrzeć się najprostszemu narzędziom do zbioru i omłotu zbóż. Jest tam cała plejada różnego kształtu sierpów, kos prostych i z kabłąkiem. Szczególną uwagę zwróciłem na cepy gązewkowe: „ Proste, drewniane narzędzie rolnicze do ręcznego młócenia zboża. Znane są cepy dwudzielne, złożone z dwóch kijów - krótkiego, zwykle dębowego bijaka oraz długiego zwa-

nego dzierzakiem lub cepiskiem, gązwa lub cepiga łączyła rzemieniem dzierzak z bijakiem. Uderzało się nim w warstwę zboża, rozpostartego na twardym, płaskim podłożu zwanym boiskiem. Młócka cepami miała wyższość nad innymi rodzajami młócenia - dawała stomę prostą, nadającą się do krycia dachów strzechą”.

Kiedyś zwiedziłem dziesiątki młynów; od najprostszych, napędzanych ręcznie kamiennych żaren rozcierających ziarno na pył po wiatraki i młyny wodne, gdzie duch mąki osiadał na drewnianych trybach i przekładniach po młyny nowoczesne, murowane z elektrycznym napędem, z metalowymi bębnami i bijakami. Sortujące osobno mąkę i śrut. Ale smak chleba przez setki lat pozostał ten sam. Mimo, że wypieka się go przemysłowo w tysiącach sztuk. I niewiele pamięta już magię domowego wypieku jak Teresa Kamieniecka -Hreczaniuk.

Staratem się przy każdym omawianym autorze, włączyć kilka słów biografii bo dla mnie życiorys jest równie ważny jak twórczość. A w *Majstersztyku chleba* trafiają się życiorysy ciekawe.

Wymienię teraz Henryka Cichowskiego (1910 -2001) ze zubożałej szlachty zaściankowej, urodzonego w Cichowie. W wieku 14 lat opuszcza dom rodzinny i podejmuje naukę zawodu piekarza. W 1927 roku otrzymuje dyplom czeladniczy, z którym się nigdy nie rozstaje i od tego czasu prowadzi piekarnie najpierw jako współnik, a później samodzielnie w Janowie. W sierpniu 1939 zmobilizowany, służąc w 11 Pułku Piechoty broni Warszawy. Żołnierz AK, więzień obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen. Pomaga współwięziom, humorem podtrzymuje ich na duchu za co otrzymuje przydomek „minister propagandy”. Po wyzwoleniu obozu przez Amerykanów otrzymuje zaświadczenie, że był zatrudniony w tutejszym lazarecie w charakterze piekarza. Wraca w rodzinne strony. Widząc kolegów z partyzantki wiszących na janowskim rynku ucieka przed UB do Szczecina. Tam poznaje przyszłą żonę Teodozję (dochowiają się dwóch córek i dwóch synów). Wspólnie prowadzą piekarnie w różnych punktach Polski. Po Szczecinie przychodzi czas na Warszawę, później Wielgolas, Józefów, Jeruzal, Uniejów i znów powrót do Warszawy, gdzie już dzieci kontynuują tradycję.

Jan Pisarkiewicz (1894 - 1961) urodzony w Łęczycy - piekarz łęczycki. W czasie I wojny światowej żołnierz konspiracyjnej POW. Brał udział w wojnie z bolszewikami na froncie białoruskim w okolicach Druji nad Dźwiną (zachowała się stąd jedyna fotografia w mundurze). W II RP otworzył własne piekarnie w Łęczycy i w Witoni. W 1939 roku bierze udział w Wojnie Obronnej. W czasie okupacji praca w piekarni „u Niemca”. Po wojnie kieruje przemysłową piekarnią zwaną „Gigantem”.

Marian Pozorek (1940 - 2015) urodzony w Sosnowcu. Jako 16-latek idzie „do terminu” w Żelechowie. W 1964 roku w Warszawie zdobywa tytuł mistrza piekarnictwa i rozpoczyna pracę jako piekarz w Grand Hotelu. W 1984 roku otwiera własną piekarnię na ul. Jadowskiej 2. Kolekcjonuje przedmioty związane z piekarnictwem m.in. dyplomy mistrzów piekarzy niemalże z całego świata. Warszawskie Muzeum Chleba funkcjonowało kilkanaście lat obok piekarni. Pośmiertnie, w 2017 roku, nakładem Wydawnictwa Komograf ukazuje się książka Mariana Pozorka *Piekarskie drogi*. Muszę o tej ciekawej książce w przyszłości napisać kilka zdań.

Andrzej Walter

Chmury balsamowane Czasem czyli o poezji Pawła Kuzory

W kamiennym świecie / Trzeba być z kamienia / By to zrozumieć...” umiłowatem Kraków. Poem spotkałem w Nim wielu ludzi. Z krwi i kości ... i z kamienia. Kamienia naszych dusz i kamienia pomników. Kamienia filozoficznej nadziei. Skupionej bądź rozproszonej. Pokrętej, acz wielkiej w swej melancholii Trwania. Kraków rodził (i rodzi nadal) ... poetów. Ryszard Rodzik - twierdził nawet, że każdy urodził się poetą. Trudna to myśl. Z pozoru banalnie kontrowersyjna, ale z biegiem czasu, ta właśnie myśl - stała się kamieniem milowym. Węgielnym kamieniem naszej wiary. W jakimś sens. W sens ludzkiego życia utadzanego poezją...

W taki też los wpisał się krakowski poeta - Paweł Kuzora. Poeta elementarny. Poeta drogi. Poeta, który urodził się poetą ... w Poznaniu, na ulicy Kantaka. We wspaniałym sąsiedztwie Jonasza Kofy, który kiedyś napisał: „Największym artystą / Jest przypadek / Gdy rzeczywistość / Bije cię w zadek(...)”. Tak też biła „w zadek” owa przywołana Rzeczywistość poetę Pawła Kuzorę. Aż do roku 2010 kiedy zdecydował się opublikować swój pierwszy tom poezji, pod adekwatnym do tegoż losu tytułem - „Kotwica moich snów”. O wstęp do tego tomu pokusił się nie byle kto, gdyż sam Andrzej Krzysztof Torbus. Bodaj najzdolniejszy poeta legendarnej już, krakowskiej Grupy „Tyllicz”...

To był piękny debiut. Najważniejszy debiut czasu przełomu. „Wybór 69 utworów z lat 1980 – 2009, to debiutancki tomik Pawła. Dodajmy z żalem, że debiut mocno spóźniony – pisze Andrzej we wstępie. Tak. Ten debiut był wyjątkowy. Znamienny i dziwny. Znamienny dla czasów, nieprzychylnych poetom. Dla cierpliwości człowieka wrażliwego i pokornego. Dla wielkości ukrytej w prawdziwym życiu, któremu oddał się Autor. Aż wreszcie dziwny ... dla wrażenia, które wywarł na środowisku. Dla czytelników, którzy znali Jego poezję, ale wciąż czekali. I doczekali się. Mogę to ująć tylko tak – warto było na Ciebie czekać – Pawle.

„Ptaki w klatkach umierają tak długo”. „Przyszedłem na świat / pod czujnym okiem cenzury / w ilości jednego egzemplarza” – spowiada się nam obnażając poeta. Jak dojmujące to wyznania. Wstrząsające: prawdą, czasem, oczekiwaniem poetycznych narodzin. „To że jestem to przypadek”. „Kiedy patrzę na kotłujące się pode mną życie / chcę rzucić się w palenisko kwiat / nie robię tego / stoję jak spalizowany / gdzie obok dojrzewają winogrona”.

Los był zadziwiająco przewrotny. To los każdego z nas. Los ułożony na spekanym chodniku, ubrudzony współczesnością, w którym być wrażliwym, znaczy się, być wypłutym przez mechanizm rynkowy dobrobytu. Znaczący się, być ugodzonym niespełnioną tęsknotą za pięknem zabijającym codziennością. Znaczący wreszcie – umierać żyjąc – i w tym umieraniu : widzieć, snuć opowieść i czuć. Taki nam los zgotowano. Tak sens zapisano w receptach na szczęście. Zostaw głębię. I tak w proch się obrócisz. Póki co, korzystaj i trwaj. Elementarnie. Beznamiętnie. Ostudzony w głębinie pustki. Tak odczuwa to i Paweł w „Krótkiej opowieści sentymentalnej” i w innych wierszach...

„na zapomnianym przystanku przy zapomnianej drodze próbuję zebrać myśli i kurwa nie mogę”

„Życie jest jak mgła / nad targowiskiem codzienności, / wszyscy chcemy coś sprzedać lub kupić / zastawiamy w lombardach nasze marzenia”. Też tak zrobiłem. Bądź robiłem. Mam inny temperament. Inną dynamikę. Czuję jednak jak Paweł. Jestem blisko, coraz bliżej – zdumienia, którym mnie częściej, realiom jakie mi przedstawia, wreszcie sensom jakie mi zadaje. A może bezsensom spolaryzowanym w trwanie. Bezsensom, które są naszą jedyną drogą wyjścia z matni współczesności? Nie wiem. Zachłystuję się jego poezją jak Różewiczem, Stachurą i Świetlickim. Czytam i rozważam: czy miał rację, czy też bym tak czuł, czy jest szansa, czy jest ... miłość, czy jest sens. „Czy widzisz jak przemijam / zamiast złamać monopol na szczęście / ja tamię sobie kości.” ...

Paweł Kozora oddaje nam co nasze. Oddaje nam nasz zdeformowany świat, taki, który stworzyliśmy, by w nim: żyć, rodzić się, kochać i umierać. Taki, który nie pyta- kim jesteś, ale który wie, że jesteś trybem w maszynie. Kółkiem zębatym jakiegoś totalnego mechanizmu istnienia. Elementem całości. Niwelacją radości do stanu egzystencji. Zadany ból wraca zwielokrotniony w człowieku napotkanym, który bije mocniej niż zdołamy znieść. Jednak wytrzymujemy i liżąc rany udajemy, że nic się nie stało. Taki świat, taki los – taka karma.

„Zrozumiałem, że nie zabalsamuję chmury”.

Paweł wyciągnął to z moich oczu. Od poczywam patrząc w chmury. Podziwiam ich różnorodność, wielkość, wachlarz zmienności oraz fluktuację formy. Zapominam o bólu, leczę rany, przenoszę się w odmienny świat marzeń. Balsamuję chwilę. Wtedy chcę „władzić wszystko do dna” jak w wierszu „Bądź co bądź – czyli tęsknota za babą z wódką”. „Ale zawsze mam ochotę / być tam gdzie miłość”. I tak można spuentować to rozważanie. Ten kolejny, ważny akapit poezji Pawła.

I dochodzimy tu do „Kilku prawd oczywistych”: ryba wrzucona do akwarium / tęskni za oceanem ; ptak zamknięty w klatce / rozmyśla o wietrze ; wilk uwięziony na tańcu / zapada w sen ; człowieka tłumiącego / w sobie cokolwiek / możesz nie rozpoznać ; bo prawie zawsze / jesteśmy nim – my”.

„Czy miłość i poezja są szaleństwem” ??? Tak, Pawle – są ... są cholernym, szalonym szaleństwem. Są wyborem i pasją. Są naszą wiarą wyznawaną w każdym wersie, który rodzi się: z bólu, cierpienia i nadziei. Z tęsknoty za wiecznością i nieskończonością. Z łaknienia i nakazu – przelewania na papier naszych głębin, po których podróż bywa drogą do unicestwienia. Prometejską podróżą w wyrażenie człowieczeństwa. W wyrażeniu śmierci – żyjąc. W niezgodzie na: duszny, brutalny świat, w którym przyszło nam trwać na przekór Wszystkiemu. Na przekór Bogu, który i tak wie lepiej. I może właśnie tego się trzymamy, gdyż czegoś się trzymać trzeba ...

Wawrzyniec Wiklik (1875 -1962). Urodził się we wsi Zaborze. Z powodu biedy wychowywany poza rodziną we wsi Wesota. Do szkoły uczęszcza tylko zimą.

Oddany do piekarza w Słomnikach, początkowo pracuje jako parobek w gospodarstwie, następnie podejmuje naukę piekarnictwa. W 1897 roku uzyskuje tytuł czeladnika sztuki piekarskiej i rozpoczyna pracę w piekarni Józefa Dudzika w Miechowie. - W mieście mi bliskim, w nim przeszedłem na świat . I kończyłem technikum zawodowe przy ulicy B. Prusa 2. - Wawrzyniec rozpoczyna wędrówkę po imperium carskim w poszukiwaniu zajęcia. Pracuje w Kijowie, Moskwie, Warszawie, Petersburgu, cały czas podnosząc swoje kwalifikacje. Trafia na Zagłębie, gdzie za zgromadzony kapitał kupuje piekarnię w Sosnowcu. Poślubia Stanisławę Nowińską, z którą ma 15 dzieci. Radość narodzin przeplata tragedią śmierci. Ośmioro dożywa pełnoletniości. Przeprowadzają się do Częstochowy, gdzie z teściami prowadzą piekarnię i masarnię. W 1904 r. uzyskuje tytuł majstra sztuki piekarniczej. Poszerza uprawnienia o tytuł czeladniczy sztuki masarskiej. Omija go udział w I wojnie światowej jako jedyne żywiela rodziny. Zajmuje się również skupem ziemi i inwentarza. Wybuch II wojny światowej to ucieczka na wschód. W 1943 r. powrócił do Częstochowy i reaktywacja piekarni. Po wojnie Wawrzyniec otwiera powtórnie piekarnię i sklep. W 1950 roku firma rodzinna zostaje upaństwowiona. Starsi synowie uzyskują uprawnienia czeladnicze w zawodzie piekarz.

Jarostaw Gajda urodzony w 1958 roku w Radomiu. Pracodawca, nauczyciel zawodu, właściciel piekarni - cukierni. Pomyślny i współorganizator radomskiego Święta Chleba (1999). Autor branzowych artykułów do: „Piekarza Polskiego „ i „Przeglądu Piekarskiego i Cukierniczego”. Redaktor monografii:

Historia o chlebie i piekarzach radomskich (2011). Przytoczę rozmowę Jarostawa z dziadkiem:

(...) Pokazał mi kiedyś, wtedy jeszcze młodziakowi na początku życiowej drogi, sufladę pełną pieniędzy. Było tego dużo, utarg jego piekarni z całego tygodnia, to

robiło wrażenie. Czyje to są pieniądze, zapytał. No... dziadka, odpowiedziałem.

Nie, to są pieniądze elektrowni, młynarza, pracowników, a jak coś z tego zostanie, to dopiero są moje pieniądze.(...)

Tą zwykłą prawdę rozumie się dopiero pracując na własny rachunek.

Piotr Mankiewicz urodzony w 1941 roku w Grudziądzu, pracownik kopalni. Potem uruchamia budowlę socjalizmu: huta Katowice, Zawiercie, Kościuszkowice, Częstochowa. Następny zawód – pasja to popularyzacja kultury chleba. Od początku lat 80-tych minionego wieku zaopatruje piekarnie w maszyny piekarnicze i cukiernicze. Realizując swoje marzenia, otwiera w 2000 roku Muzeum Chleba i Ciekawostek w Radzionkowie, kultywujące tradycje rzemieślnicze.

Głęboki ukłon Piotrowi Goszczyckiemu za przybliżenie „świętej trójcy” - siewcy, młynarza, piekarza – do, której dołączył poetów i ludzi skalanych pasją, opowiadających o chlebie, każdy własną, wyjątkową historię.

JERZY STASIEWICZ

Wtedy łatwiej będzie wyrazić „Pożegnanie”:

Przed moim blokiem rośnie jarzębina
Na jej gałęziach kołysze się para
gołębi

W moim mieszkaniu rozdzwonił się
telefon

Ciocia chichocząc oznajmiła mi
Że chce się pożegnać
Bo głupio tak umierać samej
Na szpitalnym łóżku

- Wpadnij na pogrzeb
I powiedz moim córkom
Że je kochałam

I nie wiem czy po tym wyznaniu o fakcie dokonanym wypada mi jeszcze coś dodać. Właściwie powinno pozostać milczenie świadectwa czasów i ludzi, które tu zawarłeś. Milczenie bytu przed wiecznością, które jako jedyne, ratuje skołataną duszę. Milczenie świata przed nieuchronnym i losu przed koniecznością, gdzie pogubiony człowiek reaguje różnie – nieadekwatnie życiu, które wiódł, nieprzystawalnie złudzeniom, w które wierzył – nieumyślnie sumieniu, które stworzył. A jednak życie wyrasta ponad grzechy. Miłosierdzie może zaistnieć naprzeciw naszym bitwom, które toczyliśmy z głupoty, bądź w dobrej wierze. Tyle nas, co i bez nas – powstało. A nadzieja jest sensem ostatecznym. Na przekór światu i nauce. Na przekór konstrukcjom, które zadały nam ból w tym świecie i zadawać będą nadal. Kolejnym pokoleniom po nas. – „*Tak niewiele potrzebuję by żyć / Wystarczy szklanka wody / I kromka chleba(...)*” – „*Mamy wszystko na wyciągnięcie rąk / Z wyjątkiem siebie.*”

I tu „z wyjątkiem siebie” ... warto byłoby powiedzieć słów kilka o erotykach Pawła – pisanych wyjątkowej i wspólnie z żoną – przyjacielowi... lecz nic nie powiem. Są piękne, działają na kobiety i dotykają ... tego czegoś. Tutaj jednak powołam się na Andrzeja Torbusa, który również stwierdził, iż przykryłby ten rozdział twórczości Pawła – zastoną intymnej prywatności i wrażeń publiczności oraz czytelników. Niech tak zostanie.

W ostatnim tomiku, „W dłoniach wiatru” – przywołałeś Pawle motto z Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – „*Po niebie płynie moje serce i rozpryskuje się na dachach*”. Tak właśnie, przeżywając życie pisaniem, wypluwaniem z siebie całej niezatapialnej otchłani serca – rozpryskujemy się na dachach domów zbyt wielu ludzi. Dachy milczą, ludzie śnią. Noc przynosi ukojenie. A my wciąż w myślach i marzeniach balsamujemy chmury, wypatrując iskiarki ciepła w lodowej krainie bytu. Tak było, jest i będzie. Od Reja, Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego ... po Norwida, Stachurę, Miłosza, Różewicza i Szyborską. Po Torbusa, Kuzorę, Świetlickiego i Zagajewskiego. Po Jurkowskiego, Wawrzkiwicza, Gnarowskiego i Jerzynę. Po świat - niewart głosu, za byt - niewart życia. Za słowo, które ciałem się stało i przestało mieszkać między nami. Za poetów, których nie wymieniałem, a którzy blisko serca tkwią. Serca - pękającego zdumieniem. Serca umierającego tętniąc ...

Najważniejszym jest zdanie – „*Wiem dlaczego muszę stąd odejść / przeciw istniejącej innej rzeczywistości.*” I tam się ponownie spotkamy. Z piórem, wspomnieniem i czasem ... poza granicami Czasu.

ANDRZEJ WALTER

Jan Stanisław Smalewski

Dwa w jednym, ale osobno

Kiedy ostatnio w upalne sierpniowe popołudnie buszowałem po warszawskich księgarniach, wpadły mi w ręce dwie książki tej samej autorki: prozatorski i poecki z Warszawy Małgorzaty Cimek-Gutowskiej. Pierwsza to zbiór opowiadań „*Starość i winogrona*”, druga – tomik poezji „*Wiele kobiet, jedno imię AFRODYTA*”.

Już lektura pierwszego opowiadania Absolutna niepamięć nasunęła mi skojarzenia z poezją Wisławy Szymborskiej, a konkretnie z jej wierszem „*Oda do starości a nawet dwie*”. Czytamy w nim m.in.:

„...Dwa razy dziennie – raz przy śniadaniu, a potem w obiad,
po drugim daniu zażywam leki, tabletki białe:
cztery połówki i cztery całe
Często się pieklę (bom nie aniołem),
gdy w obiad nie wiem, czy rano wziąłem?...”

I kilkanaście wersów dalej:

„...Idę ulicą, ktoś mi się kłania.
Oddaję ukłon – znam przecież drania:
ta twarz, ten uśmiech i ten błysk w oku.
To miły facet, znam go od roku.
Jakże u diabła on się nazywa?...
Dziura w pamięci. Czasem tak bywa.
Wtedy myśl smutna w głowie się rodzi:
Nic nie poradzisz – starość nadchodzi...”

Skojarzenia tym bardziej słuszne, gdyż jak się okazało, Autorka także poetką „bywa” i to w dosłownym tego znaczeniu. Kiedy zapytałem o jakiś nowy jej tomik, od razu podsunęto mi najnowszy, artystycznie skomponowany zestaw wierszy pt. „*Wiele kobiet, jedno imię – AFRODYTA*”.

To raczej rzadkość, żeby poeta poświęcał cały tomik jednej tematyce, a tak w tym przypadku Autorka uczyniła. Świeżo wydany (2019) przez wydawnictwo EDYTOR w Legnicy tomik, jak poecka informuje w „*Kilku słowach do Czytelnika*”, to zmierzanie się za pomocą słowa ze sztuką mistrzów – dawnych i współczesnych malarzy. To próba opisu słowem - tego, co twórcy wyrazili pędzlem – znanych arcydzieł w postaci kobiecych aktów: Venus z Urbino, Danae (Tycjana i Tintoretto), Odpoczywającej dziewczyny - Buchera, Mai nagiej - Goyi... i jeszcze kilkunastu innych.

Tomik tak został skomponowany, że po każdym zaprezentowanym w nim akcie kobiecym prezentowany jest wiersz (czasami dwa lub kilka wierszy) rozszyfrowujący erotyczny temat arcydzieła.

Mam zatem w posiadaniu dwie literackie przygody w jednym. Dwie w jednym, chociaż osobno: zbiór opowiadań i zbiór wierszy.

Znam wcześniejszą twórczość warszawskiej Autorki i wiem, czego mogę po niej oczekiwać. To bardzo odważna pisarka i dobra poecka. Odważna z uwagi na podejmowanie trudnych tematów miłości w jej zakamarkach sensu erotycznych uniesień, pożądania i zdrady oraz bezgranicznego oddania się emocjom duszy i serca. Dobra, bo skuteczna i prawdziwa

warsztatowo. - Będąc z wykształcenia polonistką, swój zawód uczyniła sztuką, połączyła z potrzebami twórczego zaangażowania na rzecz literatury, przechodząc wcześniej drogę swoistego doskonalenia świata dziecka, upiększania go za pomocą pochłaniającej jego wyobraźnię bajki.

Jej poprzedni zbiór opowiadań „*On-nagata*”, który już stoi na półce od kilku lat w mojej bibliotece, trochę mnie jako mężczyznę szokował otwartością i niewykłąk szczerością opowieści o miłości, seksie i erotycznym barwieniu przygód kobiet, które zdradzały otwarcie swoje potrzeby seksualne. Czasami wręcz niewyżycie w zakresie seksualności, jaka tej płci stała się przynależna. Czy tym razem też tak będzie..?

Okazuje się, że nie. Niektóre opowiadania mają momentami zabarwienie erotyczne, ale to bardzo subtelna, ciekawa i zdrowa erotyka. Autorka jest dojrzałą kobietą ze sporym dorobkiem literackim i nie trzyma się kurczowo narzucanych sobie ram. W swych kolejnych książkach ewoluuje twórczo, jak ewoluuje życie każdego twórcy – od zachwytów młodością i ukazywania niespożytych sił witalnych, po... wygaszanie życiowego napięcia emocji i potrzeb. Po godzenie się z koniecznością wyciszenia i stabilności fizyczności trwania w cywilizowanym - otaczającym nas świecie.

No właśnie, a jak to jest z tym naszym życiem? Jest z nim jak z wiszącym na ścianie kalendarzem: wiosna, lato, jesień i... czy chesz tego, czy nie nie, trzeba zedrzeć te kolejne kartki, przejść do ostatniego etapu. W nowej książce Małgorzaty Cimek-Gutowskiej jest to po prostu starość. Z tym, że nie jest ona sama, pojedyncza, zwykła sobie starość. Ta starość też ewoluuje. Może dlatego Autorka połączyła ją z innym słodszym rzeczownikiem - z winogronami; żeby nadać jej winnego smaku, żeby była bardziej soczysta, żeby oznaczala coś więcej niż samo przemijanie.

Opowiadania, których w książce zgromadziła niemal czterdzieści, są różnorodne w obszarze opisywanych sytuacji i postaci. Są w stopniu większym, lub mniejszym powiązane z tym okresem życia, jakim jest starość. Są ciekawe ze względu na soczysty język prozatorski Autorki, który ani bajeczności (jak w opowiadaniu o starym katarzyniarzu i jego Kopciuszkę), ani rubasznosci i groteski (jak np. w *Świntuszkę* o starym zboreźniku Stefanku) nam nie skąpi.

Są po prostu soczyste jak smaczne winogrona, którymi dowolnie, z potrzeby smakowania dobrej literatury można się rozkoszować.

Od strony warsztatu literackiego książka „*Starość i winogrona*” Małgorzaty Cimek-Gutowskiej zwraca uwagę dopracowaniem poszczególnych opowiadań, zwięzłością treści i formy zapisu. A forma ta jest o tyle specyficzna, iż z ogromną starannością Autorka dba o każdy szczegół charakteryzowania postaci, które podobnie jak kiedyś w jej bajkach dla dzieci są wyraziste, kolorowe, a przy tym nie pozbawione emocjonalnego zabarwienia, nadawanego z regularnością parafrazy literackiej opisów ubarwianych poetycką metaforą.

Opowiadanie *Absolutna niepamięć*, o czym wspominałem na wstępie tego eseju, przypomina humorystyczny wiersz Szymborskiej zarówno pod względem opisu podobnych zdarzeń związanych z zapominaniem, jak i z groteskowością postępowania starszej osoby. W tym przypadku jest to starzejąca się kobieta. To jej przede wszystkim uwagę poświęca Autorka – opisując życie w samotności, warunki bytu i postępowanie. Emerytura, samotność, zamknięcie w klatce mieszkania i kilka jej światów: miniony, ten obecny, świat obok tracący na znaczeniu, świat w niej stygnący w pogodzeniu się z przemijaniem, świat przed którym ucieka... No i cały ten bałagan, który trzeba jednak jakoś poukładać. Poukładać żeby...?

Odpowiedzi jest wiele, znajdujemy je w kolejnych opowiadaniach. Ja tę najciekawszą odpowiedź znalazłem w jednym z końcowych pt. „Przemiana”, gdy do jego bohaterki starość dociera z brutalnością śmierci, gdy widzi się ona pruchem w urnie... domyśla szczegółów pogrzebu. Z tą świadomością godzi się na zerwanie z dotychczasowym buntem. Już wszystkiego doznała, przeżyła wszystko, co było dla niej ważne, wszystko wie – nic jej nie dziwi. Pozostają jedynie niepewność ostatecznych rozstrzygnięć w kwestii Boga, wiary, życia – czy raczej bycia – po śmierci. No i ta wieńcząca opowiadanie piękna metafora, gdy pogodzenie się z losem wypracowane jednocześnie zarówno przez ciało jak i umysł, powoduje przejście przez furtkę do zdżiczłego ogrodu i przeistoczenie się w drzewo. W jabłoń, rodzącą już tylko cierpkie owoce, ale podlegającą kolejnym przemianom biologicznym, jak cały otaczający nas świat i występujące na nim życie.

Dotychczasowe otwarcie bohaterki opowiadania na ogromny świat zawęża się do małego wejścia w opuszczony, też, ogród. Na koniec pozostawia ona wszystko, co ją dotychczas trzymało, bo starość tak sprytnie działa, że z czasem wszelakie dobra stają się nieważne; meble, cklive pamiętki, nawet książki, bo... jeśli umrze w zapomnieniu i znajda ją w opuszczonym mieszkaniu po paru dniach, będą „śmierdziały trupem”.

Powolne, najpierw ciała, potem całego JA dochodzenie do nieporadnej starości, zagubienie się w niej, zapętlenie w niemocach i nieważnościach wszystkiego, co kiedyś ważyło na życiu, powoduje nowy stan otwarcia. Unieważnienia przeszłości i rozpostarcia ramion, w które wpada śmierć.

Czym anonimowa bohaterka stanie się po śmierci?... Poetyckość tak trudnych, emocjonujących, a zarazem brutalnych obrazów powoduje, że poprzez metaforyzowanie treści opisów, Autorka osiąga cel podstawowy; jest nim powtarzalność wchodzenia w inne światy, istnienia i sensy.

Zbiór ten w szczególności polecam Czytelnikowi z dojrzałym życiowym bagażem doświadczeń. Kobietom poszukującym właściwych rozwiązań w aspektach zagubionego czasu i mężczyznom, którzy tak często nigdy do końca nie potrafią zrozumieć kobiet.

Z nowym tomikiem poezji Małgorzaty Cimek-Gutowskiej jest inaczej. W książce w ujęciu artystycznym dominuje piękno obrazów znanych mistrzów pędzla i wszechobecna miłość. Jako, że jestem wzrokowcem, jak większość mężczyzn, domyślam się, iż książka kierowana jest bardziej w naszą, męską stronę. Ale nie tylko, bo sztuka, jej piękno i emocje zawsze podążają w stronę znawcy, w stronę ich miłośnika.

Uduchowanie każdego artysty niesione poprzez sztukę współgra ściśle zarówno z intencjami Autorki, jak i jej temperamentem twórczym. Wysublimowana metaforyka wierszy nie tylko wyjaśnia poetyckie rozumienie obrazów mistrzów, ale także proponuje Czytelnikowi współudział w ich rozszyfrowywaniu i rozpamiętywaniu.

Wszechobecna erotyka, bo są to przecież akty kobiece, wzmacnia to wszystko i nadaje nowe sensy rozumieniu dzieł: zarówno dawnych (Tycjana, Tintoretto, Rubensa, Buchera, Goi, Maneta), jak i współczesnych (Chwistka, Picassa, Łempickiej, Weissa Nowosielskiego), czyniąc je jeszcze bardziej poetyckimi, co Autorce udaje się – podkreślam – bowiem prócz rozbudowanej metafory z zamysłem stosuje także czasowe rozróżnienia językowe.

„(...)Złota nigdy za wiele,/ czas go nie zmitręży,/ uroda dar ulotny,/ wiesz przecież, Zeusie.(...)

„(...)I dziwisz się zapewne, że frymarzę ciałem,/ choć wiem,/ że ciężar zbrodni/ spocznie także na mnie.”(...)
- z wiersza Danae.

Nieco inaczej więc brzmią zapisy wiersów i metafor charakteryzujących sytuacyjność namalowanego przez Tintoretto aktu

Danae, a inaczej współczesnego aktu inspirowanego płótnem Tamary Łempickiej **Piękna Rafaela**

Madame... pani pozwoli?! Pracownia tak blisko.../ Szybki szkic mi wystarczy.../ Proszę nie odmawiać.
Rafaela.../ Rafael.../ Gładkie twarze madonn.../ Portrety kobiet zwykłych/ patrz na mnie z bliska.

La Fornarina/ światłem/ wydobyta z czerni,/ La donna Luti/ różem malowana...

I inne jeszcze były,/ lecz ich nie wymienię,/ bo ty dziś, Rafaelo/ jesteś moją branką.

Twe ciało, Rafaelo,/ dotykem wypieszczę,/ wypukłości, krągłości/ grą światła i cieni.

Niepokój i żar w tobie/ w niecierpliwych skrętach.../ Tak właśnie się z poczwar/ wydobywa miłość.

Warto też zwrócić uwagę na wiersze Autorki inspirowane płótnami Chwistka i Nowosielskiego. W obu przypadkach starata się Ona oddać cechy stylu malarzy. U Chwistka jest to brak dbałości o szczegół (nie widać twarzy, niedbany rysunek dłoni, którą poetka kojarzy z wężem, mocne, dynamiczne uderzenia pędzla – rozbijanie kuli). U Nowosielskiego nawiązanie do ikon, syntetyczne ujęcie postaci.

O ikonach się mówi, że są pisane. Forma wiersza M. Cimek-Gutowskiej jest podobnie jak malarstwo Nowosielskiego niezwykle uproszczona. Jest tylko w nim to, co konieczne. „Piękno braku” będące cechą malarstwa mistrza zostaje oddane słowem:

„Wycięta z nadmiaru/ Uproszczona/ Ugrem niekiedy/ rozbielonym/ Pisana?/ Malowana?/ Bez złotego tła/ i rąk złożonych/ ikona/ współczesności/ kobieta/ o rysach/ wschodu/ zanurzona w echu/ odległego śpiewu/ Błogostawione piękno/ braku”.

Oczywiście nie sposób nie dodać, że cały tomik jest przede wszystkim smacznym, barwnym i niezwykle duchowym kąskiem także dla każdego poety.

JAN STANISŁAW SMALEWSKI

Andrzej Walter

Umarło niebo nad panem Nikt

W jednym z wierszy ostatniego tomu Małgorzaty Kulisiewicz „Ciasteczka z ironią” owinięty we własną, rozpoznaną ironię oraz wywołany lekturą lament sarkazmu -przeczytałem w końcu obrazoburcze zdanie, że „przecież wszyscy zasługują / na poezję”. Wydało mi się, że otóż to, że autorka w tym miejscu dotarła do sedna czasów poprzez nazwanie powierzchni kpiny i zapytała nas w tym wierszu tak naprawdę – jak dotrzeć do wieczności bez poezji? Wiersz zatytułowała frazą jakże podstępna: „**Strumień świadomości wymyka się spod kontroli establishmentu**”.

Zapadło milczenie. Wiele znaczące milczenie. Milczenie duszy i sumienia. Cisza bezbożna i wykraczająca poza świadomość. Poczuję się tak, jakbym dostał poezję w twarz. Bo czyż doprawdy ... wszyscy... zasługują na poezję? I czy właśnie dziś i czy naprawdę wszyscy? A może jednak wszyscy mają i dziś dusze i sumienia? Małgorzata Kulisiewicz – obiecująca krakowska poetka najnowszej fali uświadamiania światu jego beżeństwa za pomocą „Ciasteczek z ironią” jak zdecydowała się nazwać owo jaskrawe przesłanie ze sfery buntu i niezgody na zastaną rzeczywistość. Jej opisany i określony po sąsiedztwu typowy zjadacz współczesności – nieoceniony pan Nikt to przecież również i ja.

Jestem panem Nikt w sposób oczywisty. Napożycałem się słów i życia na kredyt, napożycałem się historii oraz wydarzeń, napożycałem się losu, który ktoś już wielokrotnie przeżył i tak żyję swoim - nie swoim, pożyczonym przecież życiem jakby kukielki w teatrze nowoczesnej codzienności. Moja ziemia niczyja jest aż za bardzo czyjaś. Moje łóżko też jest pożyczone i woda, którą obmywam moją dawno już niedowiedzoną nieczystości egzystencji. Pan Nikt nowego wieku, z korzeniami z wieku starożytności, skapanego we krwi i absurdzie. Jednakże absurd stał się absurdem nieskończonym, ewoluował do absurdu początku. Wkroczył dumnie w nowy wiek i hasa coraz śmieiej po polach, ba, po salonach i miastach, po wirtualności, po salach i bibliotekach, po organizacjach, rządach i po wszelakich ...nierządach...

Żyjemy dziś w kumulacji absurdu. Tu już nie wystarczy ironia i żadne chyba ciasteczka nam nie pomogą, choć jak zauważa zwinnie Autorka wierzymy wciąż, iż „strumień świadomości wymyka się spod kontroli...”

Warto poczytać te „Ciasteczka z ironią”. Ironia bowiem to wciąż zbyt mało. Jakże nieporadnie ekstrakt z ironii wstrzyknęła ostatnio Ewa Lipska w trybie niejako równoległym, w wydanej właśnie przez Wydawnictwo Literackie tomie zatytułowanym „Miłość w trybie awaryjnym”. Dwadzieścia sześć wierszy pięknie zaprezentowanych w twardej oprawie (edytorsko, jak mawiają *na bogato*), które mógłby napisać ... debiutant po maturze u progu swego rozpoczynającego się literackiego życia. No cóż, któż bogatemu zabroni, kto zabroni znanej twarzy ową twarz pokazać, jeżeli nieczyste siły rynku tak właśnie zawyrokują. Niech im tam będzie. Zaprawdę powiadam Wam, że prawdziwą ironię, z ładunkiem prawdy i szczerych kpiny z tego zmurszałego świata znajdziecie jednak zdecydowanie bardziej u Małgorzaty Kulisiewicz w serii wydawniczej Biblioteki Poezji dzisiaj. I zwłaszcza dzisiaj...

Ironia Kulisiewicz jest nowa, zdrowa, świeża, z dużą zawartością poezji w poezji.

To jakby znamionowa tabliczka informacyjna na produkcie, która zdradza nam drobnym drukiem ile jest zawartości mięska w kiełbasce, a ile dodatku chemicznej mikstury w formie wypełniacza owego produktu. Kiedy Ewa Lipska spogląda na współczesność przez szybę, kiedy patrzy na mnie z tego swojego spiżowego dystansu, czuję podskórnie, iż nie rozumie pana Nikt Małgorzaty Kulisiewicz, czuję wręcz, że nie za bardzo wierzy w jego istnienie, że jest trochę mało wiarygodna podlewając to sosem nowoczesnego słownictwa (typu: neuronowe sieci) ozdobnie ujętego w wiele nazw własnych ornamentujących niby wywód buntu i naporu wobec naszych czasów.

W kontraście otrzymujemy Małgorzatę Kulisiewicz – jakże autentyczną, piszącą o tym, co sama przeżywa, pisze w tym tomie właśnie tak, że czuję, iż to jest o mnie, o tobie i o moim bliskim. Wierzę właśnie jej. Widzę, czuję, smakuję i prawie jestem pewien, że szuka najwłaściwszego środka wyrazu, słowa, metafory, środka przekazu, ażeby opisać ten świat. Nie kalkuluje, nie kalkuje, nie dzieli się czymś, czego sama nie przeżyła, czy nie doświadczyła. Weźcie do ręki te dwa tomy poezji i sprawdźcie sami. Porównajcie. Kolejność lektury dowolna.

Sam fakt, że w tym samym czasie w Polsce pojawiają się dwa tomy poezji o zbliżonej proveniencji, a są one też przecież konsekwencją i innych tomów wydanych przez ostatnie dwudziestolecie traktujących o dojmującej współczesności – o alienacji, o pustce i o miakkości czasów naszych, jedynych nam znanych i wciąż pytających a po co nam poezja? – otóż sam ten fakt jest już bardzo znamienity. Jedna autorka wpisuje się tu jednak jakby w koniunkturę, a druga szuka realnej i prawdziwej odpowiedzi na te najważniejsze w naszym świecie pytania. Co nie znaczy, że nie należy tych pytań stawiać i nie należy przeczytać dokładnie obydwu tych tomów. Należy, jak najbardziej należy. Żeby takie pytania jednak stawiać wydaje się trzeba mieć pewien mandat uprawniający do ich postawienia. I mało wiarygodnie brzmi ten, który garściami korzysta z maszyny medialno-rynkowej. No niestety. Jeśli się powiedziało „a”... to trzeba szukać liter kolejnych...

Dlaczego tak pastwię się (nieco) nad (w sumie niezłym) tomem Ewy Lipskiej? Daję słowo honoru – czysty przypadek. Otrzymałem obydwie tomy jednocześnie. Porównałem w szerszej perspektywie i szczerze wyznaję Wam swoje refleksje. Wiersze Pani Ewy brzmią prostolinijnie, lekko, łatwo i przyjemnie, żeby nie powiedzieć ... wtronie i mało wiarygodnie. Można je przeczytać w godzinę dokładnie i wnikliwie i nie pozostawiają po sobie zgoła nic, albo w zasadzie bardzo niewiele. Wiersze Małgorzaty Kulisiewicz wbijają się w świadomość, jątrzą, zagnieżdżają się w umyśle i w świadomości, pulsują, są obecne, czasami krzyczą, czasami tylko pytają, odciskają jednakowoż trwałe ślady w czytelniku, nie pozwalają mu przejść dalej obojętnie.

A wydawałoby się, że te dwa tomy traktują o tym samym, albo co najmniej o czymś bardzo zbliżonym. O czasie współczesnym, o naszym w nim miejscu, albo wręcz o braku tegoż miejsca, o samotności, o wieczności, o sensie naszych działań i sensie naszego pisania, czytania, rodzenia się i umierania. I ów Pan Nikt – niewidzialna ręka to może także Ty ...?

I tak jak umierają nasze sny, jak dogasają nasze marzenia, jak nie ziszczają się długo oczekiwana przyszłość, tak odwrócono znaczenia i relacje wszelakich dziś wartości i prawd odwiecznych, postawiono na głowie wszelką stabilność i stałość, zanegowano sens naszych istnień, sens słów i ich siłę, postawiono do kąta naszą godność, miłość, wiarę, nadzieję, w miejsce tego wszystkiego pożyczca się nam materię, produkty i ersatz jarmarku. Włacza się nas – osoby Nikt – w cybernetyczne i wirtualne klatki, wpisuje się nas w e-obywatelski sen, wydziera się nam prawdziwe relacje międzyludzkie zastępując je namiastkami egzystencji osładzanej złudzeniami.

Pan Nikt zarabia na studia.

Twarze,
twarze,
korporacyjne korytarze,
uśmiech dolepiany taśmowo.
Niedługo wszczepią nam czipy.
Kierowani z komputera głównego,
krzyknijemy bezgłośnie szepcąc:
nie-wolność,
nierówność,
nie-braterstwo.

(tak porusza temat naszego tragizmu czasów Małgorzata Kulisiewicz)

Ewa Lipska z kolei w wierszu *Rekiny* pisze tak:

Kraj stanął mi w gardle.
Ani go przełknąć
ani wypluć.

Oddycham
przez pełne morze
rekinów.

Zostawmy już „Miłość w trybie awaryjnym”. Ten tom również wart jest lektury. Choć jego ogląd rzeczywistości jest równie krytyczny, zdystansowany i ironiczny to uchwycony jakby niezręcznie, jakby supernowoczesnym aparatem cyfrowym, w którym wystarczy tylko nacisnąć enter, aby powstał obraz (ponoć) doskonały.

Wróćmy do Małgorzaty Kulisiewicz. Tam znajdziemy obraz naturalny, prawdziwy, dokądrowany przez człowieka, z jego możliwością eksperymentalnego błędu, ale i z umiejętnością sztuki fotografowania. Wiersze z tomu „Ciasteczka z ironią” są właśnie taką nieostrą, metaforyczną fotografią artystyczną... jak choćby...

Wiersz na końcu języka
*Poziomki zgrzytnęły fikcją,
brakiem.
Nie jesteśmy
z Ingmara Bergmana,
istniejemy tylko sobą
i aż...*

*Nie poziomkowa polana,
niemy zgrzyt
bez bólu.
Nie aorta z krwią ofiarną,
tylko sok.
Masz to na końcu języka,
milczący wiersz.
W finale wszyscy przestaniemy mówić.*

Mateusz Wabik

Mechanizmy czasami wciągają, czyli szukanie ropy ma księżycu języka

Długo można by tak sięgać po rozmyślenia Pana Nikt. Te wiersze wymagają powrotu, wymagają powrotów... Niektóre z nich bardzo mnie zabolowały i zostały już na zawsze – jak ciernie. Taka właśnie poezja jest mi bliska. Jest o mnie i o moim życiu. O tobie i twoim życiu. Nie obnaża wszystkiego. Nie sili się na karkołomne metafory, na maksymalnie udziwnione zlepki słów, na szok i rozdrapywanie ran. Raczej dyskretnie szumi nad brzegiem rozpacz, pustki, odwiecznych pytań bez odpowiedzi. Raczej wspiera czytelnika solidarnym oglądem tego świata, jednością przeżyć i tożsamością uczuć. Utwierdza w melancholii i tęsknocie za czym, co już się zapewne nie wydarzy, a tym czymś jest powrót do normalności, do świata, który przeminął. I to przeminął nieodwracalnie.

Taka poezja pozwala łatwiej zrozumieć, że nad panem Nikt chyba umarło już niebo. Wszelkie *niebo*. To żywe i prawdziwe, niebieskie, błękitne, niebo realne i umarło też to niebo biblijne, niebo gdzieś, nie wiadomo gdzie, niebo naszej tęsknoty. Obydwa te nieba przeniosły się do innej rzeczywistości. I wszystko jest już inaczej...

Zawekowana odrobina matczynej miłości
na długo nie wystarczy.
Nikt wiezie
odrobinę świeżego spojrzenia,
dźwiga młodość pod pachą.
Na szczęście trudne czasy minęły,
zawsze potem są
jeszcze trudniejsze.

Oto ciasteczko z ironią na deser... drodzy Czytelnicy, których zajmuje jeszcze coś tak potwornego jak poezja. Te ciężkie *norwidy*, *zwidy* i jakiś niezrozumiały bełkot.

Kto by to jadł?

Czy wszyscy (nadal) zasługują (dziś)
na poezję?

ANDRZEJ WALTER

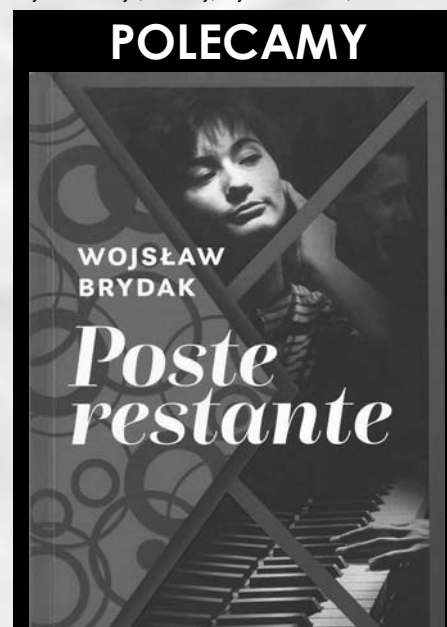
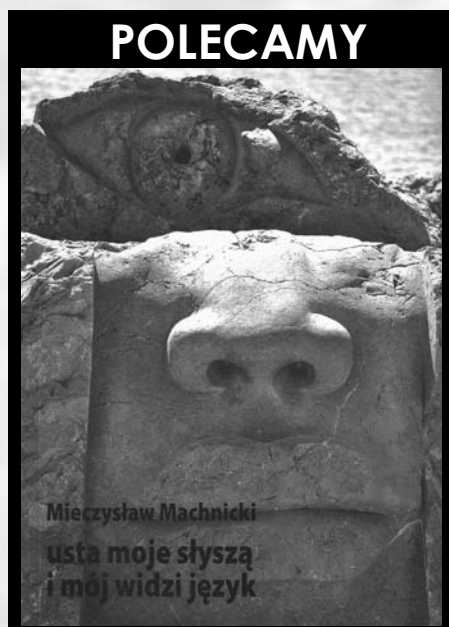
Ewa Lipska „Miłość w trybie awaryjnym”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019. Stron 60.
ISBN 978-83-08-06873-1
Małgorzata Kulisiewicz „Ciasteczka z ironią”. Wydawnictwo Książkowe IBIS. Warszawa 2019.
Biblioteka Poezji dzisiaj – tom XXI. Stron 68.
ISSN 1508-9398

Gdyby przeczytać kilka książek w niedługim czasie z różnych dziedzin, począwszy od elementarza ogrodnictwa, poprzez historię futbolu w pigułce i esej o niezrozumiałej poezji, a na koniec przeglądając także archaiczny poradnik do naprawy fiata 126p, można by zauważyć, że język nie jest tylko dziedziną przynależną literaturze pięknej, a różne utarte zwroty, przyćmiewalność wywodu można znaleźć w każdej z tych arcyciekawych pozycji, a także na pewno w każdej z tych książek mamy celebrację znania się na rzeczy, lekko wyczuwalny patos i drobiazgowość znaną z prozy dziewiętnastowiecznej, ponieważ każdy opis zrobiony w języku ma pewne wspólne cechy oraz znaczące rozbieżności, gdyż każda z tych przykładowych pozycji dotyczy rozmaitych tematów i gdyby po takiej dawce lekturowej spróbować coś napisać artystycznego, pisanie samo by próbowało zakotwiczyć, czy w jednej, czy w drugiej książce i można by założyć, że język płatałby się w środkach artystycznych z tych wszystkich dziedzin i gdyby to tak zostawić mogłaby wyjść podobna książka poetycka jak „Mediany” Krzysztofa Siwczyka, w której autor przypatruje się językowi niczym sędzia piłkarski powtórcie w kabinie z VAR-em, gdyż jest autorem, który tworzy po to by zbijać frazy potoczne, z różnymi odległymi skojarzeniami, a także z abstrakcją, a do tego tworzy często tekst ala wywód poetycki, który ma temperaturę bardzo poważnego eseju, podczas którego czytania w auli uniwersyteckiej wszyscy wychodzą po to by pohańcać się na huśtawce różnych nastrojów i często przyozdabiany jest metaforami zbudowanymi na „niestosownym”, czy na „nie pasującym do siebie” zestawieniu słów, dajmy na to „cmentarz połowy” („Lehar II”), które każe mi wspomnieć o tym, że samo poczwicie straszne słowo „cmentarz”, wybite z aury powagi wzniosłej elegii może w zestawieniu z innym słowem wywoływać diaboliczny uśmiech przechodzący w zrozumiałość, że gdyby grabarze nie żartowali szybciej by dochodziło do zmiany warty w ich zawodzie, który jest zarówno ciężki pod względem realizacyjnym jak

i metaforycznym, a o tym przekonałem się oglądając powtórkę jednego z ostatnich odcinków „Columbo”, w którym detektyw bada sprawę kradzieży drogiego naszyjnika i podmieniania zwłok do kremacji i podczas sceny z wręczania nagrody „grabarz roku” podejrzanemu usłyszeć można zabawny humor cmentarny daleki od powagi mszy, a także często się przekonuję, że nie ma nic niestosownego w humorze pogrzebowym i różnych zestawieniach, od czasu kiedy znalazłem na osiedlu Dywizjonu 303 w Krakowie „całodobowy zakład pogrzebowy Morfon” i gdy tylko ktoś zakłada, że istnieje w literaturze jakiś założony rezerwat poetyckości, rezerwar metafor, tonów i innych środków, to tylko wtedy książka Siwczyka może się wydawać kotkiem osikowym wbijanym jakiemuś poważnemu, archaicznemu wampirovi, który żyje z wysysania stosownej dawki krwi, ale bez takiego założenia wydaje się tylko awangardowa próba podstuchiwania różnorodnych fraz, w których czytamy o nudzie, niewydarzaniu się ciekawych spraw, poniechanych zamiarach, przyglądaniu się ludziom i światu przez lupę powiększającą ironii, jednakże mnie to wszystko mniej przeraża niż doszukiwanie się na rzeczywistości zgrubień farby, czy też wsłuchiwanie się nie tyle w terkotanie językowego mechanizmu, ale także tego, za pomocą którego poruszany jest świat wg podmiotów lirycznych wierszy, poza tym zauważyć można w „Medianach” wiersze o wyróżnionych tematach – przetomie 1989/1990, przenosinach indyjskiej szafy z ojcem, wspomnianiu dawnych czasów, kiedy piło się floridę i czytało komiksy, z czego zostało zaczerpnięte porównanie czyjegoś tatuażu w wierszu „W nocnej trasie”: „wydzierane jakby to była epoka przygód Thor-gala”, a do tego w „Medianach” można znaleźć nawiązanie do „Emilia i my” i wydaje się, że ten tom bardzo daleki jest od parodiowania poetyki Sosnowskiego, z czym skojarzyła mi się jedna z poprzednich książek poety, choć obaj zainteresowani są językiem.

MATEUSZ WABIK

Krzysztof Siwczyk, *Mediany*, Wydawnictwo A5, Kraków 2018



Mateusz Wabik

Zapamiętałem Krystynę Dąbrowską

Tomik wierszy pt. „Biuro podróży”, ukazał się – dosyć już dawno – w 2006 roku w ramach serii poetyckiej krakowskiego czasopisma literacko-artystycznego „Studium”. Czasopismo zakończyło swój żywot w 2008, więc debiut poetki przypadł na schyłek istnienia, ówczesnego czołowego pisma w Krakowie o młodej literaturze. Różne wtedy się ukazywały tomiki, z różnych szkół pisania, różnej jakości. Na pewno „Biuro podróży” intrygowało spokojem i zaufaniem sztuce (w tamtym okresie zagłuszał „Studium” krakowski „Ha!art”, który propagował walkę z artystycznym wymiarem dzieła literackiego). Czytanie tego tomiku, nieznaną wówczas poetki, upewniało, że hasła promocyjne różnorodnych grup stowarzyszonych pod różnymi banderami czasopism są tymczasowe i małoważne. Zapamiętałem, że poetka była także malarką i momentami czytałem jej wiersze jakbym oglądał obrazy, malowane na płótnie i czuł każde pociągnięcie pędzla nanozującego warstwy farby. Na pewno pisząc tamtą książkę, poetka inspirowała się pracą malarską. Jednakże, kiedy czytałem w internecie wiersze z „Białych krzesel”, książki nagrodzonej w 2012 Nagrodą Poetycką im. Władysława Szymborskiej byłem nieco rozczarowany. Nie były to złe wiersze, ale nie pasował mi do jej temperamentu taki chłodny neoklasycyzm. Ostatnio przeczytałem 3-i tomik Krystyny Dąbrowskiej pt. „Ścieżki dźwiękowe” i byłem zdumiony i ucieszyłem się, że poetka nadal tworzy intrygującą poezję.

W czytanych „Ścieżkach dźwiękowych” z 2018 roku panowała taka atmosfera, że zacząłem się bać, czy ujmę ją w krótkim tekście. No bo czytanie tego tomiku przypominało mi lekturę różnych numerów „Literatury na Świecie”. Nie dość, że poetka opisywała biografie i rozmowy z ludźmi z różnych stron świata (Izraelkę Hilę mieszkającą w Berlinie, czy korespondencję i rozmowę z portugalską poetką), interesowała się językiem hebrajskim, to styl jej nie przypominał mi polskich tomików poetyckich z charakterystyczną polską żółcią, pazurkami pod płaszczem kultury, wyciąganymi działaniami przeciwko czemuś, w imię czegoś, uziemienia za każdy kolejny wiersz. Nie było tu bohaterstwa znanego z polskiej poezji – i tych wyższych,

i tych niższych lotów. Poetka zajmowała się słuchaniem ludzi, notowaniem ich opowieści, także własnych wspomnień, obserwowała świat i notowała to co się w nim wydarzało, bez egoizmu i egotyizmu. Jej wiersze przypominały mi lekturę chłodnych i nieco wyrachowanych twórców anglosaskich, niemieckich, niektórych amerykańskich, a także węgierskich.

Co także było bardzo ciekawe w „Ścieżkach dźwiękowych” to balansowanie autorki na granicy poetyckości i prozaiczności bez osuwania się w prozaiczność. Poetka i postugiwała się opisowością, ale także konstruowaniem poetyckich biografii. Miała także cechę znaną z wybitnych książek, ujmowania prostoty, jakichś matych z pozoru spraw do rangi czegoś większego, bez nadętego tonu patetycznego. Jej tomik przeczytałem jednym tchem.

Poetka w „Ścieżkach dźwiękowych” pisała także o dzwonach, koniach, papugach z Nikaragui, wspominała szkołę, pisała o zwiedzanych muzeach, Kubickiej, która pierwszy raz leciała do Ameryki, by córce zawieźć przemyconą sukienkę ślubną, napisała bajkę o jeżu i ryżowej szczotce, a także wspominała babcię.

Właśnie „Głos babci” wyróżniał się w tomiku Dąbrowskiej, gdyż był bardziej niż inne osobisty, bo dotyczył krewnej. I nie był tak chłodny jak pozostały, no ale też nie był jakoś specjalnie poszarpany emocjami jak to się zdarzało w poezji niektórych poetek. Dąbrowska na to nie pozwoliła. Poetka wspominała w wierszu ostatnie lata życia swojej babci, ale także jej młodość, która przypadła na II wojnę światową, szczęśliwe ocalenie, pomaganie innym ludziom („panu Henrykowi w getcie”), aresztowanie jej siostry, nieporozumienia z matką babci na tle ukochanego babci. W wierszu także Dąbrowska wspominała czasy powojenne – znane z opowieści babci – ocalenie siostry i prababki z Auschwitz, pracę, wspólne mieszkanie. Dąbrowska również w wierszu wspominała swoje młode lata, kiedy babcia leżała w szpitalu, albo spotkanie

z Tadeuszem Różewiczem. Bardzo ciekawie w „Głosie babci” spłótła Dąbrowska historię własnej rodziny z rozwojem polskiej historii.

Wiersz pt. „Wieczorem podwodne światło” był za to najciekawszym wierszem opisowym w „Ścieżce dźwiękowej”. Znanym tonem z poezji Podsiadły, poetów amerykańskich poetka opisała widok z miejsca pracy. Wers po wersie ukazywał jakby kolejne zobaczone zakątki podwórza, ludzi, którzy szli ulicą, przejeżdżającego rowerzystę. W tym wierszu nie było nic osobistego, żadnej emocji, tylko suchy opis bazujący na ruchu ulicznym, przemianach w czasie („klitka z szyldem: szyldu nie ma, ale sklep jest”), notowaniu najmniejszych zauważalnych drobiazgów.

W „Drodze pszczół” Dąbrowska ukazała ile może być nieporozumień pomiędzy komunikującymi się ludźmi z różnych stron Europy w języku angielskim, (w korespondencji mejlowej, czy rozmowie podczas spotkania), w którym ta druga – poetka portugalska – władała mniej biegle, a także kiedy próbowała wymówić jakieś polskie słowo. Dąbrowska w nim była wyculona nie na nie stosowność komunikacyjnych błędów, czy śmieszność drugiej osoby, ale na twórcze podejście do takich nieporozumień, które pozwalały na nowe drogi korespondencji i rozmowy: „Próbowała wymówić słowo pszczoła/Była blisko: wyszło jej *peessoa*”.

W „Ścieżkach dźwiękowych” Dąbrowska już nie wydała mi się artystką, która porzuciła malarstwo na rzecz sztuki słowa, ani chłodną neoklasycystką, ale poetką kultury. Jej poezja nie skojarzyła mi się z twórczością żadnej innej poetki w Polsce, trochę może tematycznie z poezją Julii Hartwig, która też opisywała ludzi z różnych kultur. Dąbrowska zamieściła w tomiku wiersze różnorodne, głównie pod względem tematów i atmosfery, co bardzo mnie ujęło.

MATEUSZ WABIK

Krystyna Dąbrowska, *Ścieżki dźwiękowe*, Wydawnictwo a5, 2018

Mateusz Wabik

Na tropie poezji

Jakiś czas temu zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie recenzji ze swojej książki Adrian Sinkowski, który był ciekawy mojego zdania na temat „Atropiny”. Bardzo się zdziwiłem, gdyż poeta publikował w ważnych czasopismach, dostał niejedną ważną nagrodę, a częściej pisałem o nieznanach poetach, którzy albo nie dostali jeszcze nagrody, albo nie dostaną w ogóle, a dostawanie i niedostawanie nagród nie było dla mnie nigdy miernikiem ważności poezji. Mi czytanie książki Sinkowskiego sprawiło problem, gdyż poeta uwielbiał budować długie, zawite zdania wielokrotnie złożone. Wiadomo, że taki poeta jak Siwczyk też budował w ostatnich książkach wiersze ze zdania wielokrotnie złożonego, ale w jego przypadku wiadomo było, że awangardowo badał język, wypróbowywał słowa z różnych parafii, które zestawiał ze sobą, wbijał i właczał w rygory zdania i jego poezja nie była zrozumiała z założenia, tymczasem Sinkowski pisał bardziej klasy-

cystycznie, u niego słowa i określane przez nie desygnaty nie były rozluźnione. I jego poezja powinna być zrozumiała, a dla mnie nie była, gdyż w tych zawiłościach trudno mi było uchwycić sens. Gdy uchwyciłem znaczenie jakiegoś kawałka zdania wielokrotnie złożonego, to sens drugiego kawałka mi umykał, a gdy znowu się wczytywałem w sens drugiego kawałka, zapomniałem sens kawałka zdania przeczytanego wcześniej i często mi się to zdarzało podczas lektury „Atropiny”.

W takiej klasycystycznej formule drzewo było zawsze drzewem, a babcia, babcią choć jej funkcja w „Atropinie” było o wiele bardziej rozległa. Zmarła babcia często pojawiała się w wierszach Sinkowskiego, w wierszach opisujących dzieciństwo, w wierszach współczesnych, w apostrofach i wspomnieniach. Miałem wrażenie, że za często ona się pojawiała jak jakiś refren, tak jak fraza „nie będę miał nic

więcej do powiedzenia”. A tak właściwie to o czym była ta poezja? O świecie, który się widział dookoła, o jego leniwym rytmie, o wędrówkach po ulicach, parkach, o tym, że nic szczególnego się nie działo, apatii, pracy, wyczekiwaniu, a poszukiwanie dramatyizmu często sprowadzało się do tego, że podnosiło się z ziemi martwe zwierzę. Nie potrafiłem też wyraźnie wskazać, które wiersze Sinkowskiego opisywały jego dzieciństwo i kiedy pisał z takiej dziecięcej perspektywy, a kiedy pisał wiersze we współczesnej perspektywie. Oczywiście stwierdziłem, że autor miał spory bagaż lektur na koncie, gdyż to dało się zauważyć – w odniesieniach do poetyki Sośnickiego, poetów ze Śląska, stylizacji na współczesny wiersz klasycystyczny przypominający w zapisie teksty Sosnowskiego, czy Zadury, ale zauważyłem również, że to wszystko nie działo w jego tomie. Wydawało mi się, że

Mateusz Wabik

Złe objawy poetyckiej sławy

Sinkowski miał całkiem inny temperament niż poeci, do których się odnosił. W jego wierszach panował spokój, opanowanie, nic się nie rwało, nie było drwiny, szyderstwa, kpiarstwa, tonu polemicznego, ani specjalnie eskapistycznych klimatów. Poza tym mimo częstego używania w wierszach zdań wielokrotnie złożonych, co mogłoby świadczyć o introwertyzmie, podmiot liryczny tych wierszy był maksymalnie po stronie zewnętrznej, mimo, że nie był jakimś wesóło nastrojonym podmiotem lirycznym zdawał się w 100% ekstrawertykiem. To też mogło utrudniać lekturę, gdy ekstrawertyk starał się konstruować podmiot liryczny w wierszach nastrojony introwertycznie, tak samo byłoby gdyby jakiś introwertyk na sposób ekstrawertyczny relacjonował swoje stany wewnętrzne. I jak spiker wiadomości telewizyjnych informował w wierszach o swoich stanach wewnętrznych.

Jednakże mimo tego, że lektura „Atropiny” sża mi jak po grudzie znalazłem w niej kilka wierszy, które nieco odstawały od tego leniwego rytmu języka opisującego nieprzetworzony przez temperament, świat w status quo. W „Imporcje” Sinkowski po odniesieniu do „Marlewa” Sośnickiego – „Zima wstrzymała oddech” (chodziło mi o udratyzowanie i antropomorfizację stanu pogody), pokusił się o wiersz zbudowany na próbie umagicznienia świata przez listonosza, który widział „jak spod ziemi wychodzą martwi”, co spowodowało, że wiersz nasiąknął atmosferą z pogranicza realizmu magicznego, folkloru, horroru i fragmentu „Dziadów”, w którym umarli też wychodzili z ziemi. W wierszu Sinkowskiego nieumarli pojawili się także w ostatniej strofie, w której czytano o tym, że „Od lat w tym miejscu martwi zbierają na piwo” i widać ślady prowadzące po chodniku w stronę sklepu. W tym wierszu można także zauważyć okrutny dowcip, gdyż ci martwi mogli oznaczać po prostu chorych na alkoholizm meneli. W „Uwerturze” mocniejszym i odważniejszym tonem, niż w innych wierszach, poeta pokusił się o opisanie swojego bycia „nie na czasie”, dostało się w tym miejscu nie poważanym przeze mnie gatunkom jak „disco i house” jak i też Wikipedii, która wielu osobom zastąpiła słowniki i encyklopedie. Też z niej korzystam, ale wiem, że nie może ona zastąpić poważniejszych opracowań i źródeł, szczególnie jeśli chodzi o polskie strony dotyczące zagadnień literackich i historycznych.

Mimo, że uważałem „Atropinę” za książkę, którą po pierwsze trudno przeczytać, po drugie za nieco zbyt wysiloną, w wielu miejscach o niczym, to nie uważałem, że w przyszłości Sinkowski nic ciekawego nie napisze. Gdyż może mieć coś do powiedzenia, a to co ma do powiedzenia, wg niego nie nadaje się do współczesnego wiersza. Gdy zminimalizuje wpływy, które mają świadczyć o zrozumieniu współczesności, co wielu uważa za bycie twórcą wartym publikowania (wiadomo, że świadomość literacką warto mieć, ale nie znaczy, że można zapomnieć o nowatorstwie, własnym punkcie widzenia itp.), a z punktu widzenia historii literatury jest niczym ciekawym, kiedy ktoś stara się wpisać w jakąś szkołę, bo historia literatury jest historią wypisywania się z różnorodnych szkół. A kiedy się szuka jakiegoś dramatu, zazwyczaj się go znajduje, a potem chciałoby się, żeby go nie było. Ale zazwyczaj jest za późno.

MATEUSZ WABIK

Adrian Sinkowski, *Atropina*, Biblioteka „Toposu” 2018

Rozczarował mnie ostatni tomik wierszy Wojciecha Kassa pt. „Objawy”, który ukazał się w 2019 roku w „Bibliotece Poezji” sopockiego „Toposu”. Poprzednia książka, którą czytałem tego autora „Przedtwór. Godziny” była całkiem inna i o wiele ciekawsza, stąd owo rozczarowanie. Ta różnica polegała wg mnie na tym, że w tomiku z 2015 roku poeta wyraźnie obstawał za klasycyzmem, przy zostaniu także z tradycji barbarzyńskiego wiersza lat 90-tych. Takie potraktowanie sporu z lat 90-tych było według mnie świadomym zabiegiem poety, który ukazał, że w jego przypadku ten spór niewiele obiaśniał, ukazał obie poetyki jako dopełnienie pewnego punktu widzenia na poezję – klasycysta też mógł według niego ukazywać w mini prozach poetyckich życie zwykłych ludzi, drobne zdarzenia. Nie był odosobnionym poetą w takim potraktowaniu dyskusji z lat 90-tych, przecieży klasycysta Stanisław Dłusiński także nie negował doświadczeń barbarzyńców. Poza tym obie kategorie stworzone do opisu wierszy w latach 90-tych były niezupełnie ostre, gdyż klasycyści obstawali przy znajomości kultury śródziemnomorskiej, czyli tradycji antycznej i chrześcijańskiej, a z historii wiedzieliśmy, że dla Rzymian sprzed chrześcijaństwa, kultura chrześcijańska była kulturą barbarzyńską, jak wszystko co nie powstało w Grecji i Rzymie.

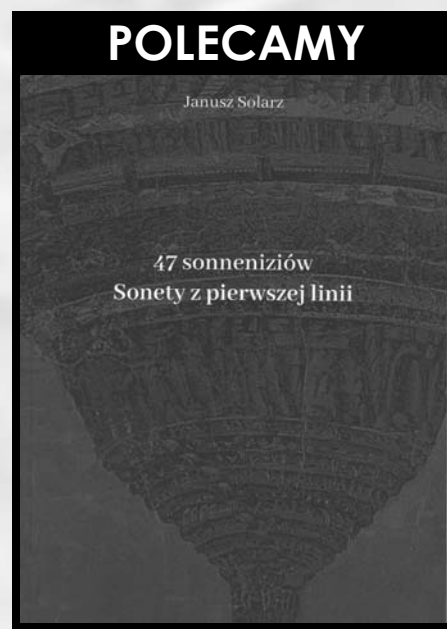
W „Objawach” Kass wydawał się poetą znudzonym, byle jakim pod względem tematu, doskonałym pod względem warsztatowym, tak doskonałym, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie mamy do czynienia z jakąś poetyką powstającą na styku klasycyzmu i awangardy, a może nawet i dworskiego baroku. Takie wiersze „Na notes i otówek”, czy „Przepis” bywały często udziałem wyniosłych debiutantów. W „Na notesie i otówku” podmiot liryczny próbował polemizować z czyimiś sądami, że do pisania wierszy „wystarczy otówek i notes”, a „Przepis” dotyczył nieudolnych poetów i zastanowienia się nad tym czy poezja powstaje wskutek przepisów, czy nie. Poeta nie rozstrzygnął tego sporu, gdyż utknął na stwierdzeniu – „poezja wyrasta/nad przepisy/ale ich nie potępia,/ani pochwała”. Wydawać by się mogło, że w swej technice poeta był bardzo biegły. Jednak z tego co mi wiadomo szukanie przepisów na wiersz to zajęcie debiutujących poetów. A każda istotna poezja stroniła od foremek, przepisów, zawsze starała się być oryginalna. Poza tym takie nabijanie się z innych poetów, którzy mimo słabego pisania, starają się nadal pisać: „Żal mi kreślących/niezdarnie wiersze./zawzięcie i w zaparte./ Nie dziel się słabością bracie/bo szczerze Twoje imię.” po lekturze tego nudnawego tomiku okazało się nie trafione. Kiedy Zbigniew Herbert, czy Tadeusz Różewicz pisali podobne wiersze były bardziej zrozumiałe, bo tamci poeci mieli coś do powiedzenia, a z lektury słabego tomiku Kassa wyniosłem niewiele. Przekleństwem każdego klasycysty jest wyniosłość i patos. I zawsze tak było, że im mniej tego było w wierszach tym ciekawsza stawała się poezja danego poety. W poezji Kassa ten patos drażnił. Akurat często w ostatnich latach czytałem książki

debiutantów i mimo wszystko lektura ich dawała mi więcej niż lektura „Objawów”. Poza tym drugim przekleństwem klasycystów jest zwiększone uzależnienie od tradycji, kosztem oryginalności dykcji. Czytając wiersze Kuczukowskiego, czy właśnie teraz Kassa, doszedłem do wniosku, że operowali pożyczonymi głosami. Kilka wierszy Kassa mógłby napisać Jarosław Klejnocki, gdzieś tam gdzieś coś brzmiało jak Herbert. Więc mimo docenienia na jakie na pewno zasługiwał Kass za poprzednie tomy, na pewno daleko jeszcze było do miejsca, w którym Kass mógłby pouczać innych poetów.

Warto także w tym miejscu wspomnieć wiersz „Drogą do Fiesole”, który został napisany w konwencji wiersza przechadzki po zwiedzonym mieście, konwencji od jakiegoś czasu mocno eksploatowanej. Poeta napisał go bardzo sprawnie, ale poza opisem miejsc i zabytków we Florencji i związaną z nimi historią, nie wiele w tym wierszu było ciekawego. Wystarczyło ten wiersz porównać z poezją Tadeusza Różewicza dotyczącą podróży do Włoch. Kass wykasował ze swojego wiersza wszystko co nie pasowało do atmosfery klasycyzmu, zanegował współczesność, Różewicz zestawiał jedno z drugim. To co napisał Kass znaleźć było można w pierwszym lepszym przewodniku. Ale pod względem techniki wiersz Kassa był bez zarzutu. Ale nie tego oczekiwałem po poecie, który pouczał innych poetów. Jedynym wierszem w „Objawieniach”, który był szczery i potrafił zastanowić i poruszyć był wiersz „A.” dotyczący chorej matki.

Na pewno więcej oczekiwałem po „Objawach” Kassa, którego poezję uważałem za jedno z najważniejszych własnych odkryć w ostatnich 10 latach. Jednak przestałem tak myśleć.

MATEUSZ WABIK

Wojciech Kass, *Objawy*, Biblioteka „Toposu”, Sopot 2019

Alicja Dmowska

„Dzikowska”: kontrola się nie udała

Dzikowska. Pierwsza biografia legendarnej podróżniczki” jest książką utkaną z bardzo różnych wątków i z rozmaitej materii. Z przeszło setki wywiadów, które autorowi udzieliła rodzina bohaterki, jej znajomi oraz inne osoby, z których ścieżkami przecięta się jej życiowa droga. Ze wspomnień z podróży. Z trafnie wybranych fragmentów jej zapomnianych już książek. Z listów, wspomnień i... autokreacji bohaterki. Z przemyśleń i dokumentów. Z tego wszystkiego, co powinna zawierać nowoczesna biografia.

Roman Warszawski – autor tej biografii – stanął przed nie lada wyzwaniem: pisanie biografii osoby żyjącej jest zadaniem raczej karkołomnym. Tym bardziej, że jak przyznał w jednym z wywiadów, pisząc tę książkę nieustannie czuł oddech Dzikowskiej na karku. Bohaterka, owszem, udostępniła wiele bezcennych materiałów biograficznych takich jak listy, czy zdjęcia. Ale nie uczyniła tego z dobrego serca. Zrobiła to raczej po to, by mieć wrażenie, iż w jakiś sposób kontroluje to, co Warszawski zamierza o niej napisać.

Czy kontrola się udała? Na szczęście dla książki nie. Portret Elżbiety Dzikowskiej jako wyznanie się z biografii napisanej przez Warszawskiego jest dość odległy od wizerunku, jaki Dzikowska od lat kreowała na potrzeby mediów i świata zewnętrznego. Nie jest to historia opowiadana jej gładki-

mi zdaniem, które odnajdujemy w dwóch tomach jej wspomnień pt. „Tam, gdzie byłam”. Owszem, to fajne książki. Ale nic ponad to. Natomiast książka Warszawskiego, gdy wstuchać się w jej ton, jest bardziej prawdziwa.

Jak się okazuje, w szafie Dzikowskiej zalega niejeden trup. Po pierwsze – bohaterka nie do końca potrafi wyjaśnić, dlaczego zerwała kontakty grupą swych rówieśników, z którymi w latach 50. tych działała w antykomunistycznej organizacji ZEW. Nie do końca przekonująco brzmi też jej tłumaczenia na temat, dlaczego w dokumentach zgromadzonych w archiwach IPN nie jest nazywana swoim imieniem i nazwiskiem, lecz pseudonimem Evita. W końcu – jak to się stało, że przez lata wszedł i wobec głośliwa, że w roku 1976 wraz ze swym życiowym partnerem Tonym Halikiem i peruwiańskim profesorem Edmundem Guillenem Guillenem (dwa takie same nazwiska, to nie błąd) odkryła ostatnią stolicę Inków – Vilcabambę, która wtedy... była już od dawien dawna odkryta!

Dzikowska jawi się jako osoba dążąca do sukcesu (który niewątpliwie osiągnęła) na wszystkie możliwe sposoby. Należy do tych, którzy – jeśli zostaną wyrzuceni za drzwi – wracają oknem. A gdy padają pytania na temat mniej wygodnych fragmentów jej życiorysu, odpowiada, że to było bardzo daw-

no temu i że po prostu... nie pamięta.

Na szczęście . Warszawski nie daje się zbyć taką gadką. Drąży dalej i najczęściej w tym „nie pamiętam” odkrywa drugie dno, na którym... Nie zdradzę. Odsyłam do książki.

Co ciekawe, autor pokazuje, że Dzikowska podróżniczką (z czego jest przecież głównie znana) została po trosze przypadkiem. A tak naprawdę od zawsze jest historykiem sztuki i krytykiem sztuki. Sztuka Cię nie oszuka – to jedno z jej ulubionych powiedzeń. Ta sztuka była obecna w jej życiu na długo przed podróżami, a wszechobecna stała się teraz, gdy – z uwagi na wiek – podróżuje dużo mniej.

– Na każdym etapie życia Elżbieta potrafiła odnaleźć dla siebie jakąś nową rolę, nowe wcielenie. Zawsze miała i nadal ma na siebie pomysł – w książce mówi jeden z jej podróżyjaskich znajomych.

Jest jak kameleon. A psycholog społeczny, prof. Bogdan Wojciszke dodaje: – Z tefflonu. Bo są tacy ludzie, którzy mogą niejedno narozrabiać, ale żaden brud ich się nie ima. To wyjątkowy dar, talent. Z książki Warszawskiego wynika, że Elżbieta Dzikowska na pewno go posiada.

ALICJA DMOWSKA

Roman Warszawski, „Dzikowska. Pierwsza biografia legendarnej podróżniczki”, Kraków, Zak 2019

Marek Wawrzkiwicz

Disco polo czyli Polska

Ciechocinek, koniec drugiej dekady lipca. Zielono, gorąco, tłumnie, otęło. Wczesne popołudnie. Na placu opodal popularnego „grzybka” w upale zapalczywie pisała kilkadziesiąt osób – roczników 60+. Tancerze są w tym wieku, że powinni pamiętać czasy, kiedy piosenki były melodyjne, a teksty – niekiedy – miały sens. Ale tancerze przechrzčili się, nawrócili na disco polo. Nawet to rozumieją: po okresie piosenek, do których teksty pisali Osiecka, Kofta, Przybora nawet Iredyński czy Grochowiak, a które komponowali nawet autorzy utworów symfonicznych, nastął czas „piosenki ambitnej”. Tworzyli je w zastuchaniu we własny talent wykonawcy. Zapatrzeni w tantiemy nie tylko śpiewali, ale także pisali słowa i komponowali muzyki. Powstawały utwory, których nie sposób było zaśpiewać. Porzuceni i zdradzeni słuchacze zaakceptowali disco polo, bo łatwo je było zapamiętać i zanucić. Disco polo ułatwia życie, sprawia, że przestaje być skomplikowane i zniuansowane, konsumuje się je jak hamburgera. Linie melodyczne utworów nie są, oględnie mówiąc, szczególnie wyrafinowane i dość łatwo przewidywalne, a słowa płyną z głębi duszy starannie omijając rozum. Np. *Ja tak kocham cię, ty nie kochasz mnie*.

W Ciechocinku na deptaku co kilkadziesiąt metrów reklamują się donośnie kioski i stoiska z płytami CD. Królują wyłącznie disco polo i muzyka cygańska. Ta ostatnia pozbywa się pięknej i autentycznej nostalgii, ubiera się w monotonna krzykliwe rytmy disco polo. Basy rytmicznej rąbarki rezonują w klatkach piersiowych słuchaczy. A nad głowami publiczności uczestniczącej w festiwalu muzyki cygańskiej polatuje dron i filmuje reżyserowany dla potrzeb telewizyjnej entuzjazm tłumy. Dron – wytwór nowej cywilizacji technicznej w służbie disco polo. Od

śnieżnych szczytów Tatr po sine fale Bałtyku, od Bugu skąd wieje bolszewią, aż do Odry, zza której płynie zachodnia zgnilizna moralna, gdziekolwiek by nie mieszkało nasze plemię – wszyscy jesteśmy mieszkańcami Ciechocinka. Zamiast chrystianizować Europę – zalejemy ją odpustami i disco polo. Będzie taniej, szybciej i skuteczniej. Europa zjednoczona w rytmie disco polo – jakaż to piękna wizja!

* * *

Niedaleko od Ciechocinka leży duże miasto, a władą nim prezydent. Dobry, wiadać, gospodarz, skoro wybrano go po raz bodajże piąty i to za każdym razem w pierwszej turze. Tenże prezydent odezwał się publicznie z okazji wprowadzenia na urząd proboszcza pewnego księdza. A odezwał się następującymi słowami: *Księżę proboszczu, chciałbym prosić o przyjęcie wielebnych życzeń, a także deklaracji wsparcia parafian, którzy z radością i wielką miłością przyjmują obecność swojego nowego pasterza*.

Z kilkoma filologami konsultowałem tekst tego wiernopoddanego postania. I doszliśmy do wniosku, że aczkolwiek używa się tytułu „wielebny” – szczególnie w stosunku do jednego wielebnego – to jednak figura stylistyczna „wielebne życzenia” w języku polskim jest jednak ekstraordynaryjna. Analiza doprowadziła nas też do uprawnionego wniosku, że prezydent przeprowadził sondaż wśród parafian, bo tylko na tej podstawie mógł deklarować nie tylko ich wsparcie, ale też wszechogarniająca ich radość, a nawet miłość. Ale jeśli takiego badania nie przeprowadził, to mamy tu do czynienia z pojawiającą się w tekstach disco polo

miłością od pierwszego wejrzenia. Tak czy owak ten niewielki tekst jest inspirujący malarsko. Zobaczmy to: kiedel owieczek miłujących pasterza.

To rzuca się w oczy: Polska wyładniała. Miasta i miasteczka są czyste, kolorowe, zadbane. Z jednym wyjątkiem – prawie wszystkie kościoły wzniesione w ostanich dziesięcioleciach poczęto z koszmarnego snu pijanego architekta. Estetyki nie uczą zapewne w seminariach. Wprawdzie kościoły projektują architekci, ale przecież pan każe, sługa musi. Wyobrażam sobie, że pleban do projektu dodaje wedle własnego gminnego gustu przeróżne ulepszenia i innowacje. Powstają w rezultacie tej współpracy gargamele kłócące się z krajobrazem, otoczeniem, tradycją liczącego niekiedy setki lat miasteczka. Ale bywa, że taka budowla – niestety – harmonizuje z tym, co się odprawia wewnątrz.

Nie jestem wierzący – w tym sensie, że nie utożsamiam się z żadną religią, ale w wielu znajduję coś fascynującego. Przyznaję na przykład, że pogrzeb katolicki jest o wiele dostojniejszy od świeckiego. Choć pamiętam pochówek znakomitego poety, na którym ksiądz nie powiedział o zmarłym ani słowa, nie wspomniął o jego wielkich zasługach dla literatury, tylko w poetyce wiejskiego katechety głądził o niebie, a przede wszystkim o piekle. Namawiał też żałobników, żeby co rychlej umarli, bo tylko to zapewni im szczęśliwość wiekiustą. Sam zaś nie wyglądał tak, jakby do tego happy endu szczególnie się śpieszył.

Rodzinnie przymuszony poszedłem dwukrotnie do kościoła ulokowanego w dużej dzielnicy jeszcze większego miasta i ze

zgrozą oglądałem unowocześnienie, a nawet teatralizację – na poziomie gminnym – mszy św. Najpierw dziewczica przy akompaniamencie gitary próbuje coś rzewnie śpiewać, a potem celebrant w otoczeniu rozmodlonych ministrantów i obłokach kadzidlanego dymu przez cały kościół zmierza majestatycznie do ołtarza. A teksty pieśni poziomem równym piosence disco polo wyświetlane są na ekranach (nowoczesność w domu i zagrodzie). Było to jęklliwe i zawożdżące, a ja myślałem o tym z jaką radością, entuzjazmem i melodyjnością chwalał Boga Amerykanie pieśniami gospels.

* * *

Jako niedowiarek jestem już z góry wklęty. W dodatku wyrażam się krytycznie o księżkach i o tym, co wyprawiają odprawiając – a to jest w naszym kraju równoznaczne z atakiem na religię i wiarę. Trudno, będę dalej pogrzązać się w grzechu i niech anatemą będzie objęty ten tekst balansujący na granicy pamfletu – powołałam się bowiem na doświadczenia własne, a to przecież jest literacka przepustka do piekła.

Kiedy w wyniku naszych wielkich przemian, w ćwierćwiecze istnienia utrupiono miesięcznik *Poezja*, którym kierowałem (to dziś fantastyka: 12 tys. średniego nakładu), po rocznym okresie bezrobocia znalazłem przytułek we wchodzącym na polski rynek wielkim niemieckim wydawnictwie czasopiśmienniczym. Miałem być szefem tygodnika dla kobiet. Wszystko szło dobrze, w hamburskiej centrali zatwierdzono mój projekt polskiej mutacji niemieckiego pisma i poproszono mnie o złożenie CV. I wtedy, jak kto głupi, napisałem, że jestem autorem kilku książek poetyckich, laureatem nagród i byłym szefem pism literackich. W centrali powiedziano: może to jest kandydat do nagrody Nobla, ale dla nas się nie nadaje, bo będzie się starał podnosić poziom pisma. Ostąpiłem. Przecież to jest właśnie podstawowy obowiązek każdego redaktora

naczelnego! Jakże się myliłem – jest dokładnie odwrotnie. Zrozumiałem to później, w czasie pracy w tymże wydawnictwie. Kiedy wprowadzano na rynek nowy tytuł lub modernizowano stary, odbywały się liczne „fokusy”. Gromadzono kilkunastoosobową grupę przyszłych czytelników i pokazywano im (co starannie nagrywano) stronę po stronie przyszłego tygodnika. A ci wypowiadali się na temat proporcji słowa drukowanego do fotografii, przewagi kulinariów nad modą, tematyki tzw. reportaży z życia wziętych, wielkości czcionki, a nawet koloru tytułów. I takich sondaży organizowano kilka lub kilkanaście. Pismo np. miało być adresowane do kobiet w wieku lat 25 – 45 – i takie były uczestniczkami badań; zakładano też odpowiedni stopień inteligencji. I na tej podstawie opracowywano model nowego pisma. Żadnych twórczych, wydumanych koncepcji – pismo musiało być dostarczone pod odpowiedni adres.

Oczywiście reklam, szczególnie telewizyjnych, unikam jak morowego powietrza. Ale jednak mam – jak wielu z nas - ranking szczególnie debilnych. I jestem przekonany, że nie wymyślają ich idioci. Przeciwnie, są to specjaliści, którzy ogłupianie publiczności opierają na badaniach socjologicznych. Wynalazek naszych czasów: nauka w służbie idiotyzmu. Specjaliści wymyślili więc pieśń na melodię *jak przygoda to tylko w Warszawie*, której aktualne słowa brzmią: *jak sobota to tylko do Lidla*, a artystę wykonującego ten utwór wyposażyli w głos będący wyciągiem z landrynek. Albo te parówki i warzywa nie posiadające się z uciechy, że za chwilę zostaną zjedzone. Albo liryczne aż do młotności śpiewanie *merci, że jesteś tu*. A jej nie ma, bo z podarowaną bombonierką właśnie odjeżdża, czemu się wcale nie dziwię. Niestety – ani wyjechać, ani uciec w jakikolwiek inny sposób: reklama wszędzie nas dopadnie. Reklama będąca wynikiem naukowych wypracowań. Disco polo reklamy. Prezes TVP po jakimś discopolowym koncercie czy

festiwalu promiennie uśmiechnięty mówi, że jest dumny z tego, iż miliony ludzi tę produkcję oglądają. Pamięta o swoich słowach użytych w innym kontekście: ciemny naród to kupi. Tak pojmuje misję.

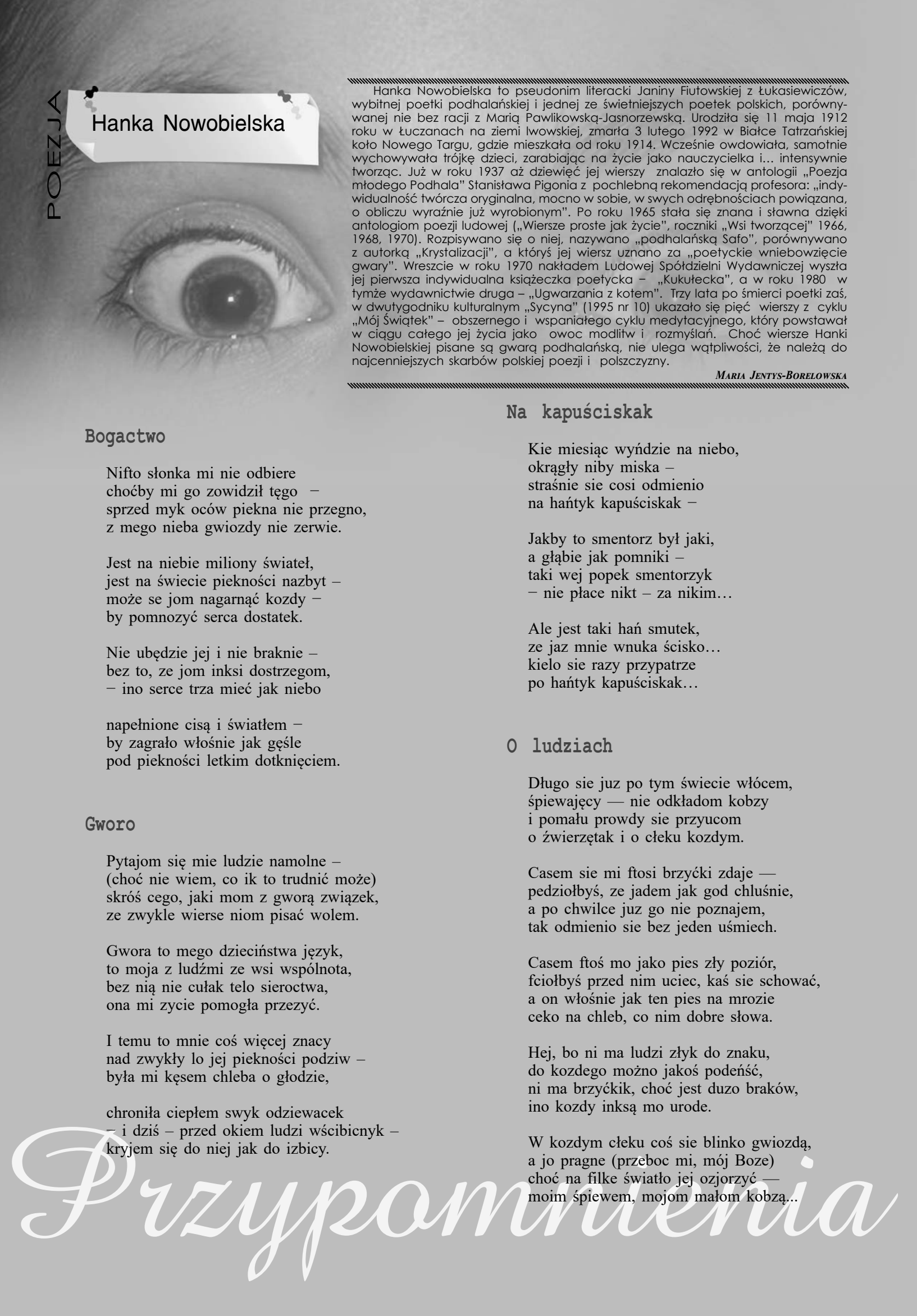
* * *

Urodziło się spontanicznie i ma pochodzenie plebejskie. Jest dzieckiem – z nieprawego łoża – folkloru ludowego, który zniekształciło, zwyrodniło i spopolitowało. Oferuje nam świat przeżyć bezrefleksyjnych i prymitywnych. Jest wszechwładne i wszechobecne. Trafilo do wszystkich sfer życia społecznego. Karmi się nim także polityka, a właściwie propaganda. Operuje ona hasłami tyle łatwo przyswajalnymi, ile niesprawdzalnymi. Mieszkanie +. Miliard drzew posadzonych w ciągu roku (w tym wierzyby rodzące gruszki). Milion samochodów elektrycznych. Dotacje na krowy i świnię. Tunel w Świnoujściu. Prom w Szczecinie. Okrepty podwodne w Gdańsku. Polska sercem (a dlaczego nie wątroba?) Europy. Polska jako kraj obłożony przez uchodźców i ich pierwotniaki, przez gejów i lesbijki, przez masonów i Żydów, przez obywateli drugiego sortu i zdradzieckie mordy. Politycy nie wymyślają tych hasła, oni tylko określają kierunek natarcia. Wykonawcami są najwyższej wykwalifikowani specjaliści od disco polo, inaczej zwani spin doktorami. Najpierw starannie ogłupia się ludzi kolorową i czarną prasą, ręcznie sterowaną kulturą, reklamami i disco polo. Potem bada się stopień ogłupienia i na tej podstawie wymyśla strategię. Opierając się na obserwacjach społeczeństwa, na sondażach i badaniach socjologicznych, fachowcy pracują nad wyznaczonymi kierunkami i wymyślają chwytliwe, choć obliczone na chwilę (ciemny naród i tak po wyborach zapomni) kampanie i hasła. Jest tego tyle, że nawet nie zauważamy: byliśmy w świecie polityki, a jesteśmy w disco polo. Czyli w Polsce.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Erazm W. Felcyn Z kolekcji „Anatomia Apokalipsy” (2017)




 Hanka Nowobielska

Hanka Nowobielska to pseudonim literacki Janiny Fiutowskiej z Łukasiewiczów, wybitnej poetki podhalańskiej i jednej ze świetniejszych poetek polskich, porównywanej nie bez racji z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską. Urodziła się 11 maja 1912 roku w Łuczanych na ziemi lwowskiej, zmarła 3 lutego 1992 w Białce Tatrzańskiej koło Nowego Targu, gdzie mieszkała od roku 1914. Wcześniej owdowiata, samotnie wychowywała trójkę dzieci, zarabiając na życie jako nauczycielka i... intensywnie tworząc. Już w roku 1937 aż dziewięć jej wierszy znalazło się w antologii „Poezja młodego Podhala” Stanisława Pigońa z pochlebną rekomendacją profesora: „indywidualność twórcza oryginalna, mocno w sobie, w swych odrębnościach powiązana, o obliczu wyraźnie już wyrobionym”. Po roku 1965 stała się znana i sławna dzięki antologiom poezji ludowej („Wiersze proste jak życie”, roczniki „Wsi tworzącej” 1966, 1968, 1970). Rozpisywano się o niej, nazywano „podhalańską Safo”, porównywano z autorką „Krystalizacji”, a któryś jej wiersz uznano za „poetyckie wniebowzięcie gwary”. Wreszcie w roku 1970 nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej wyszła jej pierwsza indywidualna książeczka poetycka – „Kukułeczka”, a w roku 1980 w tymże wydawnictwie druga – „Ugwarzania z kotem”. Trzy lata po śmierci poetki zaś, w dwutygodniku kulturalnym „Sycyna” (1995 nr 10) ukazało się pięć wierszy z cyklu „Mój Świątek” – obszernego i wspaniałego cyklu medytacyjnego, który powstawał w ciągu całego jej życia jako owoc modlitw i rozmyślań. Choć wiersze Hanka Nowobielskiej pisane są gwarą podhalańską, nie ulega wątpliwości, że należą do najcenniejszych skarbów polskiej poezji i polszczyzny.

MARIA JENTYS-BORELOWSKA

Na kapuściskak

Bogactwo

Nifto słonka mi nie odbiere
choćby mi go zowidził tęgo –
sprzed myk oców piekna nie przegno,
z mego nieba gwiozdy nie zerwie.

Jest na niebie miliony światel,
jest na świecie piekności nazbyt –
może se jom nagarnąć kozdy –
by pomnożyć serca dostatek.

Nie ubędzie jej i nie braknie –
bez to, ze jom inksi dostrzegom,
– ino serce trza mieć jak niebo

napełnione cisą i światłem –
by zagrało włośnie jak gęśle
pod piekności letkim dotknięciem.

Gworo

Pytajom się mie ludzie namolne –
(choć nie wiem, co ik to trudnić może)
skrós cego, jaki mom z gworą związek,
ze zwykle wierse niom pisać wolem.

Gworo to mego dzieciństwa język,
to moja z ludźmi ze wsi wspólnota,
bez nią nie cułak telo sieroctwa,
ona mi życie pomogła przeżyć.

I temu to mnie coś więcej znacy
nad zwykły lo jej piekności podziw –
była mi kęsem chleba o głodzie,

chroniła ciepłem swyk odziewacek
– i dziś – przed okiem ludzi wścibicnyk –
kryjem się do niej jak do izbicy.

Kie miesiąc wyńdzie na niebo,
okrągły niby miska –
straśnie sie cosi odmienio
na hańtyk kapuściskak –

Jakby to smentorz był jaki,
a głąbie jak pomniki –
taki wej popek smentorzyk
– nie płace nikt – za nikim...

Ale jest taki hań smutek,
ze jaz mnie wnuka ścisko...
kielo sie razy przypatrze
po hańtyk kapuściskak...

O ludziach

Długo sie juz po tym świecie włócem,
śpiewający — nie odkładom kobzy
i pomału prowdy sie przyucom
o źwierzętak i o cęku kozdym.

Casem sie mi ftosi brzyćki zdaje —
pedziołbyś, ze jadem jak god chluśnie,
a po chwilce juz go nie poznajem,
tak odmienio sie bez jeden uśmiech.

Casem ftoś mo jako pies zły poziór,
fciółbyś przed nim uciec, kaś sie schować,
a on włośnie jak ten pies na mrozie
ceko na chleb, co nim dobre słowa.

Hej, bo ni ma ludzi złyk do znaku,
do kozdego można jakoś podeńść,
ni ma brzyćkik, choć jest duzo braków,
ino kozdy inksą mo urode.

W kozdym cęku coś sie blinko gwiozda,
a jo pragne (przeboć mi, mój Boze)
choć na filke światło jej ozjorzyć —
moim śpiewem, mojom małom kobzą...

Przypomnienia



Snježana Kordić

FRAGMENT Z KSIĄŻKI „JĘZYK I NACJONALIZM”

Mity

Już od dawna wiadomo, że „w Serbii i Chorwacji istnieją grupy elitarne, które skorzystały z ideologii nacjonalistycznej w celu stabilizacji własnej zagrożonej politycznej funkcji” (Segert 2002: 271). Dla ideologii nacjonalistycznej typowe jest służenie mitom (Friedrich 1994: 24), a z kolei „jej mity wywracają rzeczywistość” (Gellner 1990: 124).

Mity są kłamstwem o dużym zasięgu, a czerpie się z nich, ponieważ oferują „bezpośredniość, siłę mobilizacji o ogromnej skali odrzucenia racjonalnego badania i osądu, rozpalanie emocji przy pomocy ekscytujących obrazów, produkcję spontanicznych wypadków (np. przemocy) i jednoczenia się w siłę. (...) Do najważniejszych oznaczeń mitycznych (...) zalicza się zdolność intensyfikacji przemocy, a przede wszystkim jej usprawiedliwienia” (Friedrich 1994: 27).

Stwierdzono również, iż „nacjonalizm produkuje mity, które akceptuje się jako normalne i racjonalne” (Snyder 1968: 3). Stanowią „idealny materiał do budowania populistyczno-nacjonalistycznej mobilizacji” (Segert 2002: 264). W ideologii nacjonalistycznej „naród (...) staje się 'pramitem', z którego mają możliwość korzystać młodsze nacjonalistyczne mity” (Kaschuba 1995: 60). Podobnie rzecz się miała podczas jugosłowiańskiego konfliktu: „nowsze prace badawcze wskazują na szczególną odpowiedzialność mitów o etnicznych korzeniach, które propagowały wszystkie trzy skłócone strony, w celu usprawiedliwienia swojej przemocy strategicznej” (Riedel 2007: 21-22).

Wszystcy „nacjonalistyczni intelektualści i politycy odwołują się do mitów i symboli, które odziedziczyli z przeszłości i przemienili je w argumenty, mające za zadanie wzmocnić nacjonalistyczną tożsamość i usprawiedliwić jej wymagania” (Breuilly 1999: 244). Używają „klasycznych znaków narodowościowych mitów jako niespokrewnionych z otaczającymi ją grupami, wyodrębniają autochtoniczność istnienia od zamierzonych czasów. Te funkcje służą do wytaczania różnicy i jedności wybranej grupy ludzi” (Škrbiš 1999: 96). Często posługują się typowymi mitycznymi pojęciami, „do których należą dzieła lub osobowości, ofiary, cierpienie, zbawienie, odrzuceni i wybrani” (Lewada 1994: 46).

Trzeba mieć na uwadze, że polityczne mity „nie powstały spontanicznie i nie wyrosły z historii lecz zostały powołane do bytu świadomie, by zrealizować ustalone plany” (Mattusch 1994: 56). W związku z tym „mity nacjonalistyczne najlepiej rozkwitają wtedy, gdy najwyższe elity ich potrzebują” (Evera 1995: 151). Natomiast „ograniczenie politycznego aspektu dzięki mitycznym opowieściom i obrazom czynni go mocniejszym i bardziej udanym, im wyżej znajduje się pewna polityczna wspólnota, która dzięki swojej integracji jest uzależniona od mitycznego bezpieczeństwa własnej wspólnoty” (Münkler 1989: 345).

Podporządkowując jednostkę zbiorowości, „mit niszczy indywidualność: jednostka natychmiast pozostaje bezpośrednim reprezentantem swojej grupy, indywidualnie staje się tylko przykładem swojego rodzaju” (Friedrich 1994: 21). We własnych mitach jest „zawsze obecna tendencja do przymusu wspólnoty, która przeciwstawia się różnicy

społeczeństwa i zamiast tego oferuje archaiczne kształty niby niepodzielnej wspólnoty życia” (Friedrich & Menzel 1994: 10).

Na obszarach południowostowiańskich istnieją całe szeregi szowinistycznych mitów, ponieważ „szowinistyczne powstawanie mitów jest oznaką nacjonalizmu (...). Te mity przekazywane są w szkołach, przede wszystkim na lekcjach historii, za pomocą literatury pięknej lub elit politycznych. Powstają w trzech podstawowych wariantach: wywyższania siebie, ukrywania własnej winy i oczerniania innego. Mity wywyższania siebie zawierają twierdzenia o znakomitym uczestnictwie i zdolności, jako mityczne patrzenie na dobre uczynki wobec innych. Mity ukrywania własnej winy zawierają nieprawdziwą negację przeszłych niesprawiedliwości uczynionych innym. (...) Mity oczerniania innych mogą obejmować twierdzenia o kulturalnej niższości innych, fałszywe oskarżenia za minione zbrodnie i tragedie oraz nieprawdziwe twierdzenia, że inni żywią złe zamiary wobec danej nacji” (Evera 1995: 150).

Badania przyniosły odpowiedź na pytanie „Dlaczego mity się dziedziczą? One pochodzą w dużej części od nacjonalistycznych politycznych elit, którym pomagają w wypełnianiu bardzo ważnych politycznych funkcji. Niektóre z tych funkcji (...) służą tylko wąskim interesom elit. Wiara w wywyższanie siebie stymuluje obywateli do ponoszenia ofiar dla nacjonalistycznej wspólnoty – by płacić podatki, walczyć w obronie nacji. (...) Mity także podtrzymują władzę i siłę polityczną panującej elity: mity wywyższania siebie i ukrywania własnej winy umożliwiają elitom stworzenie celów i wyobrażeń o stawie swoich przodków w narodowościowych instytucjach, które kontrolują” (*ibid.*: 151). Poza tym próby ukrycia własnej winy „sugerują niemożność zaakceptowania omyłki zbrodni, co stwarza możliwość jej powtórzenia” (*ibid.*: 150). Ta gotowość jest na tyle znacząca, że „w nowszych kulturalno-antropologicznych badaniach mówi się o prawdziwym „motorycznym” dokonywaniu się mitów o szczególnym dynamicznym potencjale energii i siły, który powstaje za pośrednictwem religijnego, historycznego lub politycznego dokonania” (Kaschuba 1995: 60).

Natomiast w temacie funkcjonowania mitów stwierdzono, że wszystkie „mity, które oczerniają innych, wzmacniają władzę elit, wspierając twierdzenia, że nacja zderzyła się z zewnętrznymi zagrożeniami; w ten sposób narodowa wrogość wypytywa z nacjonalistycznych elit usytuowanych poza nacjonalistycznymi ugrupowaniami” (Evera 1995: 151). Ten sam mechanizm stosują także chorwaccy językoznawcy: gdy tworzą mit o językowej przemocy dokonywanej przez Serbów, gdy usprawiedliwiają swoją dzisiejszą językową przemoc wobec Chorwatów i nasłają wrogość i bunt użytkowników języka chorwackiego przeciwko sobie, a także kiedy wywołują frustrację użytkowników poprzez stałe podtrzymywanie w nich uczucia winy, które językoznawcy wzbudzają, przekonując ich, że owi nieznanymi własnego języka przetruczącą na Serbów.

Mity wywyższania siebie i ukrywania własnej winy doprowadzają do tego, że „jak to Gellner napisał, w nacjonalistycznym okresie wspólnoty uwielbiają siebie skanda-

licznie i otwarcie, bez kamuflażu” (Billig 1995: 79). Taki „egoizm nacjonalny nie przestaje być tym egoizmem tylko dlatego, że jest nacjonalny. Wręcz przeciwnie: on staje się ‘świętym’ egoizmem” (Benda 1978: 107). W nim „każda grupa pielęgnuje swoją własną wyniosłość i zabobony, chwali się swoją przewagą, wywyższa swoje boskości i patrzy z pogardą na tych, którzy nie są członkami tej grupy” (Billig 1995: 79).

Liczba mitów na południowostowiańskich ziemiach zaskakuje. Badacze twierdzili, że mity nie rozwijają się w ściśle ustalonych warunkach. Patrząc jednak na opis okoliczności sprzyjających powstawaniu mitów, dojdziemy do wniosku, że znalazły one doskonałe podłoże w południowostowiańskich środowiskach: „Społeczności, które nie mają tradycji wolności słowa, wolności mediów i wolności uczelnianej, łatwiej ulegają pokusie tworzenia mitów, nie ma bowiem wśród nich ‘walczących o prawdę’, mogących przeciwstawić się nacjonalistycznym kreatorom mitów. Niezależni historycy mogą służyć jako lekarstwo przeciwko służbowemu kreowaniu mitów dzisiejszych czasów. Brak akademickiej wolności i wolnych mediów stanowi grunt dla tworzenia nacjonalistycznych mitów” (Evera 1995: 152-153).

Gdy sięgamy po szowinistyczne mity, „najbardziej groźne są te, które w pewnej mierze uzależnione są od narodowej zgody, a w wąskim wymiarze prowadzą do wyodrębnienia się niereprezentatywnej elity. Rzeczy gorzej się mają, jeśli taka władza jest słabo zinstytucjonalizowana, nieudolna lub skorumpowana, albo gdy zderza się z wielkimi problemami, które przewyższają jej możliwości. Reżimy, które wyszły na fali przymusowej walki lub stosują tylko ubogie zapewnienia, są także bardziej skłonne utrzymywać w walce typowy szowinistyczny system przekonania” (*ibid.*: 153).

Totalitarne wojenne reżimy, które istniały w latach 90. w Chorwacji, Serbii oraz Bośni i Hercegowinie, lansowały liczne mity: wojenne – „totalitarne reżimy stawiają wielkie wymagania przed swoimi mieszkańcami; dlatego używają ogromnej ilości szowinistycznych opowieści, by nakłonić do spełnienia tych wymagań” (*ibid.*: 152). Mimo to, zła sytuacja ekonomiczna sprzyja szerzeniu nacjonalistycznych mitów (*ibid.*). W stosunku do południowostowiańskich państw, prawdziwe „demokratyczne reżimy są mniej skłonne do tworzenia mitów, ponieważ takie reżimy są zazwyczaj legitymujące i tolerancyjne wobec wolności słowa; z takowych mogą się rozwinąć instytucje, które wykorzystają nacjonalistyczny mit” (*ibid.*: 153).

Udowodniono też, że mity zawierają elementy misterium, więc akceptując je, człowiek akceptuje misterium, a „gdy ktoś przyjął misterium, będzie bardziej przygotowany, żeby bez pytania zaakceptować rozkazy osób, które uważa za autorytet. W skrócie, misterium jest dobrym podłożem do posłuszeństwa” (Burke & Kluwer 1997: 53). Jest to jeszcze jeden powód, dla którego dominujące elity chętnie eksploatują mity.

Warunkiem wstępnym do ich zaaprobowania jest niewiedza: nacjonaliści służą mitom, „podczas czego wykorzystują publiczną niewiedzę o historycznych i językowych faktach. Sztuczny charakter zamkniętej kulturalnie nacji, którą propagują, pozostaje

często niezauważony i przez adresata w danym regionie i przez oponenta, a mogą go odkryć najczęściej jedynie znawcy" (Riedel 2006: 33).

Mit o cierpieniu

Typowym mitem każdego nacjonalizmu jest kreowanie cierpienia własnej nacji, bycie ofiarą historycznych niesprawiedliwości, które powinny się zrekomensować. Także hitlerowska „propaganda narodowego socjalizmu” używała nacjonalistycznej ideologii ofiary" (Claussen 1988). Jeśli chodzi o nowsze czasy, to np. w chorwackich podręcznikach historii kultywuje się mit o nacjonalistycznym cierpieniu Chorwatów (Bellamy 2003: 150).

Po rolę męczeńskiego narodu sięga się dlatego, że „rola uciśnionej nacji, która cierpi, potrafi przyciągnąć i zintegrować mieszkańców. Rola męczennika ma za zadanie budzić litość, zbiorową sentymentalność (...). Wspólnota ludzi poddana naciskowi, temu samemu niebezpieczeństwu, nierzadko jest mocniej związana ze sobą, niż wspólnota triumfująca" (Lemberg 1964 II: 69).

Ponadto „grupa, która patrzy na siebie jako na męczenników dla niaby sprawiedliwych powodów, może działać z niezwykłą propagandową siłą. Rola uciśnionych i męczenników jest nieprawdopodobnie atrakcyjna. W tym kryje się odpowiedź na pytanie, dlaczego akurat te grupy przeciągają na swoją stronę członków swego otoczenia" (*ibid.*: 70).

Z tego właśnie powodu, zderzając się z niewygodnymi faktami, „nacjonalizm na kwestionowanie swoich tez odpowiada dodatkowym środkiem: rolą ofiary. Oferuje on długą listę historycznych poniżeń, politycznych i kulturalnych uzurpacji ze strony kolonialnych i imperialnych sił, które daną nację próbują zniszczyć, oczernić, zdegenerować, ale oczywiście bez powodzenia! Jak bardzo morderstwa były szokujące i przez ile stuleci trwało to systematyczne wykorzenianie narodu, które miało wymazać uciśnioną

nację, a ona jednak przeżyła! Wbrew zakłamanemu przywidzeniu, męczeńska nacja zawsze potajemnie opierała się, zachowała swoją esencję, pozostała na zawsze wierna swoim przodkom i pochodzeniu oraz z czystym sercem czekała na dzień odzyskania suwerenności i swojej tłumionej wolności" (Llosa 2000: 20).

Z jednej strony, „naturalne jest, że lista poniżeń i niesprawiedliwości opiera się na jakiejś historycznej prawdzie. Błędem jednak byłoby wierzyć, że przemoc i zbrodnie z przeszłości, które silniejsze narody dokonały na słabszych są powodem do nacjonalizmu. Gdyby tak było rzeczywiście, wtedy nacjonalizm niczym epidemia rozszerzyłby się na całym świecie, docierając do najdalszych zakątków kuli ziemskiej. Czy istnieje jakiegokolwiek państwo, które w swojej historii nie odnalazłoby powodu do szukania za doświadczenia za doznane niesprawiedliwości? Każde społeczeństwo w swojej przeszłości identyfikuje scenariusz zgrozy, zbrodni i niewypowiedzianej przemocy, gdy w społeczeństwie czy narodzie panowały mocniejsze klasy lub jednostki dominowały nad słabszymi. Z tej perspektywy historia wszystkich państw układa się w pewną historię nikczemności" (*ibid.*: 21).

Nacjonalizm natomiast zauważa tylko swoje cierpienie w historii, jest też gotowy do wymyślenia go, ponieważ „nacjonalizmowi są potrzebne takie historyczne poniżenia, by móc usprawiedliwić swoje potrzeby ofiary należące do zbiorowości, która przeżyła niesprawiedliwości w zamierzczłych czasach, które można zrekomensować tylko ponownym osiągnięciem straconej niezależności. Wszystko po to, by wyłumaczyć niedoskonałości nacjonalnej wspólnoty – na obszarze języka, kultury, instytucji i nawet ras, ale także by uprawiać politykę, która teraz z pozycji panujących odzwierca integrację i czystość nacji, zabrudzoną przez wieki z powodu cudzej władzy" (*ibid.*).

TŁUMACZYŁA: OLGA LALIĆ-KROWICKA

Bibliografia

Bellamy, A. J. (2003), *The formation of Croatian national identity*, Manchester/New York.

- Benda, J. (1978), *Der Verrat der Intellektuellen*, München/Wien.
- Billig, M. (1995), *Banal Nationalism*, London et al.
- Breuilly, J. (1999), *Nationalismus und moderner Staat*, Köln.
- Claussen, D. (1988), »Vergangenheit mit Zukunft. Über die Entstehung einer neuen deutschen Ideologie«, W. Eschenhagen (ed.), *Die neue deutsche Ideologie. Einsprüche gegen die Entsorgung der Vergangenheit*, Darmstadt, 7-30.
- Evera, S. van (1995), »Hypotheses on Nationalism and the Causes of Wars«, C. Kupchan (ed.), *Nationalism and nationalism in the New Europe*, Ithaca, 136-157.
- Friedrich, C. (1994), »Der Mythosbegriff als Mittel gegenwärtiger Gesellschaftsanalyse«, C. Friedrich/B. Menzel (eds.), *Osteuropa im Umbruch*, Frankfurt am Main et al., 15-28.
- Friedrich, C./Menzel, B. (1994), »Einleitung«, C. Friedrich/B. Menzel (eds.), *Osteuropa im Umbruch*, Frankfurt am Main et al., 7-12.
- Gellner, E. (1990), *Nations and nationalism*, Oxford.
- Kaschuba, W. (1995), »Volk und Nation: Ethnozentrismus in Geschichte und Gegenwart«, H. A. Winkler/H. Kaelble (eds.), *Nationalismus - Nationalitäten - Supranationalität*, Stuttgart, 56-81.
- Kluver, A. (1997), »Political Identity and the National Myth«, A. González/D. Tanno (eds.), *International and Intercultural Communication Annual XX: Politics, Communication, and Culture*, London/New Delhi, 48-75.
- Lemberg, E. (1964), *Nationalismus, I-II*, Reinbek.
- Lewada, J. (1994), »Der 'Homo sovieticus' als sozialer Mythos«, C. Friedrich/B. Menzel (eds.), *Osteuropa im Umbruch*, Frankfurt am Main et al., 45-54.
- Llosa, M. V. (2000), *Nationalismus als neue Bedrohung*, Frankfurt am Main.
- Mattusch, K. (1994), »Der Zusammenbruch und die Neuschaffung politischer Mythen in den sich wandelnden Gesellschaften Osteuropas«, C. Friedrich/B. Menzel (eds.), *Osteuropa im Umbruch*, Frankfurt am Main et al., 55-63.
- Münkler, H. (1989), »Das Reich als politische Vision«, P. Kemper (ed.), *Macht des Mythos - Ohnmacht der Vernunft?*, Frankfurt am Main, 336-358.
- Riedel, S. (2006), *Regionaler Nationalismus. Aktuelle Gefahren für die Europäische Integration*, Berlin.
- Riedel, S. (2007), »Kriegsgeschichte(n). Interpretationen zum Jugoslawienkrieg«, F. Wenninger/P. Dvořák/K. Kuffner (eds.), *Geschichte macht Herrschaft*, Wien, 21-32.
- Segert, D. (2002), *Die Grenzen Osteuropas*, Frankfurt/New York.
- Skrbiš, Z. (1999), *Long-distance nationalism*, Aldershot.
- Snyder, L. (1968), *The New Nationalism*, New York.

Erazm W. Felcyn z kolekcji „Anatomia Apokalipsy” (2017)

SNJEŽANA KORDIĆ – chorwacka językoznawczyni o międzynarodowej sławie. Urodzona w 1964 roku w Osijeku w Chorwacji. Ukończyła filologię chorwacką na Uniwersytecie w tym samym mieście, gdzie pracowała na katedrze lingwistyki. W 1991 roku rozpoczęła pracę naukową jako asystentka na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Zagrzebiu. W trakcie burzliwych walk o czystość języka chorwackiego (w latach 90.) zyskała duże doświadczenia, obserwując negatywne zjawiska, które potem umożliwiły jej pełną analizę oraz napisanie wielu prac na ten temat. Po obronie pracy magisterskiej (1992 r.) oraz doktorskiej (1993 r.) na tym samym wydziale, wyjechała do Niemiec, gdzie prowadziła działalność akademicką. Tam wykładała przez piętnaście lat, posiadając status pracownika naukowego, docenta oraz profesora na Uniwersytetach w Bochum, Münster, Berlinie i Frankfurturce. Efektem intensywnej pracy naukowej i badawczej było uzyskanie habilitacji na Uniwersytecie w Münster. W formie dialogu w 2001 r. na łamach czasopisma „Republika” prowadziła dyskusje z najwybitniejszymi przedstawicielami kroatystyki, na temat zderzeń z olbrzymimi kontradykcjami w kroatystyce. Dyskusja ta przeniosła się potem na łamy nowopowstałego czasopisma „Književna republika”, gdzie trwa do dzisiaj. Przekraczające 500 stron wklady, w ramach tej maratońskiej dysputy z licznymi filozofami, stanowiły także swojego rodzaju przygotowanie do napisania książki „Język i nacjonalizm”. Przekłady artykułów autorki na różne zachodnioeuropejskie języki, jak i wiele innych konkluzji z dyskusji w pracach zagranicznych naukowców, dodatkowo zachęciły autorkę do przygotowania tej książki.

Jest ponadto autorką szeregu książek, artykułów, monografii naukowych z dziedziny lingwistyki wydanych w kraju i za granicą. Wszystkie te publikacje doczekały się w świecie licznych pozytywnych czy wręcz entuzjastycznych recenzji uznanych krytyków oraz wznowień wydań. Napisała wiele podręczników gramatyki oraz książek do nauki języka chorwackiego przeznaczonych dla osób z niemieckiego i angielskiego obszaru językowego. Opublikowała również ponad 150 artykułów naukowych w zagranicznych czasopismach i zbiorach.

Więcej informacji i artykułów na temat działalności i pracy naukowej prof. S. Kordić można znaleźć na stronie internetowej: <http://snjezana-kordic.from.hr/>



Zbigniew Joachimiak

10 maja 1996

To jest melancholia? – Mija mi 46 lat życia. Wiele razy stawałem wobec uczucia i myśli, że poniosłem klęskę. Nie wiem, czy poniosłem, gdy myślę o tych wszystkich wspaniałych, różnorodnych przeżyciach, które doświadczyłem przez lata.

A jednak, jeśli wcześniej poczucie przegranej bywało gwałtowne, krótkie i intensywne, można powiedzieć „namiętne chwila”, to teraz dosięga mnie w zupełnie innej formie. Mniej gwałtownej a jednocześnie pomieszanej ze zdumieniem, że oto owa klęska, to już nie tylko poryw uczucia, ale że jest to nudny i melancholijny stan stały. Można powiedzieć żałośnie stały.

Pytam siebie, gdzie jestem? I czy gdzieś zmierzam jeszcze poza śmiercią, no i oczywiście, do jakichś małych codziennych celów. Te małe cele raczej nie zawróciły mi w głowie, ale dokuczają mi brak celu głównego, tak jakbym utracił jego świadomość. Nie umiem ocenić, czy jest poza moimi możliwościami, poza zasięgiem...

Czy umiem jeszcze walczyć o ważne sprawy, naprawdę ważne sprawy? Wiedząc, że ich nie wywalczę? Kiedyś - tak przynajmniej mi się wydaje - nieistotna była realność celu a prowadziło mnie nagie pragnie realizacji. Dzisiaj tak nie jest? I ta wątpliwość jest odczuwana przeze mnie jako klęska.

Ale wciąż drzemią we mnie pokłady uczuć, miłości i namiętności.

Kropła

Agnieszce B.

Jest złoty czerwiec. Za oknem
łśni na liściu złota kropła.

Wyschnie czy spadnie, pytają między
sobą kwiaty dalii,

Ale nie za głośno,
aby kropła wybrała swobodnie.

Ja pomiędzy kwiatami milczę,
bo wiem jak krótki jest żywot
tej małej wilgotnej kapki – łyzy.

Niech łośni,
niech cały sen jej się wyśni.

GDAŃSK 25 CZERWCA 1996R

30 marca 2007

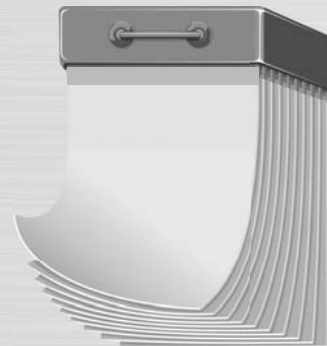
TVP Kultura: pojawia się jakiś nieznamy mi facet który leży na czymś, na pierwszym planie buty. Przedstawia się „wszystko w tym kraju wiedzą kim jestem”. Niestety, ja nie wiem. Potem mówi o Coltranie i Davisie. Nie bardzo wiem co, bo mówi niewyraźnie. Szkoda, bo to byli naprawdę dobrzy muzycy.

Acha, jeszcze wcześniej ktoś przedstawił go jako ofiarę PRL-u, który musiał śpiwać na ulicy. Bum.

28.09.2013

A. napisała jednak wiele więcej miłych słów. Cieszę się, że ta korespondencyjna

Aneks do kalendarza (6)



przyjaźń się rozwija. Choć jestem nieco zaskoczony, bo przecież tkanka korespondencji dość partykularna i wąska: kontakty redakcji z autorką. A jednak pomiędzy konkretnymi dotyczącymi publikacji, nowych tekstów, coś ciepłego się zrodziło. Na pewno z mojej strony.

Jeszcze jedno słowo o tym: Jest to możliwe dzięki również dzisiejszym szybkim instrumentom komunikacyjnym, mam na myśli oczywiście internet, który pozwala na błyskawiczne odpowiedzi, szybkie reakcje, ujawniające i zawierające więcej emocji w opozycji do „świętecznych” długich i przemysłanych listów papierowych. Choć tych drugich jednak żal. Kiedy napisałem ostatni prawdziwy list? Chyba z piętnaście lat temu. Niesamowite jednak.

cd. Moi umarli.

Jan Krzysztof Adamkiewicz,

poeta poznański. Poznałem go na imprezach literackich u Leszina w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku i chyba spotkałem go jeszcze na seminariach literackich na Śląsku. Wydał jedną książkę poetycką mocno zakotwiczoną w nurcie *lingwizmu poznańskiego*. Zmarł niesłusznie. Zbyt szybko. Na samym początku swojej kariery poetyckiej. Pracował jako listonosz. Dlaczego go wciąż pamiętam? Gdyby żył najpewniej byłibyśmy dobrymi znajomymi, bo było w nim wiele ciepła. Ostatni raz widziałem go w Poznaniu, gdy byliśmy tam na grupowych występach literackich w składzie Staszek Rosiek, Adzik Zawistowski, Anka Czekanowicz, Krystyna i Stefan Chwinowie, a gościła nas w klubach studenckich Małgorzata Bratek (dziewczyna podówczas Staszka).

18 maja 2019

Przyszła początkowo nowa książka Marty Fox, (...) vel Miśi, vel Myszki (w mojej najbardziej osobistej pamięci). Książka mnie poruszyła, bo podsumowuje ważną i bardzo dobrą część działalności pisarskiej M. Ale oczywiście nie dlatego poruszyła, że podsumowuje jej działalność krytyczną, ale dlatego, że w takiej zwiększonej ilości teksty wyrażają, jak ważne to jest pisarstwo, jak inteligentna jest Miśia, jak inteligentne są jej analizy i refleksje, dla mnie niekiedy odkrywcz. Na pewno odkrywcz, gdy przybliżyła w swoich tekstach pisarzy, albo nieznanymi mi dobrze, albo wręcz przeciwnie, których dobrze znam, a jej przemyślenia niejako puentują moje odczucia. Puentują, to co miałem jakby z tytu głowy, ale niezbyt głęboko przemyślane.

Uświadamiam sobie, że powinienem więcej czasu poświęcić Marcie Fox. Nie tylko dzisiaj otrzymanej książce. Nie jestem pewny, czy powinienem to robić dzisiaj, bo źle się czuję, mam kłopoty z oddychaniem, mam obniżony nastrój. Miśia zasługuje, aby napisać o niej z większym skoncentrowaniem, niż to, na które mnie dzisiaj stać. Ale jest jak jest.

Kiedy poznałem M. była przede wszystkim dziennikarką i nauczycielką. To było już po moich amerykańskich wояżach, a co ważniejsze, po klęsce małżeństwa z Lisą Storie. I co jeszcze ważniejsze, po przeżyciu mi psychicznego kręgośtuła po utracie kontaktu z Sybilką. To ważna oko-

liczność, bo bardzo wpłynęła na przebieg, rodzaj, historię uczucia pomiędzy nami. Ta determinanta zawsze była obecna w naszej historii. Byłem gotowy na wielkie uczucie, a z drugiej strony wyhamowany przez tęsknotę za Sybilką. Miśia była bardzo ważną kobietą w moim życiu. Była jak maszyna miłości, zdecydowana, zdeteminowana, namiętna, odważna i szczerą. Ja zaś byłem – teraz to widzę dokładniej – żałostnym facetem, który nie potrafił pozierać się ze swoich klęsk. Mieszkałem parę miesięcy z nią w Katowicach. Potem ona przyjechała wraz córkami do Gdańska, do mojego mieszkania na Zaspie. Mogę powiedzieć uczciwie, że bardzo poważnie podsełem do tego wyzwania, aby zmieścić w swoim małym mieszkaniu i w swoim małym życiu trzy wspaniałe dziewczyny. Niestety, nie wyszło. Skończyło się wręcz bardzo dramatycznie (...). lub jak kto woli określić, banalnie, po prostu rozstał się. M. bo nigdy nie przestała walczyć, przeć do przodu, nigdy nie godziła się na sytuacyjne, ale i też fatalistyczne okoliczności, i nigdy nie odpuszczała. Wychowała obie córki. Rzuciła w końcu nauczycielstwo i oddała się pisarstwu. Dodać trzeba z sukcesem, bo jest bardzo cenioną pisarką, jak to się określa „dla młodzieży”. Nigdy nie zaprzestała, a przeciwnie, rozwinęła swoje pisarstwo krytyczne. A co – jak sądzę – dla niej najważniejsze, ujawniła i rozwijała swój talent poetycki. Całkowicie niesprawiedliwie nie doceniałem wystarczająco tego jej talentu, może dlatego, że nie zaskoczyło mnie jej wierszopisarstwo. Nie zaskoczyło mnie, bo w pewnym sensie nie było to w jej życiu całkowiłą nowością. Przy jej postmodernistycznej osobowości, była mentalnie bardzo zwarta, konsekwentna, całkownie niezakłamaną wewnątrz. Nie znam jej jako nauczycielki, nie wiem, jak widzieli ją jej uczniowie, ale sądzę, że nawet w klasie była tą samą (wtedy Miśią F.) osobą, którą była w dziennikarstwie, krytyce, prozie a w końcu poezji. W tym właśnie sensie nie zaskoczyły mnie jej wiersze, że wciąż odczytywałem w nich tę migotliwą, błyskotliwą, super inteligentną, czytającą osobę, która jest otwarta na świat, na innych ludzi, a kiedyś też na mnie, gdy chyba nie byłem tego warty. Jej wiersze są konsekwentną kontynuacją jej ciągłej ekspresji, ciągłego rozumienia (*understanding*) świata i otaczających ją ludzi i umystów. Gdy dzisiaj czytam jej książkę, „*Wariatka, która czyta*”, widzę to wyraźnie? W pewnym sensie Miśia była od lat skończoną osobowością, całkownie rozwiniętą... cokolwiek by to miało znaczyć, ale przede wszystkim, że jej osobowość była ponad jej intelektem i umystowym rozwojem, (choć nigdy w tym aspekcie nie stanęła w miejscu). Pewnie ryzykowne powiedzieć, ale to uczynię: jej rozwój, jej talenty pisarskie, czy to krytyczne i poetyckie, i ogólnie pisarskie, stały zawsze przede wszystkim na jej osobowości, na jej charakterze, mentalności. Może dlatego też to, co nie zawsze było najbardziej udane w jej pisarstwie (bo nie ma chyba pisarza całkownie doskonałego) nie było zbyt ważne, bo zawsze liczyła się przede wszystkim jej niepowtarzalna i czysta osobowość. W każdej linijce jej tekstów najważniejsza była Ona – Marta Fox.

Taką moją Martę Fox, vel Misię, vel Myszkę (z Zaspły) znalazłem w jej nowej książce „Wariatka, która czyta”.

15 września 2019-09-15

Kochany Zbyszku,

jesteś, jak zawsze, serdeczny dla mnie - niechże Cię uścignę! Posyłam - skoro tego chcesz - mały materiał dla kolejnych „Migotań” (jeszcze jedno „przypomnienie”). Marzy mi się przy okazji przywołanie - zapomnianych z kretesem - wielkich poetów naszej młodości, np. TADEUSZA NOWAKA czy JULIANA PRZYBOSIA. Po jednym wierszu bym dała, aby ich wskrzesić! Mam swoje ukochane, np. psalm Nowaka „Wody są czyste...” lub „W głąb lasu 2” Przybosia - cudo! Co Ty na to, mój Drogi?!

Powieść pisze się bardzo wolno (ból pleców nie pozwala mi długo siedzieć przy komputerze), ale pisze. Mam już 112 stron (znormalizowanych). Bardzo jestem ciekawa, co mi wychodzi spod pióra!

Droga Mario,

Zatrzymuję wiersze Sekulskiego do nr.4/2019. Dobrze, że od razu zrobiłaś notę „bio...”. Jeśli chodzi o przypomnienie Nowaka i Przybosia, to jestem za. Zresztą już przypominałem Wielkich i Klasyków, bo to obowiązek każdego porządnego pisma literackiego, by dbać o pamięć tych, co już są w historii literatury (i są zapominani :). Mam taki pomysł: do numeru przygotuj cztery wiersze, jeden niewielki, damy go na pierwszą stronę, pozostałe trzy do środka na całą stronę. Nie będziemy robić not biograficznych, chyba, że pojawiłby się jakiś esej krytyczny.

Możemy dać też zdjęcie. Możemy to kontynuować przez kilka numerów też z innymi autorami, sięgając nawet do głębokiej historii

A może dałabyś jakiś kawałek swojej nowej powieści? To mobilizuje do dalszej pracy. W ostatnim numerze jest fragment świetnej powieści Sikorskiego (polecam), też go przekonałem, aby dał przed ukończeniem całości jeszcze więcej.

Całuję Cię serdecznie, Zbyszek

2 grudnia 2019

Robię porządku na biurku, jak zwykle kopce papierów przyrastają ze nieustającą regularnością. Tym razem pchnęła mnie do porządkowania myśli o zbliżających się Świętach. Właściwie nie rozumiem, dlaczego to mnie zmobilizowało. Od lat święta nie są moimi rodzinnymi świętami. Tu, w domu na Dubois, to są święta rodziny mojej żony. Nie moje. Jej rodzina ani trochę nie stała się moją rodziną. A moi bliscy? Rodziców nie ma. Ilonka milczy. Sybilka daleko i żyje swoim nie tylko życiem, ale i światem, zresztą tradycja bożonarodzeniowe wśród Amerykanów jest zróżnicowana i na pewno nie jest aż tak rodzinna jak w Polsce. Niemniej jedna mnie wciąż jakoś porusza ten czas. Poruszają mnie bardziej lub mniej uświadamiane wspomnienia? A może potrzeba pewnych doznać: bliskości, ciepła, serdeczności? A może po prostu jest to jakiś automatyzm, pociąg do ceremonii, obrzędowości, powtarzalności, rytmiczności? Potrzeba wypełniania zakodowanych w podświadomości (i świadomości po części) zachowań. Nie ma w we mnie ani krzty religijności w tych odruchach. Chyba, że ta „odruchowość” to już religijność?

Dostałem esej od J. S. o jego – a jednak! ROZTERKACH RELIGIJNYCH I DUCHOWYCH, O TYM DLACZEGO I PO CO PISZE? Pisał ten esej w łóżku, bo jest chory od lat. Pisał o pisaniu. Tak jak świętuje się dla świąt.

J. jest samotny w tym swoim księżowskim życiu. Nie pomaga mu zaklanie religijne. Wiara w Boga. Wiara w Jezusa. Leży osłabio-

ny w łóżku sam. Myślę, że bez Jezusa. Choć wierzę, że z uporczywymi myślami o Nim.

Pada deszcz. Jest szaro. Ten deszcz to niby za śnieg? Mżawka grudniowa za mroźną zimową aurę? A sprzątanie biurka to niby moja świąteczna krzątanka? Hmm. Coś mi się wydaje, że ten dzisiejszy wpis nie jest specjalnie stosowny na okoliczność zbliżających się: Wesołych Świąt.

11 grudnia 2019

Jeszcze mam do redakcji kilkanaście stron dziennika z okresu Stanu Wojennego. Większość opracowałem a nawet sporą część opublikowałem w *Migotaniach* pod tytułem *Aneks do kalendarza*. To tak smutna lektura, że nie chce mi się nad nią pracować. Cały ten *Dziennik wojenny* jest ponury. Całkowicie nieheroiczny. Zastanawiam się, czego jest świadectwem? Na pewno nie siły, brawury, odwagi. Ale może uporę?

Mam też do opracowania partie ze znacznie wcześniejszego okresu. To raczej krótkie wspomnienia niż dziennik. Zginęło mi sporo fragmentów. Nie mogę odnaleźć jednego zeszytu.

Zalega mi w pamięci postanowienie napisania kilku zdań o Andrzeju Żurowskim. To jeden z „*Maich umarłych*”. Też osoba, która odeszła zbyt szybko. Niespodziewanie. Gwałtownie. Chorował w ostatnich latach swojego życia na białaczkę, ale nic nie wskazywało na to, że szybko go pokona. Planował przeszczep. Rozmawiał o tym ze mną kilka razy, nieco się wahał, bo łączyły to się z dość dużym ryzykiem. Mówił mi, że nie życzy sobie odwiedzin na cmentarzu, a już całkowicie nie chciał pogrzebu kościelnego, ale było to utrzymane w duchu „odpukaj zło”. Zadeklarował, że bym ja też nie liczył, na jego wizyty przy grobie po mojej śmierci. Pierwszemu życzeniu zadość uczyniłem. Na drugie nie miałem wpływu... I owszem, Magda urządziła mu ceremonię z księdzem, etc. Trzeba dodać, że też dotrzymał słowa w kwestii trzeciej; że nie będzie mnie odwiedzał po śmierci. Andrzej mnie nie odwiedza, chociaż być może moja pamięć o nim jest jakąś formą nawiedzania.

Spotkałem się z nim kilka dni przed gwałtownym zaostrzeniem choroby i śmiercią w szpitalu. Ucieszyło mnie, że był u niego też Jurek Limon, w pewnym sensie konkurent w działalności teatrologicznej, wiem że były pomiędzy nimi spory. Jurek okazał się bardzo dobrym kolegą, może przyjacielem (nie wiem tego), co jednak mnie nie zaskoczyło, bo poznałem Jurka, jako serdecznego, przyjacielskiego, choć powściągliwego człowieka. Parę dni potem Andrzeja już nie było. I jest go coraz mniej. O pamięć o nim walczy wciąż rodzina. Wiem, że też Alina Kietrys uczestniczy w tych działaniach.

Andrzej Żurowski pod względem dorobku intelektualnego – naukowego, artystycznego pisarskiego i dziennikarskiego to postać, której trudno dorównać w jego małej, nowej ojczyźnie, w Gdańsku. Urodził się na Kresach. Ale większość życia spędził tutaj. Był bardzo, bardzo barwną postacią, budził skrajne uczucia. Podziwiano go i nienawidzono. Zresztą ci, którzy go nienawidzili, często go bardziej lub mniej świadomie podziwiali. W dobrym i złym sensie był skomplikowaną osobowością. Jego największą pasją życiową był chyba teatr, Szekspir, a pod koniec życia Modrzejewska, pracował nad jej dorobkiem do ostatnich chwil. Napisałem chyba, bo równie dobrze można powiedzieć, że najbardziej go zajmowało pisarstwo, które obejmowało wszystkie jego pasje, łącznie z miłośnością do żony i dzieci.. Pozostało po nim wiele książek. I chyba ten dorobek się marnuje, bo rodzina

nie jest w stanie wprowadzić jego ostatnich prac do obiegu społecznego. Zresztą ja też. Niejako za moją namową napisał ostatnią swoją książkę „Powidoki”. Są to wspomnienia z jego całego podróżniczego życia, choć rzecz dzieje się przede w wszystkim w Nowym Jorku. Książkę w całości opublikowałem w odcinkach, w *Migotaniach*. Tuż przed kryzysem zdrowotnym udało mu się znaleźć sponsora na wydanie książki. Miał przybiecane konkretne pieniądze na koszty druku. Niestety, po śmierci wielmożny sponsor się wycofał, zapomniał o zobowiązaniu. Dwukrotnie występowałem do Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku o grant na wydanie książki. Dwukrotnie okazało się, że zdaniem departamentu kultury UM, są ważniejsze tytuły do wydania. Szukałem innych fundatorów, niestety bezskutecznie. Mam ostateczną wersję książki u siebie na komputerowym dysku. Czeka. **Andrzej czeka!**

Poznałem go w trakcie studiów na filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego, chodziłem do niego na zajęcia z kulturoznawstwa. Niewiele pamiętam z tych zajęć, poza tym, że panowała na nich nieformalna atmosfera i można było palić papierosy (tak! W tamtych czasach to było legalne). Świeży wtedy Pan Doktor Nauk Humanistycznych był przyjacielski i chętnie dawał się naciągać na luźne tematy, pomiędzy innymi na wspomnienia ze swoich południowoamerykańskich wędrówek (był też podróżnikiem). Jednak największą popularność zyskał dzięki swoim bardzo błyskotliwym retorycznie i intelektualnie występom telewizyjnym przed poniedziałkowymi premierami Teatru TV Polskiej. Od tamtych lat był krytykiem teatralnym w wymiarze międzynarodowym, przez lata szefował Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Krytyków Teatralnych. Powstawały wtedy jego najważniejsze prace o Szekspirze. Jedną z książek redagowałem dla Wydawnictwa Morskiego, ale to było kilka lat potem.

22 grudnia 2019

, A, B i G *Trzy Gracje*. bo były to prawdziwe boginie, które najlepiej czuły się w swoim towarzystwie.. Każda z nich inna. W każdej się podkochiwałem. Z niektórymi miałem romanse. Są do dzisiaj w moim sercu i pamięci. Śpiewały. Lubiły śpiewać. Uwielbiały śpiewać. Może moje słoniowe ucho, a może po prostu ich wdzięk powodował, że słuchałem z zapaartym tchem ich śpiewania. Kto dzisiaj tak śpiewa? Ale i wtedy, w późnych latach siedemdziesiątych, raczej rzadko zdarzała się, aby śpiewać na pełen głos, razem, bez powodu, po prostu dla radości dźwięczenia i czucia własnego głosu. Nie mówię o pijackich śpiewach, o alkoholowych wrzaskach, ale o wspólnym śpiewaniu dla radości śpiewania i zachowaniu subtelności melodyki i wierności nutom.. One tak właśnie śpiewały. Bo była okazja, bo są razem. Była okazja, bo nikomu to nie przeszkadza. Zresztą śpiewały też w pojedynkę. Nie wiem czy wszystkie, ale jedna z nich na pewno tak, ta z którą byłem blisko i erotycznie. Było coś zachwycającego w śpiewie tej młodej, kobiety przytulonej do mnie. Jej dźwięk wchodził we mnie całym jej nagim ciałem w moje nagie ciało. Lecz ich bachiczność to nie tylko śpiew. Spotykaliśmy się najczęściej nie planując tego. Tak się jakoś układało. Czasami u mnie. Czasami u tej, która miała własne już mieszkanie. I wypadaliśmy na miasto. Pod Kominek, to nieistniejąca już restauracja we Wrzeszczu, z tandetnym danciem i tandetną muzyką tandetnej orkiestry. Ale było to doskonałe miejsce, aby wpaść tam na pół lub całą godzinę i wytańczyć się na parkiecie do zaparcia tchu. Potem szliśmy do mnie, albo

do... Różnie bywało. Za każdym razem te Trzy Gracie wypełniały mnie szaloną, ale nie szaleńczą radością. Teraz widzę, pociągało mnie w tych spotkaniach, to że One się spotykały ze sobą, a mnie tylko dopuszczaly do swoich wypadów i szaleństw. Pozwalały mi patrzeć na siebie, ale tak naprawdę były zajęte tylko sobą. Gdy siedziały razem we trzy i wszystkie trzy robiły na drutach i szydełkach te swoje swetry, szaliki, karczki itp. a jednocześnie dawały wszystko ze swoich gardeł w piosenkach najczęściej mi nieznanym, czułem że zostałem dopuszczony do niedostępnych rejonów zwykłej egzystencji, tam gdzie łączy się pierwiastek kobiecy i boski, i człowieczy, obcy glinianym ludzikom mojej miary. Kochałem je wszystkie trzy. Każdą inaczej. Każdą mocno. Każdą nieśmiało. Nie ma ich dzisiaj a **jedna umarła**. I właśnie jej definitywna nieobecność pobudza moją pamięć. Wracaliśmy w środku nocy z błyszczącymi oczami, one śpiewały tak nieopamiętanie, że śpiew się niósł na całą Wrzeszcz. One śpiewały. Szliśmy przez Oliwę, Przymorze, a może tylko płynęliśmy na nutach ich pieśni. One śpiewały. Już nie szliśmy tylko płynęliśmy na drganiach ich głosów, porywach ich szerokiej i nieopanowanej pieśni. Płynęliśmy osobno, ale jakoś razem, a jednocześnie zgodnie z każdym osobnym losem. One mnie unosiły ze sobą, by w końcu porzucić i odejść za nią swojego przeznaczenia. Nigdy nie nauczyłem się śpiewać, choć wiem, że kiedyś, kiedyś, to umiałem robić. Czasami, gdy widzę małe dzieci śpiewające kolędy lub piosenki przedszkolne marwię się, że i one utracą tę radość śpiewania. Radość wydawania własnego dźwięku bez powodu, bez celu i nie dla jakiegoś konkretnego

sensu. Gdy myślę o **Mojej Umarłej Barbarze R.** to wiem, że odeszła i zabrała mi już na zawsze moje nieśmiałe ciche, bezgłośnie śpiewanie, którego nigdy nie ośmieliłem się im, Trzem Gracjom, ofiarować.

23 grudnia 2019

M.J. przysłała mi do przeczytania fragment nowej powieści historycznej. Pracuje nad nią od dłuższego czasu, ale wciąż ma wiele wątpliwości. Niestety, dostałem zbyt mały kawałek, aby zorientować się, co z tego będzie, a tym bardziej coś podpowiedzieć, jakoś sensownie skomentować. Ale jednak pozwala mi on na pewną uwagę - refleksję. Wiek XIX odchodzi w zapomnienie i rzadko już jest inspiracją do twórczości literackiej, a przynajmniej coraz rzadziej. A szkoda, bo ten wiek polskich powstań, rozpaczliwego trwania w swojej tożsamości kulturowej Polaków może być bardzo przydatnym tłem współcześnie pisanym powieściom. M.J., jako jedna z nielicznych w tamtych czasach odnajduje historyczne wątki, które stanowią rusztowanie dla jej osobistych powieści. W poprzedniej książce opisała losy swojej antenatki oraz jej romans z Ludwikiem Waryńskim. Teraz sięga po inną historyczną postać, Artura Grottgera. Wiem poniekąd, że Grottger był skomplikowaną, niezwykłą pod każdym względem postacią. Tak, więc, gdy pojawia się w nowej powieści M.J., to zapowiada ciekawy wątek, a jednocześnie potwierdza, iż M. ma dobrą intuicję pisarską. Trzymam kciuki.

Jutro Wigilia Bożego Narodzenie, za kilka dni nowy rok 2020.

Kończy się osiemnasty rok wydawania *Migotań*. Tym razem ten fragment Aneksu już ma zaplanowane miejsce i czas

swojej publikacji, znajdzie się w numerze 4/2019 *Migotań*... W komputerze czeka już roboczy skład, będę nad nim pracował w dni świąteczne, do końca roku pojawić się powinien PDF gotowego pisma w internecie, na stronie Gazety. Przeszedłem chyba definitywnie na inny format. Pa, pa, rozpuście powierzchniovej, w miejsce wielkiego folio A-3 wprowadzam też duży, ale jednak mniejszy format pisma – 32 na 22 cm. Pozwala to wciąż na atrakcyjny skład z udziałem grafiki, choć już bez szaleństw. Plakat też będzie mniejszy. Pocięta dla czytelników – od teraz też pismo dostają w okładce i zszyte. Muszę jednak wyznać uczciwie, że te przemiany to nie efekt mojej niezależnej i przemyślanej zmiany koncepcji pisma. Zmusiła mnie do tego kroku zwykła kalkulacja finansowa. Po prostu mniejszy format to mniejsze koszty druku. A przecież już trzeci rok będę płynął tą łodzią bez wsparcia finansowego ministerstwa kultury i sztuki. Jestem wdzięczny, że Urząd Marszałkowski wciąż mnie nie opuszcza, ale jego wsparcie jest skromne. Przetwarzałem mijający rok tylko, dlatego, że nałożyły się finanse od Marszałka oraz prywatne datki od moich Czytelników. Są osoby, które rytmicznie i regularnie przesyłają na konto pisma datki. Gdyby nie ta pomoc pisma już dzisiaj nie byłoby na polskim rynku piśmienniczym. Jak mam podziękować tym wszystkim osobom? Wszystkie słowa będą niewystarczające. **Żaden gest nie wyrazi istoty wdzięczności jaka należna jest osobom tak wiernym Migotaniom.**

Jest wigilia Wigilii 2019 roku, co przyniesie przyszły, 2020, rok?

ZBIGNIEW JOACHIMIAK

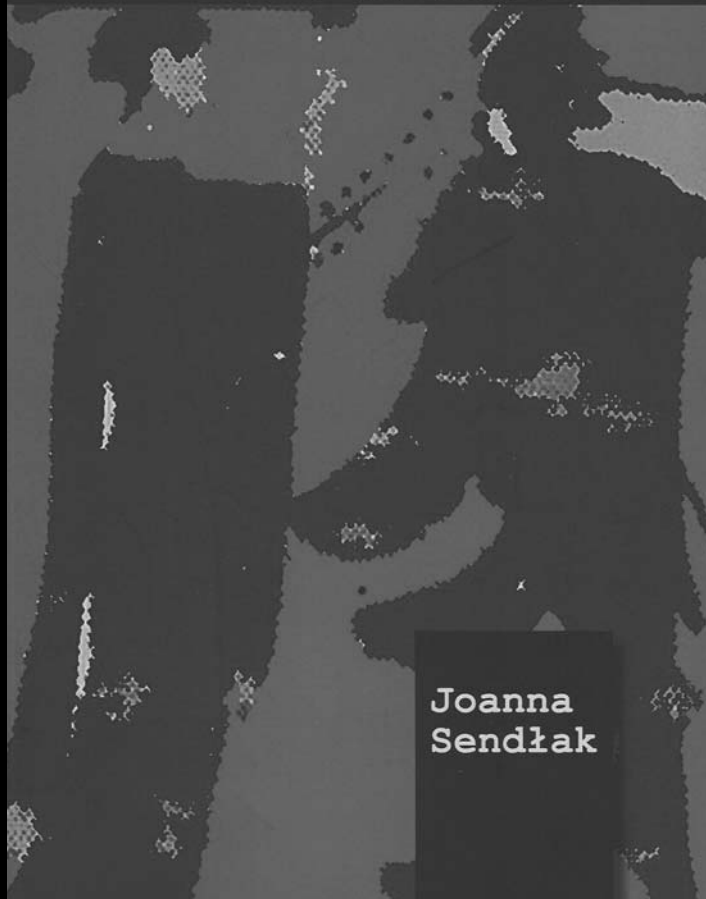
POLECAMY

SKAZANY NA PERYFERIE



BOHDAN WOŹNIAKOWSKI

LABIRYNT



Joanna
Sendłak

Henryk Sekulski

Wiersze z kurzu, popiołu i łez

Przypomnienie Henryka Sekulskiego*

(30 września 1952 – 26 lipca 2011)

Henryk Sekulski, poeta, prozaik, dziennikarz, urodził się we wsi Seroczyn pod Siedlcami, zmarł w Warszawie, w wieku lat pięćdziesięciu ośmiu. Przez całe dorosłe życie czynił sobie wyrzuty z powodu „zdrady”, za jaką uważał porzucenie wsi (czyli wyrzeczenie się chłopskiej tożsamości i przynależnego mu chłopskiego losu) dla wielkiego miasta (z którym nie czuł istotnej moralnej i kulturowej więzi), motywy wykorzenia, obcości, strachu, bólu przemieszania, tęsknoty, pustki i samotności stały się dominującymi motywami jego poezji – przejmująco szczerą liryki konfesyjnej, utkanej z „kurzu i popiołu” wspomnień, z „nadziei przeciwko nadziei”, z łez żalu i skruchy. Dorobek Henryka Sekulskiego to: tomiki „Morgi pokory” (1978), „O cierpliwym wędrowaniu” (1979) i „Jeszcze o wędrowaniu” (1985), wielkopiątkowy poemat medytacyjny „Droga Krzyża” (2010) oraz pośmiertny tom „Przecież jestem. Wiersze zebrane” (2012), zawierający blok utworów nieznananych, w tym dla dzieci; ponadto zbiór opowiadań „Średnia wojewódzka” (1985) i powieści „Dokładam wszelkich starań” (1988) oraz „Przebitka” (2001). MJ-B.

Święto Zmarłych

W żalobną bramę tego święta
powiodą nas:
powagi chłód
i remanenty sumień.

Cmentarz.

Najstarszy z grodów naszych gród
trwa w nas.

Jest w tobie i jest we mnie;
jest w zawodzeniu: Jezu, zbaw,
we łzach bezgłośnych jak kamienie
wciśnięte w szarą zgniółość traw.

Żal przypomina tu, że życie
wciąż się po naszej stronie tli
jak w szeptach słów milczenia znicze,
co rozświetlają wspomnień film.

Zbieramy się, ażeby postać
nad tymi, co na świeczki błysk
z listopadowej wyszli mgły.

Z pogromów,
pobojowisk,
powstań.

Z płaczu,
z cierpienia,
z gorzkich losów.

Odległych krain,
smutnych lat...

Wznosimy rok po roku posąg
krótkiego zamyślenia
nad
śladami naszych ran,
bolesny w przeszłość strachu krzyk.

Do nieobecnych,
wciąż obecnych,
co rozkazali nam tu przyjść.

Listopad

Listopad.
Dawnych błysków zadra.
Rozdrapywanie po niej blizny.
Niech wspomnienia trąbka zagra
hasło – sen.
Niech się znowu wyśni.

Na werblach wybijanym tempem
niesie się smak nazw jak woń prochu:
Iganie, Stoczek, Wawer, Dębe,
Olszynka, Ostrołęka, Grochów.

Szczęk szabel.
Zgrzanych koni para.
Tupot nóg.
Prędeż, coraz prędzej.
To na armaty wali wiara,
co ma od pługą czarne ręce.

W tym zatracenia wielkim pędzie
los nakazuje nie wybierać.
Ten, kto przeżyje, wolnym będzie,
a wolnym jest ten, kto umiera.

Odplywa sen.
Zostaje siny
krajobraz.
Z dala od dróg
las brzóz i sosen, i olszyny
– najbliższy sercu oleodruk.

Ze zwykłych najzwyklejszy landszaft.
Krzykliwych zrywów cichy cmentarz.
Pozabliżnianych dawno ran ślad
tych, co szli umrzeć lub zwyciężać.

W ten pejzaż mocno,
aż po pamięć
wtopieni,
staśmy milcząc chwilę.
Jakbyśmy brali broń na ramię
wytrzymajmy dziejów krwawy sztylet.

Hatif Janabi



Hatif Janabi – poeta, portret wykonał
Zbyszek Ikona - Kresowaty

Urodziny

Modliłem się przed płatkami kwiatu
Wyciągnąłem ręce na kształt krzyża
Potem spojrzałem na stado chmur rozrzuconych przez wiatr
Przekraczane przez skrzydła i dzioby fruujące w przestrzeni
Widziałem grzywkę miłosierdzia i jak rozjaśnia ją płomień
Meteor pozdrawia ogon słońca,
Pączek opierając się na piersiach
Mruknięcie gwiazdki, o której marzyłem w drodze do
miłości
Nagle zauważyłem część siebie
Wysuniętą poza ramką z dala od miejsca
Zamieszkania, którego klucze są pożyczone
Krzyknąłem: Wow ... ku mojemu zaskoczeniu
To była moja ręka
zbierając lilie
na kochanej urodziny

Ręka, która nosiła wczoraj
siekiere lśniącą w ciemności.

Pisanie po polsku

Mówią, nie pisz po polsku.
Nikt Cię nie zrozumie.
Za dużo poetów jest.
Słońce jest nieme a spojrzenia ślepe.
Mówią nie pisz więcej. Usta są do góry nogami
Zawsze słowa spadają z kieszeni chmur.
Mówią nie pisz ty arabie, bez konia, Stepów Krymskich
Bez dzina i proroków. Szeptem tak jak dawniej pisz.

Mój wiersz łzawiąc sięga po chusteczkę
Zaczyna odtwarzać siebie na nowo
w języku nieobecności.

JABLONNA 14. 06. 2019

Grand Central

Siedząc w głębi kawiarni.
Podziękowałem stolikowi i krzesłu
za bezwzajemną gościnność
Podnosiłem toast za uśmiech,
i otwarte wargi chwil.

Patrzę na ramiona siedzącej kobiety tyłem do mnie.
Włosy mówią językiem migowym,
guziki czuwają, a mimo kaszlu
płuca szerzej oddychają.

Patrzę i mówię do moich rąk:
czemu palce drżą a oczy łzawią
na widok niewidzialnej twarzy?

Powietrze pytanie powtarza
a całowanie kochanków w rogu
wysysa mój głos.

BIRMINGHAM, NEW STR. STATION, 14- 06- 2019

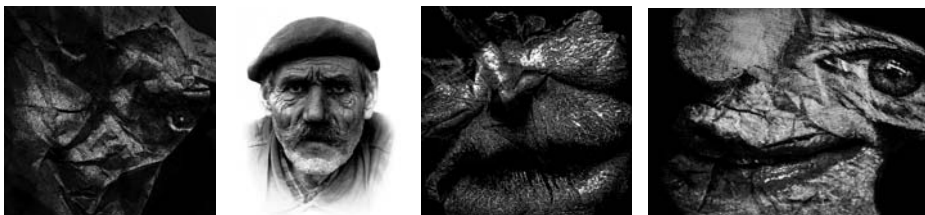
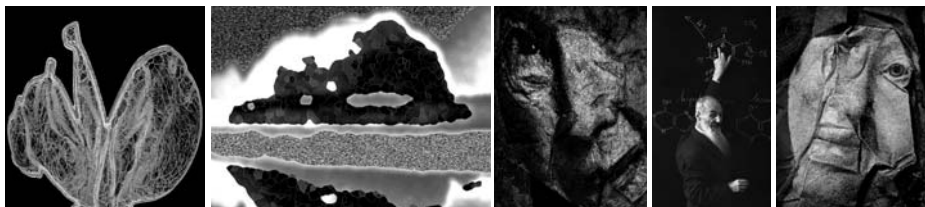
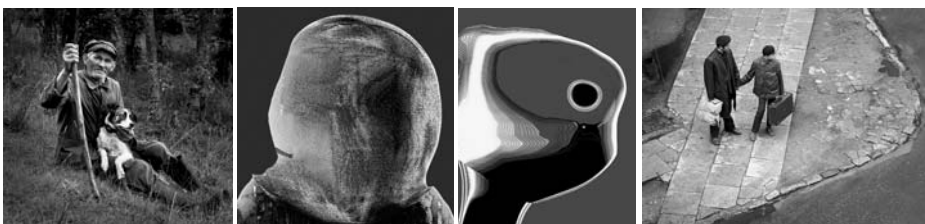
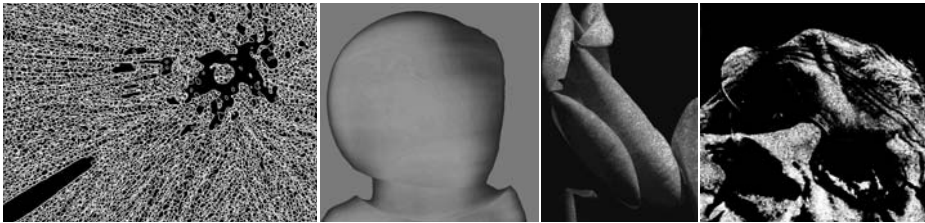
Paznokcie

Tak było, słowa bez światła jęczą
Pod stopami najeźdźców
Opisz góry, doliny, falowanie pocałunków,
fatamorgany żarzących warg.
Każda litera w ustach biegnących dni
jest podobna do złamanego snu,
do wymykającej się struny z dziobu naszego snu.
Każda chwila to nadzieja wypluta i spływająca w
powietrza otchłani,
między jednym i drugim odwołanym przystankiem
Nie jestem siodłem Ikara, ani dzikim westchnieniem
ginących plemion.
Moje ramiona są na miarę świata,
mój cień wędruje w mgłę miłosierdzia
Tak nie ma mnie nawet na powierzchni
wyrazów dwuznacznych.
Jestem niewidzialnym śladem, testamentem
napisanym w języku Elfów tak głęboko tkwiącym
pod pulsem
światła Pod paznokciami gwiazd.

BIRMINGHAM, 15-06-2018

W numerze fotografie i grafiki prezentuje Erazm Wojciech Felcyn

Erazm Wojciech Felcyn - (1946), artysta fotografik specjalizujący się w fotografii społecznej („Portrety kaszubskie”, „Ludzie Tamtego Czasu”, „Bliscy Nieznajomi - SOPOT 70”), a także realizujący projekty z pogranicza fotografii klasycznej i grafiki cyfrowej („INWAZJA - subiektywny portret śmieci”, „Rosarium”, „Synthesis”, „Wyspy Szczęścia”, „Fantasmagorie”, „Anatomia Apokalipsy”). Wziął udział w blisko dwustu wystawach na całym świecie.



Zasady współpracy z autorami

w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 7411602202000000170195866

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 4 (65) 2019

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Dział PR: **Adam Buszek**

Dział tekstów, redakcja i korekta: **Agata Foltyn**

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa),**

Andrzej Wołosewicz (Warszawa),
Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Stale współpracują:

Anna Frajlch (Nowy Jork),

Adam Majewski (Gdańsk),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

ks. Jan Sochoń (Warszawa),

Leszek Szaruga (Warszawa),

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Roman Warszawski (Gdynia),

Marek Wawrzkiwicz (Warszawa),

Kryszyna Śmiechowicz (Łódź),

Zofia Beszczyńska (Warszawa),

Stawomir Majewski (Miechów),

Leszek Żuliński (Warszawa)

Redakcja niekoniecznie podzieli poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltox Jolanta Rakowska

Wydawca: Fundacja Światło Literatury

Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,

ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk

tel. 782-022-502

601-840-302

joa@migotania.pl

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



WYPRASOWANIE (30)

Niemal natychmiast po objęciu stanowiska premiera Mateusz Morawiecki ogłosił urbi et orbi, że mianowicie jednym z jego celów podstawowych jest ewangelizacja Europy, która jakoby zupełnie już zapomniała o swych chrześcijańskich korzeniach. Na razie te ambitne plany skupiły się na ratowaniu rodziny jako wartości podstawowej, czemu dał wyraz w wywiadzie udzielonym czasopiśmie „Sieci” (nr 47/2019) a zacytowanym złowieszczo „Mamy plan jak dalej wygrać”. Powiada w nim: „Raz jeszcze podkreślę, jak powiedział prymas Stefan Wyszyński, rodzina to jest bastion całego narodu. Nie wiemy także, do czego ta atomizacja społeczna na Zachodzie, wynikająca ze stabilności rodziny, doprowadzi za 20 czy 30 lat. To bardzo wrażliwe kwestie, tu nie może być miejsca na eksperymenty. Dwa największe wynalazki człowieka – rodzina i państwo – wymagają troski i ochrony. Musimy to robić, choć nie uważam, żeby to był jakiś spisek. Raczej niedobre, sekularyzujące trendy, którym można i trzeba przeciwdziałać. Nie są to trendy nieodwracalne, nie jesteśmy sami w Europie w naszych odczuciach. Dostrzegamy wielu sojuszników i w Hiszpanii, i we Francji i w państwach naszego regionu”. Ale zapomniat chyba Morawiecki, choćby z bliskich mu doświadczeń, że rodzina to niekoniecznie małżeństwo. Konstytucja polska powiada, że małżeństwo tworzą mężczyzna i kobieta, zaś prezes Kaczyński dorzuca do tego dzieci i postuluje, by związek taki był trwały. Rzecz w tym, że coraz częściej nie jest. I nawet pomijając konteksty związane ze zwalczaniem potworem Dżender (swoją drogą postulowałbym związek religijny wyznawców Dżendera na wzór sekty wierzącej w Latającego Potwora Spagetti) warto zwrócić uwagę na coraz bardziej rozpowszechnioną i nie objętą definicją kluczową formułę rodziny paczkowej, w której ogniwami wiążącymi stają się dzieci z pierwotnego małżeństwa oraz dzieci z kolejnych małżeństw byłych małżonków tworząc pospołu z rodzicami daleki od tradycyjnego modelu bastion całego narodu. Podejrzewać zaś można, że – póki w trosce o zachowanie tradycji Partia nie zabroni rozwodów, a ty bardziej powtórnym małżeństw – taki wzorzec rodziny zyskiwać będzie rosnącą popularność. Ale nie można też wykluczyć, że z odsieczką przybędzie kardynał Robert Sarah zachowujący stanowisko prefekta Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, który ostatnio odwiedził Polskę, o czym pisze w artykule „Strażnik doktryny” Tomasz Rowiński na łamach „Do Rzeczy” (nr 48/2019), zaś redakcja powiadamia na okładce, że „kardynał Sarah widzi w Polsce Strażnika chrześcijańskiej Europy”. Cytując hierarchę pisze autor: „Gwinejski kardynał podczas konferencji, która miała miejsce 14 listopada w Sekretariacie Konferencji Episkopatu Polski, zostawił też przesłanie bezpośrednio skierowane do Polaków: „Trzeba trzymać się mocno doktryny, wielowiekowego nauczania Kościoła, które jest niezmienne. Nie ma zbawienia, ocalenia, jeśli człowiek nie trzyma się mocno Objawienia i doktryny. Kościół nie ma przyszłości, jeśli nie będzie się modlił. Żaden człowiek nie ma przyszłości, jeśli się nie modli. Chciałbym wam powtórzyć to samo: trzymajcie się mocno nauczania Kościoła i módlcie się”. Zatem: trzymajmy się mocno”. Więcej: Trzymajmy straż!

O kłopotach Kościoła pisze na łamach „Tygodnika Powszechnego” (nr 48/2019) czeski ksiądz i teolog Tomáš Halík w przełożonym przez Tomasza Dostatniego OP

szkicu „Czas burzy”: „Dzisiejsza sytuacja Kościoła katolickiego uderzająco przypomina stan tuż przed wielką schizmą zachodnią. W naszych czasach wiarygodnością Kościoła zachwiała fala odkrywająca seksualne nadużycia, a także psychologiczne i duchowe manipulacje ze strony kleru. Ukazało się zło w wielkim wymiarze, o którym nikt nie miał dostatecznego wyobrażenia. Wydaje mi się, że przypadku nadużycia zaczynają odgrywać taką samą rolę, jaką odegrał skandal handlu odpustami w średniowieczu. Także wtedy wielu uświadomiło sobie głębsze korzenie tego skandalu, to znaczy połączenie Kościoła ze światem władzy i bogactwa oraz oddalenie się od Chrystusowej Ewangelii. Ponieważ autorytety Kościelne tamtej doby nie rozpoznały w odpowiednim czasie konieczności reformy, doszło do schizmy, która tragicznie zaszkodziła wiarygodności obu gałęzi chrześcijaństwa. Stało się to jedną z przyczyn sekularyzacji Europy. Dzisiaj Kościół dzieli się na tych, którzy wspólnie z papieżem Franciszkiem widzą klucz do rozwiązania w tym, aby przekroczyć postawę klerikalizmu, i na tych, którzy powagę tego starania bagatelizują. A w przypadkach nadużyć seksualnych chcą widzieć tylko upadki jednostki i boją się zmian strukturalnych. Wydaje im się, że współczesna burza przeminie i powrócimy do stanu, który był przed nią. To jest wielka i niebezpieczna iluzja. Bezczyńność i odwracanie uwagi od wewnętrznych przejawów (jak jesteśmy tego świadkami w historycznej kampanii przeciwko teorii gender) może prowadzić nie tylko do schizmy wewnątrz Kościoła, lecz także do utraty wiarygodności samego chrześcijaństwa”.

Ale zagrożenie jest poważniejsze niż mogliśmy przypuszczać i zwraca na nie uwagę Justyna Sobolewska w artykule „Nobel wiecznie antypolski” opublikowanym w „Polityce” (nr 48/2019). W szczególności zwraca ona uwagę na wypowiedź dotyczącą twórczości Olgi Tokarczuk: „Ukoronowaniem prawicowego „świątowania” Nobla dla autorki „Książ jakubowych” był tekst księdza Jerzego Szymika w „Gościu Niedzielnym”. Krytyk literacki w sutannie (a zarazem poeta i profesor nauk teologicznych) uznał Tokarczuk za pisarkę antychrześcijańską: „Jest w tych książkach coś, co każe mi – chrześcijaninowi, księdzu katolickiemu, teologowi – napisać: nie ma zgody. Na co? Na powrót do pogaństwa”. Twórczość Tokarczuk to dla Szymika „w warstwie ideowej apoteoza neopogaństwa – fascynacja mitami, astrologią, ezoteryką, zdolnościami parapsychologicznymi, wizją politeistyczną, przedchrześcijańską właśnie, poddaną rytmom księżyca i krwi, magii, wizją „naturalnie” pogańską. Wracają bogowie. A z nimi ciemność i przerażenie. Oręż w rękach wielu w walce z kościelną wiarą w Chrystusa. Wiem, co piszę: czytam i oglądam, widzę i słyszę, czuję i myślę”. To wszystko groźne, powrotem do pogaństwa był narodowy socjalizm – dowodzi ksiądz Szymik, tym samym porównując twórczość Tokarczuk do faszystów”. Nie wykluczalbym, że jak podobne osądy zaczynają się kumulować, skończy się to – w ramach polskiej tolerancji – bądź wyrzynaniem herezyków tak jak to czynił Stefan Czarnecki z arianami, bądź owych herezyków, jak niegdyś Braci Polskich, wygnaniem

z kraju, co przynajmniej pozwoli im znaleźć przytulisko na (od zawsze) zgniłym Zachodzie.

O tym, że Zachód jest zgnity ze swadą przekonuje we wstępie do przytaczanego tu już numeru „Do Rzeczy” Paweł Lisicki konsekwentnie zwalczający Donald Tuska. Pisze mianowicie: „Dlaczego partie, które kiedyś nawiązywały do dziedzictwa chrześcijańskiego, które miały własne ambicje, potrafiły nawet przeciwstawić się dominacji lewicy, dziś tak kompletnie skapitulowały? Powodów jest wiele. Pierwszym jest kryzys instytucjonalnego chrześcijaństwa, szczególnie Kościoła katolickiego. Nie znajdując w nim wyraźnego oparcia, nie musząc liczyć się z jego nauką i wymaganiem, partie chrześcijańskie zaczęły szybko dryfować, zawierając coraz bardziej pragmatyczne kompromisy i układy, tak że ostatecznie przekształciły się w partie statu quo. Zachowanie władzy pojmowane jako administrowanie stało się dla ich liderów najważniejszą wartością. Istotniejszą niż obrona prawa naturalnego, posłuszeństwo tradycji, ochrona odziedziczonych norm. Drugim czynnikiem były coraz częstsze przypadki sojuszy formacji prawicowych i socjalistycznych. Okazało się, że to postępowi intelektualni zaczęli narzucać wizję świata, przyjmowaną również przez cierpiących na utratę tożsamości prawicowych polityków. Pragmatyzm stał się ideologią. Trzecim czynnikiem wreszcie był wzrost radykalizmu po stronie lewicy. Stały nacisk świadomych swej siły ideologów oraz poparcie mediów, systematycznie przemieszczających się ku lewicy, zrobiły swoje. Większość polityków reprezentujących dawne partie prawicowe uznała, że walka ideologiczna, spór światopoglądowy, wojna kulturowa zostały już rozstrzygnięte. Przyszłość w ich mniemaniu należy do lewicy. Nic nie da się z ty zrobić, a próby przeciwstawiania się lewicowej dominacji to trud syzyfowy. Jedyną zatem, co pozostało, to krok po kroku wycofywać się na z góry upatrzone pozycje, przyjmując samemu te rozwiązania, których domaga się lewica. Dlatego w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat większość partii prawicowych zaakceptowała ustawy zezwalające na aborcję i eutanazję, podobnie jak na redefinicję małżeństwa. Podobnie idea powstania multikulturowego i multietnicznego społeczeństwa europejskiego, mimo że zrodzona w głowach komunistów i radykałów, na dobre zagościła w umysłach liderów partii rzekomo prawicowych. Zamiast Europy ojczyzn głoszą już teraz projekt państwa federalacyjnego”.

Koszmar jakiś! Nadzieja w tym, że premier Mateusz Morawiecki pod światłym przewodem prezesa Kaczyńskiego da temu należyty odpór w rytmie wierszy Wojciecha Wencła.

LESZEK SZARUGA



Zofia Maria Smalewska

STOCZNIA GDAŃSKA - 1970 ROK (WSPOMNIENIA)

PROZA

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. W pracy miałam sporo zaległego urlopu, który latem obiecałam sobie, że wykorzystam, jak mąż wróci z długiego rejsu, a jesienią, ponieważ rejs męża znacznie przedłużył się, że wezmę urlop w grudniu, na święta.

Gdy doczekałam się wreszcie od męża potwierdzenia, że jego statek na pewno po 12 grudnia zawinie do gdyńskiego portu, udałam się do mojego zwierzchnika - naczelnika gminy.

- Panie naczelniku, wreszcie wraca z rejsu mój mąż. Plan wykorzystania urlopów na ten rok przez pracowników będzie mógł pan spokojnie zamknąć.

- Chciała pani powiedzieć: bez potrzeby tłumaczenia się w powiecie, pani Zosiu? No to, powiem szczerze, kamień z serca, bo już miałam rozmawiać z panią na ten temat. Całe trzy tygodnie, prawda? Dobrze pamiętałam...? Będzie go pani spędzać w Gdyni?

- Na razie chcę z synkiem pojechać do Gdyni i przywitać męża powracającego z rejsu statkiem m/s Konopnicka. - Nazwę statku wymieniłam, by uwiarygodnić potrzebę rozpoczęcia urlopu od dwunastego grudnia. O powrocie z rejsu tego statku w tym dniu informowało w rozmaitościach lokalne radio.

Przygotowując się do wyjazdu i pakując walizkę, słuchałam muzyki. Tomaszek smacznie spał w łóżeczku i niewiele go obchodziło, o czym mówią w drewnianym pudełku, z którego raz dochodzą odgłosy ludzkiej mowy, a innym razem płynie usypiająca muzyka.

Ani dokładnej godziny, ani że jest dwunasty grudnia, spiker przerywający mi słuchanie muzyki nie musiał mówić, bo rozpoczęty urlop zakodował to dobrze w mojej pamięci. Że przyjdzie mi jednak zakodować sobie inne, istotne wspomnienia, tego się nie spodziewałam.

Spiker nakazywał skupienie uwagi i wysłuchanie przemówienia I sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzysza Władysława Gomułki. Informował, że jednocześnie transmitowane ono jest w telewizji.

Nie miałam czasu na politykę. Zresztą w tym czasie nikt z nas na nią nie miał. Jeśli coś szczególnego się działo, to było o tym głośno wszędzie, ale musiało to dotyczyć partii, narodu i naszych przywódców. Czasami jakiegoś ważnego wydarzenia z poza Polski, dotyczącego jakiegoś dramatycznego kataklizmu.

Z polityki?... Nawet nie bardzo wiedziałam, czy jest coś takiego jak polityka. To było raczej słowo dla tych, co mieli do czynienia z władzą, z jakimi ważnymi funkcjami społecznymi. Ważniejszymi niż mój szef w urzędzie gminy. Gmina na pewno nie zajmowała się polityką. Gmina realizowała zadania partii przekazywane z powiatu, przez sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej.

Tymczasem spiker użył dreszczowego dla mnie określenia, powiedział, że w ostatnich dniach polityka państw zachodnich wobec Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zaostrzyła się. I że zagraża ona bezpieczeństwu obywateli. Przywódca naszego narodu jest do głębi poruszony wydarzeniami politycznymi

na Zachodzie, z których jawnie wynika, że imperializm usiłuje wnieść ferment w naszym obozie państw socjalistycznych. Imperialiści sieją niepokój, dlatego partia zmuszona jest, czasami kosztem obywateli, do podejmowania radykalnych środków, dających odpór wrogim siłom kapitalistycznego bezprawia.

Matko Boska! Co to się dzieje? - przysiadłam przy odbiorniku radiowym.

Władysław Gomułka, który zawsze sprawiał na mnie wrażenie trochę prymitywnego działacza terenu, i którego wyjątkowo nie lubiłam, oczywiście czyniąc to skrycie, bo nie daj Boże mógłby ktoś na mnie donieść do sekretarza partii, lub mojego szefa, krótko pochwilił groźnie brzmiące informacje spikera, po czym przeszedł do sedna sprawy. - Zapowiedział podwyżki cen na wiele towarów i produktów spożywczych. Ceny rosną średnio około 35%.

Miały one objąć aż 45 grup artykułów, głównie spożywczych, w tym: mięso, makaron, chleb oraz wszystkie artykuły przemysłowe. Drożają głównie artykuły codziennej konsumpcji, pogarszając przede wszystkim sytuację najuboższych i młodych ludzi wchodzących w dorosłe życie, tak jak moje.

Nie lubiłam przemówień Gomułki więc szybko wyłączyłam radio, nie słuchając już... jego politycznych uzasadnień. Zde nerwowana uwinęłam się z pakowaniem siebie i dziecka nad podziw szybko. W listach od męża, które docierały raz w miesiącu, dowiedziałam się, że święta Bożego Narodzenia spędzimy w Gdyni, ponieważ będzie on miał dyżur, to znaczy wachłę na statku, w okresie świątecznym. Pracował wtedy w PLO na stanowisku kucharza i zamustrował się na wspomniany już statek m/s Konopnicka.

O godzinie dwudziestej pierwszej dotarłam z bagażem, wózkami i Tomaszkiem na Witomino do moich rodziców Marii i Kazimierza. Tłok w pociągu był masakryczny, całą podróż przestałam z dzieckiem na korytarzu. Wśród podróżnych hucztało o podwyżkach, ludzie zrobili się nieuprzejmi i agresywni. Wołałam więc z pokorą znieść niewygody podróży, niż rozpychać się za jakimś wolnym miejscem.

W domu o niczym innym już się nie mówiło, jak tylko o wystąpieniu Gomułki i... fermentie wśród robotników stoczni. Zaraz po przyjeździe dowiedziałam się, że stoczniowcy szykują się do strajku. Atmosfera była napięta, bo mój przybrany ojciec Kazimierz był przecież pracownikiem stoczni Gdańskiej.

Gdy zobaczyłam, jak mama do jego teczki wkłada dodatkową bieliznę, skarpetki i przybory toaletowe, też wpadłam w panikę. - A ten strajk to coś obowiązkowego, musisz w nim wziąć udział - zapytałam, wykazując się sporą niewiedzą na temat wartości, których ojciec postanowił bronić wraz z innymi stoczniowcami. I to... - jak się dowiedziałam - dla mnie, w interesie mojej przyszłości i przyszłości moich dzieci, a jego wnuków.

Ojciec miał zawsze daleko posunięte poczucie odpowiedzialności za swoje czyny więc mu uwierzyłam. Jednocześnie przy tym, zawsze gdy musiał zrobić coś kontro-

wersyjnego, coś, co nie do końca było przez innych domowników zrozumiałe, znajdował czas, by wyłuszczyć swoje argumenty, rozwiać niepokój i upewnić nas w tym, że to jest dobre rozwiązanie. - Tym razem było to nie tylko dobrym, ale jedynie rozsądnym rozwiązaniem - jak nam powiedział.

Rodzice byli bardzo przygnębieni zaistniałą sytuacją. Przy czym mama, jak zwykle w takich sytuacjach, gdy rodzinie zagrażało jakieś niebezpieczeństwo, wszechobecną troską otaczała wszystkich. - Nie martwmy się na zapas. Może nie będzie tak źle i wszystko rozejdzie się po kościach.

- Mania masz rację. Po kościach się rozejdzie, jak milicja użyje pałek i spuści strajkującym wpięrdol.

- Oj Kazek, Kazek! Ładnyś ty, ale głupi. Jak tak można?! Nie denerwuj nas, zajmij się lepiej Tomaszkiem, bo musimy z Zosią przygotować wam coś do zjedzenia...

Wieczorem przyszedł do ojca kolega ze zmiany. Przeszli do pokoju, ale drzwi zostawili otwarte. Nosząc zasiany w sobie niepokój podstuchiwałam trochę, o czym rozmawiali. - Nie ma co się przejmować, Kazik. Wiem od tych, co służą partii, że władza komunistyczna liczy na to, że niezadowolone z podwyżek ucichnie. Argumenty przekazywane w telewizji powinny przekonać społeczeństwo i pogodzi się ono wkrótce z nowymi cenami...

Stało się jednak inaczej. Ojciec 13 grudnia wyszedł do pracy wcześniej rano, aby zdążyć na autobus linii 103. Przed wyjściem przyszedł kolejno do każdego z nas, jak leżeliśmy jeszcze w łóżkach, i ucałował mocno. Najdłużej tulił Tomaszka, który właśnie się obudził i dopominał głośno o swoją butelkę kaszy mannej.

Odchodząc, zrobił znak krzyża i wypowiedział „Bóg z wami, kochani!”.

Tato zapewne wiedział dużo więcej, niż podstuchiwałam w jego rozmowie z kolegą, która wieczorem trwała dość długo i przeniosła się jeszcze na jakiś czas poza obręb pokoju, do werandy.

Po pracy i zakończonej zmianie już nie wrócił do domu. 14-go grudnia 1970 roku strajkowali robotnicy gdańskiej Stoczni im. Lenina. Mama z sąsiadką poszły rano przed dziewiątą pod stocznnię, aby podać strajkującym ciepłą kawę i kanapki. Stocznia była jednak zamknięta dla przychodzących z zewnątrz.

Około godziny dziesiątej rano przed budynkiem stoczni rozpoczęła się wiec, w którym wzięło udział około 3 tysięcy robotników domagających się zniesienia podwyżek i zmian personalnych w kierownictwie partii.

Kiedy nikt z władz nie podjął rozmów ze strajkującymi, uformowali oni pochód i udali się pod gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Zebrani przed gmachem KW demonstranci wybrali delegację, która weszła do budynku, żeby przedstawić swoje żądania.

Mama wróciła do domu późnym popołudniem, opowiadając nam o całej tej sytuacji. Była zniechęcona i głodna. Podałam jej ciepłą polewkę i grubą pajdę chleba z masłem. Niedługo po tym do okna zapukał kolega taty z wiadomościami.

- Kazimierz został w stoczni, ja uciekłem pod płótnem od sterowni. Była tam dziura. →

→ Dobrze, że jestem taki chudy... – W kołchoźniku na placu stoczni podali po szesnastej, że aresztowano delegatów i doszło do pierwszych starć z policją. Rozpoczął się ostry szturm gmachu KW, w którym zostały powybijane szyby. Spalono drukarnię. Kazek jest tam w środku. Więcej nie wiem, bo udało mi się uciec.

Późnym wieczorem do domu przyszedł mój mąż, który po rozliczeniu się u armatora dostał trzy dni wolnego. Ucieszyłam się tym bardzo, że w tej trudnej sytuacji będzie razem z nami. Mężczyźni mieli jednak swoje plany. Rano mój mąż, brat Janusz i dwaj szwagrowie Heniek z Włodkiem oznajmili, że idą pod stocznnię.

– Czy wam rozum odjęto? Macie rodziny i małe dzieci. Czym chcecie wojować? Nie starczy wam, że nie wiemy, co się dzieje z ojcem!? – Ostry ton matki przyhamował zapęd młodych mężczyzn.

– Mama, a może właśnie ojciec potrzebuje naszej pomocy? – zaczął mój brat Janusz.

– Oni tam się leją i każdy kamień może się przydać – wtórował mu Heniek.

– I każdy tom – przekonywał mój mąż. Kazik znany był ze swojego porywczego charakteru i... nie żartował. Wsparł go w tym szwagier Włodek, wojskowy zawodowy. – My we dwóch pójdziemy na stocznnię, a Heniek z Januszem niech pilnują kobiet i dzieci...

Po południu zamieszki przeniosły się poza stocznnię. W centrum Gdańska w manifestacjach uczestniczyło już kilkanaście tysięcy osób. Przeciwko manifestantom skierowano większe oddziały MO i wojska, które użyły petard i gazów łzawiących.

Słyszając o tym w radiu, truchlałyśmy z mamą ze strachu o ojca. Dalsze powstrzymywanie w domu naszych najbardziej krewkich panów było nie lada sztuką. W końcu Włodek wezwano do jednostki, co mój krewki mąż wykorzystał, by wyjść razem z nim. Pojechał kolejką z niby to „wałówką dla teścia”.

Sytuacja z godziny na godzinę się pogarszała, pomimo że do Gdańska przyjechali przedstawiciele władz na czele z Alojzym Karkoszką, Stanisławem Kociołkiem i generałem Grzegorzem Korczyńskim z MON.

Przedstawiciele władz partyjnych nie podjęli żadnych rozmów z wytonioną przez strajkujących reprezentacją. Siły porządkowe do późnych godzin nocnych brutalnie rozpraszały tłumnie strajkujących w różnych rejonach miasta.

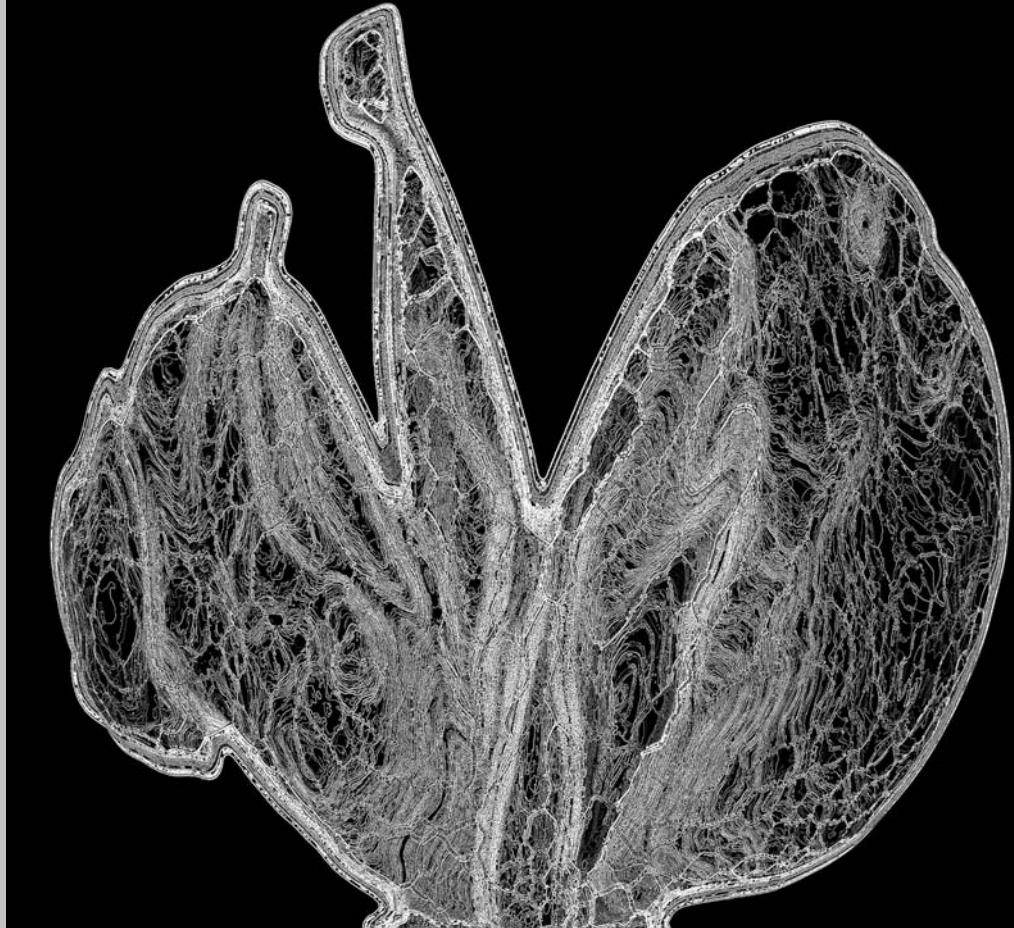
Jak nas informowali przez radio i telewizję, do starć dochodziło głównie pod budynkiem KW, Dworcem Głównym i na Watach Piastowskich. W niektórych miejscach podpalono samochody i kioski z gazetami. Masowo wybijano szyby wystawowe. Padły wtedy pierwsze strzały. Setki osób zostało pobitych i zatrzymanych.

Kazik - mój mąż wrócił po północy w opłakanym stanie. Miał porozdzierane ubranie, wybity kciuk i rozbitą głowę. Obrażenia te i liczne krwawe otarcia na twarzy same mówiły za siebie, co tam się działo.

Dobrze, że nie zginął – rozplątała się moja matka. – Spokonałeś się z ojcem? Co z nim, nie wiesz? Nie dowiedziates się? Gdzie on teraz się podziewa? – pytali pozostali.

Kazik nie wiedział. Nie spaliśmy do samego rana. Rano w drzwiach stanął ojciec. Przemarznięty, głodny, bez teczki i piaseczka. Złapał go, gdy pomagał na ręcznym powielaczu drukować z kolegami ulotki i odezwy. Miał wielkie szczęście, gdy ich wyprowadzano, że stojący na bramie strażnik był kolegą z wojska.

Strażnik zastąpił go na chwilę, każąc mu wpięć pochylić się i odskoczyć w bok, za



Erazm W. Felcyn z kolekcji „Fantasmagorie” (2017)

skład węglowy przy bramie. Ze stoczni do Gdyni przyszedł piechotą.

15 grudnia strajki wybuchły w Gdyni, Słupsku, Szczecinie i Elblągu. W Gdańsku na ulicach pełno było samochodów jednostek milicyjnych. Zarządzono podwyższony stan gotowości bojowej w lokalnych jednostkach wojskowych, a oddziały wojsk wewnętrznych wyprowadzone zostały z koszar, z możliwością wprowadzenia w każdej chwili do akcji. W naszym domu wciąż brakowało jeszcze szwagra Włodeka, męża mojej siostry Krysi.

Każdy kolejny dzień przynosił złe wieści. Większość z nich przekazywano sobie pocztą pantoflową, gdyż media w lakonicznych komunikatach starały się sprawy tuszować, a nawet bagatelizować.

17 grudnia 1970 roku, który potem nazwano „czarnym czwartkiem” był jednym z najgorszych dni w całym tym okresie. W tym dniu rodzina – oprócz szwagra Włodeka, który nadal przebywał w jednostce wojskowej – była razem.

Władze zdecydowały się do stłumienia strajków robotników wykorzystać wojsko. Doszło do starć ulicznych, w wyniku których wiele osób zostało poszkodowanych i zabitych. Rano, na przystanku SKM-ki Gdynia Stocznia oddziały Milicji Obywatelskiej ostrzelały tłum pracowników Stoczni im. Komuny Paryskiej. Według ustaleń prokuratury, jak podały później gazety, śmierć poniosło 10 osób.

Na ulicach Słupska i Elbląga wciąż trwały demonstracje. W Szczecinie liczba ofiar śmiertelnych wyniosła szesnaście osób, wśród których było wiele młodzieży oraz przypadkowo tam znajdujących się osób. Wśród zabitych i rannych byli dwaj moi serdeczni koledzy ze szkoły: Maciek Pipka i Stefan Kownacki - studenci szczecińskiej Akademii Rolniczej. Maciek zginął od kuli, a Stefek stracił nogę, którą po postrzale trzeba było mu amputować. Miał wówczas 23 lata.

Pod koniec dnia władzy komunistycznej udało się przy użyciu siły stopniowo opanować strajki i demonstracje na Wybrzeżu. Stocznia Gdańska została szczelnie otoczona

na przez wojsko. Ostatecznie we wszystkich miastach na Wybrzeżu strajki wygaszono 22 grudnia. Stocznie i porty Gdańska oraz Gdyni nie pracowały. We wszystkich miastach objętych zamieszkami, obowiązywał stan wyjątkowy i godzina milicyjna. Liczba ofiar Wybrzeża zamknęła się cyfrą 41 osób.

Po tych wydarzeniach mój ojciec Kazimierz dostał specjalną przepustkę – wejściówkę na teren stoczni. I przesunięto go do straży portowej. A mój mąż, też za okazaniem podobnej przepustki, mógł w godzinie milicyjnej udać się do pracy na statek.

Mimo nadchodzących świąt, nastrój w domu daleki był od świątecznego. Panował smutek, a może i strach o rodzinę, o ojczyznę, o najbliższą przyszłość. Pierwszy raz nie było choinki przynieszonej zawsze przez ojca z lasu na Witominie. Mama z Krysią zrobili tylko stroik na stół wigilijny, z gałązek jałowca, jaki rósł w naszym ogrodzie, z zasuszonej jarzębiny i kilku małych bombek choinkowych.

W dniu 23 grudnia moi biologiczni rodzice: mama Janka i tato Józef dojechali pociągiem ze Słupska, przywożąc pyszny makowiec i blachę drożdżówki. Nie robiąc zakupów świątecznych, mieliśmy rybkę zakupioną wcześniej na Hali w Gdyni, śledziki i sałatkę z warzyw z ogródka. Atmosfera poprawiła się na krótki czas podczas samej wigilii, gdy przybrany mój ojciec Kazimierz starym zwyczajem złożył wszystkim życzenia świąteczne i przełamałmy się opłatkiem.

Śpiewanie kolęd rozpoczęła mama Maria. Jej czysty, aksamitny sopran, gdy zaśpiewała „Lulajże Jezuniu”, dźwięczał niczym dzwoneczki przy saniach świętego Mikołaja. Śpiewaliśmy kolędy i pastorałki, jakie każdy z nas znał od dziecka.

Prezenty w wielkim worku po macie przyniósł tajemniczy Mikołaj, były wszystkie własnoręcznie zrobione przez obie mamy, w postaci ciepłych skarpetek, szalików, zimowych czapek oraz woreczków dla dzieci, z pierniczkami wewnątrz własnoręcznie przez nie lukrowany.

Każde z nas pragnęło, aby ten rok jak najszybciej się skończył i... żeby w najbliższym czasie nastąpiła stabilizacja życia w kraju.

ZOFIA MARIA SMALEWSKA

Maciek Froński

Etruskowie

Idę przez Polskę. Piękna zima...
To fetysz granic mnie tu trzyma?
Nie ma Tuwima i Leśmiana,
A kiedyś byli – zaszła zmiana.

Nie stąpam pewnie, a jedynie,
Nie jak po fali czy po linie,
Człapię przez pejzaż lodem skutym,
Upadnę – ściągną ze mnie buty.

Miał memu zdrowiu spacer pomóc,
A może jednak lepiej w domu?
Gdzieś tańczą ludzie, prawie goli,
Ale czy taniec to chocholi?

Tego nie widzę. Nie zobaczę.
W domu menuet z pogrzebaczem –
Znowu cholernie mokre drzewo,
Wywijam zatem w prawo, w lewo...

Będziemy jak ci Etruskowie
(Zbyt wiele o nas nikt nie powie),
A nasze kody i sposoby –
Jak te ich wróżby, te z wątroby.

Idę przez Polskę. Piękna zima...
Ciekawe – długo się utrzyma?
Wszystko przykrywa śniegu postaw –
Co wyrzrzy, kiedy przyjdzie wiosna?

KATOWICE, 3 GRUDNIA 2017 ROKU

Nardelli

Pewnej czerwcowej, skwarnej niedzieli
Idzie się kąpać chłopiec Nardelli
W Narwi –
I wnet się zdaje wiejskim dziewczynom,
Że Narew jego usta na sino
Barwi.

Dziewczyny patrzą się w jego stronę,
Same niezgrabne, lecz zachwycone
Chłopcem,
Ale ten chłopiec inne ma gusta,
Są dlań dziewczyny jak woda w ustach –
Obce.

Chce tchu zaczerpnąć – daremna sprawa,
Próżno rękoma wodny rozkrawa
Ugór,
A starzy mówią, że to na opak,
Że to nie w Narwi topi się chłopak –
W Bugu.

MIKOŁÓW, 30 MAJA 2018 ROKU

Burza przeszła, kot zasnął...

Tomkowi Fiałkowskiemu

Burza przeszła, kot zasnął, ktoś kaszle gruźliczo,
Kończy zaś z wolna koncert swój rura spustowa...
Wychynawszy przez okno, na niewiele licząc,
Wypatruję poezji na dachach Krakowa.

Tu zgaszono w mansardzie – może kochankowie?
Tam wciąż się pali światło – ktoś czyta Schillera?
Wyszedł księżyc i srebrem cię pokrył, Krakowie...
O, przepraszam, na „ty” już nie jesteśmy teraz...

KATOWICE, 5 WRZEŚNIA 2018 ROKU

Obrona listopada

Tak, w listopadzie także bywa ładnie,
Gdy słońce świeci z bezchmurnego nieba,
Rudy kobierzec leży w lesie na dnie,
Widać gałęziom liści już nie trzeba,

Choć tu i ówdzie został płatek złota...
Coś się skończyło i coś się zaczyna,
Czas nitkę życia na kołowrót mota,
Lecz najpiękniejsza jest wtedy buczyzna.

MIKOŁÓW, 11 GRUDNIA 2018 ROKU

Wygnanie z Raju

Nago, piechotą, bez żadnych wygod
Szli Adam z Ewą szosą na Mrzygłód,
A szosa była stara, dziurawa
Ale czy wiosna była niemrawa?
Kwitły już drzewa w pogórskich sadach,
Lecz było zimno i deszczyk padał.

Szli bez wytchnienia, szli coraz dłużej,
Spływała woda po gołej skórze.
Byli zmęczeni, mieli odciski,
Wcale się Mrzygłód nie stawał bliski,
Lecz jedne były z tego pożytki –
Przecież nie zmokli do suchej nitki!

MIKOŁÓW, 12 LUTEGO 2019 ROKU

Michał Frąckiewicz

EPOKA PLASTIKU

Symbolem XXI wiecznego antropocenu jest wybrzeże pokryte plastikowymi odpadkami. Zestawienie wytworu uosabiającego sztuczność z harmonią przyrody budzi dreszcz obrzydzenia. Nie ma w tym uroku ekologicznej katastrofy minionych wieków, przesyconych łośnym oparem smogu, spałynowanych sadzą i nakrapianych rdzą. Medyczna sterylność wdzierająca się w miąższ natury, płyny ustrojowe sączące się przez przewody, żywa tanka organizmów wyrastająca ze sztucznej tkaniny, fauna i flora kotłująca się z odpadkami przemysłowymi, pulpa ziemi i polimeru, torfowisko, na którego powierzchni unoszą się grzyby siatek.

Jak pisał Bruno Schulz - Nie ma materii martwej...martwość jest jedynie pozorem, za którym ukrywają się nieznanne formy życia. Skala tych form jest nieskończona, a odcienie i niuanse niewyczerpane. Plastik może zagarnąć nowe terytoria bez udziału człowieka. Jest to alternatywna forma ewolucji, przystosowania się do otoczenia i wytwarzania nowych, doskonalszych form. Prądy oceaniczne niosą wielką plamę plastiku wielkości państwa. Cywilizacja zdała sobie sprawę, że materia nieożywiona i natura istnieć może bez jej udziału lub że to człowiek musi się dostosować do świata będącego ich amalgamatem. Budzi to trwogę przed wchłonięciem, utonięciem w nieopanowanym zalewie śmieci. Plastik opanowuje przyrodę, ukrywa się pod nią lub staje się jej substytutem. Ma przy tym dużo większe szanse przetrwania i możliwości adaptacyjne niż człowiek. Ten musi na nowo eksplorować nieprzyjazny i odpychający dla niego świat. Natura przemieszana z plastikiem objawia swoją groźną i opresyjną naturę. Przypomina o tym, że nie jest stworzona, by cieszyć jego oko i być neutralnym tłem jego poczynań. Sielski pejzaż nawiedzony przez plagę polimerów staje się obcym środowiskiem, skażonym szybko postępującym rozkładem, uwalniającym niebezpieczne trucizny i przypominającym o nadchodzącej katastrofie. Człowiek wobec

wieczności materii, którą sam stworzył i która wyrwała się spod jego władzy, zaczyna się czuć bezbronny i pozbawiony kontroli nad otoczeniem. Ze styku polimerowych włókien i chlorofilu narodziła się nowa forma życia, nieznaną twór, który rozrasta się, zagarniając środowisko obłąskawione przez cywilizację.

Człowiek brzydzi się plastikowych symulacji życia, ponieważ przypominają mu one o obcości własnego ciała, węglowej maszyny, do którego włączono jego jaźń. Tylko bariera wobec procesów własnego ciała, jego niezależnych, rozumnych organów nie przyprawia go o szaleństwo. Ludzkie ciało też zaczyna wchłaniać sztuczne substancje, które stają się częścią jego struktury. Zmienia się jego skład, wzbogacony pestycydami, rozpuszczalnikami i spalin. Człowiek staje się reaktorem, filtrem i pochłaniaczem. Istota ludzka zostaje przekształcona w swojego rodzaju hybrydę, zintegrowaną z internetową protezą umysłu i starającą się przystosować do globalnych zmian. Inkorporując plastik do swojego ciała za pomocą implantacji, stara się zastępować wady organizmu, doskonalszymi jego substytutami.

Według pesymistów, antropogeniczne zmiany środowiska zmieniają planetę w środowisko niezdatne dla życia jakie znamy. Ekspansja odpadów cywilizacji odbywa się niezależnie od katastrofizmu, jak i technologicznego optymizmu. Dewastacja planety jest dowodem na jej nieskończoną plastyczność. Degradacja środowiska jest niszczytel-skim aktem erozji, z którego powstanie kolejna osobliwość. W kolejnym kształcie, który przyjmie planeta, nie musi wcale być miejsca dla człowieka. Z punktu widzenia sztuki nasz glob może stać się po prostu sceneryą zamieszkałą przez nowe plastikowe formy życia. Nie ulegając nawet przesadnemu katastrofizmowi, przyznać trzeba, że ziemia przestała być bierna, nabierając jakiejś nieobliczalnej akceleracji przekształcania. Napromieniowana, nasączona toksynami, oblepiona wydzielinami

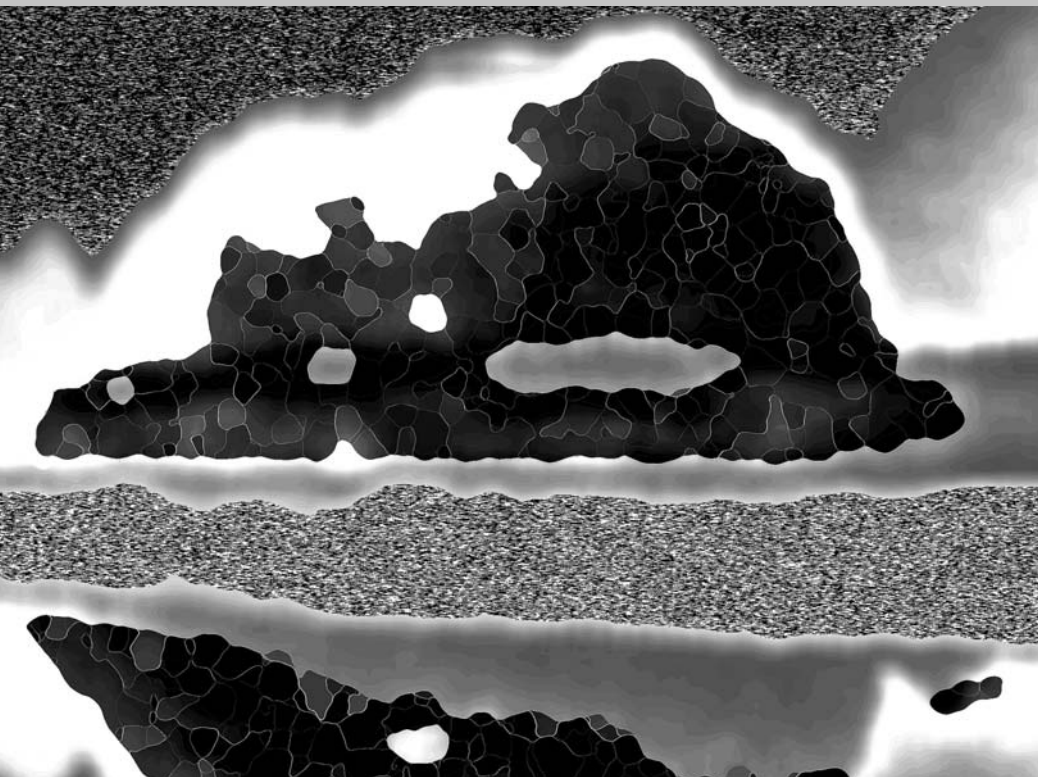
mi mutuje w nowy, niezależny od człowieka twór. Człowiek nie jest w stanie powstrzymać tej transformacji. Utracił nad nim sterowność, co ma być zresztą symptomem współczesności, kiedy grunt ucieka nam spod nóg i cywilizacja traci kontrolę nad rozrostem miast, technologii i zjawisk społecznych. Miałyby to iść w parze z rozpadem integralności jednostek, rozmywających się w cyfrowym oceanie pozbawionym punktów odniesienia. Zdaje się, niektórym, że nas oszukano i w wysiłku biegu za znikającym punktem postępu, nie osiągnęliśmy błogostawionej nowoczesności, lecz zaprzęgnięto nas w służbie finansowo-technologicznego interfejsu. Sieciowe platformy zakupowe za pomocą portowych węzłów dla kontenerowców ujednoliciły świat. Historia dokonała się na zamkniętych obszarach miast, betonowych i szklanych pustyniach, ignorowanych punktach przestrzeni, które wyprymieniowały pustkę. Dziś na zagubione masy zrzuca się winę za materializm, który przemienił planetę, zapominając, że jeszcze w zeszłym dziesięcioleciu ów konsumpcjonizm, był niemal obowiązkową normą życia i jedynym oficjalnym trendem narzuconym przez mediokrację.

Sztuka ekologiczna stała się tak powszechna i modna, że zaczyna się ocierać o konformistyczne ugłaskiwanie katastrofy i cywilizacyjne zacieranie wyrzutów sumienia. Sfabykowany krajobraz jest kolejnym etapem ekspansji symulakru, zastąpienia przedmiotu jego znakiem. Plastik może stać się wszystkim. Może być zarazem symbolem sterylnej luksusu, eleganckiego designu, kiczowatej tandety i bezwartościowych śmieci. Z tej alchemicznej substancji można odlać dowolny przedmiot lub jego imitację. Obraz nowoczesnych enklaw ładu i slumsów wyrastających ze ścieków łączy obecność plastycznej masy o niezliczonej ilości kształtów, barw i faktur. Plastik jest fizycznym odpowiednikiem internetu, globalizującym świat, dającym ludziom dostęp do nieosiągalnych dotąd dóbr, ale i substancją, która uzależniła ich od jego wytworów. Żaden inny materiał nie uzyskał tylu wcieleń. Praca nad sztuczną inteligencją, jest dodatkowo pracą nad wchłonięciem algorytmów świadomości w plastikową maszynę.

Oglądając plastik wchłaniający faunę i florę, wędrujemy przez dolinę niesamowitości, doświadczając tego samego niepokoju i dyskomfortu, gdy widzimy sztuczną istotę zbyt wiernie odzwierciedlającą człowieka. To dysonans poznawczy wynikający z hybrydy elementu dobrze znanego z elementem niepasującym lub niebezpiecznym. Życie przedmiotów martwych budzi odrzę podobnie jak martwość życia.

Środowisko jest również plastyczne co plastik. Jest to również plastyczność destrukcyjna i unicestwiająca. Inwazja plastiku jest przykładem plastyczności pasożytniczej, która anihiluje i wchłania. Wysysając życiodajne soki, włącza alkaliczne płyny, zastępuje żywą tkankę doskonalszym polimerem, wymienia korzenie na okablowanie a biosferę na technosferę. Tekstylna, syntetyczna grzybnia maskuje się pod wierzchnią warstwą ściółki, by potem wychynąć spod spodu swoim pastelowym i elastycznym obliczem.

Pionier cyberpunku William Gibson stwierdził, że przyszłość już tu jest, tylko nierówno rozłożona. Można powiedzieć to samo o dystopijnej postcywilizacji. Przybiera ona postać biologiczno-syntetycznej hybrydy oddychającej smogiem. Ludzie brodzący



Erazm W. Felcyn z kolekcji „Fantasmagorie” (2017)

w plastikowej brei, otoczeni morzem butelek i siatek, pływający w niej, by wytąpić coś z toksycznego kożucha, ludy koczowniców i zbieraczy przemierzające krainę odpadów. Dymiące kopce opon i elektroniki, odrzutów przyspieszających cykli pseudopostępu technologicznego, w którym kolejne pokolenia przedmiotów są jedynie lekko zmodyfikowaną i obliczoną na krótszy okres trwałości mutacją poprzedniego modelu. Fale plastiku pulsujące u wybrzeży niczym żywy, zafolowany organizm.

Odpady tworzyw sztucznych stają się nową warstwą geologiczną planety. Inną jej maską jest technologiczna nadświadomość uzyskana poprzez scalenie wszystkich umysłów w centrum sieci. Tak została zrealizowana, wydawałoby się utopijna koncepcja, stworzona przez radzieckich teoretyków kosmizmu i noosfery.

Już sto lat temu Wołodymir Wernadski widział w człowieku nową siłę geologiczną, powstałą w wyniku ewolucji substancji żywej. Rozwój nauki powoduje natomiast przejście z epoki biosfery w erę noosfery. To jeden z poziomów wszechświata, w którym manifestuje się obecność informacji, technologii i nauki. Ludzie są jej nośnikami, ale mają też obowiązek dążyć do oswojania kosmosu, przewyższania opozycji natura-kultura, badając przyrodę, przekształcać oblicze świata. Dzieje wkraczają w epokę zbiorowej świadomości, a ludzkość przejmie stery ewolucji, by pokierować nią we właściwym kierunku. Zbiorowość o nieomal boskich możliwościach dzięki nauce i nowym możliwościom technologicznym przekracza ograniczenia przyrody i kształtuje ziemię na swój użytek. Ta skrajnie antropocentryczna utopia po części wydaje się ziszczać, lecz jej produkty uboczne zanieczyszczają planetę. Sieć stała się nadświadomością, globalną noosferą. Ona również produkuje odpady, pograniczne obszary, równie fascynujące, ziejące pustką i pełne anomalii co strefy przemysłowej, postcywilizacyjnej dziczy.

Stalker braci Strugackich i ten z filmu Tarkowskiego, nie wiedząc co go uszczęśliwi, odwołał się do zbiorowości, żądając od spełniacza życzeń – szczęścia dla wszystkich. A przecież dotąd nie wynaleziono, przynajmniej w naszym ziemskim wymiarze – szczęścia uniwersalnego dla wszystkich. Technokracja skazała większą część zbiorowej świadomości na bezustanne gonienie za znikającym punktem. Dzisiejsze dążenie do technologicznej osobliwości i doskonałości też raczej przypomina tonację wzrastającą w nieskończoność dźwięk, który nigdy nie osiągnie kulminacji. Zdaje się, że za sterami ewolucji nie siedzą moralni naukowcy i pionierzy lepszej przyszłości, lecz spece od marketingu i PR-u.

Obserwując ewolucję noosfery, można uznać, że koncepcja harmonijnego rozwoju nieco zoczyła z trajektorii. Symbolem może być na przykład takie miasto przemysłowe Norylsk. To swojego rodzaju pole eksperymentalne, postapokaliptyczna szachownica, na której ludzkość może badać nowe reguły gry. Jeśli zmierzamy w takim kierunku, Norylsk pozwoli cywilizacji, której kończy się termin przydatności, oswoić się z jutrem, w którym przetrwa nowy człowiek, samowystarczalny, oddychający siarką, filtrujący nikiel i czerpiący strawę duchową z wielkiego przemysłu, adoptujący popkulturę z sieci jako swoją kulturę. Spoteczeństwo jest równie labilne, jak układ okresowy pierwiastków, zależy od cen gazu, eksploatacji złóż, geopolitycznych sankcji, tąpnięć rynku, wytrzymałości baniek spekulacyjnych. W pewnym sensie więc, wszyscy mniej lub bardziej żyjemy w rozrzucającym się Norylsku.

MICHAŁ FRĄCKIEWICZ

Szymon Kowalski

Zagubiona delikatna dziewczynka

Tutaj jesteś.
Gdzie się skrywałaś całe noce bezlitosne?
Czy spałaś tu
w sianie,
w stodole,
w budzie z połamaną deską drewna?

Dziewczyno!
Tu już nikogo nie ma!
Światem zawładnęła ślepotą.
Każdy uciekł w pośpiechu po zwiastowaniu anioła.

Wręczył mi on kopertę z listem.
Otwórz ją
to do ciebie!

Ciemność

Ciemność wychowała mnie na barda
wędrującego od oberży do oberży.
Mleko pierwotne wessane
z piersi twarzy węgielnej.

Tu w dolinie stawów
pływałem,
zanurzyłem się,
dotknąłem klejnotów dna.

O, jaskinio mądrości!
Wołam do ciebie!
Krzyki pozostawiły odpowiedź
bez jasności.
Czekam.

Koniec

Skończyła się
zabawa do północy w rzece nieczystej.
Ostatnie pocałunki.
Ostatnie uściski.
Ostatnie słowa.

Światło się oddala w tunelu,
coraz szybciej doprowadza nas do rozpaczy.
Biegnij za nim!

Cisza przed zmartwychwstaniem

Nie przejmujcie się mną.
W zaciszu, promyku słonecznym powstanę
i biec nie przestanę.
To cisza przed zmartwychwstaniem.

W biel ubrany zaczaruje ziemską istotę
serce,
umysł,
oczy ślepym ruchem utkane.

Szymon Kowalski.
Debiutant. 15 lat. Interesuje się poezją. Największe literackie inspiracje to: Arthur Rimbaud, Charles Baudelaire, Rafał Wojaczek, Jim Morrison i Franz Kafka. Oprócz literatury pasjonuje się filmem i muzyką.

Marian Lech Bednarek

Z OKIENKA POGOTOWIA KULTURALNEGO

Zerkokopy mnie tak wkurzają, że już nie wiem jakich artystów sprowadzać dla otwarcia serc. Moje biuro Pogotowie Kulturalne jest otwarte od do, ale i tak wiedzą, że jak wejdą od zaplecza, to nie odmówię. Dzisiaj spęd w kawiarce. Każdy coś wyciągnie przeciw Zerkokopom, jakiś wiersz. Cyganka się do mnie uśmiechnęła. Ma zawsze przy sobie trutkę na szczury, bo Zerkokopy to takie szczury mówi. Liryka jest moją tarczą dodaje z gwiazdami w oczach i poprawia swoje długie włosy. Okiennik Keszelko rozkręca wydawnictwo Szczerbatych Poetów, bo wie że miejscowi dentyści oddadzą 1 procent z podatku na jego tyrkę. Kawę proszę parzoną, bez cukru. Mogliby niektórzy krótsze pisać te swoje herckleoty. Za dużo poprawności i fałszywej skromności. Niech się uczą od prania na sznurku, z dziurami. Whisky proszę. Niech sobie kanapki tym owinać. Jak chleb tymi wierszami nasiąknie, to może ukaże się jakiś ciekawy trop. Doszedł Szpak o kamiennej twarzy. Połknął wnuka i nawet nie wie, że Zerkokopy całują go za to po dupie. Proszę jeszczke raz Whisky. Hen Kancierkowski o czerwonych zawsze policzkach, zawstydzony liczy pod stołem te swoje drobinki poezji. W końcu coś uciuta i wyśpiewa w kobiece uszy. Zerkokopy okrążają miasto. Nadchodzi potop postępu, ale my wierzymy w nasze łodzie ucieczki z papierowymi masztami poezji. Brzdęk szkła. Nieśmiałość tomików na stołach jak żywa Gogota w tamtym dniu. Jezus też debiutował. W ekofrazach Mroka Flecisty pełno krów się pasie. A gdy gra, inni skrzętnie pakują się. Słerta walizek nad miastem zupełnie zmieniła jego wygląd, w hańdę. Ale i tak nie wszyscy wejdą na pokład. Najlepsze wiersze uciekają z dymem. Nie cierpię gdy przeciętni pouczać jak pisać! – ktoś wycedził stojąc na blacie bufetu – a arogancję myślą z erudycją. Dosiadła się blondynka, Ewenna od cyferek na nią mówią, bo jest księgową. Drobnistość i filigranowość to jej poezja, skacze zwinnie po jej gałązkach jak kolorowy ptak. Zerkokopy mają ją na muszce. Będą ją namawiać do zdrady. Nie dziwi się. Ja też tę myśl muszę zalać alkoholem.

Wlewa się
Wylewa
Wlewa się
Wylewa

Wylewa idzie z nas. Będzie to potop wewnętrzny. Arka musi być super.

No to graba
wałę z byka Hena
aż się wygina w półwysep Ape-
niński.

Puk puk

Powiedziała puk puk, za pięćset dromaderów chciała mnie przelecieć. Panie, mój mąż tysiąc dał. Pukanie się nie skończyło. Na każdym centymetrze kwadratowym tylko pukanie. Kawy? Gruntówę mi zrób. Puk puk, dzwonek, ciasno, dzień dobry, ilość dromaderów się nie zmniejszyła, a nawet urosła. Jakis piękny mebel z PRL-u ma pani? Puk puk, puknij się paniusiu. Teraz na to Warszawka leci najbardziej, drogie. Na targach staroci pani kochana jedynie Bauhaus, Bytom. Przez Morze Czerwone – puk puk. Otwartość puk puk

i do miesiąca ślub. Nie chciało mi się wracać. Samoćność. Puk puk. Nikt nie wchodzi. Dromadery czekają, nakarmione. Pełno drutów kolczastych. Kochliwe Żydki. Puk puk. Jam dalej zamknięty. W galerii trzydzieści dziewięć obrazów. Idź mówię, zrobisz mi przyjemność. Wiesz, ja w tobie tym kolorem i formą, takie małe puk puk. Wiesz, samotność. Puk puk. Dzwonek, walka na słowa o żyrandol trójramienny, skrzyżowanie szpad uprzejmości. Do widzenia. Dzwonek. Kawa i ciastko niewiele pomagają, ale to jedyne co mamy. Włażą. Wyłażą. Nie wiem czy bym ją przeleciał. Nie mam dromaderów odwagi. Telefon. Wstaję. Rzuciliśmy się na siebie. Ręce we włosach – puk puk – zapyłone. Trzeba iść. Otwartość

wszędzie ma aureolę zwyczajności
nie trzeba wyjeżdżać za granicę
kościółem każdy uśmiech polny
spojrzenie za chlebem i piękną
dziewczyną
by zrobić jej puk puk jak mówią
w Jerozolimie

uśmiech piasku na równi nas
traktuje
i słowa przesypuje do kieszonki
języka
by dogadać się w sprawie kamyka

którego otwartość wszystko zmienia
nawet twe zaciśnięte pięści

Lagerfeld

A ten modniś nie był taki zły moim zdaniem. Furorę zrobił, to wszystkich szczypie. Dzisiaj wszystkim się zazdrości furory. ZAZ też się zazdrości, dlatego przekornie nazwała się ZAZ. A do roboty to się nie umieją wziąć. Biodra w końcu wszystkim są dostępne. Idzie taka i kotysze się i kotysze. I człowiek wpada w trans i pisze. A ona dalej kotysze się, kotysze, jakby coś przeczuwała, że powieść w biodrach niesie i zaraz ją urodzi we mnie, podobną do anielskich koni miłości, co nie znają litości. To po prostu ruch, a te szafy szmatek za wielkie pieniądze, to tylko nadatek, coś co Lagerfeld musiał uduchowić i puścić w Podobanie Się, jak krowki na tąkę, by mleko dawaty. Choć trzeba przyznać, że samo Podobanie Się, to raczej wielkie miasto a nie wioska, z pokaznym wybiegiem, gdzie często dochodzi do sfluczek. Niekiedy terrorysta popsuje cały ten makijaż i tży spływają po policzkach. Ale kto chce być piękny, to o to walczy, bo głupkiem trzeba być żeby o brzydotę flaki wypruć. Ten zapach perfum, ten zapach muzyki. Żadne pieniądze nie są od tego większe, dlatego się Narodziliśmy przez duże N, szczerbate, zazdrosne, kmiotki.

Trendy

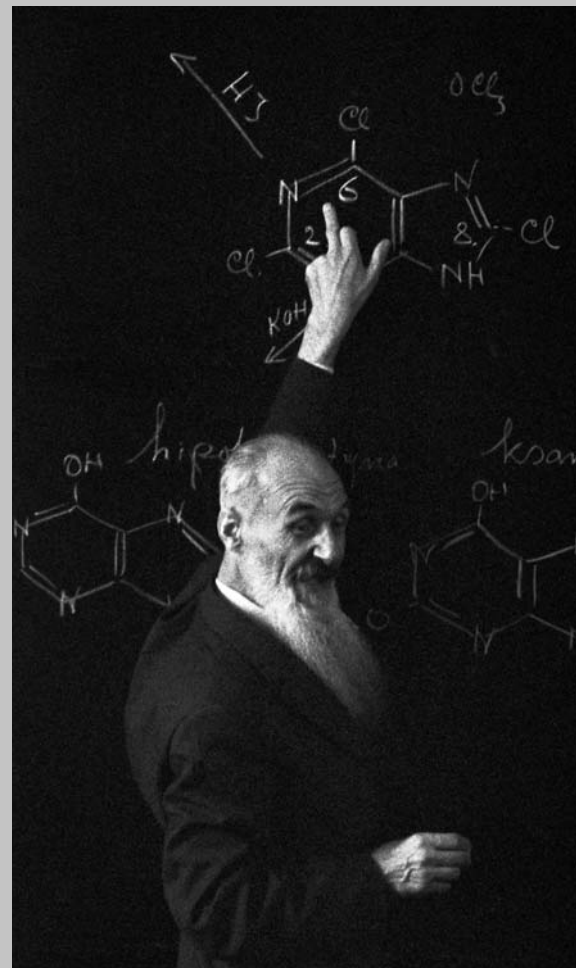
Co możemy zrobić? Możemy jedynie wprowadzić jakieś trendy. To tak jak z fryzu-

ry, niby nic, ale jednak jest tam forma. Po jakimś czasie politycy biorą to na blat pod dyskusję i można wywalczyć ustawę. Proponuję dzisiaj czesać się na krzaczkę, z kolorowym akcentem. Zobaczymy co z tego wyjdzie, bo bardzo ciemne sprawy Algierii stoją w kolejce za twoją fryzurą. Podobnie na ziemiach polskich fryzurką zamieszać można, a nawet trzeba. Całe pola takich samych fryzur idą ulicami. To robi wrażenie. W końcu padają pytania i wnioski. A nie mówiłem? „Trzymam kciuki” już mocno zwietrzało, bo nikt nie sprawdzi czy ty je faktycznie trzymasz. Trzeba coś żywszego, wyrastającego z głowy.

Piana

Pobijemy pianę. No przecież to najlepsze obrazki. Wszystkie kosmetyki wyciągnięte na scenę skóry parują. Suczki się pojawiają z ogonkami uniesionymi w górę, umalowane, z przyklejonymi tipsami. Pobijemy pianę. Wskaźnik urośnie wszystkim, bo piana ma moc. Spadają zastony, starannie i długo układane, zawieszane, wmontowywane przez specjalistyczne firmy we wszystkich dziedzinach duchowo-humanistycznych itp. Piana cicianna, oj dana dana. Nie zapomnieć o uśmiechu.

MARIAN LECH BEDNAREK LUTY 2019



Erazm W. Felcyn Prof. Leon Kamieński, legendarny „Dziad”, w trakcie wykładu z chemii organicznej w Auditorium Chemii Politechniki Gdańskiej (maj 1966).

Michał Kaczmarek

Przysięgli

mile widziane będą utwory
mówiące o losie polskim
rozdanie nagród w sali
ze sceną stołem i cukierkami

jego wiersz
znika
jak alkohol wsiąkający w glebę
po bójce w kamienicy dyskotek
odradza się
mleczny ząb ziemi
biały kwiat
wyrastający na grobach przodków

w plecakach nosili imiona
przymiotniki i imiesłowy
niewielką ilość słów
nieskończoną ilość zdań

pole bitwy jest puste
dusze wyszły z ciała
piszmy poematy mówiące
na konkursy murów ziejących
sprężonym powietrzem

programy telewizyjne
zaklinają w kliszę i dźwięk
szkielety i demonstracje

w lasach wydeptane ścieżki
czołgają się pod stopy ławników
ślądami brązowymi jak warkocz

Głogowskie dorastanie

rozległe parki nie są takie same jak kiedyś
pod ławkami leżą opalone łufki

cały zgiełk rozbija się o kilka ulic i nędzne bary
jedynie ruiny mają coś więcej do powiedzenia
podobnie strumyk Sępolno gdzie wyścigi patyków
dorównywały olimpijskim zawodom
sześć kontynentów
mieściło się na drewnianym kołku

a wszystko bez świadomości że za kilka lat
tylko prostytutki będą zwracały na siebie uwagę
chowając sumienie przed światłem latarni

i jeśli nadarzy się dla mnie okazja
by coś powiedzieć
słowa nie będą mogły się precyzyjnie
przez zbyt lekko rozchylone usta

Głogów dojrzały

miasto którego prostokątne granice
jak dokument pozwalający wkroczyć
do obcego mocarstwa
studia astronomiczne
dają możliwość obserwacji
ciał niebieskich w Japonii
na budynkach kruszeje styropian
wydziobywany przez wiatr i ptaki

na innych kontynentach
kilkaset metrów dalej
nabierają koloru łodygi
prętów wpuszczanych w beton
strużki krwi
wtłaczane w ciało nieprzytomnego

nasienie wrasta w glebę
podział administracyjny
komórki jajowej
do piątego roku życia
dziecko ma włosy kręcone
w trzytygodniowych odstępach
wymiana doświadczeń
z zakresu wystroju wnętrz
wypełnienia dusz
kryminałami z morałem

Znalezisko

powietrze jest białe
rozrywa się
w wgłębieniach łączących jego części
opuszkami wyczuwasz osad
który nocą odkłada się w jamie ustnej
wypłukujesz płynem wapiennym
masz zmysł wzroku i słuchu
poruszasz się jak zwierzę we śnie
którego powieki drgają
mięśnie przygotowane do wykonania ruchu
oznaczającego ucieczkę
taśma przesuwana w kierunku nowej daty
wypchnięty z gumowej obręczy
jesteś nowo odkrytą rośliną

Niebanalnie nieobliczalny

Może warto czasami spojrzeć syntetycznie na naturę zjawisk, a w szczególności, kiedy są to zjawiska bardzo niecodzienne i do tego wydarzające się w kręgu twórców literatury. Kiedy to, niemal zawsząd, niosą się echem dramatyczne pytania choćby w dziedzinie poezji – czy warto jeszcze pisać wiersze, których prawie nikt już nie czyta; czy warto jeszcze jakoś uzasadniać to poezjowanie w tym: zutilizowanym, stechnicyzowanym i prawdziwie merkantylnym świecie: bez ducha, bez serc i bez myśli, jakby bez szkieletu wrażliwości... i wreszcie po co, tak w ogóle, poci wkraczają na taką ścieżkę, w ramach której czekają ich jedynie: zadziwienia, sztyrdstwa czy wręcz publiczna niechęć wyrażona choćby odmowami bibliotek czy szkół wobec, dajmy na to, proponowanych spotkań autorskich?

I tutaj doprawdy natura zjawisk wymyka się wszelkim wzorcom, sztamptom i prostym odpowiedziom. Natura ta, której okiełznać się nie da, natura, której, że się tak śmiało wyrażę *duch twórczy* wymyka się spod kontroli nadal żyje i żyć będzie. Najlepszym na to dowodem, tak jak możemy przyjąć, iż dowodem na istnienie światła jest nasz cień, jest sam poeta, otóż poeta ten, który został burmistrzem, albo powiedzmy otwarcie burmistrz, który jest (odwrotnie i publicznie) poetą czyli **Adam Lewandowski** ze Śremu, nasz drogi kolega z Poznańskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Otóż tak, kochani, Adam jest ... dowodem. Dowodem na istnienie. Na nasze istnienie. Dowodem również niepodważalnym na to, że poezja żyje i żyć będzie i że będzie się rodzić dostojnie wszędzie. A brak czytelników? Niechaj sami czytelnicy żałują tego, co tracą nie sięgając po poezję. Niech ta przestrzeń na własne przeciwie życzenie zostanie dla nich sferą dziewiczą. Przecież sami siebie tym samym ogąłającą z uczuć wyższych: z zachwytu, ze wzruszeń i z piękna słów. Przecież to ich strata, że czynią świat topornym i prozaicznym. Świat odpłaci im tym samym. Kiedy przyjdzie na to czas...

Na przekór światu, z którego bezwzględnie karzycie się wszelką poezję, nie tylko tę pisaną, staje właśnie ktoś taki jak Adam Lewandowski – zauważmy, ekonomista, człowiek świetnie wykształcony, czynny polityk, aktywista społeczny, wydawałoby się zjawisko z innej bajki, a z pewnością zjawisko z antypodów poezji, a tutaj okazuje się, iż tak jak my wszyscy odnalazł swoją drogę właśnie między innymi na ścieżkach poezji. Dość ciekawie ujął to na portalu Lubimy-czytać.pl Dariusz Tomasz Lebioda:

„Kultura i sztuka rozkwita przede wszystkim w wielkich miastach, w ogromnych metropoliach, mających określoną tradycję, sporą bazę lokalową, całe rzesze artystów, pisarzy i animatorów. Ale przecież prawdziwe życie kulturalne bujnie krzewi się też w mniejszych ośrodkach, w których pojawiają się często znani twórcy (...) Tak właśnie jest w wielkopolskim Śremie, w którym co roku ma miejsce wiele wydarzeń tego typu, a kultura stanowi znaczący element w budżecie miasta. Wielkie zasługi w tym względzie ma Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy im. Heliodora Święcickiego, która koordynuje większość imprez i czuwa nad rozwojem artystycznym młodych adeptów sztuki, konfrontuje miejscowe dokonania z doświadczeniami ludzi znanych i cenionych w całym kraju. (...)”

Ważnym dorocznym wydarzeniem w Śremie są też wizyty poetów, przyjeżdżających do miasta w ramach kolejnych Międzynarodowych Listopadów Poetyckich. Ta wielka, kulturotwórcza impreza, odbywająca się w wielu ośrodkach Wielkopolski, ma swoją piękną historię i od ponad trzech dekad przyciąga uwagę ludzi pióra w całej Polsce i na świecie, bo gośćmi bywają też pisarze z tak odległych krajów jak Chiny, Wietnam, Irak, Gwatemala, Stany Zjednoczone i Australia. Zapraszani twórcy biorą udział w promocjach książek, spotykają się z młodzieżą szkół podczas lekcji poetyckich, goszczą w ratuszu u władz miejskich, czytają wiersze i pozostawiają wiele swoich książek w bibliotekach i innych placówkach. (...)”

Wszystko to dzieje się właśnie dzięki wyobraźni i wizji dwóch skromnych panów: Burmistrza Śremu Adama Lewandowskiego oraz Dyrektora Biblioteki Publicznej im. Heliodora Święcickiego w Śremie Jerzego Kondrasa. Nie mogę w tym miejscu nie zauważyć, że Jurek Kondras ... również jest poetą, tyle, że do dnia dzisiejszego bardziej ufa własnym szufladom niż jakimkolwiek wydawnictwom. Ja jednak dostąpiłem zaszczytu przeczytania kilku wierszy Jerzego Kondrasa i zapewniam Was, że warto są lektury.

Oczywiście wszystkie te imprezy nie byłyby możliwe bez czynnego zaangażowania całego sztabu ludzi zatrudnionych w bibliotekach i szkołach Śremu. Dziękujemy im tą drogą i choć anonimowi zawsze pozostaną bliscy nam, twórcom, poetom kiedykolwiek w Śremie goszczącym...

Wróćmy jednak do Adama Lewandowskiego, do poety – burmistrza, do zjawiska i do ... dowodu na zjawisko, wreszcie do twórcy urodzonego w roku 1958, debiutującego w roku 1995, autora kilku bardzo ciekawych tomów wierszy, autora o którym tak pisał na łamach Krytyki Literackiej Krystian Tomczyk:

„Poeta ten wchodzi w filozoficzne dyskusje ze sobą i światem zarazem starając się odnaleźć odpowiedzi na egzystencjonalne pytania. Stara się dociec gdzie rzeczywiście kończy się człowiek, a zaczyna otaczający go świat. Ze wszystkich wierszy emanuje przekonanie, że to jednostka i jej myślenie wywierają wpływ na postrzeganie świata, a nie jak przyjęto się w dzisiejszych czasach – że to zmediatyzowany świat jest źródłem naszych opinii. Zwraca uwagę na ważność bliskich relacji pomiędzy ludźmi, co możemy zauważyć już w pierwszym wierszu cyklu, gdzie ślad pozostawiony przez ludzkie myślenie staje się determinantem nieodwracalnych motywacji.

Podmiot liryczny apeluje, ażebyśmy nie patrzyli w przeszłość, na którą nie mamy wpływu, i która już nie powróci, a zamiast tego skupili się na teraźniejszości i przyszłości, która jest drganiem codziennych dni zamkniętymi w stoku. Zauważa również, że to miłość jest największą siłą człowieka i to na niej powinniśmy opierać swoje ciągłe dążenia.

W oczach poety bliskość staje się czynnikiem, który konstituuje ludzi do życia. Różni on pojęcia „bliskości” i fizycznego „bycia blisko” jako właściwie przeciwstawne. Będąc blisko siebie nie jesteśmy w stanie

zmierzyć naszej bliskości z innymi, to właśnie odległość ukazuje nam jak bardzo inni ludzie są dla nas ważni.”

Tak właśnie pisze Adam Lewandowski. Szuka poezji w najprostszym życiu, wokół nas, wokół ciebie, wokół siebie i wokół mnie oraz w zwyczajnej lichej naszej codzienności, szuka jej w zasadzie wszędzie. I znajduje ją, co absolutnie nie przeszkadza mu walczyć z tym światem i o lepszy świat... co nie przeszkadza mu zamyślać się na chwilę, aby szukać dalszych recept na życie.

Sięgnij po moje myśli

Sięgnij po moje myśli
jak po najsmaczniejsze
pomarańcze mieszczące się
w dłoni zakończonej kolorowym
kunsztem.
Zbliż je do twarży ucałuj.
Powierzchnia jest szorstka
momentami robi wrażenie
przestarzałej nieużyteczności.
Jednak wystarczy mocniejsze
dotknięcie by wyłonił się
najdojrzałszy przedsmak dnia.
Zapach poprowadzi po nieznanym
korytarzach: taki życiowy GPS
ogarniający oczekiwane
skomplikowane meandry życia.
Nawet z zamkniętymi oczami
trafisz na szczęśliwe dni
na wzniosłe chwile
które dadzą radość i uniesienie.
Prowadź mnie po najdalszych
miejscach świata
w których każdy dzień
jest inny i niepowtarzalny.
Obierając z zewnętrznej skóry
zyskasz dojrzały słodki owoc życia.

Poezja Adama Lewandowskiego jest właściwie bardzo prosta, ale i bodaj najbardziej szczerą, szczerością wręcz naiwną, choć właśnie w tym upatruję jej wyjątkową siłę i moc wręcz magnetyczną, która zachęca do lektury kolejnego wiersza i jeszcze jednego i następnego. Bardzo dobrze ujął to w swojej recenzji Andrzej Dębowski:

„Nie ma tu wielkich metafor, uduziwnień, współczesnego kręactwa literackiego, bo „pierwsze doznania” są najważniejsze, dlatego poeta z dojrzałością mędrca serwuje nam swoje „zapiski”. (...) Poezja Adama Lewandowskiego to metafizyczne fotogramy zamknięte w ramy życia, a także uchwycone i zauważone (...) te drobiny szczęścia, niedostępne i w zasadzie niezauważalne dla zwykłego śmiertelnika.

Czy można polemizować z taką poezją?...”

Otóż można, drogi Andrzeju. Dziś można polemizować bodaj ze wszystkim. Gdzieś Hiszpanii zakazano kilku bibliotekom posiadać bez ostrzeżenia na półkach bajek: „Czerwony kapturek”, „Kot w butach” czy „Calineczka” jako teksty dla dzieci nazbyt szowinistyczne i seksistowskie. Nie będę już tego komentował, wystarczy mi wiza Waszej

reakcji, dodam tylko, że nie jest to „kaczką dziennikarską”, a informacja sprawdzona.

(#1- info pod tekstem)

Świat staje na naszych oczach na głowie. To z pewnością można polemizować i z poetą, jeśli się w ogóle poetę przeczyta i ... „odczyta”. Adama Lewandowskiego odczytać łatwo... a jednocześnie lektura to przyjemna, gdyż potwierdza wcześniej postawione tezy.

Piękno odnajdziemy właśnie w prostocie, to piękno jest nam niezbędne, aby żyć, a poezja, jako wyraził tych uczuć nigdy nie zginie, gdyż taka jest wewnętrzna natura człowieka. Człowiek będzie musiał w każdych czasach i okolicznościach wydzielić z siebie to, co w nim zalega. Jeden namaluje, drugi zagra, trzeci napisze... nawet wśród największych barbarzyńców, a czasy zmierzają do nazwania ich czasami: barbarzyńców, troglodytów, pogan i analfabetów. I temu niejako sprzeciwia się w każdym calu Adam Lewandowski, nie mówiąc tego głośno i dosadnie. W swej odwrotnej łagodności zauważa, szuka, pyta, radzi, przystaje i głośno myśli... a że myśli ma wiele i do tego potrafi je wyrazić...

Przytoczę tu jeszcze profesora Ignacego S. Fiuta, który pisze: „poeta krok po kroku uświadamia sobie, że życie i twórczość poetycka, będąca w jakimś stopniu metaforą własnej egzystencji – to bez wątpienia „droga”, na której jest „jeszcze” wiele do zrobienia: do przystawienia do przystawienia. Sądzi, że przecież parając się wierszem staje się „słowem”, co potrafi zmienić sens kolejnych dni...”

To bardzo ważna uwaga w przypadku tego poety. To poeta przyszłości. Poeta nadziei. Poeta jutra. Słowo dla Niego ciążem się stało i niesie w sobie ogromną wagę: egzystencji, szansy, radości i sensu. Taki wymiar słowa w świecie obrazu, w świecie wręcz

klisz i pokolorowanych sztucznie ... obrazków to rzecz wręcz bezcenna. I wypowiedza to aktywny polityk, Burmistrz Śremu, człowiek, któremu ... w odróżnieniu od innych polskich polityków chyba można zaufać. To doprawdy dziś bardzo rzadkie.

W jednym z wywiadów Adam Lewandowski na pytanie o poglądy odpowiada z namiennie:

„Urodziłem się w takich czasach, że kto za młodu nie był socjalistą, to potem ma problem z określeniem własnych poglądów. Na pewno Pan zauważył i mieszkańcy również, że ja przede wszystkim mam jedno poglądy: śremskie. To jest dla mnie najważniejsze. Nie ma znaczenia, czy pan Kowalski jest prawicowcem czy lewicowcem, jeżeli jest śremskim i możemy na każdy temat rozmawiać. Z całą pewnością jednak powiem, że nie jestem populistą. Moje poglądy są po trosze liberalne, ale też jestem silnie związany z Kościołem co powoduje, że nie chce być szufladkowany tylko jako liberał. Moją partią jest Śrem.”

I dodajmy do tego odważnie – Jego partią jest też ... **poezja**, artystyczne szaleństwo współczesności, dosypane nam przez Pana Boga bodaj „złotym” do krwi, zadanie niejako specjalne, tej choćby próby ocalenia samego siebie i ocalenia świata, choć świat ten wydaje się wcale nie chce być ocalonym. Pędzi oczami swoich dewiantów na całkowite zatracenie nazywając to rozwojem i postępem, a my poeci czasów „przed Wielką Katastrofą” czujemy się niczym cząstki elementarne ... przed Wielkim Wybuchem.

Adam Lewandowski osiągnął w pewnym sensie swój cel. Pokazał, że da się pogodzić ogień z wodą, marzenia z rzeczywistością, słowa z urzędem, powagę instytucji z lekkością zamyślenia... że da się to połączyć i twórczo rozwinąć, że da się

zunifikować jakby mił z realnością, a jedno wcale nie szkodzi drugiemu przy właściwie dobranych proporcjach: uczuć, głębi duchowości i szukania swojej drogi do gwiazd, poprzez cierpienie, ale i poprzez praktyczny wymiar codzienności własnych działań.

Takie zadziwienia – tylko w Śremie. Chciałoby się powiedzieć: oto Wielkopolska. A może i wielka Polska. Taka jak wielki (ba, nawet wysoki) jest Adam Lewandowski – poeta na pewno osobny, idący własną drogą. Poeta – jak nazwał Go Andrzej Dębowski – nieobliczalny... Jeśli spojrzeć na całość twórczości śremskiego poety to jest On bardzo **niebanalnie nieobliczalny** i widzimy w nim też nieustające zmiany, fazy jakby przepoczwarczenia się literackiego. Ten poeta wciąż szuka: słów i dykcji, a biorąc pod uwagę całokształt doznań i doświadczeń sądzę, że wciąż nie powiedział On ostatniego słowa i możemy się spodziewać słów kolejnych i to coraz ciekawszych.

Wszystko to co powyżej napisałem, czy tając z pewną całością zaczerpnąłem z własnych zamyśleń, ale i z: Lebiody, Fiuta, Dębowskiego czy Tomczyka dowodzi jedynie, że powracając do pytań z początku tego tekstu – wiersze pisać ... chyba jednak warto.

Warto chyba tworzyć Jedną Wielką Rodzinę Poetów, która chce się przeciwstawić temu światu. Słowem, jak mieczem wojując: bez ran, bez bólu i bez agresji. Słowem, sensem, duchem... tak próbujemy zniwelować materię, pragmatyzm, wyrachowanie i policzalność.

I choćbyśmy jednego człowieka (przez całe nasze życie literackie) zawrócili, przekonali, poruszyli ... to odpowiem Wam z pełnym przekonaniem – zaprawdę - było do diabła ciężkiego warto!...

ANDRZEJ WALTER

#1 <https://bezprawnik.pl/seksistowskie-bajki/>

Leszek Żuliński

DEKALOG DOBREGO WIERSZA

Przykazanie pierwsze: wiersz musi być wyrobem rzemieślniczym.

Znaczenie rzemiosła w sztuce zanika, ale niemożliwe, by zanikło do końca. Rzemiosło w poezji to doskonałe opanowanie tworzywa. Tak jak tworzywem muzyki są dźwięki, malarstwa – farby i barwy, rzeźby – kamień lub drewno, tak tworzywem poezji jest język. Poeta musi panować nad językiem jak szewc nad kopytem. Musi znać język, „czuć” język, posiadać tzw. wyobraźnię i wrażliwość językową. Poeta to ktoś, kto swoją autoekspresję (czyli siebie) wyraża wyłącznie poprzez język. Czy można to robić nie radząc sobie z językiem? Dlatego tak bardzo denerwują mnie u „młodzieży poetyckiej” błędy ortograficzne, grammatyczne, stylistyczne, składniowe, frazeologiczne... Nie można rzeźbić w języku, skoro nie zna się jego stojów i faktur. Tworzywo trzeba opanować do perfekcji.

W pojęciu rzemiosła kryje się więc „inklinacja językowa”, „talent językowy” (np. u prozaików jest to tzw. „dar narracji”), ale też wiedza na temat poezji, literatury, tradycji, awangardy... jednym słowem, poeta musi wie-dzieć, w jakiej przestrzeni się porusza, na jakim boisku gra swój mecz. Do-bry poeta wybierając swój genre umie także swobodnie napisać wiersz ry-mowany, fraszkę, limeryk, parodię itd., umie „bawić się” formą, robić z „wierszowaniem” mniej więcej to, co żongler robi z piłeczkami na cyrkowej arenie. Umie – dlatego, że jest rzemieślnikiem słowa; panuje nad językiem o wiele bardziej niż każdy inny, „pospolity” użytkownik tego języka.

Istnieje jeszcze inne pojmowanie owego „rzemiosła”. Ono wynika z powiedzonka Witkacego: poeta niczym nie różni się od szewca, szyje takie same buty, tyle że z własnej skóry...

Taka w tym mądrość, że trzeba umieć coś uszyć, a owa „własna skó-ra” to nic innego jak Stachurowe „życiopisanie” – czyli przetwarzanie własnego losu na język literacki.

Przykazanie drugie: wiersz powinien być nowatorski.

Uzależnienie od minionych form i formuł jest – uzależnieniem! Wtór-nością i epigoń-stwem. Gdybyśmy nadal pisali np. językiem Mickiewicza – pozostalibyśmy w epoce Mickiewicza, choć świat jest już w zupeł-nie innym miejscu. „Obowiązkiem” każdego pokolenia literackiego jest wniesienie do literatury własnego języka. Ktoś powiedział, że jeśli nawet istnieje tylko jed-na prawda o świecie, to istnieje nieskończona wielość jej sformułowań. Zadaaniem każdego poety jest „własne sformułowanie” prawdy, jaką chce wy-razić. Iksiński nie powinien pisać Mickiewiczem, Norwidem, Leśmianem, Tu-wimem, Przybosiem, Białoszewskim... – po-winien „pisać Iksińskim”. Znaleźć swój niepo-wtarzalny styl, swoją formułę, swój model. Być oryginalnym.

Prawdziwa sztuka poetycka bardziej musi przypominać budowanie zamków z piasku niż piaskowych babek – z foremek.

Walor nowatorstwa nie oznacza obo-wiązku awangardyzmu. Awan-garda to nieco inne pojęcie. Nowatorstwo to „wła-sność”, samodzielność ję-zyka”, która może

nawiązywać do takiej czy innej tradycji, ale równocześnie odnosić się do niej twórczo, a nawet „przetwórczo”. Nowatorstwo stoi na antypodzie epigoństwa.

To „przykazanie” wywołuje wciąż żywy i nieustannie podnoszony dy-lemat: czy wiersz współczesny może być rymowany? Czy dzisiaj obowiązuje już tylko wiersz nieregularny, niesylabotoniczny, biały? (Jeśli nie wiecie, co to „sylabotoniczny” czy „wiersz biały” to nie posiadacie „dyplomu czelad-ni-czego” w poetyckim rzemiośle i odsyłam do przykazania pierwszego). Przy-znaję: to trudny dylemat. Wszystkie regularne miary wiersza zostały tak wy-eksploatowane, że są jak bieda-szyby, w których trudno już znaleźć coś no-wego. Poza tym w epoce wiersza „postnorwiderskiego” czy „po-stróżewi-czowskiego” trudno wracać do konwencji wiersza „tetmajerowskiego” czy „tuwimowskiego”. A jednak zdarzają się bez przerwy tomiki, które udowad-niają wielkość rymu. Dla mnie dwa klasyczne przykłady z niedawnych lat to „Mapa pogody” Iwaszkiewicza i „Zachód słońca w Milanówku” Jarosława Marka Rymkiewicza. Poetą Wielkich Rymów. Uważam jednak, że to już tylko realizacje wyjątkowe. Współ-czesna poezja ewoluuje – wraz z rytmem współczesnego życia i współczesnej sztuki – w model „antydekoracyjny” (chciałoby się powiedzieć: anty-secesyjny), i wszelkie „tradycyjne zdobnic-two” (np. rym i rytm) odchodzi do lamusa. Język poezji stał się bardziej ko-lokwalny, prosty, zbliżony do ję-zyka prozy oraz „wyciecznego życia” i na tych obszarach jest więcej „do odkrycia” niż poprzez „mowę wiążaną”.

Wolę poetę który mniej doskonale pisze „dzisiejszym językiem” poezji niż „językiem starych mistrzów”. Nowatorstwo to ode-rwanie się od zasta-nych standardów. To zawsze było w sztuce trudne. Ale i najcen-niejsze.

I jeszcze jeden negatywny aspekt „mowy wiążanej”, a w szczególności rymu: tak trudno osiągnąć jego maestrię i nie po-paść w naśladownictwo tra-dycji, że dzi-siejsze „rymowanki” najczęściej zdradzają... grafomana. Grafo-man utożsamia rym z po-ezją. Coś, co się rymuje – automatycznie jest wierszem. Otóż nic bardziej mylnego. Rymowany wiersz sylabotoniczny rzeczy-wiście przez całe epoki królował, w żywej pamięci obecnych pokoleń prze-trwał w postaci modelu „wiersza postskaman-dryckiego”, jednak minęło do-statecznie wiele lat i powstało dostatecznie wiele wybitnych wierszy, które udowadniają, że poezja nie tylko znakomicie obchodzi się bez rymu, ale wła-snie bez niego weszła w swój współczesny etap.

Przykazanie trzecie: wiersz dąży do odkrywczości, gardzi banałem.

Ach, jakież to trudne! Jak łatwo nato-miast pisać o sprawach oczywi-tych okrę-głymi zdankami.

Język dla dobrego poety jest jak klucz, który otwiera zaryglowane drzwi wiedzy i uczucia. Język musi coś odkrywać.

Na tę okoliczność postępują się od lat anegdota Rogera Callois, którą stworzył felieton Fiażoleta z Farlandii – anegdotą o żebraku z brooklyń-skiego mostu, któremu

jakiś pomysłowy przechodzień stał z tabliczką za-wieszoną na piersiach nic nie znaczący napis „Jestem ślepy od urodzenia” i w tym samym miejscu napisał: „Przyjdzie wiosna, a ja jej nie zobaczę”. Oto właśnie genialny przykład, jak można walczyć z banałem. Jak język poetycki może być odkrywczy i znaczący inaczej niż np. język prostych ko-munikatów.

Banał kryje się najczęściej nie „w rze-czy”, a właśnie w „mówieni o rze-czy”. Poeta może osiąść tę siłę, że przechodząc obok „rzeczy prostych” do-strzeże w nich „rzeczy skomplikowane”. Odkryje w nich prawdę ukrytą przed zwykłymi śmiertelnikami. Np. Wi-sława Szymborska powiedziała coś genialnie prostego i wstrząsającego o „kocie w pustym mieszkaniu”, powie-działa to w taki sposób, że ten właśnie wiersz stał się sławny.

Największym „wilczym dołem” z banała-mi jest erotyk. Gatunek stary jak świat. Tyle już napisano o miłości, że dorzucić coś nowe-go, coś własnego to wręcz niemożliwe. I te banalne konwencje, np. postmłodopolska egzalta-cja lub szczebiotliwe tonacje... Młó-dzi poeci najczęściej nie wiedzą, że miłość to coś bardzo trudnego, to często walka i dramat; toną w słowach zwietrza-łych i w banałach, które rozwieje im za chwilę samo życie...

Poetą niebanalnym jest ten, kto po-wie coś nowego, coś odkrywczego nawet o sprawach zwykłych.

Przykazanie czwarte: wiersz musi być autentyczny i wiarygodny.

W wierszu niestychanie łatwo wyczuć pozę, drapowanie uczuć, uda-wanie, wcho-dzenie w nie swoje buty... Poeto, bądź sobą! „Tylko” i „aż” so-bą! Za jakąkolwiek kotarą cudzości się ukryjesz, czątkelnik przebiję cię szpa-dą jak Hamlet Poloniusza.

W wierszu fałszywie brzmią słowa wydu-mane, pisane na wyrost, nie mające związku z autentycznym przeżyciem i doświadcze-niem, z osobistym doznaniem, z tym, co naprawdę boli. One „szeszszczą papierem”. Mądry po-eta wchodzi w „swoją rolę”, a nie w „rolę poety”. Prawdziwy poeta nie uprawia zakładania masek – uprawia ich zrywanie. Do bólu, do kości chce przeświecić siebie, co jest radykalnie odmiennym zajęciem od pozowania.

Czy poeta może brzmieć niewiarygodnie? Tak. Jeśli np. czytam wiersz 17-lątka, który drapuje swe szaty na wzór antycznego filo-zofa, mówi językiem napuszonym, wymyśla dramaty, jakich na pewno nie przeżył... to wiem, że „coś tu nie gra”. Wiem, widzę to gołym okiem; fałsz i poza są w wierszu ha-łaśliwe.

Pamiętajcie: buty musicie szyć z własnej skóry; nie ratujcie się inną.

Przykazanie piąte: wiersz musi – jak ptak – szymbować na dwóch skrzydłach.

Na przykład na skrzydle racjonalizmu i emocjonalizmu. Wiersz pisany „językiem racjonalnym”, oschłym, hiperlogicznym, „ję-zykiem ścisłym” bę-dzie „wyprany z uczuć”, będzie bliżej komunikatu („Jestem ślepy od urodze-nia”) niż liryki („Przyjdzie wiosna, a ja jej nie zobaczę”). I na odwrót: wiersz pisany niekontrolowaną temperaturą emocjonalną niekoniecznie musi być „odłotowy”; najczę-siej jest egzaltowany, a egzaltacja to jedna

z największych przywar dobrego smaku.

Oczywiście, w historii liryki kategorii racjonalizmu i emocjonalizmu grupowały wokół siebie rozmaite „szkoły pisania”. Np. „szkoła Leśmiana” i „szkoła Przybosia” – jakże inne, jakże odmienne. Ale o ile u Leśmiana istnieje jakaś „logika metafizyki”, to u Przybosia panuje jakieś „szaleństwo logiki i ładu” – obaj widzieli dwie strony lustra, obaj szybowali na dwóch skrzydłach, na dwóch żywiołach swojej wyobraźni i poznania.

Można by z tego „przykazania” wywleć morał o „regule równowagi” w poezji. Ale i z tym ostrożnie – bo są wyjątki. Wyjątek zawsze stanowią „poeci szaleni”, poeci wyklęci, kaskaderzy... Ich nie obchodzą żadne reguły; nierównowagę jest wartością wyższej rangi... Równowaga jest banałem i oportunistem. Ale to ci, którzy całe swoje wielkie widowisko kreują z szubowania na jednym, i to na dodatek zranionym skrzydle. Oni są jak Ikar.

Przykazanie szóste: szlachetna prostota wiersza!

Nic gorszego niż wiersz przegadany i „wyspekulowany”. Wiersz ubra-ny w zbyt wielkie słowa, bełkotliwy, niezrozumiały, brzmiały sztucznie i nienaturalnie.

Nic trudniejszego niż wiersz olśniewająco prosty. To być może sztuka największa. Nawet wielcy poeci nie zaczęli na ogół od prostoty, a docho-dzili do niej całymi latami. Właśnie „Mapa pogody” Iwaszkiewicza jest tego spektakularnym przykładem. Poeta używając słów, skolarzeń, konstrukcji najprostszych wyraził ogrom metafizycznej treści. Wszedł tak głęboko i ekspresywnie w tajemnicę losu, że zdawałoby się to niemożliwe bez zasto-sowania bardziej skomplikowanej poetyki.

Poetyka prostoty, zwyczajności, jasności, naturalności nie obezwład-nia trudnych, wysokich treści. Wręcz przeciwnie: to kontrast między prostotą języka a wagą jego przestań tworzy siłę wiersza. Powiedzieć coś krótko, zwięźle, zwyczajnie – a dobitnie! To jest sztuka!

Jak wiadomo, w ramach jednego języka postępujemy się jego wieloma odmianami. Nie możemy mieć pretensji do poziomu skomplikowania języka naukowego, np. języka filozofii, natomiast w odniesieniu do języka poezji mamy prawo roszczenia jego prostoty. Oczywiście, tę sprawę komplikuje poziom jego zmetaforyzowania. Metafora to ulubienica wiersza. Jej zrozu-mienie wymaga talentu czytelniczego (i tak jak czytelnik ma prawo żądać od poety prostoty, tak poeta ma prawo żądać od czytelnika wyobraźni), ale po-stulat prostoty dotyczy i jej. Metafora także może być na tyle „przespeku-lowana”, że aż zła. Metafory błyskotliwe to zazwyczaj także metafory proste.

Przykazanie siódme: wiersz powinien być lakoniczny.

To wiąże się z postulatem prostoty. Oczywiście, niekoniecznie wiersz musi być epigramatem (ideał lakoniczności!), wiersz epicki (homerycki, „pa-natadeuszowy”, gatunki w rodzaju traktatu, dytyrambu, lianii itp.) ma wręcz prawo do rozlewności. Lakoniczność jest jednak walorem. Dlaczego? Dlatego, że przegadanie wiersza to wada nieznośna.

Tu znowu działa prawo kontrastu: jeżeli w szlachetnie prostym i lako-nicznym wierszu uda się nam powiedzieć coś ważnego, to ona amplituda treści i formy pozytywnie zdumiewa. Ktoś powiedział, że poezja jest sztuką eliminacji słów. Ani jednego zbędnego słowa w wierszu! Proszę o tym pamiętać. Proszę zawsze zaczynać poprawianie napisanego wiersza od wyrzucania słów zbędnych.

Za jeden z najciekawszych erotyków, jakie znam, uważam zaledwie czterowersowy wiersz mego nieżyjącego już przyjacie-

la Janusza Leppka: pa-trzyłem na ciebie / z okna wieżowca, / lecz to na pewno / ni byłaś ty.

Proszę się wczytać w ten tekścik. Ktoś stoi w oknie wieżowca. Może zdeśiąte, może dwunaste piętro... czeka na ukochaną. Może na dole jest przystanek autobusowy... Jedna dziewczyna, druga, trzecia, ona – nie ona, ty – nie ty... Bohater wiersza szamoce się, biega od okna do ściany, uchyla firankę, wypatruje... Znowu... na pewno... nie ty... Jakże króciutki wiersz i jaka wspaniała scena! Jaki teatr wyczekiwania! Ile emocji! Ile szamotania! Ile trafionej psychologii sytuacyjnej! Oto, co może lakoniczność!

Nie trzeba wielu słów, żeby wiele powiedzieć.

Przykazanie ósme: wiersz niechaj będzie niedostowny, niedomówio-ny i otwarty.

Wiersz nie jest tożsamy z jasnym, jednoznacznym wykładem. Wiersz powinien kryć w sobie tajemnicę – jak pączek słodkie nadzienie. Z punktu widzenia tekstologii wiersz jest bytem fenomenologicznym – niepowtarzalnym i istniejącym wbrew logice obowiązującej w innych przypadkach.

Np. dostówność pożądana w wielu innych komunikatach językowych (np. w języku prawniczym) może być w języku liryki balastem. Wspomnieliśmy wyżej o metaforze. To ona jest królową tropów poetyckich, a jest ich wiele – właśnie dlatego, że język liryki ma swoje wyspecjalizowane chwytły i narzędzia. Wszystkie one na ogół istnieją po to, by unikać dosłowności i ję-zyk potoczny zastępować w wierszu językiem zmodyfikowanym artystycz-nie.

Dam przykład genialnej metafory i niedostowności. To znany wiersz Norwida pt. „Czułość”: Czułość – bywa jak pełny wojen krzyk, / I jak szem-rzących źródeł prąd, / I jako wtór pogrzebny... // I jak plecionka długa z wło-sów blond, / Na której wdowiec nosić zwykł / Zegarek srebrny.

Zamiast opisywać czułość, Norwid porównał ją do dewizki zegarka, którą wdowiec upiół z kosmyka włosów zmarłej żony. Wmyślacie się w tę sytuację, wczujcie się w nią: starzec wyjmując z kieszonki kamizelki zegarek, muska kciukiem włosy swojej ukochanej, która odeszła, wraca myślami do niej, oddaje skrytej pieśczoście minione wspomnienia... A więc i tak można opisać czułość!

Powiecie: ależ ile więcej można powiedzieć o czułości! Nie, ten wiersz Norwida dowodzi, że można, ale nie trzeba. Niedostowność „rymuje się” z niedomówieniem. Choć w wierszu dobra pointa to prawdziwy skarb, to ona może także polegać na zawieszeniu głosu, na niestawianiu kropki nad „i”.

Niedomówienie i niedostowność potęgują wieloznaczność wiersza. Wiersz nie musi być jednoznaczny. Dobrze jeśli budzi różne skojarzenia i in-terpretacje. „Co poeta chciał w tym wierszu powiedzieć?” – to pytanie bez sensu. Wtajemniczeni wiedzą, że intencja poety jest sprawą drugorzędną, że dobry wiersz jest wieloznaczny, że odczytywany inaczej przez różnych od-biorców w zasadzie nie traci, a zyskuje na swym fenomenie.

Tak, dobry poeta potrafi trzymać czytelnika w cuglach, tzn. narzucić mu jednoznacznie rozumienie swojego wiersza. I dobry poeta tak czyni. Ale bardzo dobry poeta czyni inaczej: pozwala, by wiersz, jak dorosłe dziecko, odrwały się od niego i żył swoim własnym życiem.

Przykazanie dziewiąte: wiersz powinien wyrażać z pokory. I nie wstydzić się pychy.

O co tu chodzi? O postawę poety. Poeta powinien, moim zdaniem, poczynać pisanie wiersza od schodzenia z cokołu i zrzucania spiżowej togi. Zamiast gęsiego pióra niechaj

sięgnie po ogryzek ołówka. Poeta powinien z pokorą przyjmować świat i z pokorą weń wnikać. Być jednym z nas. Pamiętać o skromności. Chylić czoła przed drugim człowiekiem i tajemnicami świata.

Dlaczego? Dlatego, by zachować prostotę, zwykłość i „normalność” patrzenia i mówienia. Po to, aby zejść z koturn i aby unikać za wszelką cenę sytuacji, gdy wyda mu się, że jest kimś lepszym niż jest. Tylko smak „solí ziemi” na ustach poety jest smakiem, jaki ma trzymać go w swej władzy.

Ale są chwile, że poeta musi wejść na Mont Blanc i przemienić się w Tytana. Uderzyć pięścią w stół, rzucić sobie Ziemię do nóg, stanąć przeciw milionowi, kochać i cierpieć za miliony... Kiedy powinien przemówić do miarzwij ludzkiej głosem, za jakim ona pójdzie.

A więc: pokora czy pycha? Jedno i drugie, jedno i drugie. Ach, że też nie mamy w języku polskim słowa, które byłoby wypadkową tych obu sen-sów.

Przykazanie dziesiąte: poeta poddaje się natchnieniu.

Ojcem i matką wiersza jest natchnienie. Co to jest: natchnienie? Ba! Wszyscy wiedzą, nikt nie może wytłumaczyć. Może psychologia aktu twór-czego kiedyś „skodyfikuje” to pojęcie. Ja wierzę w natchnienie jako „szósty zmysł”. Zmysł objawienia i olśnienia. Jest to na pewno stan psychiczny, stan szczególnej koncentracji, który artyście (nie tylko poecie) dodaje skrzydeł. Wtedy obraz „się sam maluje”, wiersz „się sam pisze”... słowa płyną spod pióra jakby dyktował je niewidoczny demiurg sztuki.

Natchnienie to wszystko to, co w fenomenie pisania nie poddaje się racjonalizacji. To tajemnica tworzenia. Niekontrolowana siła sprawcza. Na-tchnienie to napęd wywołujący autoekspresję. Specyficzna koncentracja spoza obszaru odruchów kontrolowanych.

„Zawodowy” poeta (dobry rzemieślnik) potrafi, rzecz jasna, napisać wiersz na zimno, bez żadnego natchnienia. Ale prawdziwa, wielka, gorąca poezja powstaje niemal zawsze w jakimś uniesieniu i przy udziale „niewi-docznej ręki”; czytają: przy udziale ogromnego zaangażowania emocjonalnego i twórczego.

Dlaczego natchnienie ma znajdować się w takim, jak ten, dekalogu? Bo poeta, który ma cyniczny stosunek do natchnienia może już przestać być po-eta, tylko jeszcze o tym nie wie?

*

I to już wszystko. Tak widzę mój „dekalog dobrego wiersza”. W mojej gradacji wartości i z punktu widzenia mojego doświadczenia czytelniczego wymienione wyżej walory są najistośniejsze. Oczywiście, zbyt wiele nady-kutowałem się o literaturze, by upierać się przy niepodważalności tego deka-logu. Prawdopodobnie można napisać jeszcze kilka takich kodeksów inaczej pozycjonujących wymienione wyżej walory lub zgłaszających inne cechy niezbędne w tej wyliczance. Może więc każdy z nas powinien ułożyć swój dekalog? Może każdy go ma, tylko sobie tego nie uzmysłowić? Jedno jest pewne: poezja istnieje bez jakichkolwiek dekalogów. Ale też istnieje nie może bez bądź to zbiorowej, bądź indywidualnej wiedzy o jej arkanach. Bo życie ludzkie w dużej mierze wypełniają konwencje. Sztuka, choć być może wyni-ka z potrzeby naturalnej, realizuje się w formule konwencjonalnej. Konwen-cja zaś to zasada. I nie ma się na co obrażać – gdyby zabrano nam konwen-cje, to tak jakby zabrano nam wodę i powietrze – do tego etapu dotarliśmy w procesie cywilizacji. Dlatego rozmowy o sztuce są tak ważne. Przynajm-niej dla tych, którzy dotrwali do końca tego tekstu.

LESZEK ŻULIŃSKI

Jan Stanisław
Smalewski

BOŻE NARODZENIE 2019

Narodził się Odkupiciel

U nas zima. To nieprawda, że po śniegu
do Betlejem Józef z Marią podążali nocą ciemną,
że osiołek niósł brzemienne. I że w mrozie,
w zaspach może, rodziło się dziecko Boże.

U nas owszem – ziemia grudą kładzie się pod nogi.
Tym, co nocą na Pasterkę idą się pokłonić
Chrystusowi. – Bo narodził się w stajence
u ziemskich bezdroży. On w Betlejem, a my tutaj

całkiem odrodzeni. Jezus dla nas, my dla Niego
– na nieludzkiej ziemi. Na spalonej słońcem,
wiatrem przewianej pustynnym. Tak wzajemnie,
nie dla cudu, lecz dla siebie – byśmy byli inni.

Byśmy byli bardziej ludzcy -- jak On prawie boski.
By się za nas nie musieli wstydzić, i bać się nas,
ludzie z innej wioski. Żeby w noc tę mroźną,
w Betlejem pustynną, Ziemia była dla wszystkich

rodziną. I nie taką zimną. – Nie nieludzką.
Nie w cierpieniach losy nam pisała, ale sercem ciepła,
odkupiona cała. Żeby Gwiazda Betlejemaska zobaczyła
z nieba, że tym – i u nas i z pustyni – odkupienia trzeba.

2019

Tylko stajenka

Wielki Wóz wisiał nad naszą starą stodołą
jak Betlejemaska nad stajenką
Gdy zapadał wieczór
przyglądałem mu się z zaciekawieniem

Wracając z Pasterki pierwszy raz zauważyłem
że Wóz odjechał w inny obszar nieba
Chrystus narodził się w stajence
nasza stara stodoła nadal czekała na Odkupiciela

W stodole pachniało siano
w ciepłych kożuchach czekało kilka owiec
ale Odkupiciel wybrał stajenkę
na dalekiej pustyni I Gwiazdę Betlejemską

Wielki Wóz wędrując po niebie
zaglądał do stodoły czy w niej czegoś nie brakuje
Brakowało żłóbka i wołu
I Betlejemskiej

2019

Stajenka

Już już niedługo, jeszcze parę godzin
i się dzieciątko w stajence narodzi.
Na razie mu miejsca szuka matka Maryja
– nigdzie go nie chcą. Jest stajenka niczyja.

Jest ciepła stajenka, żłóbek, a w nim siano.
Święty Józef wymości posłanie małemu,
zdejmie kożuch barani, ułoży na sianie,
każe chuchać owieczkom, opatuli matkę.

Już wszystko gotowe na przyjście dzieciątka.
Nawet się zwierzęta zbiegły przed stajenką,
chłód rozpalili gwiazdy, zrobiło się ciepło,
Gwiazda Betlejemaska zabłysła na niebie.

Przeżyjmy raz jeszcze takie narodziny,
gdy świat zziębnięty oczekuje dzieciny. --
Choć jej nie chcą wielcy władcy tego świata,
bo im zagrozi wielkością na lata.

Na całe wieki król nad wszystkie króle
zamieszka teraz, by zbawiać narody,
w małej stajence wśród piasków pustyni.
Rozda chleb i ryby, przemieni wino - z wody.

20. 12. 2018

Boże Narodzenie

Ciężko zanocować w szopie nieogrzanej.
Jak narodzić się było ciężko na pustkowiu,
nie mając pewności, że się bliźny same
goiły będą, a rany przez faryzeuszy zadane,
pozwolą zostać królem, by swemu ludowi
drogę do wolności wskazać – by mu przewodzić
w wędrowce po ziemskim bezdrożu.

Ciężko, ale warto dla kadzidła i mirry,
dla tych darów szczerych ze złota i soli,
by udowodnić, że się prorocy nie pomylili. –
Przyjdzie mesjasz i naród z niewoli wyzwoli.
Przyjdzie zbawiciel i pokaże drogę,
która poprowadzi wszystkich do zbawienia.
Zniszczy zło, rozwieje mroki pogrobowe.

Wróci życie wieczne, uwolni od cierpienia.

2019

ERAZM W. FELCYN

PLAKAT ARTYSTYCZNY

Czesław Sobkowiak

Obłoki

Szły obłoki naiwne że nie upadną nigdy
Rosło dzieciństwo że wszystko się spełni
Spełniło się co do joty i nie umiem nazwać
Czytałem książki ale nie doszedłem do sedna

Kwitły dalej śmiałem się parskały konie
Dodawałem rzeczy i słowa modliłem się
Zapominałem imiona adresy i samego siebie
Z jakiegoś powodu czyjś głos mnie uratował

Spotkałem kobietę i jej oczy pełne żalu (mówiły)
Dotknął mnie powiew prawdy piękna i dobroci
Skrzywdziłem kogoś i nie da się tego naprawić
Byłem głodny na krawędzi życia i piszę o tym

Umierał ojciec matka brat przyjaciel i inni
Nie udało mi się podać ręki ani na czas być blisko
Wstydzilem się łez czułem smak soli (octu piołunu)
Obejmowałem i byłem objęty jak każdy człowiek

Jechałem do dziewczyny nocą w dusznym przedziale
Myślałem o tajemnicach jej ciemnych włosów pierwszy raz
Nie było nade mną żadnej innej władzy gwiazd
Poza jej oczami płaczem i czekaniem na rękę

Wędrowały ptaki wyskakiwały ryby nad wodę
Słyszałem szept leżały złote liście była mgła
Lubiłem patrzeć na poranne pasmo mgły nad ozimną
Chciałem na zawsze zatrzymać ten widok (i ciebie)

Spałem budziłem się szukałem okularów piłem wódkę
Widziałem motyle mleczne łąki pola wnętrza domów
Leczyłem myśli pragnąłem dotyku pocałunku
Zobaczyłem że brak życia to jest także życie

Nie miałem rąk a dotykałem bo chciałem być na zawsze
Ślady słońca czerwone mogą to potwierdzić ale gdzie one są teraz
Gdzie kobieta gdzie mężczyzna który w snach się pojawiał
Kobieta z rozgrzanej pościeli wstała by wypić samotną kawę

Dzień kończył się bar świecił i mnie przygarniał
Pisałem linijkę by przywrócić mi wiarę mowę (skrzydła)
Pisałem na piasku na wodzie na murze na twarzy
Byłem muzyką koniczyną promieniem na parapecie

Szedłem szpitalnym korytarzem tłumilem łzy
Patrzyłem w punkt na suficie i punkt patrzył na mnie
Wszystkiego dużo a przecież życia tyle ile trzeba
Nie nasyciłem się bo nie można (nawet w poezji)

Zależało coś ode mnie i nie ode mnie zależało
Auto stało na poboczu drzewo chyliło się wiał wiatr
Nie było logiki ale ktoś miał rację wtedy na serio
(Było daleko choć zarazem blisko co niekiedy realne)

Wiedziałem co robią ludzie i to czego ja nie robię
Choć powinienem ale jakoś trzeba żyć z dnia na dzień
Jeden raz ale czy to jest dobre tłumaczenie że strach
Wiązał myśli które robiły się bardzo śmieszne

Uczyłem się złudzeń by nie zabijała prawda
W moich czterech ścianach nad kartką przy stole
Patrzyłem w lustro obojętne by serca nie zadławić
Codzienne powtarzałem że to też jest ważne

Padał deszcz śnieg spałem w trawie i bez snu (spałem)
Poznałem milczenie rozpacz zazdrościłem kamieniom
Trząsałem się z zimna potrzebowałem ciszy i noclegu
Różne rzeczy i sny pogubiłem i znalazłem i nie wiem

PISAŁAM
KWIAT
POEZJ
YCKI